



*Tommi  
Kinnunen*

**INNI  
NIŻ MY**

**W**  
ydawnic  
two**ab**

Nowa powieść autora  
nagradzanych *Czterech Dróg*



Tommi Kinnunen

INNI NIŻ MY

przełożył Sebastian Musielak



Książka ukazała się dzięki pomocy finansowej FILI – Finnish Literature Exchange



Tytuł oryginału: *Lopotti*

Copyright © Tommi Kinnunen and WSOY

First published in Finnish by Werner Söderström Ltd. (WSOY) in 2016 with the original title

*Lopotti*

Published by arrangement with Bonnier Rights Finland, Helsinki, Finland

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Sebastian Musielak, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

# Spis treści

## Dedykacja

\*\*\*

## Część pierwsza

Najwcześniejsze dzieje majątku

Świat dziecińczych lat, wskrzeszony znów

Żyli wśród róż, nie znali burz

Odwiedza pochod sław mój dom

Strzeże ziemi swej rodzinnej

Widzę cię z bliska

Odważnie stań na scenie

Nie wiemy, gdzie wędrówki kres

To nie jest pora na sen

Ucha nadstawiam i słucham

Idzie kominiarz po drabinie

Lęk się czai tak jak zbrodnia

Kiedyś tam będziesz miał dorosłą duszę

Kiedy samotność drzwi uchyla

Zakazany owoc, marzeń ciemnych tabu

Pod obcym, gorzkim niebem

W nocy nie śpię, w dzień nieprzytomny

## Część druga

Rozwój majątku

Naucz, Ojczy, dziatki swoje  
Ucieka tam, gdzie nikt nie pyta  
Dzięki Tobie za Twe dary  
Wulgarną nuczac śpiewkę  
Dzisiaj się rozstaniemy  
Ubierz się w obcisłe  
Żal nic tu nie pomoże  
Chciałabym z kimś do pianina sięść  
Porzuć płonne swe nadzieje  
Bez kochania bardzo źle  
Że mi tak w piersiach błogo  
Odkryjemy miłość nieznaną  
Na co bóle wrzące?  
Nie dawać mnie za mąż było  
Tęsknota ma wspomnieniem płynie w świat  
Pokazały swoje twarze krzywe lustra  
Nigdy ciebie nie kochałem

### Część trzecia

Zmierzch majątku  
Blżej gwiazd, blżej dna  
Miłość zabrała mu rozum  
Ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa  
Jesteś gwiazdą w ciemności  
Że nie wrócisz, już wiem  
Wszyscy chcą kochać, choć nie przyznają się  
Na szczęśliwy ład zanosą mnie

Ludzie są samotni, czy tego chcą, czy nie

Widziałem wiatr o siwych włosach

W sercu cię kołyszę

Możesz wziąć mnie za rękę

Kroki, czyjeś kroki

Nadzieja na pogodę

Ta pieśń to awanturka

Świat wypadł mi z moich rąk

Noszę w sobie, by kiedyś ci dać

Ścieżki swe równajcie

Prowadź mnie, gdy światło drży

Pofrunę, gdzie nie byłam jeszcze

\*\*\*

\*\*\*

Podziękowania

Od tłumacza Prońko zamiast Eurowizji. Tłumacz się tłumaczy

\*\*\*

Przypisy

*Ojcu, po którym odziedziczyłem ciekawość,  
i Matce, od której próbuję jeszcze nauczyć się cierpliwości*

\*\*\*

Znamy się, chociaż Ty jesteś tam w środku, a ja tutaj, na zewnątrz brzucha Twojej mamy. To ja Ci śpiewałem. To ja pytałem Twoją mamę, czy mogę spróbować dotknąć i pogłodzić to, co w moim przekonaniu było Twoim czołem. Kocham Cię, chociaż jeszcze Cię nie widziałem.

Będiesz mówić mi „tata”. Mam oczywiście własne imię, ale nie będzie Ci ono nigdy potrzebne, bo dla Ciebie nauczę się tego nowego imienia. Wystarczy, że zawołasz na pomoc tatę, a wtedy ze wszystkich ludzi na świecie właśnie ja usłyszę Twoje wołanie i natychmiast do Ciebie przybiegnę. Obiecujesz, że zawsze będziesz przybiegała przytulić się do taty, jeśli coś się stanie? Pocieszę Cię, kiedy się skaleczysz albo przewrócisz. Tata umie przepędzić zło. Przy tacie dziecko czuje się bezpieczne.

Ale będziesz przychodziła przytulić się do Taty także wtedy, kiedy wszystko będzie w porządku, dobrze? Usiądziemy sobie i będziemy się cieszyć, że mamy taki piękny letni wieczór albo że dostałaś dziesiątkę z historii. I nie będziesz się bać opowiedzieć mi o swej pierwszej miłości? Ja Ci wtedy powiem, że zakochać się łatwo, ale by potem jeszcze kochać, to trzeba się już trochę napracować. Będę miał dla Ciebie wiele innych rad, nie wiem tylko, czy na coś Ci się zdadzą. Bo życie nie zawsze układa się tak zgrabnie, żeby dało się na jego podstawie wykreślić mapę dla drugiego człowieka. To Ci jednak mówię już teraz, że cokolwiek będzie leżeć Ci na sercu, ja chcę razem z Tobą myśleć, co z tym fantem zrobić. Nie będzie takiej sprawy, o jakiej nie mogłabyś mi powiedzieć. Chcę słyszeć wszystkie Twoje słowa. Nigdy Cię nie odtrącę, nigdy nie przestanę być Twoim tatą. Będę Cię chronił aż do mojej śmierci i jeszcze zza grobu.

Piszę ten list w tajemnicy przed Twoją mamą, bo gdyby się o nim dowiedziała, toby mnie nazwała sentymentalnym głuptasem. Włożę tę kartkę do koperty i napiszę na niej imiona, o których myśleliśmy dla Ciebie. Nie wiem, czy się zachowa do czasu, kiedy nauczysz się czytać. Może wszystko pozostanie na etapie dobrych chęci, może sam o tym liście



*zapomnę i papier gdzieś się zawieruszy w bałaganie życia. Możemy Ci przecież dać zupełnie inne imię i za jakiś czas będziemy się dziwić, czyj to list znaleźliśmy w starych szpargałach. Ale wszystko może się również skończyć całkiem dobrze: koperta zachowa się między książkami w regale i natkniesz się na nią, kiedy będziesz starsza. Może zdążę do tej pory napisać dziesiątki podobnych listów. Może będę pisał jeden na każde urodziny. Mamy przed sobą całe lata, kilkadziesiąt lat, żeby się poznać i siebie nauczyć.*

*Urodziłabyś się już. Czekają tu na Ciebie zabawki i ubranka. I miejsce obok mnie.*

*Tata*

# Część pierwsza

## Najwcześniejsze dzieje majątku

*Niektórzy twierdzą, że majątek w Mocznie otrzymał nazwę od Moczyska, mulistego wodospadu, który na dole wzbija na powierzchni nurtu żółtawą pianę. Inni znów utrzymują, że najważniejszym czynnikiem toponimicznym jest znaczna wysokość, z jakiej woda wpada do lejowatego kanionu, zwłaszcza zaś wydawany przez nią odgłos. Przypomina on bowiem chlupot uryny lejącej się do nocnika byle jakim, nierównym strumieniem. Żadne z tych wyjaśnień nie jest jednak prawdziwe, jako że wbrew miejscowej famie wodospad przyjął nazwę od majątku, a nie odwrotnie.*

*W sierpniu roku Pańskiego 1778 król Szwecji wyciął sobie ten sam numer, który od niepamiętnych czasów wycinali sobie wszyscy panujący przed nim królowie Szwedów, Gotów i Łużyczan: wypowiedział wojnę Rosji. Przygotowania przebiegały zgodnie z planem: panowie oficerowie zostali starym zwyczajem zaokrętowani w Sztokholmie i wysłani do Turku, a w głębi lądu, w Häme i Sawonii, przeprowadzono zwyczajową branke. Potem Szwed zwyczajowo uderzył na Rosję, dostał po mordzie i wycofał się aż pod wschodnią stolicę. Jak dobrze wiedział każdy Fin, teraz panowie oficerowie wsiądą na okręt i pożegłują z powrotem do zachodniej stolicy. Wschodnia prowincja natomiast na bliżej nieokreślony czas dostanie się pod ruską okupację, aż w końcu, na późniejszym etapie rokowań pokojowych, car zagarnie upatrzony kawałek wschodniej Finlandii. Podczas zaokrętowania szwedzcy chorążowie będą rozprawiać o tym, jak też nazwać ten okres historii. Wojna północna już była, mała i duża. Średnia brzmiała głupio, a środkowej należało właściwie użyć wcześniej.*

*Król stał w otoczeniu adiutantów w brudnym, rozdeptanym śniegu na skalistym brzegu i przyglądał się zaokrętowaniu swojego wojska. W dole, na nabrzeżu, ustawieni podług szarży panowie oficerowie czekali w kolejce do szalup. Nikt nie był mocno posiekany, wiadomo – odnoszenie*

najcięższych ran było zadaniem infanterii. Piechota dotrze do portu w ariergardzie trzy dni później, kiedy panowie oficerowie będą już het za Kastelholmem, a może nawet zdążą minąć Alandy.

– Byłby już czas wchodzić na pokład, Ers Majestät<sup>1</sup>. – Pacholek mówił zdumiewająco dobrze po szwedzku, chociaż płowa szczeciniasta czupryna i nochal jak przemrożony kartofel od razu zdradziły jego fińską proweniencję.

– Vi tackar<sup>2</sup>.

Droga w dół była długa, pokrywający skały mech całkiem przesiąkł wodą. Król schodził roześmiany. Tuż przed zejściem na nabrzeże postanowił jeszcze opróżnić pęcherz. Nie wycelował swojej królewskiej króćicy w panów oficerów bynajmniej nie z powodów obyczajowych – władcy bowiem stoją ponad obyczajami – lecz dlatego, że z uwagi na porywisty południowo-zachodni wiatr oszczałyby swoje piękne gobelinowe trzewiki. Pokazał więc panom oficerom plecy i zwrócony przodem do miejscowych kmieci dobył kusia, którego – jak głosiła fama – szwedzka królowa w życiu nie widziała. Pacholek się odwrócił, przeczuwał bowiem zamiary Jego Wysokości, nie ośmielił się jednak odstąpić od króla. Ten spojrzął na stojącego przed nim chłopaka i wypchnąwszy biodra w przód, próbował dosięgnąć strumieniem moczu lewego bota fińskiego ciury.

Władca czuł, że jest kolejną perłą na długim sznurze panów tej ziemi. Wszystko układało się tak, jak miało się ułożyć. Król poczuł radosne ciepło w dołku, być może dlatego, że w końcu sobie ulżył. Tę chwilę trzeba zapisać w historii. Po tej wyprawie wojennej musi pozostać trwały ślad w pamięci.

– Ej, hultaju! – krzyknął. – Hören mina ord! Zaraz zrobię z ciebie barona.

Pacholek nie ośmielił się odpowiedzieć, lecz zmiana w jego postawie zdradziła, że nadstawił uszu.

– Calle wynajdzie ci jakiś dobry las lub górę na lenno.

Jeden z adiutantów skinął głową z poważną miną. Rzeczonemu można by dać tyle bagien i wzgórz na północy, ile zdoła objechać konno w siedem dni. Ziemi w tym ciemnym kraju jest pod dostatkiem.

Chłopak spojrzął na swe mokre boty. Król nie był młody. Wzdychał już tylko do czasów, kiedy mógł wykaligrafować w śniegu siurem swoje imię

*równie zgrabnie jak piórem na papierze. I jeśli dawniej strumień królewskiej szczyzny ciął śnieg ostro niczym floret, teraz lał się ciężko jak fontanna w drottningholmskim pałacu. Jego Wysokość potrząsnął armatą, wyciskając z pęcherza ostatnie krople moczu.*

*– A ty pomyślisz nad odpowiednią nazwą dla swojego majątku. Niech upamiętni twojego króla.*

## Świat dzieciennych lat, wskrzeszony znów

Mama ujmuję mnie pod pachy, podnosi wysoko i znowu sadza, gdzieś głęboko.

– Posiedź no tu.

Trzewik uderza o dno, które odpowiada głucho jak beczka. Nie wiem, gdzie jestem. Ciasno mi. Macam rękami dokoła, jedną sięgam krawędzi. Jest chłodna, niemal zimna. Głos mamy dobiega z góry, ze słabym echem.

– Helena, przytul no Johannesesa.

Mama sadza przede mną mojego braciszka i siedzimy oboje w rozkroku, jedno za drugim. Obejmuję go, bo Johannes boi się wszystkiego, co dla niego nowe. Pytam mamę, gdzie jesteśmy, lecz nie odpowiada. Z drugiej strony słyszę głos babusi. Mówi, że jesteśmy w takim wagoniku, co się nim wozi piasek po torach, które Niemcy położyli od wojny. Że mama chce tę kolejkę sfotografować, choć podobno nie wolno tego robić.

Johannes się wywija, ale go nie puszczam, tylko zaczynam kołysać i mówię mu jeszcze „szuru-buru”, i wtedy się uspokaja. Mama staje za nami i każe nam się nie ruszać. Zaraz nam zrobi zdjęcie. Dziwi się, że te tory takie wąskie, ale babusia mówi, że takie żołnierzom zupełnie wystarczają. Nagle w głosie mamy słyszę łobuzerską nutę, kiedy zastanawia się głośno, czy dałoby się taki wagonik poruszyć z miejsca. A co, niech i nasze dzieciary choć raz w życiu przejadą się pociągiem. Babusia się śmieje i staje obok niej, za nami. Mówi, że biedni to zawsze kielbie we łbie mają. Babusia chodzi inaczej. Mama idzie po piasku żwawo, szur-szur-szur-szur, za to babusia utyka, szur-szuuur-szur-szuuur. Tata mówi, że babusia Maria kuśtyka.

Oddechy babusi i mamy słychać blisko siebie.

– Lahja, gotowa? – pyta babusia.

– Gotowa – odpowiada mama.

– No to dawaj, rzekł stary gospodarz do swej młodej żony.

Piasek zgrzyta im pod butami. Obie sapią. Mama wydaje z siebie dziwny, skrzypliwy odgłos, niby oddycha, lecz wstrzymuje oddech. Tak samo skrzypiał tata, kiedy na urlopie odsunął swoje łóżko od łóżka mamy i wytaszczył je z komory. Nagle czuję szarpnięcie w przód, takie samo jak wtedy, gdy koń rusza z miejsca i tata każe się trzymać. Mówię Johannesowi, że jedziemy, boby się przestraszył. Powtarza za mną: „dziemy”. Nie umie jeszcze wszystkich słów. Kręci główką, rozgląda się.

Mama się śmieje. Babusia też rechocze.

– Mało kiszki nie wysrałam, ale co tam!

– Nie mówcie tak – syczy mama.

Głaszczę Johannesowi po włosach i mówię mu, że babusia się wygłupia. Braciszek chwyta mnie rączkami za palce i miętosi je. Mama się śmieje i mówi, że jestem dzielna, bo umiem zająć się bratem, i że od tego właśnie są starsze siostry. Ja zajmuję się Johannesem, a Anna zajmuje się mną. Odwracam głowę i pytam, dokąd dochodzą te tory. Mama odpowiada, że chyba aż na samo południe, ale nie wie na pewno. Najdalej w życiu była w Oulu, za to babusia to się najeżdżała pociągami, jak uczyła się kiedyś w takiej ogromnej Szkole Położnych na samiuteńkim południu, gdzie jest już tylko morze i nic więcej. Tam jest zupełnie inaczej niż u nas, inne są drzewa i inne domy, z kamienia budowane.

Puszczam Johannesowi, bo już się nie boi, i badam rękoma, co jest za plecami. Sterta piachu. Kładę się na niej, ale Johannes siedzi mi na sukience. Bok wagonika jest chłodny. Już w ogóle nie czuć, że jedziemy, nic nie szarpie, nie kolebie. Czasem tylko zadrży dno i wtedy coś stuknie. Babusia mówi, że tak właśnie śpiewają żelazne koła wagonów.

Słońce grzeje twarz. Otwieram oczy szeroko. Czasem światło przesłania jakiś cień. To drzewa. Tata mówi, że jak byłam mała, to widziałam wszystko wszyściutko i dopiero potem zachorowałam, lecz ja już tego wcale nie pamiętam. I taty też już nie ma w domu, bo teraz jest na wojnie. Przyciskam oczy kciukami. Lubię to robić. W drzewach szumi wiatr. Jest niedziela.

Babusia śpiewa do taktu postukujących kół:

*Będę łaził po wsi w tę i z powrotem,  
aż butów całkiem nie znoszę.  
I będę całował, którą tylko zechcę,  
i żadna mi się nie oprze.*

Mama nie lubi piosenek babusi. „A, dalibyście już spokój z takimi”, mówi zawsze, kiedy babusia zaczyna śpiewać.

– Gdzie jedziemy? – pytam, a mama mówi, że do domu.

Babusia tłumaczy, że do samego Lopotti tory jeszcze nie dochodzą. Niemcy je ciągną z południa i wkrótce dojdą do wsi kościelnej, a potem tory pójdą dalej, hen do ruskiej granicy i murmańskiej kolei. Ale na razie jest, jak jest i dlatego musiały wziąć konia. Mama mówi coś babusi. Nie wiem co, ale w jej głosie nie słyszę już śmiechu. Wagonik zwalnia i w końcu staje. Mama staje obok wagonika.

– Nie mieszkamy w żadnym Lopotti – mówi jeszcze babusi surowym tonem.

– Aj, już ty się, Lahja, przez żarty nie obrażaj. Daj spokój.

Dla mamy Lopotti zaczyna się dopiero za naszym domem i ludzie są tam zupełnie inni niż we wsi kościelnej. Dla babusi to tylko słowo, nazwa jak nazwa. Nagle czuję, że ktoś podrywa Johannesesa w górę. Przestraszona próbuję zatrzymać go przy sobie, lecz mama każe mi go puścić. Głos ma zimny.

– Co ty wyprawiasz? – dziwi się babusia.

– Idziemy stąd precz.

Nie chcę iść, chcę pojechać pociągiem do samego domu, ale babusia bierze mnie pod pachy i stawia na piachu. Ziemia przy torach opada mocno w dół. Ledwo mogę ustać, muszę się oprzeć ręką o wagonik.

– Co to jest to Lopotti? – pytam, lecz nikt nie odpowiada.

Babusia chwyta mnie za rękę.

– Chodź, Helenko, i nam już pora do domu. A nuż twojego tatę puścili na urlop?

Próbuję iść po stoku, zginając tę nogę, co jest bliżej torów. Babusia



kuśtyka kawałek przede mną. Woła za mamą. Dziwi się, co jej te stare nazwy zawsze przeszkadzają.

– Przecież w tym całym Lopotti są tylko dwie baby o złej reputacji, ty i ja!

Mama nie odpowiada. Babusia rechocze.

## Żyli wśród róż, nie znali burz

Mama wali pięścią w drzwi komory ojca i krzyczy, że wszystkiego się domyśla. Wścieka się na niego, bo nie chce z nią rozmawiać.

Leżę w łóżku i zatykam uszy palcami, ale i tak słyszę jej krzyk. Używa grubych słów, które odskakują od ścian świetlicy jak piłki i lecą daleko, aż tutaj. Czy babusia ich nie słyszy, czy też znowu zabrali ją gdzieś daleko do porodu? W takie wieczory często wychodzi ze swojej komory i prosi, żeby już byli cicho i żeby takie rzeczy to nie od razu na głos. Przyciskam uszy dłońmi mocno do głowy. Nie słyszę już słów, tylko sam krzyk.

W takie noce upiór spod podłogi wypełza od razu, wystarczy na chwilę przysnąć. I jeśli muszę wtedy wyjść z łóżka, podłoga zaczyna opadać. Odwracam się i chcę uciekać, ale i tam jest spad. Mogę próbować zdążyć do komody albo do okna, ale nic z tego, bo wszędzie deski stają dęba. Dokądkolwiek bym chciała pójść, zjeżdżam po nich jak do ciemnej mogiły. To taki wielki dół, do którego się wrzuca trupy żołnierzy i dzieci zabite przez bomby. I ja do niego wpadam. Choćbym się czepiała skraju dywanu, osuwam się w lodowate nic, gdzie słyhać tylko taki niski głos, który nie jest głosem człowieka ani kota, ani psa, ani żadnego innego zwykłego zwierzęcia.

Próbuję trzymać dłonie na uszach, lecz oczy mam otwarte, żeby tylko nie zasnąć. Pod kołdrą jest za gorąco. Wierzgam, żeby ją skopać na bok, ale tata podłożył ją w nogach pod materac. Zawsze otula nas na noc, kiedy przyjeżdża na urlop, choć raz mu powiedziałam, że mama robi to lepiej. Spytał mnie wtedy, czy już nie jestem córeczką tatusia, to mu powiedziałam, że nie, bo jestem córeczką mamy. Proszę go ciągle, żeby mi opowiedział, jak jest na tej wojnie, lecz on nigdy nie chce.

Muszę wystawić nogi na chłodne powietrze. Muszę oderwać dłonie od uszu i wpuścić do środka krzyki. Mama każe tacie natychmiast

otwierać. Z góry, ze strychu, słycać kroki Anny. Do jej pokoju wchodzi się po schodach od podwórka, ale samej mi nie wolno. Ona też nie śpi. Wyszarpuję pierzynę spod materaca. Obracam się i przywieram uchem do poduszki. Straszycło jest blisko.

Skrzypią deski w łózccku Johannesesa. Unoszę głowę i nasłuchuję. Johannes popłakuje. Wołam go i chlipanie cichnie.

– Chodź tu do mnie – mówię cicho.

Nie odpowiada.

– Biegnij, szybko, zanim przyjdzie upiór!

Mama w świetlicy wyje jak pies. Johannes mówi, że nie przyjdzie. Słowa rwą się od szlochu.

– No, biegnijże do mnie – namawiam go jeszcze i w końcu łózccko skrzypi, Johannes się podnosi.

Wtem przez krzyki mamy słycać jakiś ruch, lodowaty i ciemny. Deski podłogi zaczynają drzeć. Każę Johannesowi przybiec jak najprędezej. Wskakuje z łózccka i pędzi w moją stronę. Czy zdąży? Słycać go, jest na dywanie, teraz z niego zbiegł.

– Dalej, szybko! Uważaj na upiora! – krzyczę i Johannes biegnie, płacze i biegnie.

Bose stópki klepią o podłogę, poskrzypują deski. Johannes dopada krawędzi łózccka, pomagam mu się wdrapać. Uderza mnie łokciem w brew. Boli, ale go nie besztam, przecież to niechcący. Lodowaty odgłos się uspokaja, przed nim słycać teraz, jak mama zawodzi na całe gardło.

Głaszczę Johannesesa po włosach. Braciszek tuli do piersi misia i nadal nie może się uspokoić. Szukam jego pachy, próbuję go łaskotać, ale ciągle płacze. Teraz w świetlicy nie słycać mamy, tylko głos taty. Nie rozróżniam słów. Tata nigdy nie krzyczy. Johannes się wierci. Kładę się obok niego.

– Już sobie poszedł. Już po strachu.

Wycieram mu łzy i głaszczę po głowie. Starsza siostra się nim zajmie. Przykładam mu usta do brzucha i dmucham, lecz Johannes wciąż chlipie.

– Płaksa – mówię.

Wiem, czego mu trzeba. Siadam na łózccku i wsłuchuję się w dom.

Anna przestała chodzić w kółko, mama tłumaczy coś cicho i szybko. Podłoga się nie trzęsie, lecz wiem, że pod deskami pływa zimnoskóra larwa. Przednie łapy trzyma razem przed łbem, a tylnymi kopie, tak jak nam pokazywał tata, żaba tak pływa w wodzie. Larwa wszystko słyszy przez szpary w podłodze i pływa za mną pod ścianami z komory do komory. Mimo to przełażę przez Johannesę i cichutko opuszczam stopy na ziemię. Rękami trzymam się krawędzi łóżka i sprawdzam, czy deski już się kolebią. Mówię Johannesowi, żeby tu na mnie zaczekał i siedział cichutko jak mysz pod miotłą.

– Nie możesz iść za mną. Musisz być teraz dzielny.

Idę wzdłuż łóżka, robię krok w stronę komody. Szukam ręką brzegu mebla. Kiedy go znajduję, puszczam krawędź łóżka. Poruszam się ostrożnie. Larwa chyba pływa pod inną komorą. Dochodzę do progu i otwieram drzwi, nasłuchuję. Mama mówi chrapliwym głosem. Słowami dorosłych, których dzieci nie mogą używać. Jak się takie słyszy, to trzeba od razu zrobić w tył zwrot i odejść jak najdalej. Kucam i wczołguję się za tapczan. Johannes powiedział mi wczoraj, że jest tam świetna kryjówka. Babusia zawsze mnie pyta o różne rzeczy, w której izbie je znajdzie, w którym dokładnie miejscu. Dlatego znam na pamięć cały dom i umeblowanie.

Prowadzi mnie krawędź dywanu w świetlicy. Tata mówi coś do mamy, lecz nie chcę tego słyszeć. Deski zaczynają drżeć. Pod nimi pływa upiór, którego nic nie zatrzyma. Nieruchomieję i wstrzymuję oddech. Nasłuchuję. Przepląnął. Mama śmieje się pod nosem, ale w jej słowach nie ma wcale radości.

– Już nigdy mnie nie dotkniesz.

Tata nie mówi nic.

Na rogu dywanu skręcam w stronę pianina. Dawniej tata na nim grał, a teraz mówi, że nie ma ochoty. Stąd już niedaleko do szafy z pościelą. Wstaję, robię dwa kroki i sprawdzam drogę. Teraz nie mogę niczego potrącić, niczego przewrócić. Wchodzę na kolumnę z kwiatem, ale ta tylko się chwieje i nie robi hałasu. Kiedyś stała pośrodku świetlicy, lecz babusia przestawiła ją pod ścianę, żeby mi nie stała na drodze. Obracam się i prawą dłonią dotykam szafy. Szukam klucza, powinien siedzieć w dziurce. Dotykam zimnego

metal. Przekręcam klucz i odchylam lewe skrzydło szafy. Druga półka od dołu. Wsuwam rękę między pachnące słońcem poszwy, jest. Stary smoczek Johanna. Znalazłam go w zeszłym tygodniu. Mamie go było żal, albo babusi, a może Annie.

Domykam cichutko szafę i szukam kolumny z kwiatem. Obracam się na pięcie i ruszam z powrotem. Tata mówi cicho. Dziwi się, czego jeszcze nie zrobił i czego jej jeszcze niby brakuje.

– Onni, czy ty jesteś w ogóle jak normalny chłop? – pyta go mama.

Nagle tata podnosi głos. Wali od środka w zamknięte drzwi. Ten krzyk już wcale nie brzmi jak głos taty, tylko kogoś zupełnie innego. To już nie jest ten sam tata, którego włosy pachną słodko brylantyną i z którym się wymyśla głupie historyjki. Ten przeraźliwy odgłos przypomina raczej rzenie spłoszonego konia albo ryk wielkiego byka w zagrodzie sąsiada. Coś takiego nie wydobywa się człowiekowi z ust, tylko głęboko z trzewi. Rozpłaszczam się na dywanie i czuję, że deski zaczynają drżeć. Wolałabym się teraz nie ruszać, lecz podłoga już faluje. Larwa robi nawrót pod kuchnią, odbija się od ściany domu i już się wynurza spod podłogi świetlicy. Skórę ma lodowatą i oślizgłą jak ryba. Zatrzymała się i węszy, bo oczu toto nie ma. Słyszy krzyki taty, lecz on jej nie interesuje. Larwa szuka dzieci do swojej mogiły.

Tata prosi o choćby chwilę kamiennego snu bez koszmarów, bez lęków. Mama nie odpowiada, więc tata ryczy, że na froncie, w powietrzu szarym od pyłu, musi szufłować piach na oczy zabitych towarzyszy. W polowej saunie zmywać z siebie ich krew, ich flaki i kawałki czaszek. I ciągle myśleć, czy Ville od sąsiadów długo się męczył, czy może od razu stracił przytomność. A w domu na urlopie rzuca się na niego nagrzana klacz, żeby ją ciągle kryć, i człowiek nie może nawet chwili po prostu sobie być. Słyszę, że Johannes płacze w komorze. A tata jeszcze bardziej podnosi głos:

– Do jasnej cholery, czy ja nie mogę mieć choć tej minuty dla siebie?! Jednej głupiej chwili, żeby ktoś się czegoś ode mnie nie domagał?!

Uderzam w krzyk i drę się na całe gardło, żeby tylko nie słyszeć taty, ale zdradzam przez to larwie moją kryjówkę. Upiór odbija się od ściany i płynie w moją stronę. Deski się unoszą i zsuwam się z nich

tyłem. Muszę się podnieść, muszę stąd uciec. Biegnę. Podłoga się rozstępuje. Gubię się. Kolumna się przewraca i wpadam na pianino, lecz biegnę dalej. Gorąco. Ślepi nie mogą biegać, bo wtedy wpadają na meble i robią sobie krzywdę. Nie mogę złapać oddechu. Staram się biec prosto, miotam ręką na prawo i lewo, szukam po omacku drogi.

Mama woła za mną, lecz nie mogę stanąć. Deski spadają, pochylają się, stają dęba. Słyszę zgrzyt klucza w drzwiach komory taty. Muszę biec jeszcze szybciej, lecz uderzam głową w ścianę, a zaraz potem kolanem w tapczan. Mam gęsią skórkę.

– No i patrz, do diabła, co się narobiło!

To mama krzyczy na ojca, ale się nie odwracam, nie mogę się zatrzymać. Muszę dać braciszkowi smoczek. Biegnę, przyciskając go do brzucha. Ręka muska po zimnej szybie, obracam się i szukam komory. W którą stronę?

Żeby tylko Johannes nie wstał i nie pobiegł do salonu. Nie utrzyma się nawet na brzegu dywanu, kiedy podłoga zacznie się rozpadać na kawałki.

– Stój! – krzyczę. – Nie biegnij tu!

Słyszę płacz Johannesesa, on mnie kieruje. Znajduję drzwi komory i wbiegam do środka. Przekręcam klucz w zamku. Uderzam w brzeg łóżka, chwytam ramę i siadam. Za drzwiami są już mama i tata. Kładę się przy Johannesie i przyciskam go do siebie. Rozwieram dłoń i podsuwam mu smoczek. Gumka jest wydłużona. Kiedy sprawdzam, Johannes już ma go w buzi. Głaszczę go po włosach.

Za drzwiami tata przeprosza. Śpiewam Johannesowi piosenkę o nieustraszonej Myszce Miki, a on wtula stópki pod moje nogi.

## Odwiedza pochód sław mój dom

Dźwigienki maszyny do pisania wyglądają jak odnóża komarnicy. Albo jak poprzyklejane w kilku szeregach pająki, które wyciągają po kolei nogi i odciskają paluszkami na papierze swoje ślady, a każdy jest inny. Tuomas patrzy, jak mama naciska klawisze, niektóre częściej niż inne, i co chwila pociąga za lśniąca metalową rączkę, która przesuwa z powrotem na drugą stronę maszyny czarny wałek z kartką. Na tej kartce jest narysowana płacząca szara chmura. Na kartkach z takim rysunkiem mama pisze listy do ludzi, którym tata dał aparat albo zdjęcia za darmo, bo w sklepie akurat nie mieli przy sobie pieniędzy. Są jeszcze inne kartki, z burzą i błyskawicą, ale na takich kartkach mama wysyła listy tylko do tych, do których wcześniej zatelefonował tata, a potem jeszcze raz ona, w tajemnicy przed nim.

Tuomas bawi się kapslem kasety z filmem, ściąga go i z powrotem wciska na metalowy cylinder. Od czasu do czasu zaciąga się ostrym zapachem plastikowej kliszy, a potem znowu zamyka kasetę w dłoni. Kiedy ściska cylinder z boku, ścianki łatwo wgniatają się do środka, ale gdy próbuje naciskać jednocześnie z obu jego końców, nic się nie dzieje. Kiedyś postawił kilka kaset na nowym asfalcie na podwórku i zaczął kłaść na nich cegły z rozebranego pieca, które leżały pod ścianą garażu, ale w końcu cała ta konstrukcja runęła, a kasety nawet się nie zgięły.

Od strony sklepu słychać kroki taty. Woła mamę.

– Kaarina, pozwolisz na sekundkę? Przywitasz się z naszym gościem.

Mama wypuszcza powietrze tak samo jak babusia Lahja przy stole, kiedy mówi, że kartofle źle obrane lub sos za cienki. Wystukuje na maszynie linijkę do końca i ciągnie za rączkę. Wstaje i wychodzi za tatą.

Tuomas wie, co jest grane. Tata nie może sobie przypomnieć

nazwiska albo adresu jakiegoś klienta. Nikogo nie poznaje z twarzy. A ludzie, którzy dzień w dzień stają przed ladą w sklepie, są święcie przekonani, że fotograf doskonale pamięta ich i ich dzieci, bo przecież robił im zdjęcie do confirmacji, a babusia Lahja robiła ich dziadkom zdjęcia weselne. I tata raz za razem kiwa głową, że niby poznaje, wypytuje o stare czasy i plany na przyszłość, podpytuje ostrożnie o wsie, drogi i wspólnych znajomych, o miejsca pracy, rodzinę i krewnych. Klienci rozwodzą się o ocielonych krowach, wyścigach reniferów i chronicznych zapaleniach uszu u dzieci. I w końcu tata przypomina sobie nazwisko i imię rozmówcy, może więc wreszcie wypełnić pokwitowanie na kopercie zlecenia. Ludzie się cieszą, jak fotograf pamięta ich imię. Mówią, że Johannes Löytövaara to sympatyczny gość.

Czasem jednak się zdarza, że opowieść klienta nic tacie nie mówi. Wtedy przerywa rozmowę i odwraca się do zaplecza.

– Poczekaj, pójde po Kaarinę, też cię chętnie zobaczy.

Tylko że mama nie zawsze siedzi na zapleczu i wypisuje rachunki albo nakleja zdjęcia na koperty z podziękowaniami. Tacie zaczyna się wtedy palić grunt pod nogami.

– Jedna chwilka, zajrzę tylko do kuchni! – krzyczy do klienta i z nowego skrzydła, gdzie mieści się sklep ze studiem, biegnie przez podwórze do domu, wołając mamę już od sieni na dole i wchodząc na piętro po dwa stopnie naraz.

– Nie mogę sobie przypomnieć jego imienia! Tego, co w latach pięćdziesiątych chodził tak długo z Kaisą Nevalą, a potem ni z gruszki, ni z pietruszki ożenił się z tą ładną dziewczyną z Salli.

Mama wtedy wzdycha, zestawia garnek z pieca, kładzie na ziemi rurę odkurzacza, wyłącza kosiarkę, kończy sprzeczkę z babusią, upuszcza do miski w połowie obrany ziemniak i biegnie z nim do pracowni. Na widok klienta od razu się rozpromienia.

– Jaska Määttä! Co tam u ciebie? – pyta i spogląda znacząco na tatę.

On bierze porzucony na ladzie długopis i wypisuje na kopercie imię i nazwisko. Pyta o format, czy będziemy robić dziewięć na dziewięć, czy dziesięć na dziesięć. A zdjęcia będą na wtorek po niedzieli.



Mama wstaje więc i teraz od maszyny i idzie do sklepu. Tuomas przysiada na jej krzesło i naciska kilka klawiszy, ale nie za mocno, żeby na papierze nie odcisnęły się ślady pajaków. Parę razy tak zrobił i mama była zła. Ale usiedli z Tuomasem razem do maszyny i wypisali rachunek od nowa. Tłumaczyła synowi cierpliwie, co trzeba po kolei zrobić.

– Teraz naciśnij taki klawisz z kreską, która idzie z góry na dół. Poszukaj, jest tam taki jeden. Szukaj, szukaj. Dobrze.

Tuomas schodzi z krzesła mamy i idzie do sklepu. Patrzy na zegarek: mała wskazówka patrzy już prawie na tę kreskę, kiedy Tapio przychodzi ze szkoły. Tuomas też chciałby już chodzić do szkoły, tak jak starszy brat, ale musi zjeść jeszcze wiele talerzy owsianki, zanim go tam wezmą. Wślizguje się do sklepu i nurkuje pod ladę. Dawniej mieścił się tam bez trudu, teraz jednak odległość od podłogi do deski jakby się skurczyła. Na ladzie stoi kasa, na której mama wciska najpierw szary klawisz z dwójką, potem czarną szóstkę i zero, a na koniec duży czerwony i wtedy maszyna dzwoni i wysuwa szufladę. Tuomas też chciałby spróbować, ale kasy nie wolno mu ruszać. Tata czasem pozwoli mu wcisnąć pięć penni, ale mama nigdy.

Tata demonstruje komuś drogi aparat i Tuomas wie, że w takiej sytuacji nie wolno mu przeszkadzać. Mama mu mówiła, że kiedy postanowił przyjść na świat, tata akurat sprzedawał taki sam drogi aparat jednemu turyście z Niemiec. Stała właśnie na drabinie przed regałem z ramkami i ścierała kurz, aż tu nagle mówi tacie, że chyba muszą jechać do szpitala. Mama zawsze się śmieje, kiedy opowiada tę historię gościom.

– Do końca życia tego nie zapomnę. Johannes mi na to, czy nie mogłabym dać sobie jeszcze trochę na wstrzymanie, bo chciałby sprzedać ten aparat. I sprzedał.

Mama szuka w szufladzie zdjęć Raatikainena. Tuomas widzi spod lady tylko obuwie klientów. Brązowe półbuty. Kalosze. Dzwięczy dzwonek nad drzwiami i do środka wchodzi jeszcze czerwone szpilki. Kalosze się odwracają. Półbuty odstepują krok na stronę. Tuomas nasłuchuje pytań mamy i odpowiedzi butów. Półbuty chciałyby się umówić na zdjęcie confirmacyjne dla syna. Mama pyta, czy mają

własne kwiaty. Kalosze szukają taniej ramki z takimi różyczkami w narożnikach, na pogrzeb teściowej. Mama podchodzi do regału i pokazuje dwie ramki, miedzianą i srebrnoszarą. Ta druga jest droższa. Kalosze mówią, że się zastanowią, niech mama w tym czasie obsłuży kolejnego klienta. Czerwone szpilki zbliżają się do lady i proszą o kartonik filmu czterysta. Kalosze uznają, że teściowej wystarczy miedziana, zostawiają na ladzie odliczone pieniądze i wychodzą ze sklepu.

Tuomasa coś drażni w głosie czerwonych szpilek, lecz nie potrafi powiedzieć, co by to mogło być. Wychodzi spod lady, siada na podłodze i opiera się o kontuar. Mama idzie do półki po kartoniki z filmami. Dostrzega syna i marszczy brwi. Może też lekko pokręciła głową? Tuomas znów się bawi starą kasetą po filmie, ściąga kapsel i wciska go z powrotem w rowek. Odwraca się i podnosi, głowę ma teraz na wysokości kasy. Mama podaje kartoniki wysokiemu panu w usmarowanym niebieskim kombinezonie. Pan dziękuje, przekłada je do lewej ręki i prawą maca tylną kieszeń, ale nie znajduje tego, czego tam szukał.

– Gdzie ja ją wsadziłem?

Tuomas się pochyla i zagląda pod ladę. Czerwone szpilki przestępują z nogi na nogę. Tuomas znowu przenosi spojrzenie do góry. Usmarowany kombinezon kładzie na kontuarze obok filmów piękną podłużną portmonetkę z pomarańczowymi koralikami i fioletową metalową rozetką na zatrzasku. Otwiera ją, wyciąga starannie złożony duży banknot i podaje go mamie.

Tuomas kuca i na czworakach przechodzi na koniec lady, do pomarańczowego plastikowego kosza na śmieci. Mama wyciąga z niego zawsze pudełeczka po kasetach, które wyrzuca tam tata, pakuje je do woreczków i każe komuś zanieść do klubu parafialnego. W takich samych pudełeczkach Tapio i Minna dostają kieszonkowe – trzy marki w pięcio- i dziesięciopennówkach. Maarit jest już duża i dostaje pięciomarkowy banknot. Tuomas spogląda znad kosza w górę akurat w chwili, kiedy pan wyciąga rękę po resztę. Taki sam kombinezon ma mechanik w warsztacie, gdzie tata oddaje do naprawy auto i kosiarkę. Z bocznej kieszeni usmarowanego drelichu

zwisa czyściwo. Pan pięknie składa banknoty na pół i jeszcze raz na pół, wsuwa do portmonetki i zamyka rozetkę. Koralki błyskają jeszcze raz i pomarańczowe cudo znika w przepastnej kieszeni niebieskiego kombinezonu.

Klient, który chciał kupić aparat, mówi, że na wszelki wypadek spyta jeszcze żonę o zdanie. Tata odkręca obiektyw i kiwa głową na pożegnanie. Dostrzega Tuomasa. Syn otwiera usta, ale tata kręci powoli głową, najpierw w prawo, potem w lewo.

Pan w kombinezonie dziękuje i idzie w stronę drzwi. Z tylnej kieszeni wyciąga zaplamiony niebieski kaszkiet i zakłada go na głowę, a potem popycha ciężkie drzwi i wychodzi na dwór. Przed sklepem wsiada do ciemnozielonego fordka. W sklepie robi się pusto. Tata zakłada osłonę na soczewkę.

– To spawacz. Głęboko wierzący. Dzieciaków już siódemka.

Tuomas nic nie mówi, bo o nic nie pytał. Tata odstawia obiektyw na półkę.

– Sympatyczny człowiek. Każdy jest, jaki jest.

– Nie wzywali go jeszcze do zboru na zebranie? – dziwi się mama.

– Nie widział potrzeby, żeby się na nie stawić. Jak człowiek tak bardzo różni się od innych, ludzie przestają w końcu zwracać na niego uwagę. Byleby nie rzucił się w oczy bardziej niż dotychczas.

Mama jest zła, bo znajduje w szufladzie lady pokwitowanie sprzedaży aparatu bez nazwiska nabywcy i macha nim tacie przed nosem. Mała wskazówka zegara mówi, że Tapio niedługo wróci do domu. Tuomas wychodzi mu naprzeciw. Niedługo przyjdą też ze szkoły Maarit i Minna.

## Strzeże ziemi swej rodzinnej

Mama przyniosła już choinkę do domu. Z początku drzewko pachniało lasem i żywicą, lecz teraz już ich nie czuć. Przesuwam grzbietem dłoni po gałązce, czuję delikatne drapanie setek igieł. W świetlicy zza okna dobiegają mnie szepty i skrzypienie śniegu, ale nie przejmuję się tym.

Idę do studia. Pachnie tam proszkiem magnezowym, który potrzebny jest do tego, żeby było dosyć światła. Mama codziennie robi niemieckim żołnierzom zdjęcia do książeczek wojskowych i przepustek. Dlatego nazywają ją Fotomamą. Pukają do drzwi na dole i pytają: *Ist die Fotomama zu Hause?*, i jak mama jest w domu, to trzeba im otworzyć i powiedzieć: *Bitte*. Teraz każą nam drzwi zawsze zamykać na klucz od środka, bo jest wojna, a granica tuż-tuż.

Idę przejściem do jadalni. Czuć już zapach ciasta. Mama wygarnia węgiel z pieca chlebowego, Anna ubija coś w misie. Johannesę słyszę od razu. W ogóle nie umie się chować – najpierw biegnie przez cały dom, a potem się tłucze jak mara, robiąc mnóstwo hałasu. Mówię mu, żeby szukał nowych kryjówek, pod łóżkiem albo w skrzyni na drewno, lecz on nie chce mi wierzyć, że i tam go znajdę, więc stoi zawsze za którymiś drzwiami i sapie, bo dla mnie niby musi być łatwiej. Czasem celowo go mijam i udaję, że błędzę po innych pokojach, wtedy parska śmiechem. Chłopcom trzeba czasem pozwolić wygrać. Tym razem nie chce mi się tak długo bawić, więc wchodzę do kuchni, zamykam drzwi i sięgam do kąta, żeby go złapać za rękę. Stoi bez ruchu, żebym się nie spostrzegła.

– Już cię znalazłam.

– Skąd niby wiedziałaś, że tu jestem?

Szepty się przenoszą pod okno w przejściu, ale ja się tam krasnali nie boję. Anna powiedziała mi w zeszłym tygodniu, że ich w ogóle nie ma. Johannes suszy mi głowę, chce się jeszcze bawić. Pod drzwiami w sieni psykam na niego, bo babusia wróciła z porodu dopiero nad

ranem. Niby zawsze mówi, że to już ostatni raz, lecz ludzie przyjeżdżają do nas jak dawniej, kiedy tylko nowa położna jest gdzieś w tundrze. Przy drzwiach studia słyszę skrzypienie podłogi nad głową, w wynajętym pokoju. Dawniej mieszkała tam mama, jak była młoda, i jeszcze niedawno Anna, ale teraz w izbie na piętrze chodzi w kółko niemiecki pułkownik. W każdym domu wsi kwateruje jakiś oficer. Ten ich nastawia czasem adapter tak głośno, że muzykę słychać na dole i babusia zaczyna śpiewać do melodii fińską wersję *Eriki*. Do jego pokoju wchodzi się schodami od podwórka i dlatego pułkownika za często nie widać. Niekiedy schodzi do nas, puka do drzwi i siada z babusią w świetlicy. Ona przynosi wtedy ze swojej izby piękne kieliszki i karafkę ze żłobionymi rowkami, które biegną po bokach z góry na dół.

Anna krzyczy z jadalni:

– Mama kazała się jeszcze zająć Johannesem, pierniki będą za chwilę!

On piszczy z radości, ja nie mam już ochoty, ale tuż przed Gwiazdką lepiej się nie buntować.

Johannes zostaje na tapczanie w świetlicy i liczy, choć nie zna jeszcze wszystkich cyfr. Wymyśliłam już, gdzie się schowam, idę w stronę werandy. Drzwi są ciężkie, za nimi jest już mróz i z początku kłuje mnie w płucach, kiedy robię wdech. Zamykam drzwi i idę ku szafie, w której wisi grube wilcze futro babusi. Jak w taki tęgi mróz ktoś z daleka przyjeżdża po babusię, trzeba je najpierw wnieść do środka, żeby się nagrzało. W nim się schowam, wsunę ramiona w rękawy i może sobie Johannes szukać do samego końca świata.

Czekam. Brat staje raz w progu, lecz wraca do środka. Futro pachnie babusią. Otulam się nim, lecz mróz zaczyna szczypać mnie w stopy. Słyszę kroki Johanna za drzwiami do świetlicy.

– Sygnał, daj sygnał – domaga się.

Krzyczę z futra: „Tutaj!”, ale nie za głośno, żeby nie od razu znalazł. Ale mnie usłyszał i otwiera drzwi werandy. Woła mnie.

Nie odpowiadam. Znów domaga się sygnałów, lecz teraz siedzę cicho. To dobra kryjówka i przyda mi się jeszcze nie raz. Johannes jest już zły.

– Musisz dać sygnał, taka była umowa!

Co to, to nie. Nie odezwę się. Johannes nasłuchuje, ale nic nie słyszy, więc wraca do sieni.

Nagle ktoś puka do drzwi wejściowych. Cały czas słuchałam Johannesesa i nie zwróciłam uwagi na skrzypienie butów na zmarzniętym śniegu. Johannes wraca na werandę i pyta, kto tam.

– Otwórzta. Do połóżnej.

Chłop, ale mówi dziwnie. Musiał przyjechać po babusię z daleka, spod granicy, a może z Paanajärvi. Johannes nie otwiera, bo wieczorem dzieciom nie wolno nawet dotykać klucza od drzwi wejściowych, otwierać mogą tylko dorośli. Johannes odpowiada, że musi iść po matkę.

– Najpierw ta otwórz. Do połóżnej ja.

Chłop szarpie za klamkę, lecz Johannes już poszedł. Podzwaniają szyby werandy, słyszę jakiś szept. Wyciągam ramiona z rękawów futra, otwieram drzwi szafy i wychodzę. Zza szyby słyszę tamtego:

– Piękna dziewczyna, otwórz, a?

Otwierają się drzwi werandy. Mama pyta, o co chodzi.

– Ważna sprawa.

Mama podchodzi do okna, zeskrobuje szron z szyby.

– Wy z daleka? Konia macie?

Otwieram znowu szafę, wyciągam futro babusi. Za drzwiami słychać teraz głos innego mężczyzny. Ten gada, że fotografia potrzebna. Na paszport.

– O tej porze?

Zamykam szafę.

– A ty co z tym futrem? – dziwi się mama.

Mówię, że trzeba wnieść do środka, żeby się nagrzało, bo babusia przemarznie na saniach.

– Przecież o zdjęcie chłopu się rozchodzi.

Mówię jej, że na początku pytał o babusię. Mama się zatrzymuje i chwilę nic nie mówi. Potem wraca pod drzwi.

– Na co ta fotografia?

– Na bumagę.

Mama natychmiast każe mi wracać do środka. Chwyta mnie za

ramiona, odwraca i popycha w stronę sieni. Pytam, czy zabrać futro do domu.

– Bierz, bierz, ale sprowadź mi tu babusię, tak na jednej nodze.

Sunę palcami po boazerii, aż po lewej stronie natrafiam na drzwi, które prowadzą do przejścia. Składam futro na stole pod ścianą i pukam do drzwi babusi.

– Proszę!

W izbie śmierdzi kamforą, poza tym powietrze jest tam zawsze stęchłe. Babusia leży na łóżku.

– I z czym to przychodzi moja Helena?

Tłumaczę, że mama kazała jej zaraz przyjść na werandę. Że przyszli jacyś ludzie i że chcą zrobić zdjęcie na bumagę.

– Na bumagę?

Babusia wstaje i wciąga na nogi skarpety. Wyciąga szufladę komody, wyjmuję z niej coś małego, a potem otwiera szafę i wyciąga z niej coś większego. Mija mnie i wychodzi. Idę za babusią na werandę.

– A ty co, z tym...? – słyszę przestraszony głos mamy.

– Bądźże już lepiej cicho – ucina babusia.

Pytam, co babusia wyjęła z szafy, lecz mama tylko syka. Odciąga mnie na bok i kładzie mi ręce na ramionach. Babusia podchodzi do drzwi wejściowych.

– Tu położna. Czego?

Nikt się nie odzywa.

– Z której wsi jedzicie?

Nadal cisza.

– Ciągle tam są – mówi mama.

– Z Käylä, co? – dopytuje się babusia.

– Tak! – dochodzi zza drzwi.

– Skąd? Nie słyszę! Mówcie głośniej!

– Nu, z Kii... – Głos za drzwiami zawiesza się w pół słowa.

– Zabieraj mi stąd to dziecko! – rozkazuje babusia.

Mama ciągnie mnie do świetlicy i zamyka drzwi. Z werandy dobiega głos babusi:

– Won mi stąd, ale już! Liczę do pięciu i strzelam przez drzwi

i zaraz się tu zlecą wszyscy Niemcy z całej wsi!

Mama ściska mnie mocniej za ramiona.

– Johannes jeszcze się gdzieś chowa? Może go poszukamy, co? – pyta mnie i choć tak naprawdę nie chce, ciągnie mnie w stronę kuchni. Kiedy jesteśmy pod drzwiami studia, na werandzie rozlega się huk jak od uderzenia pioruna.

– Boże święty! – wrzeszczy mama, puszcza mnie i biegnie z powrotem, uderzając w sufit kijem od szczotki.

– Niech pan tu zaraz zejdzie!

W kuchni piszczy Anna, w pokoju dziecięcym płacze Johannes.

– Co się dzieje?! – krzyczę, lecz mama nie odpowiada.

Muszę zaraz do Johannesesa. Mama wybiega na werandę, nad głową już słyszę szybkie kroki. Johannes jest już przy mnie, chwytam go za rękę i płacze ze strachu, płacz Anny dobiega teraz z werandy. Mnie też się zbiera na płacz, ale nikt mi niczego nie wyjaśnia. Szyby od podwórza dzwonią, to pułkownik zbiega ze strychu po schodach.

– Co się dzieje w tym domu? – pytam Johannesesa, lecz brat nie może wydusić z siebie ani słowa.

Podchodzę do drzwi werandy i wołam:

– Co z babusią?! Nic się jej nie stało?!

Otwierają się drzwi domu i na werandę z dworu wchodzi pułkownik. Mama rozmawia z nim po ichniemu, Annę słysząc najgłośniejsze, bo ciągle ryczy. *Was was was i die Partisanen*. Słyszę, jak babusia bluźni gdzieś na werandzie. Kamień spada mi z serca.

Wieczorem babusia siedzi z mamą i pułkownikiem przy stole w kuchni. Niemiec bierze na kolana najpierw Johannesesa, a potem mnie, szczypie w policzki i mówi:

– *Entschuldigung schöne Kinder*.

Babusia tłumaczy, że pan pułkownik nas przeprasza. Też ma dzieci, które zostały w domu, daleko stąd.

Na łóżko w przejściu został już dokwaterowany młody niemiecki żołnierz, a dzieci dostają zakaz otwierania drzwi domu obcym nawet za dnia. Nawet jeśli za drzwiami stoi znajomy, to i tak trzeba go zapytać najpierw o jakieś słowo z „äy”.



Babusia znowu bluźni i mówi mamie, że tak ją kopnęło, że ma na brzuchu krwiak. Nikt nie mówi, co kopnęło.

– Pod każdym oknem przeszli, a do okna na strychu nie przyszło im do głowy zajrzeć – mówi babusia i z rowkowanej karafki nalewa coś do kieliszka na wysokiej nóżce. – Ale jeden dostał.

W izbie nocą Johannes pyta, czy babusia trafiła tego krasnala.

## Widzę cię z bliska

Minna tłumaczy Tuomasowi, jak się rysuje pisakiem koty z wielkimi oczami.

– Najpierw jedno kółko, to będzie głowa, potem wąsy, potem drugie kółko i na koniec ogon.

Mama rozłożyła na podłodze dwa duże arkusze poźółkłej tektury z witryny sklepu i dała Tuomasowi kolorowe flamastry. Przykazała też Maarit i Minnie, żeby zajęły się młodszym bratem, który bał się trochę nadchodzącej wizyty Świętego Mikołaja, i dziewczynki wciągnęły się do zabawy. Tapio przyglądał się rozbawionemu rodzeństwu z kanapy, wreszcie sam chwycił za mazak. Teraz chce pożyczyć czarny, żeby zrobić kłęby dymu wylatujące z rury wydechowej auta. Maarit rysuje jakiś znak w kształcie herbu, który ma pośrodku wypisane dużymi literami słowo „Hurricanes”.

Stukają drzwi w korytarzu i do salonu sączy się ze schodów ostry smród papierosów. Kari prowadzi pod rękę Helenę, starannie omijając choinkę, i sadza ją na kanapie. Ciocia ma na sobie workowatą brązową sukienkę, którą babusia podarowała jej wczoraj, kiedy tata przywiózł z lotniska gości ze stolicy.

Kari siada w fotelu, pstryka włącznikiem lampy i zaczyna czytać opowiadanie miesiąca z „Reader’s Digest”, który odłożył jakiś czas temu na stół. Tuomas spytał go, czy mają w Helsinkach dziecko, ale Kari nie odpowiedział. Zazwyczaj wujek jest fajny, bawi się z nimi i opowiada śmieszne historyjki, tylko teraz jest w kiepskim humorze.

Helena wsłuchuje się w pokój.

– Kto tu jest? – pyta.

– My wszyscy – odpowiada za rodzeństwo Maarit. – Ja i Minna, i chłopcy.

– Co robicie?

– Rysujemy.

Helena wstaje z kanapy i szuka lewą ręką krawędzi stołu, idzie

wzdłuż niego i natrafia na fotel.

– Meble są inaczej ustawione niż latem – stwierdza.

W głębi salonu wydzielono regałami pokój dla Minny. Helena mija fotel i obraca się w lewo. Maarit przesadza Tuomasa, żeby zrobić przejście dla ciotki.

– Gdzie teraz stoi pianino?

– Tuż obok ciebie. Na lewo – odzywa się Kari, nie odrywając wzroku od książki.

– Pod oknami?

– Między nimi.

– Wszystko tu teraz zupełnie inaczej niż kiedyś.

Helena obraca się w lewo, zatacza ręką łuk na wysokości biodra, robi krok i znowu zatacza łuk. Przy trzecim kroku natrafia na pianino. Odnajduje taboret, siada i unosi klapę.

– To może ja coś zagram.

Ręce unoszą się nad klawiaturę. Helena naciska delikatnie jeden klawisz i po chwili ustawia palce we właściwym położeniu. Tuomas zna kolędę ze szkoły parafialnej i wstaje, żeby popatrzeć na palce cioci. Mama bardzo zważa na to, żeby nazywać Helenę ciocią. Nie strofuje dzieci, kiedy do cioci i wujków zwracają się po imieniu, lecz za każdym razem, gdy dziecko się zapomni, spogląda na nie i poprawia: „ciocia Helena”, „wujek Kari”. Pokrewieństwo to dla mamy ważna sprawa.

Palce prawej dłoni cioci szybko wygrywają melodię. Trafiają na właściwe klawisze, mimo że oczy patrzą nieruchomo w górę. Lewa dłoń szuka akordów, ale jej się tak nie śpieszy jak prawej. Czasem mały palec albo kciuk sięgnie w bok, żeby wcisnąć lekko biały klawisz – Helena słucha dźwięku i pozostałe palce odnajdują szybko swoje miejsce na klawiaturze. Tuomas ma wrażenie, że ręce cioci poruszają się niezależnie od siebie, jedna zaczyna grać *Wigilię krasnali*, a druga dorzuca do melodii różne ciemne nuty, ale z tej niezależnej pracy rąk powstaje znana mu dobrze kolęda.

– Maarit, gdzie się wybierasz po podstawówce? – pyta Helena.

– Do liceum – odpowiada Maarit, kolorując eskę w swoich Hurriganesach.

– Chce zostać fryzjerką – zdradza Minna.

Maarit marszczy czoło.

– A ty się nie wtrącaj.

Krasnale przechodzą płynnie w *Noc sinych wzgórz*. Tuomas wraca na podłogę i maluje zieloną plamę na pomarańczy. Minna podziękowała Maarit za wypaplanie jej planów czerwoną plamką na policzku. Maarit ślini palec i machinalnie ściera ślad, patrząc ze złością na siostrę. Obie mierzą się wzrokiem.

– Tata mi każe, a sam do szkół nie chodził.

– Wasz dziadek wysłał mnie do Helsinek, nie było gadania – mówi Helena.

– Łe, tam to też bym chciała.

– Każdy czyni, jak mu się podoba.

Kari przerywa lekturę i spogląda na Helenę, ale nic nie mówi.

Tuomas patrzy na Tapia, który świetnie narysował auto. Sam próbuje narysować na kartce żółte opony. Minna rysuje jeszcze jednego kota, ale patrzy na rysunek starszej siostry i przychodzi jej do głowy pomysł.

– Umiesz Hurriganesów?

Maarit próbuje uszczyplnąć Minnę, ale nie dosięga. Helena przerywa granie.

– Nie znam ich. To jakiś nowy zespół?

– Tak.

– Zaśpiewaj kawałek.

– Grają to *Get on baby, get on*.

– Ale co to jest?

– No, taki utwór.

– To jest rock – odzywa się Tapio.

Helena na chwilę zastyga w bezruchu. Opuszcza dłonie na uda i nastawia ucha w stronę korytarza.

– A gdzie wasza babusia?

– Pojechała z tatą zapalić świeczkę na grobie dziadka Onniego.

Helena podnosi dłonie z powrotem na klawiaturę. Prawy kciuk trąca lekko klawisz i pozostałe palce rozstawiają się wkoło niego. Mały palec lewej ręki wybija szybko dwie nuty, potem uderzają

serdeczny, środkowy i wskazujący. Po kciuku rytm wybijają z powrotem wszystkie palce po kolei, od wskazującego po mały. Włącza się prawa ręka, podaje melodię. Tapio poznaje rytm i podnosi głowę.

– Rockabilly!

Nie przerywając grania, Helena odgarnia prawą dłoń opadającą na oczy pukiel. Kari odkłada czasopismo i unosi spojrzenie. Minna i Maarit też zadzierają głowy i słuchają.

Tuomas zostaje sam nad tekturą i myśli o palcach Heleny. Porównuje ciocię, która jest matką chrzestną Tapia, ze swoją matką chrzestną. Cioci Annie nie można niczego zarzucić, fajna jest. Zawsze pamięta o jego urodzinach i imieninach, robi mu na drutach zielone skarpety i zaprasza do siebie. Mimo to coś w tym wszystkim nie daje mu spokoju, choć nie potrafi tego nazwać. Tuomas wychyla się i sięga po leżący obok Maarit czerwony pisak. Ściąga nasadkę, przykładając końcówkę do samochodu Tapia i zamazuje go gęstym ściegiem.

## Odważnie stań na scenie

Tuomas się boi, lecz ręka babusi uspokaja. Nie jest taka jak dłoń mamy, ma zmarszczki, a żyły biegną zupełnie pod wierzchem. Palce mamy są długie i cienkie, a babusia ma krótkie, takie same jak tata.

Tata robi właśnie zdjęcia ślubne. Denerwuje się, bo nadciągająca burza może zerwać linie i nie wiadomo, czy lampy błyskowe będą działać. Mama mu pomagała, bo lamp błyskowych się nie boi, tylko błyskawic. Teraz siedzi w piwnicy. Ciągłe powtarza, że burze w tundrze nie są wcale takie straszne i że kiedy była jeszcze mała i mieszkała z rodzicami na południu, to dopiero waliło i błyskało, nawet dziadunio się bał, ale i tak schodzi do sauny w podziemiu, ledwo na horyzoncie pojawiają się błyski. W piwnicy nie ma okien. Później babusia się z niej śmieje i wyzywa od trusi, ale mama się nie obraża.

– No więc dobrze, i ja mam jakiś słaby punkt. Możecie się cieszyć.

Mama zwraca się do babusi zawsze na wy, nigdy na ty, i tak samo babusia mówi do niej. Tata twierdzi, że to przez uprzejmość, lecz Tuomas widzi to inaczej.

Kiedy zerwał się wiatr, Tuomas był z Tapiem w dużym pokoju. Już szedł do piwnicy do mamy, ale babusia złapała go za rękę.

– Człowiek musi sam postanowić, czy bać się tego świata, czy nie.

Babusia otwiera ciężkie drzwi strychu i razem wchodzi na skrzypiące schody. Ich dom jest największy we wsi, na cały dół wzięli sobie lokatorów, a sami mieszkają na pierwszym piętrze. Nad nim jest jeszcze strych, który pachnie starymi trocinami. Po wyprowadzce Maarit do jej pokoju na strychu przeniosła się Minna. Pali się tam zawsze jakieś kadzidełko.

– Dziewczyna w tym wieku nie może capić jak stara chałupa.

Tuomas śpi w pokoju rodziców, bo Tapio z piętrowego łóżka chłopców przeniósł się na dawne łóżko Minny za regałami.

Wieczorami bracia nie opowiadają sobie szeptem, że we wzorach na tapecie ukryte są potwory albo że w tej szafie, gdzie wisi czarny garnitur, który tata wkłada na pogrzeby, mieszka duch. Była to oczywiście wierutna bzdura, bo potem w ciągu dnia Tuomas nieraz podchodził do szafy i zaglądał do środka. Ale jak się zasypia, to trzeba się trochę pobać, inaczej jest nudno.

Deszcz wali o dach. Z jaskółki do środka leje się mrok. Nagle błyska i na moment na ścianie za schodami pojawiają się ich cienie. Tuomas wolałby siedzieć teraz za stołem. Tata go nauczył, że kiedy się błysnie, trzeba stuknąć w stół palcem wskazującym, a potem trzy razy złączyć go z kciukiem. I powtarzać to tyle razy, ile się zdąży, zanim trzaśnie piorun. Wtedy wiadomo, że burza jest tyle kilometrów stąd, ile razy stuknęło się palcem w stół. Do szkoły Tuomas ma kilometr, jak idzie prosto drogą, a nie łązi gdzieś przez podwórka sąsiadów. Ale teraz stołu nie ma. Tuomas mógłby postukać w ścianę, tylko że babusia ciągnie go środkiem schodów i nie dosięgnie.

Znowu błyska. Tuomas sprawdza, czy uda mu się policzyć kilometry, jeśli zamiast w ścianę będzie stukał w kolano. Raz. Dwa. Trzy. Burza jest daleko, z drugiej strony wsi, przy mleczarni, nad starymi okopami.

Deszcz huczy jeszcze mocniej. Na blaszany dach leją się z nieba strumienie wody. Po prawej stronie od schodów jest pokój Minny, ale nie wolno do niego wchodzić, kiedy nie ma jej w domu. Babusia skręca w lewo, na niezabudowaną połówkę poddasza. Nie przekręca kontaktu przy futrynie. Najpierw idą prosto, potem skręcają w lewo i znowu idą przed siebie, do okienka w ścianie szczytowej. Tuomas próbuje sobie wyobrazić, co jest pod nogami, jadalnia czy pokój babusi.

Znów błyska. Tuomas skupia się na opuszkach palców, byle nie myśleć o dachu i łomocie ulewy. Jeden, dwa. I już słyszy grzmot, gdzieś za plecami. Burza się zbliża. Jest teraz na skraju wielkiego placu przy stacji benzynowej, gdzie się skręca do Hiekkinenów. Tuomas chciałby już wracać na dół, lecz babusia go nie puszcza, tylko ciągnie bliżej okna. W ciemności strych wygląda jakoś inaczej. Tuomas wie, że w głębi za plecami stoi piękna stara szafa, a po

prawej jest niedokończona ścianka, ale teraz ich nie widać. Mąż babusi, dziadek Onni, nie zdążył tej ściany za życia ukończyć. Tuomas nawet go nie znał, bo dziadek zmarł już dawno temu. Szafa należała do mamy babusi, która była położną. Ją też wszyscy nazywali babusią. Babusia powiedziała Tuomasowi, że wszystkie kobiety z rodziny Löytövaarów będą po kolei babusiami, tylko jego mama nie będzie, bo pochodzi z innej rodziny. Babusia ma też imię, ale w domu nikt go nie używa.

W oknie znów błyska. Tuomas liczy. Pół kilometra. Już nad rzeką. Babusia stawia go na starym krześle pod oknem. Na dworze leje tak, że widać tylko najbliższe domy. Babusia stoi tuż obok Tuomasa, ale nie trzyma go już za rękę.

– Burza krąży w kółko. Idzie od jeziora i nie może się wydostać.

Błyskawica rozświetla całą wieś aż do Czterech Dróg, ale krajobraz ma dziwaczny szarobiały kolor. Ledwo zapada mrok, a babusia i Tuomas słyszą przerażający grzmot. Dudnienie niesie się echem gdzieś z wysoka, szybko spadając ku ziemi. Jakby w niebie coś urwało się lub rozdarło i zaraz zważyło na wieś. Grzmot dobiega gdzieś zza pleców, od Lopotti. Tuomas kuli się w sobie.

– Ale nie wpadnie do środka?

– Nie. Burza chciałaby już sobie pójść, ale kopy uwięziły ją nade wsia.

Tuomas na próżno ślepi w szarą ścianę deszczu, nie widać wzgórz, które tyle razy pokazywał mu tata. Säynäjävaara, Meskusvaara, Kapustavaara. Albo zasłania je deszcz, albo widać je z innego okna.

Deszcz niespodziewanie cichnie. Robi się zupełnie cicho. Tuomas wyteża słuch, lecz na dach nie pada już ani jedna kropla. Ptaki milczą. Jakby cały świat zamarł w oczekiwaniu na coś.

– I co teraz robi burza? – pyta Tuomas, zniżając bezwiednie głos do szeptu.

– Zastanawia się, co dalej. – Przez słowa babusi przebija uśmiech.

Tuomas przystawia nos do szyby, która natychmiast pokrywa się parą. Przeciera okno ręką. Wtedy wali piorun i oboje widzą w oknie błyskawicę. Zimne białe światło przedziera się z trzaskiem z chmury do ziemi. Rozszczepia się po drodze na coraz węższe żyłki i te



w końcu znikają, ale najszersza kreska śmiga zygzakiem do samej ziemi. Babusia coś chrypi. Potężny huk wypełnia cały strych, zatykając uszy. Drży zapomniana na parapecie muszla.

Tuomas odrywa wreszcie wzrok od ulicy i widzi, że babusia się śmieje. Wygląda zupełnie inaczej niż zwykle. Tuomas widział ją, kiedy krzyczy i płacze, widział nawet, jak się uśmiecha, lecz nigdy jeszcze nie słyszał, żeby się śmiała. A teraz, pierwszy raz, kąciki jej ust wędrują w górę i babusia odchyła głowę, i z jej gardła wydobywa się dziwne, suche gdakanie.

– Walnęło w kościół!

Tuomas ma wrażenie, że śmiech babusi nie zaczyna się w ustach, tylko gdzieś głębiej, i że długo musiał szukać drogi ujścia. Babusia śmieje się naprawdę, lecz w tym śmiechu nie ma radości.

Babusia zwykle ożywia się, kiedy przychodzi do nich ciocia Anna z dziećmi. Wypytuje wtedy, co tam u nich, wyciąga z kredensu ciastka i landrynki i częstuje dzieci cioci, które są grzeczne, bo się jej boją. Po wyjściu Anny babusia z niechęcią patrzy na wnuki, z którymi mieszka pod jednym dachem.

„Byście choć spróbowali być tacy jak dzieci Anny. Tylko kto by was miał tak wychować? Na pewno nie wasza matka”.

Babusia mówiła, że jak była mała, to nie miała głosu i schodziła dorosłym z oczu, bo tak się wtedy dzieci chowało. I dlatego Anna, i nawet ta Helena jakoś wyszły na ludzi. A ich czwórka wiecznie szaleje i hałasuje, łązi po zrobionym przez dziadka pięknym tapczanie albo próbuje czytać oprawione w skórę książki ze szklanej witryny. Dlatego babusia daje im na urodziny tabliczki czekolady, z których dzieci Anny zdążyły już tydzień wcześniej wygrzebać guziczki z toffi z odcisniętym kwiatkiem.

„To im zupełnie wystarczy” – mówi po wręczeniu prezentu i wraca do siebie.

Wtem deszcz uderza znowu, jeszcze mocniej niż wcześniej. Łomocze w blachy, którymi szarpie wściekle nagły wiatr. Tuomas siada na krześle. Obraca się do strychu i próbuje dojrzeć w mroku znajome przedmioty. Babusia ciągle się śmieje.

– Siedz tam sobie! Do środka nie wejdiesz!

Gdakanie babusi jest zaraźliwe i Tuomas też zaczyna śmiać się z burzy, grzmotów i chłoszczącego dach deszczu.

Pioruny walą jeden za drugim, coraz mocniej, lecz nie robi to już na Tuomasie takiego wrażenia jak dawniej. Śmieją się z babusią, która podjudza jeszcze deszcz, żeby walił mocniej.

– I to wszystko, na co cię stać, co?!

Oczy babusi błyszczą.

Po kominie ścieka cienka strużka wody. Tuomas pokazuje ręką. Babusia widzi, ale nic sobie z tego nie robi.

– A, tamtędy próbujesz?

Odwraca się znowu do okna.

– Kaarina pobiegła chlipać do piwnicy, ale mnie nie nastraszysz! Na nic więcej cię nie stać?!

Burza musiała ją usłyszeć, bo huk ulewy jeszcze się nasila. Woda dudni o dach tak głośno, że Tuomas zakrywa uszy dłońmi. A babusia jakby się ucieszyła. Unosi rękę jak na powitanie.

– Dawaj, śmiało! Gradem jeszcze sypnij, posiekaj Kaarinie na kawałki wszystkie te jej bratki!

Na strychu dziwnie śmierdzi elektrycznością. Tak jak zawsze w Wigilię, kiedy tatę kopie prąd podczas rozplątywania przewodów starych lampek na drzewko. Tuomas schodzi z krzesła na podłogę, ale babusia go nie widzi. Patrzy w górę i krzyczy na burzę, jakby była człowiekiem jak ona.

Tuomas przekrada się obok szafy mamy babusi i sterty *Kaczorów Donaldów* Tapia. Cicho przemyka się na schody i idzie na dół, popycha drzwi i znowu schodzi, innymi stopniami, po których są jeszcze jedne, te betonowe do piwnicy. Na każdym piętrze burza próbuje jeszcze grozić babusi. Uderza piorun i martwe białe światło wciska się do środka przez drzwi balkonu, przez werandę, przez małe okienko w piwnicy.

W przebieralni czuć perfumy mamy. Drzwi sauny są uchylone, Tuomas podchodzi do nich i otwiera je szerzej. Z głębi dobiega go zduszony płaczem oddech mamy. Tuomas musi jej wytłumaczyć, że są takie rzeczy, których można po prostu przestać się bać. Wystarczy

sobie postanowić.

## Nie wiemy, gdzie wędrówki kres

Jeszcze jest ciepło, ale w powietrzu czuć, że niedługo przyjdą chłody.

– Gdzie idziemy? – pytam, lecz mama nie odpowiada.

Inni też już ruszyli spod gminy i idziemy wszyscy w tym samym kierunku. Mama powiedziała, że mieliśmy jechać autobusem pocztowym, w najgorszym razie na ciężarówce, lecz żaden samochód nie przyjechał, więc musimy wyjść im naprzeciw i iść, dopóki nie spotkamy się gdzieś po drodze.

Jest mi gorąco. Mama włożyła mi trzy koszule i na to jeszcze zapinany sweter, bo tak podobno łatwiej rzeczy nieść. Na dokładkę przed samym wyjściem wcisnęła mi na głowę kapelusz, który kupiła sobie w Oulu, kiedy nie było mnie jeszcze na świecie. Zrobiony jest z filcu i z jednej strony rondo się obwiesza, a z drugiej sterczy idiotycznie w górę. Mama w ogóle założyła mi go całkiem na skos. Wyprostowałam, lecz ona pociągnęła za rondo i z powrotem przekrzywiła, bo to tak trzeba nosić. Johannes się śmiał i Anna też, ale babusia powiedziała, że tak jest bardzo ładnie.

– Wyglądasz niczym elegancka dama albo jakaś paniusia.

Na drodze jest okropny tłok. Mama pcha wózek dziecięcy, ale nie można do niego wsadzić nawet Johanna, bo w środku jest składany aparat, którego nie wolno dotykać, i szklane negatywy do robienia fotografii. Jedną ręką trzymam się babusi, a drugą Johanna, żeby się nie zgubił. Anna i inne małe lotty wyruszyły już wcześniej, bo mają gnać wszystkie krowy ze wsi na Oulu. Babusia wzdycha, że ciężko jednocześnie trzymać mnie za rękę i prowadzić rower. Wsiąść na niego nie może, bo do roweru przywiązany jest kosz, kołdry i poduszki. Babusia mówi, że przez te wiszące na kierownicy torby jeszcze się obali razem z tym całym majdanem.

Idziemy pod górę, kiedy mama nagle się zatrzymuje i odwraca. Podobno z tego miejsca widać całą wieś.

– Nasz dom widać? – pytam, ale mama nie odpowiada.

Babusia mówi, że już go przysłoniło zbocze Kiviharju. Rusza dalej i razem z Johannesem idziemy za nią.

– Świat się od łez na lepsze nie odmieni! – krzyczy babusia do mamy.

– Może to już ostatni raz, jak człowiek na to patrzy.

– Chodźże już, chodź, żono Lota.

Bez przerwy idziemy, to pod górę, to w dół. Babusia dyszy. Puszczam moją dłoń.

– Poprowadź no trochę siostrę – mówi do Johannesesa.

Mówię, że sama mogę iść, jeśli na drodze nie ma kamieni i dziur. Mimo to babusia każe mi trzymać brata za rękę, żeby gdzieś nie czmychnął. No więc chwytam go. Jakaś kobieta, która przed chwilą płakała, teraz biegnie z powrotem do wsi i pyta babusię, czy położna nie widziała Ester, ale babusia nie widziała. Kobieta lamentuje i biada, że uciekło jej czteroletnie dziecko. Trzymam Johannesesa za ramię, żeby też nie uciekł, ledwie skończył pięć lat i jeszcze jest głupi, mimo że przestał już żreć piasek.

Wszyscy się cisną, czasem ktoś przejedzie szybko furmanką i trzeba schodzić z drogi. Ludzie krzyczą na woźniców, skąd mają konie i dlaczego pusto jadą, lecz ci się nie zatrzymują i w ogóle nic nie mówią. Babusia kuśtyka, boli ją chora noga.

– Wsiadajcie na rower i jedźcie, będzie wam łatwiej – mówi do niej mama.

Babusia nie słucha. Droga jest tak zapchana i wszyscy idą tak wolno, że na rowerze się nie da.

– I zresztą gdzie tu jechać, kiedy nikt nie powiedział dokładnie, w którą stronę?

Mama mówi, że słyszała, jakoby wszyscy mieli przenocować w liceum dla dziewcząt w Oulu, a potem ruszyć w dalszą drogę. Johannes wciska mi w dłoń kamyczek i badam go, zastanawiam się, co szczególnego w nim zobaczył. No, jest bardzo gładki. Johannes zawsze daje mi do zbadania rzeczy, które mu się spodobały.

Przed wyjazdem Anna wycięła dla nas kartoniki na szyję i powiedziała, że pod żadnym pozorem nie wolno nam ich ściągać. Bo jak się zgubimy, to na tych karteczkach jest napisane, czyimi jesteśmy

dziećmi. Powiedziałam jej, że umiem już sama to powiedzieć, bo mam prawie sześć lat. Wyjaśniła mi wtedy, że kartonik jest potrzebny, gdybym czasem spała albo coś mi się stało. Pod gminą krzyknęła nam jeszcze na pożegnanie „hej, hej!” i potem „do zobaczenia!”. Powiedziała, że czeka nas długa droga, ale teraz i tak jest lepiej niż ostatnim razem. Wtedy była zima i mróz taki, że krowom w głębokim śniegu zamarzały wymiona.

„Kiedy to niby było?” – spytałam.

Anna przytuliła mnie i długo nie wypuszczała z ramion.

„Ciesz się, że tego nie pamiętasz”.

Przeszliśmy już spory kawał drogi. Pytam, czy jest noc, i Johannes odpowiada, że jeszcze nie. Mama jest zrozpaczona, ale babusia mówi, żeby dała sobie spokój, bo to i tak niczego nie zmieni. Ja mogę iść nawet w nocy, mam Johannesą tuż obok siebie i wyczuwam po poruszeniach jego ciała, gdzie trzeba iść, i jak na drodze leży duży kamień, to go omijam. Zostajemy trochę w tyle, inni nas wyprzedzają.

Ludzie przepychają się i mówią o tym, czego nie wzięli ze sobą. W domu został a to kołowrotek, a to siennik, jakaś kobieta szkodzi, że zostawiła cebule w ziemi. Inna znów mówi, że tym ze wsi kościelnej to dobrze, bo mieli czas się spakować, a oni musieli uciekać, tak jak stali. A że nie do każdej wsi dojdzie się w ogóle drogą, a jedynie po zwałonych pniach, to nie mogli zabrać ze sobą nic, zupełnie nic.

Johannes chce się wyrwać, lecz przyciągam go do siebie. Idziemy innym rytmem i kiedy on się unosi, ja zawsze opadam. Sam to spostrzega i podskakuje. Ja też i teraz skaczemy na zmianę. Potem mówię mu, że będziemy robić tak, że najpierw dwa podskoki na prawej nodze, a potem dwa na lewej. Johannes od razu rozumie i skaczemy na zmianę. Nagle się zatrzymuje.

– Kałuża.

Obchodzimy ją z prawej strony. Potem znowu skaczemy, choć jest mi gorąco w tyłu rzeczach. Mama objuczyła Johannesą zawiniątkiem z prześcieradła, w którym niesie dwie poduszki. Nie wiem, czy

spakowała też do środka smoczek.

Włeczemy się na samym końcu. Gdzieś od tyłu słyhać buczenie silnika.

– Czyje to może być auto? – dziwi się babusia. – Wszystkie zabrali na front, razem z końmi i rowerami.

Z całej naszej wsi tylko babusia ma jeszcze rower, ale musiała zdobyć na niego pisemne zaświadczenie. Teraz odwraca się i nasłuchuje. Potem prosi Johannes, żeby potrzywał rower. Idę mu pomóc. Rower jest bardzo ciężki i boję się, że przednie koło zaraz się wygnie w ósemkę. Samochód jest coraz bliżej, jedzie teraz pod górę. Próbuję wyczuć nosem, czy ma generator gazowy, ale Johannes mówi, że nie.

Mama i babusia rozmawiają, mama mówi babusi, że chyba zwariowała. Prycha na nią, że nie ma najmniejszego zamiaru, na co babusia odpowiada, że w takim razie będzie musiała sama. Samochód mozoli się pod górę, silnik wyje. Nagle słyhać klakson, Johannes wzdryga się ze strachu i rower upada na niego. Łapię kierownicę, ale jest za ciężka. Słyszę wrzask mamy:

– Co wy robicie?! Przejedzie was!

– Gównno tam przejedzie.

Samochód się zatrzymuje.

– A kto tam leży na drodze i drogę tarasuje? Położna?! – krzyczy ktoś z auta.

– Ja, a kto! – odpowiada babusia.

Johannes płacze, próbuję podnieść przygniatający go rower. Mama zostawia wózek i przychodzi mi z pomocą. I beszta nas, że nie umiemy nawet głupiego roweru utrzymać.

– Odbiło ci, kobieto?! – woła znowu ktoś z auta.

– Lepiej już, jak raz człowiekowi porządnie odbije, niż jakby miał być do śmierci stuknięty.

Babusia mówi coś jeszcze, ale nie słyszę, bo Johannes ryczy. Mężczyzna z samochodu woła, że nie i koniec. Babusia odpowiada mu na to, że o ile jej dobrze wiadomo, komendant miał zostać we wsi kościelnej do samego końca i pertraktować z Rosjanami, kiedy się tam zjawia.

– Wróg jest blisko? – pytam.

– Zamknij gębę! – krzyczy mama. – Nie strasz mi tu Johannesesa!

Komendant twierdzi, że telefonowali i kazali mu jechać, ale babusia mówi, że słyszała, że telefony nie działają już od dwóch dni. Mężczyzna woła głośniej:

– Położna ma się natychmiast usunąć z drogi!

– Najpierw weźmiecie mi dzieciaki do auta! Taki duży wóz, a w środku tylko dwóch chłopów!

Pocieszam Johannesesa, więc przestaje płakać. Nagle drzwi szoferki się otwierają i na drogę ktoś zeskakuje. Bierze mnie pod pachy i wnosi do środka, każe uważać na głowę. W szoferce cuchnie bimbrem. Potem ktoś sadza obok mnie Johannesesa. Na dworze komendant wydziera się na babusię, czy teraz jest już zadowolona, lecz ona mu odpowiada, że będzie zadowolona dopiero, gdy jej córka usiądzie w kabinie. Mężczyzna przeklina i podchodzi do mamy.

– A co zrobimy z tobołami i wózkiem? – pyta mama.

– Co się da na pakę, reszta do lasu.

Komendant rzuca coś za siedzenia.

– Jeśli aparat będzie miał choćby jedną małą ryskę, to ci ślepią wydrapię, zobaczysz! – krzyczy mama.

Tamten pyta, czy położna raczy teraz wstać i przestać tarasować przejazd, na co babusia odpowiada, że teraz to tak. Mama siada obok Johannesesa, a komendant z przodu. Siedzę przy samych drzwiach i próbuję namacać klamkę, żeby otworzyć babusi, ale auto rusza. Johannes znów zaczyna płakać.

– Dlaczego babusia nie jedzie z nami? – chlipie.

– Nie chce zostawić roweru. Pojedzie za nami, nie bój się.

Johannes klęka na siedzeniu, obraca się do tylnego okna i krzyczy:

– Babusia, babusiaaaa!

Komendant każe mu się zamknąć i mówi, że w razie czego położna zatrzyma co najmniej dwie ruskie kolumny. Teraz i ja płaczę. Ściągam z głowy kapelusz i zaczynam tłumaczyć, że babusia przecież nie wie, gdzie trzeba jechać, lecz mężczyzna z przodu wcale mnie nie słucha.



## To nie jest pora na sen

Tuomas kładzie kartki na podłodze i po cichu uchyla drzwi kuchni. Nauczył się robić to bezgłośnie – przytrzymuje palcem język zamka, żeby nie hałasował. Podnosi kartki i wślizguje się do kuchni. Kari będzie zaskoczony.

O tej porze Tuomas powinien już od paru godzin spać. Mama przysłała go otulić dawno temu, ale sen jakoś nie przychodził. Wiele razy wołał mamę z sypialni, odpowiedź z dużego pokoju była jednak zawsze jednakowa:

– Zdasz jeszcze zobaczyć Helenę i Karię rano, spokojna głowa. Samolot przylatuje bardzo późno.

W końcu tata się zdenerwował i kazał mu zamknąć oczy i spać. I Tuomas zasnął, przynajmniej na chwilę. Ale właśnie przed dom zajechał samochód i zaraz trzasnęły drzwi wejściowe.

Chciałby zobaczyć gości od razu. Helena była ostatnio we wspaniałym skórzanym płaszczu, jakich tutaj w ogóle się nie nosi. Kiedy się ściskali, Tuomas zachwyił się jego zapachem, mocnym i słodkim zarazem. Kari poczochnął mu włosy i spytał, co tam u niego, i gdy Tuomas zaczął opowiadać o wyścigach reniferów na zamrzniętym jeziorze, od razu się zaciekał.

Tuomas skrada się przez kuchnię pod drzwi jadalni. Słyszy rozmowę. Babusia ma swój duży pokój, który nazywa salonem, a na końcu długiego korytarza oni mają swój duży pokój. Gości kieruje się najpierw do babusi, ale potem wszyscy przechodzą na ich stronę, a babusia siedzi sama u siebie.

W progu Tuomas nieruchomieje. Pośrodku pokoju stoi tata i obejmuje Helenę. Mama stoi za nimi i też głaszcze ciocię, jakby chciała ją uspokoić. Babusia stoi przy kanapie. Unosi rękę w stronę tamtych, ale nie wie za bardzo, co z nią dalej zrobić, opuszcza więc ją z powrotem.

– Jak mogłaś tak późno jeszcze poronić? – pyta, patrząc na

skrzyżowanie za oknem.

Tuomas wyciąga szyję, rozgląda się, ale Kariego nigdzie nie widać. W dłoni ciągle trzyma kartki. Nie rozpoznaje panującej w pokoju atmosfery. Tata gładzi Helenę po włosach. Babusia siada na bujanym fotelu, ale się nie kołysze.

– No ale przecież masz już swoje lata.

Helena wydaje dziwny odgłos, jakby wciągała powietrze przez zapchany nos albo charkała.

Mama pierwsza spostrzega gapiące się na nich w progu dziecko.

– A ty co tu robisz? – pyta i marszczy czoło.

Puszcza Helenę i robi krok w stronę Tuomasa.

– Rysunki.

– Jakie znowu rysunki?

Tuomas podnosi rękę i pokazuje.

– Narysowałem, dla Kariego.

Helena odrywa się od taty. Odgarnia włosy z oczu.

– A co narysowałeś?

– No bo Kari nie wiedział, co to ren pociągowy.

– Tym razem Kari nie przyjechał – mówi tata.

Tuomas patrzy badawczo na Helenę. Płakała? Babusia ciągle oszczędza i w jej pokoju jest tak ciemno, że niczego tam za dobrze nie widać. Helena ma podpuchnięte oczy, jakby płakała, ale trochę też wygląda jak Tapio, kiedy mama trafiła go niechcący śnieżką w oko, chociaż celowała w tatę. Helena kuca i wyciąga rękę do Tuomasa.

– To może mnie je pokażesz?

Tuomas wsuwa jedną kartkę w wyciągniętą dłoń i staje obok cioci.

– Ślepej rysunki pokazywać! – prycha gniewnie babusia i odpycha się od podłogi, wprawiając fotel w ruch.

Helena zbliża rysunek do twarzy i udaje, że uważnie go ogląda, choć oczy zezują trochę w bok.

– Co tu narysowałeś?

– Reny.

– No jasne, to reny.

Tuomas cieszy się z zainteresowania cioci. Helena jest teraz tylko dla niego.

– Tutaj jest mama ren, a tutaj tata ren.  
– Śliczne są. Mają rogi?  
– Tata ma. A tutaj jest dzidzia ren.  
– Cielaczek – poprawia go Helena i opuszcza rysunek. – Dawno się urodził?  
– Dopiero wczoraj. Jest jeszcze bardzo mały. O, taki.  
Tuomas pokazuje ręką, ile cielaczek odrasta od ziemi, ale Helena nie patrzy. Przeciera oczy.  
Mama znowu kładzie rękę na ramieniu Heleny. Tata bierze Tuomasa pod pachy.  
– A teraz czas już liczyć owieczki – mówi i niesie go przez korytarz do ich dużego pokoju, a stamtąd do sypialni. Rysunek został w ręku cioci Heleny, drugą kartkę Tuomas trzyma przyciśniętą do brzucha.  
– Miałyś, widzisz, ciotecznego braciszka do zabawy, a tu nici z tego – wyjaśnia tata.  
Tuomas pyta, dlaczego braciszek nie przyjechał z ciocią, lecz tata nic nie mówi, tylko kładzie go do łóżka i otula kołdrą. Tuomas obraca się do niego plecami i wbija spojrzenie w ścianę.

## Ucha nadstawiam i słucham

– Metalowe krzesło czy taboret?

Tata pokazuje na ścianę studia i Tuomas musi się zastanowić. Krzesło ma fajne metalowe ornamenty i miękkie siedzenie. Na zdjęciach ślubnych w sklepie panie siedzą właśnie na nim. Taboret jest mniej ciekawy, brązowa skóra bez oparcia, ale za to siedzenie się obraca. Tuomas kiwa głową. Tata bierze taboret i gasi górne światła. Tuomas przekręca niebieski wyłącznik transformatora i rusza za nim, wysoko podnosząc nogi. Mama ciągle ostrzega przed wijącymi się na podłodze kablami lamp błyskowych.

Tata mijają stary stół retuszerski na zapleczu. Babusia już nie staje za ladą, bo zaczęła być opryskliwa nawet dla klientów. Czasem tylko siada jeszcze za tym starym stołem i retuszuje pędzelkiem negatywy. Mama mówi, że teraz już się tego nie robi, ale babusia patrzy na kolorowe zdjęcia, na których dokładnie widać wszystkie ułomności skóry i pajęczki na nosie, i uśmiecha się krzywo.

„Kto niby chce wyglądać na zdjęciu tak samo jak w lustrze?”

Tata otwiera pierwsze drzwi ciemni, zapala światło i otwiera drugie drzwi. Stawia taboret obok swojego krzesła. Tuomas klęka na nim i patrzy, jak tata kładzie na stole arkusze przeterminowanego papieru fotograficznego. Kredkami świecowymi nie da się na nich rysować, ale mocno przyciśnięty długopis zostawia ślady na odwrotnej stronie. Tata jeszcze raz otwiera drzwi, przechodzi do sklepu i wchodzi do kantorka. Tuomas patrzy na harmonijkowy miech powiększalnika. W kącie stoją zdjęte z witryny stare ozdoby w kształcie wielkich płatków śniegu i biała plastikowa choinka. Zawsze trochę trwa, nim Tuomas przywyknie do smrodu chemikaliów w ciemni.

Zza ściany dobiega głos taty.

– Chcesz iść siku?

– Jeszcze nie.

– Powiedz, jak będziesz chciał.

Tata wraca z kopertami negatywów w dłoni i kładzie je na stole.

– Przygotowany?

– Tak.

Tata zamyka najpierw pierwsze drzwi ciemni, a potem drugie i gasi światło. Tuomas nie boi się ciemności. Słyszy pstryknięcie – tata zapalił teraz pomarańczowoczerwone lampy. W ich świetle wszystko wygląda obco i dziwacznie. Są teraz odgradzeni od zwykłego świata parą szczelnie zamkniętych drzwi, których nigdy nie wolno otwierać bez pukania. Po drugiej stronie zostały mama, rodzeństwo i babusia, po tej stronie są tylko oni, tata i Tuomas. Światło lamp nie sięga kątów i nie widać już wielkich płatków śniegu. Tata włącza radio i siada obok Tuomasa. Skórzane siedzisko sapie pod ciężarem ciała. Tuomas wie, że zaraz będzie czas.

Przyciska długopis do papieru i rysuje zygzak. Tata rozwiera okrągłe metalowe szczypce z czworokątnym otworem pośrodku, wyciąga nimi negatyw z pierwszej koperty i kładzie go w powiększalniku. Wciska guzik i w środku maszyny rozbłyska światło, które rzutuje obraz na maskownicę. Po wciśnięciu drugiego guzika maszyna zaczyna szumieć – to kółka zębate szarpnęły i ciągną głowicę w górę. Obraz się powiększa, tata poprawia ostrość. Tuomas rysuje nowy zygzak, ten jest bardziej równy. Tata wyłącza światło, wyjmuje z tekturowego pudełka woreczek z czarnej folii i wyciąga z niego arkusz nienaświetlonego papieru. Oddziera połówkę i umieszcza pod ramką maskownicy. Potem reguluje pokrętką czas naświetlania i wciska guzik startera. Maszyna terkocze i na chwilę rozbłyska światłem. Tata wyciąga kartonik spod ramki i zanurza w wywoływaczu.

Śmierząca ciecz wydobywa na powierzchnię papieru wydarzenie z przeszłości. Tuomas rozpoznaje na obrazie zakrzywioną ścianę kościoła za ołtarzem i namalowanych na niej załamujących ręce aniołów. Na pierwszym planie wyłoniła się długa skrzynia, na której leżą wieńce. Za skrzynią stoi kobieta. Jej twarz wydaje się znajoma.

– Czy to babusia Lahja? – pyta Tuomas.

– Tak.

Babusia wygląda młodziej i jest teższa. Z surową miną patrzy na

wstęgę przy wieńcu.

– Zrobię kilka odbitek. Prosił o nie taki jeden pan z Oulu, napisał do mnie list – mówi tata.

Ogląda zdjęcie w milczeniu.

– W tej trumnie jest mój tata.

O dziadku Onnim nie mówi się często. Nie żył już, kiedy tata i mama się pobierali, i o jego istnieniu przypomina tylko wiszący obok pianina brzydki obraz. Podobno babusia zamówiła go w Oulu u artysty malarza. Zresztą zakrywa go częściowo fotografia, na której dziadek stoi w mundurze i trzyma tatę na rękach. No i dom, niby dziadek go zbudował, ale jest tak wielki, że trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł tego dokonać w pojedynkę.

– Jaki był dziadek? – pyta Tuomas.

– Był dobrym ojcem. Śmiał się i śpiewał, i umiał wszystko zbudować. Ale potem to się skończyło.

– Bo umarł?

– Nie tak od razu. Helena jako dziecko pojechała do szkoły do Helsinek, ja zostałem tutaj i dziadek jeszcze długo był z nami w domu. Ale miało się wrażenie, jakby go wcale nie było. Jakby ktoś zgasił w nim światło.

– Na co umarł?

Tata siedzi bez słowa i patrzy na zdjęcie.

– Zapomniał, jak się cieszyć – mówi po chwili.

W mrocznej ciemni Tuomas się zastanawia, jak by wyglądało życie bez rodzeństwa, bez taty, bez śmiechu. W jego świecie istnienie rodziny jest tak samo oczywiste jak istnienie Ziemi, nieba i siniejących na horyzoncie kop. Każdy ma w tym domu przypisane mu miejsce: rodzeństwo własne pokoje i kącki za regałami, on łóżko w sypialni rodziców, a babusia całą drugą połowę domu. W życiu Tuomasa wszystkiego jest akurat tyle, ile trzeba, i dlatego nawet nie przyszłoby mu do głowy, żeby pragnąć czegoś więcej albo właśnie mniej. Melancholię taty kwituje kiwnięciem głową: rozumie uczucie, lecz nie roztrząsa skrytej za nią myśli, nie wydaje się to potrzebne.

Tata chwilę milczy, potem sprawdza, czy odbitka jest ostra. Uśmiecha się i wyrzuca arkusik testowy do kosza. Wyciąga nowy

papier i już cały wkłada do maskownicy, po czym ponownie naświetla. Otwiera drugą kopertę z negatywem. W radiu puszczają *Only You* i tata gwiżdże melodię piosenki. Gdyby mama była w ciemni, zaraz zaczęliby tańczyć. Tata wyciąga z kieszeni pudełeczko lukrecji Sisu i częstuje. Tuomas się uśmiecha.

Teraz.

Tata obraca się do Tuomasa i wreszcie zadaje tak długo oczekiwane pytanie.

– No i co sądzisz o tej całej zimnej wojnie?

Tuomas odkłada długopis. Nie wie, o co tata go pyta, ale to nic nie szkodzi. To ich wspólna zabawa, jego i taty. Albo taty i Tapia. Albo Minny lub Maarit. Tego z nich, które idzie z tatą do ciemni.

Tuomas kręci głową na znak, że nie wie, więc tata wyczarowuje z przedmiotów mapę świata. Na oczach Tuomasa powstają kolejne państwa. Kartonik z papierem fotograficznym to Związek Radziecki, który widać z największej góry w okolicy. Woreczek wyjęty z pudełka to Stany Zjednoczone, które są tak daleko, że nawet samolotem leci się tam kilka dni.

– Tak daleko jak stąd do babci? – chce wiedzieć Tuomas.

Tata kiwa głową.

– Nawet dalej. Jakbyś pojechał do babci samochodem, to musiałbyś wrócić i co najmniej jeszcze raz pojechać do niej z powrotem.

Tuomas potakuje. Stany Zjednoczone są daleko, ale Związek Radziecki prawie widać z okien dużego pokoju.

Tata mówi i jednocześnie maluje światłem obrazy. Część odbitek robi bardzo szybko. Jego słowom towarzyszą stuk ramki i klekot szczypiec do negatywów. Finlandia to zepsuty długopis. Na lewo od niego leży dumna i blada ramka Szwecji, która ma wszystkich w nosie i próbuje radzić sobie sama. Czasem odbitka wymaga więcej czasu i wtedy tata na chwilę milknie. Te arkusze naświetla najpierw tak jak inne, ale potem przysłania dłońmi światło powiększalnika i wtedy na niektóre miejsca pada go więcej niż na pozostałe. Jego ręce to cumulusy na słońcu i przez palce przesączają się promienie to tu, to tam. Tata wydobywa szczegóły, które inaczej zginęłyby w cieniu, i nie pozwala światłu docierać tam, gdzie nie warto.

Po krótkiej przerwie podejmuje opowieść. Tuomas patrzy na kopertę Francji i grane przez butelkę po Vita Novie Niemcy, które ktoś postanawia rozdzielić na dwie części: szkło i kapsel. Groźny kartonik z papierem fotograficznym na prawo od Finlandii zaczyna szaleć i wchłania spinacz-Estonię oraz leżące pod nim dwa stare negatywy. Nie ma na niego mocnych. Lepiej się nie stawiać. Jest, jak jest, z istnieniem kartonika trzeba się po prostu pogodzić i już.

Tata wyławia fotografie z kuwety i wiesza do obeschnięcia. Chwyta kolejne koperty z negatywami, odczytuje zapisane na nich cyfry i naświetla zamówioną liczbę odbitek. Wreszcie kończy i obraca się do Tuomasa. Zadaje to samo pytanie co na początku zabawy.

– No więc? Co sądzisz o takiej wojnie?

Tuomas rozważa wszystko, co mu tata powiedział, i otrzymuje jeszcze odpowiedź na kilka dodatkowych pytań. To nie jest taka sama wojna jak zabawa cynowymi żołnierzami. Ani jak ta wojna, na której był dziadek. To takie wygrażanie pięścią, potrząsanie szabelką, próby nastraszenia. Tuomas myśli nad odpowiedzią, przypomina sobie nawet kryzys kubański, który tata omówił przy regulatorze czasu, i w końcu mówi, co sądzi o tym wszystkim. Tata słucha uważnie. Nie śmieje się z odpowiedzi Tuomasa, jak często robi to Tapio, ani nie poprawia go jak Minna, tylko kiwa głową z poważną miną.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

Teraz kolej na Tuomasa. Myślał nad pytaniem cały tydzień, zadał je już bratu, babusi i Maarit, ale nikt nie potrafił mu na nie odpowiedzieć.

– Dlaczego ludzie nie mają oczu na plecach?

Tata kiwa głową, przekłada jedne odbitki z wywoływacza do utrwalacza, a drugie z utrwalacza do wody.

– Dobrze pytanie. Muszę się zastanowić.

Tuomas wie, że za chwilę zamówienia na ten tydzień będą gotowe. Niedługo tata zgasi światło w ciemni, otworzy drzwi i wpuści do środka kolory z zewnątrz. Zaraz trzeba będzie iść na podwieczorek, posłuchać opowieści o przygodach Misia Alfonsa, przeczytać wieczorną modlitwę i pójść spać.



Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze przez chwilę świat będzie pomarańczowoczerwony i będzie pachniał utrwalaczem, a tata będzie słuchał tylko jego i będzie miał odpowiedź na każde pytanie.

## Idzie kominiarz po drabinie

Eino od Törmänenena ma tylko kciuk i kawałek palca wskazującego, reszty dłoni nie ma. Nocami bolą go oderwane palce.

Powiedziałam Johannesowi, żeby poszedł ze mną, ale on ciągle siedzi na brzegu rowu. I śmieje się, i Pentti z Mattim też się śmieją, chociaż krzyczałam, żeby się zamknęli. Pentti woła jeszcze za mną:

– Idź do domu, idź, ślepoto jedna! Idź naskarżyć, idź!

Wycieram łzy z policzka i szybko wracam. Znam tę ulicę i wiem, gdzie jest dom, choć przysłałam tu z Johannesem, trzymałam go za ramię. Na lewo od drogi słyszę stukot młotków. To u Vellów, też budują dom. Johannes powiedział, że nie skończyli jeszcze nawet parteru. Przede mną po prawej też stukają, to u Haaralów. Nasłuchuję i idę. Mimo że uprzątnięto zgliszcza domów podpalonych przez Niemców, wszędzie czuć spaleniznę i popiół. Johannes opowiadał, że cała wieś będzie wyglądała wszędzie jednakowo, bo wszyscy stawiają domy jednocześnie. Tata podobno nie przejmuje się zarządzeniami i buduje większy i wyższy niż wszystkie inne.

Droga jest wyboista. Noga wpada mi w dziurę i ląduję w kałuży. W porę wyciągam ręce przed siebie, ale łapawice mam mokre i czuję wilgoć w butach. Z tyłu słyszę wołanie Johanna:

– Nie złość się! Odprowadzę cię do domu!

Kiedy odgłosy piłowania są dokładnie z prawej strony, skręcam w lewo. Stawiam teraz krótkie kroki i na wszelki wypadek wyciągam ręce przed siebie, gdybym czasem miała znowu się potknąć. Ziemia zaczyna opadać i wiem, że przede mną jest wykopany przez tatę rów i za nim jest nasz dom. Zatrzymuję się i nasłuchuję. Nie słyszę mamy. Na górze ktoś stuka młotkiem.

– Helena, no przestań już!

Głos brata słyhać bliżej niż poprzednio, lecz nie odpowiadam. Johannes musi mnie słuchać, bo jestem od niego starsza. Nawet mama tak mówi, babusia i tata też. Ma dopiero sześć lat, to jeszcze

dzieciuch.

Badam prawą stopą brzeg rowu i wkrótce natrafiam na ten płaski kamień, który ostrzega, że ani kroku dalej. Zawracam i idę powoli przed siebie. To już podwórko.

– Helena!

Muszę mu odpowiedzieć.

– Powiem wszystko mamie, zobaczysz.

– Nie powiesz.

– Chodź ze mną, sam posłuchasz!

Nagle słyszę, że biegnie. Woła do chłopców:

– Ta głupia krowa chce nas wsypać!

Muszę zdążyć, zanim to wszystko gdzieś ukryją. Opróżnią tę spłaszczoną żelazną rurę i zakopią ją gdzieś w rowie albo schowają w trocinach pod podłogą na strychu. Kieruję się na stukot młotka.

Trafiam na stopnie i pod prowizoryczne drzwi. Na szczęście są otwarte, bo ciężko chodzą. Na werandzie nie ma jeszcze podłogi, tylko położone na belkach luźne deski. Kucam i na czworakach przechodzę do sieni. Tam już jest normalna podłoga. Wszędzie pachnie świeżym drewnem, bo suchych desek teraz nigdzie się nie dostanie. Nie mam jeszcze w głowie rozkładu pokoi nowego domu. Ziemiarki nauczyłam się szybko, bo była bardzo mała, dwie prycze, rozżarzony piecyk i stół. Tutaj nie wiem, jak iść. Pamiętam, że w tym pokoju jest dużo drzwi, ale dokąd one prowadzą?

– Mamo!

Nikt nie odpowiada.

Próbuję zachować spokój. Opieram się plecami o ścianę, przesuвам się w prawo. Najpierw kąt, potem futryna. Czy to za tym progiem będzie pokój babusi? Wsuwam głowę do pustego pomieszczenia, wołam mamę. Ale tutaj nic się nie dzieje.

Znajduję następny róg i następną futrynę. Zaczepiam o coś nogą i prawie padam na pupę. W sieni coś jest. Dotykam tego rękoma. Drabina. Prowadzi do piwnicy, schodów na dół tata jeszcze nie wylał. Posuwam się dalej wzdłuż ściany. Ucieka mi spod pleców. Obracam się i natrafiam na stopień, jest i drugi. Schody. Mama może być gdziekolwiek, może nosić deski albo mieszać trociny między belkami,

żeby choć trochę wyschły, zanim tata zacznie kłaść podłogę.

Po siedemnastu stopniach jestem w sieni na piętrze. Tutaj też muszę się zatrzymać. Z prawej słyszę męskie głosy, tacie pomagają ci koledzy z frontu, którzy nie budują swoich domów. Nie chcę tam iść. Kiedy wojna się skończyła, chłopcy wrócili do domów, ale już zmienione. Nie ma w nich śmiechu. Mama zawsze na nich pomstuje.

„Za długo chyba ta wojna trwała, że tak tylko ze sobą wam dobrze”.

Jeśli babusia to słyszy, od razu się złości.

„Jak czegoś nie rozumiesz, to lepiej nic nie gadaj”.

„Kobiecie nawet dzień dobry nie powiedzą, a sobie to w kamizelki płaczą”.

„Złamała ich ta wojna, wszystkich. Nawet tych, co myślą, że nic im się nie stało”.

Znowu słyszać stukot młotka. Tata jest wyżej, na poddaszu. Już nie opowiada dzieciom historyjek i często na długi czas zastyga w bezruchu. Wraca do ziemianki wieczorem, je to, co mu mama nałoży, i kładzie się spać. Rano się budzi i znowu idzie budować dom. Jak go o coś spytać, to owszem, odpowie, ale sam to nigdy się pierwszy nie odezwie. Tylko leży, siedzi albo wbija gwoździe.

Muszę znaleźć mamę! Muszę iść dalej. Inaczej Johannes z Penttim i Mattim natkają do tej żelaznej rury wydrapanego z nabojów prochu, papieru i kamieni, takich niby pocisków. Szukam ściany, jest futryna. Kląskam – echo mi powie, jaki duży jest ten pokój. Nie mogę się jednak zorientować, bo odgłos zostaje w ścianach. Wchodzę do środka, lecz stopy zapadają się jak w bagno i upadam na twarz na coś miękkiego. Trociny! Gdzieś wyżej słyszę głos:

– A co to za syrenka tu do mnie płynie?

To Pesonen, kolega taty.

– Uważaj, żebyś nie spadła przez sufit na dół – mówi i się śmieje.

Próbuję się czegoś chwycić, żeby nie spaść na parter.

Lewym łokciem trafiam w belkę i zaraz się jej chwytam.

– Dasz radę sama wrócić do sieni? Nie sięgnę tu z góry, żeby ci pomóc.

– Gdzie mama?

– Tu jej nie ma. Poszła do tego nowego kościoła w baraku fotografować chrzciny małego Murtovaary.

Pesonen odwraca się i oddala. Ja gramolę się z powrotem na deski.

Chociaż wojna się skończyła, wieczorami na dworze słychać wystrzały i wybuchy. Mama mówi, że chłopakom chyba zbrzydły całe ręce, bo detonują walające się po lesie niewybuchy, budują samoróbki i wrzucają do ognisk ponemieckie naboje. Einowi palce oderwał bombowiec, ale Johannes sam swoje załatwi. Mamy nie ma, a mnie chłopcy się nie słuchają. Wiem, że do nowego kościoła idzie się prosto od Czterech Dróg, a potem skręca w prawo, lecz za nic tam teraz nie zdążę.

Muszę znaleźć tatę. Boję się iść sama do niego. Przytula mnie czasem i głaszcze po głowie, nie mogę powiedzieć, ale przed wojną grał wieczorami na pianinie i śpiewał. Teraz mówi cicho i nigdy nie kończy zdań. W nocy budzi mnie czasem biegnąca po kołdrze mysz. Jak się wtedy nie ruszam, to słyszę, że Johannes i mama śpią, a tata tylko leży. Po jego oddechu słyszę, że nie śpi. Kiedy go wołam, nie odpowiada. Johannes raz spytał, dlaczego nie męczą go w nocy koszmary jak innych, co wrócili z wojny, to odpowiedział mi smutnym głosem:

„Mnie męczą za dnia”.

Kobiety już dawno nauczyły się radzić sobie bez chłopów. Ale chyba nawet tata może uratować ręce Johannesesa?

W sieni natrafiam na kolejną futrynę. Nagle stukot młotka i zipanie piły słychać dużo wyraźniej. Wołam tatę, nie słyszy mnie. Idę na lewo i podłoga nagle się kończy. Wyciągam ręce przed siebie i w bok, lecz ściany nie ma. Po prawej tak samo. W jakim pokoju może być sama podłoga, bez ścian? Na środku coś sterczy. Znowu drabina. Nie mam pojęcia, czy są już gotowe jakieś schody na strych, czy na górę da się wejść tylko po drabinie, ale muszę iść.

– Tato! – wołam w górę, na strych, lecz nadal mnie nie słyszy.

Drabina jest stroma, trudno się idzie prawie pionowo w górę. I jeszcze ten wiatr. Całe Lopotti rozbrzmiewa postukiwaniem młotków. Każdy ma swój własny rytm. Co jakiś czas kilka wybija do taktu, ale trwa to tylko chwilę.

„Szczęściem w tym kraju lasów nie brakuje”, mawia czasem babusia.

W czasie wojny spaliło się nam wszystko oprócz składanego aparatu mamy i srebrnej tacy. Jak tylko nastał pokój, dostaliśmy ubrania ze Szwecji i Ameryki oraz sieci z Unry. Bez tego pomarlibyśmy tutaj z głodu i zimna.

Johannes woła mnie gdzieś z daleka. Chłopcy na pewno schowali już tę swoją armatę, ale idę dalej, bo zbliża się wieczór i znowu będą ogniska i wystrzały.

– Helena, stój! – słyszę błagalny głos Johannesesa, teraz już bliżej, prawie pode mną. – Wariatka!

– Sam jesteś wariat!

Szczeble się kończą. Wyciągam prawą rękę przed siebie i natrafiam na podłogę strychu. Leży na niej coś, jakby szorstki dywan. Trzymam się drabiny i przesuwam na dywan jedno kolano, potem drugie. Próbuję wstać, lecz podłoga jest krzywa, mocno opada w tył. Na dole słyszę głosy. Johannes i Anna.

– Gdzie ta głupia polazła?! – woła Anna.

– Tam weszła, na górę! – odpowiada Johannes. – Z balkonu po drabinie!

Anna krzyczy coś na całe gardło, ale już jej nie słucham, bo muszę teraz znaleźć jakąś ścianę, żeby stanąć na nogi. Prawie bym upadła na plecy, lecz wyrzucam ramiona w przód i utrzymuję równowagę. Stuk młotka jest teraz blisko, tuż przede mną. Nagle się urywa i słyszę taki odgłos jak wtedy, gdy mama rozwijała dywan w świetlicy, tylko ostrzejszy. Kieruję się w jego stronę, lecz nie mam odwagi stanąć na nogach. Ręce mi śmierzdzą jakby dziegiem lub smołą. Znowu stuka młotek. Anna z dołu coś krzyczy. Obeszła dom.

– Ojciec, leć szybko na drugą połąć!

Stukanie się urywa.

– Czego?! – odkrzykuje ojciec.

– Helena weszła na dach!

Słyszę przed sobą głos taty.

– Co ty tutaj robisz?

Chcę wstać i powiedzieć mu, co Johannes narobił, ale on nie

słucha, tylko mówi bardzo wolno:

– Helena. Zostań tam, gdzie jesteś. Nie ruszaj się.

Wyrzucam z siebie, że Johannes ma mnie słuchać, że jak mu mówię, że nie, to nie, lecz tata mi przerywa i słyszę go jeszcze bliżej:

– Ani kroku w żadną stronę. Poczekaj, tata zaraz cię chwyci.

On nic nie rozumie. Johannes za chwilę nie będzie miał dłoni, tylko guzłowate kikuty! Nie będzie mógł niczego podnosić ani pisać, ani rzeźbić piszczalek! Krzyczę na cały głos, co Johannes zrobił, a tata ma to w nosie. Chcę sobie iść, ale tata jest już przy mnie. Nagle mnie obejmuje i mocno przytula.

Kiedy wrócił z wojny do domu, od razu nas przytulił, Johannes a i mnie. A jak powiedział: „To za wami tęskniłem”, mama wybiegła z izby. Johannes długo unikał taty, chociaż ten próbował przekupywać go dziegciowymi pastylkami. Teraz tata przyciska mnie do siebie i jest mi tak lekko na sercu, że zaczynam płakać. Czuję ciepło jego piersi i zapach brylantyny. Tata też płacze. Schodzimy razem po pochyłej podłodze do drabiny i po niej w dół, ja między szczeblami i tatą. Jego zegarek tyka tuż przy moim uchu. Tak samo jak przed wojną, tik-tak, tik-tak. Ta-ta-jest-tu-taj, ta-ta-jest-w-do-mu. Opowiadam mu wszystko jeszcze raz, a tata płacze i mówi:

– Już dobrze, już, cii, cii.

I ja ciągle płaczę, ale teraz dlatego, że tata znów jest w domu i już nie wyjedzie na front, gdzie mógłby zginąć. Koszula taty pachnie wiatrem i papierosami.

Tata odprowadza mnie na sam dół, na podwórze; po drodze mi obiecuje, że też mi kupi kiedyś zegarek, taki całkiem mój. Anna nie jest zła, strzepuje tylko trociny ze spódnicy i mówi, że dobrze, że miała na nogach dobre buty i że do czego to podobne, żeby na balkonie nie było nawet głupiej barierki. Tata nadal nie wypuszcza mnie z ramion, mocno tuli do siebie.

– Moja Helena. Moja córeczka.

## Lęk się czai tak jak zbrodnia

Ruda wiewiórka czyści sobie pyszczek. Siedzi na ziemi i przednimi łapkami zaczesuje sobie wąsy do tyłu. Spogląda w obiektyw, potem pochyla się i podnosi coś z ziemi, i je z takim samym skupieniem, z jakim jedenaścioro dzieci z klasy 2A śledzi jej ruchy na ekranie telewizora. Tuomas postanawia, że poprosi o takie zwierzątko na Gwiazdkę. Odbiornik stoi przed stołem nauczycielki, ma wysokie metalowe nóżki z kółkami, ale i tak trudno było go przepchnąć przez próg klasy. Pani ma spódnicę do kolan. Rozstawiła na swoim stole żółte plastikowe kubeczki i wyciska do każdego trochę kleju. Za chwilę każde dziecko narysuje, wytnie i przyklei do przymocowanego do ściany brystolu swoją wiewiórkę.

Sześcioro uczniów w głębi klasy siedzi plecami do ekranu. To dzieci z rodzin należących do zboru laestadian, którzy uważają, że telewizja to grzech. Dlatego zamiast jak reszta klasy w skupieniu oglądać program, ta szóstka patrzy na zdjęcia wiewiórek w książkach. Lektorka ma ciepły głos i opowiada tak ciekawie, że aż chciałoby się spojrzeć na telewizor. Chłopiec w zielonym pulowerze próbuje zerknąć przez ramię, co robią małe wiewiórki, ale siedzący obok kolega spostrzega to:

– Jani, musisz wytrwać w wierze!

Jani obraca głowę do książki. Wstyd mu, że tak łatwo był gotów się poddać bezbożnej pokusie. Wieczorem będzie musiał przeprosić za to rodziców.

Otwierają się drzwi i do klasy wchodzi pan dyrektor. Wszyscy uczniowie podrywają się z miejsc, ćwiczyli to wcześniej. Także ci pod ścianą w głębi skaczą na równe nogi i odwracają się przodem do telewizora, patrzą jednak na drzwi, żeby przypadkiem nie zerknąć na ekran.

– A, to tutaj jest telewizor!

Pani nie rozumie, dlaczego dyrektor wydaje się zły. Zarezerwowała



odbiornik na tę lekcję już dwa tygodnie wcześniej, wpisała do rubryki swoje nazwisko, na liście nie było wtedy jeszcze żadnych rezerwacji. Dyrektor bez słowa wychodzi z klasy i nauczycielka nie wie, co robić. Daje dzieciom znak ręką, żeby usiadły, lecz dyrektor znowu wchodzi i cała klasa ponownie wstaje. Na korytarzu tłoczą się jeszcze dwie klasy. Dyrektor szepcze coś nauczycielce, która zasłania usta dłonią.

– Nie!

Dzieci ogarnia niepokój. Dyrektor każe wejść do sali uczniom z korytarza, będą musieli się jakoś zmieścić, w razie potrzeby można nawet siadać na ławkach. Tuomas będzie siedział na jednym krześle z Ilkką. W zeszłym tygodniu Ilkka zachorował i na lekcji zwymiotował na pulpit i otwartą książkę Jarna. Wszyscy się wtedy dowiedzieli, że na śniadanie jadł dżem.

Dyrektor przełącza odbiornik na inny kanał, trochę reguluje obraz, bo nie widać za dobrze. Nauczycielka usiadła za swoim stołem. Mruga powiekami i patrzy na dyrektora wilgotnymi oczami.

– No to teraz będzie wojna? – pyta słabym głosem, lecz dyrektor ucisza ją syknięciem. Pokazuje na uczniów, że przecież nie przy nich.

– Zdarzają się chyba na świecie jeszcze gorsze rzeczy.

Nauczycielka próbuje się czymś zająć, zaczyna więc przelewać klej z kubeczków z powrotem do butelki. Tego dnia nie będzie już żadnych zajęć.

Dyrektor obraca się do uczniów. Spogląda na zegarek, a potem wodzi spojrzeniem po klasie, dopóki ostatni gaduła nie zrozumie, że ma zamknąć jadaczkę. Dyrektor odchrząkuje.

– Ten dzień zapamiętacie na zawsze. Dobiegła końca wielka era i czeka nas teraz, być może, okres niepewności – mówi z poważną miną i odsłania telewizor.

Zaczyna się właśnie nowy program. Większość uczniów rozpoznaje wirującą czarną kamerę, która zapowiada dziennik. Laestadianie nie wiedzą, czy wolno im patrzeć. Jedna dziewczynka chciałaby dalej oglądać zdjęcia wiewiórek, ale całą ławkę pod ścianą zajęli uczniowie z drugiej B.

Na ekranie pojawia się spiker w krawacie. Z posepnym wyrazem twarzy mówi, że prezydent Kekkonen jest chory i zrezygnował

z urzędu. Nauczycielka mocno zaciska powieki. Nawet uczniowie siedzą bez słowa. Czy to możliwe, żeby w Finlandii nie było Kekkonena? Kto go zastąpi?

Tuomas jest pewien, że Rosjanie zaatakują od razu, jak tylko zabraknie Kekkonena, który potrafił ich uspokoić. Latem, kiedy weszli na wysoką górę, babusia Lahja pokazała palcem na pobliską kopę i powiedziała, że teraz nie jest już po naszej stronie, bo we wojnę wzięli ją sobie Sowieci.

„Stamtąd te ruskie przylazły, obeszyły tamte góry i przeszły po jeziorze”.

„I więcej już nie przyjdą”, wtrąciła mama, lecz babusia spojrzała na nią ciężkim wzrokiem.

„Ludzie z południa ich nie rozumieją. Tam strach jest zupełnie inny”.

I dlatego Tuomas jest przekonany, że zaraz zza wzgórz wyleci czarna chmara bombowców, a za nią wysypią się armaty i czołgi. Kartonik papieru fotograficznego z opowieści taty z ciemni zatoczy jeszcze szerszy krąg i połknie długopis-Finlandię. Czy tata będzie musiał pójść na wojnę? A jak znowu spalą całą wieś i będzie wyglądać tak samo jak na starych zdjęciach, które zrobiła babusia po powrocie z ewakuacji? Okolice wsi kościelnej do dziś są poryte zarośniętymi trawą lejami, a przy drodze nad jezioro wciąż widać fundamenty lazaretu niemieckich koszar polowych. Czy będą musieli mieszkać w takich samych ziemiankach, jakie wspomina babusia?

Nauczycielka chowa twarz w dłoniach, dyrektor milczy. Dziewczynka ze zboru laestadian wzięła sobie książkę i przegląda ją pod ławką w kącie klasy. Uczniowie siedzą cicho, ale wielu z nich chciałoby już robić tę wiewiórkę, o której mówiła pani.

## Kiedyś tam będziesz miał dorosłą duszę

– Pewnie, że chciałam jechać do szpitala, ale sobie pomyślałam, że najpierw pójde do starej położnej – mówi nieśmiało dziewczyna do babusi.

Eila. Znam tylko jej głos. Jak się idzie przez wieś na Lopotti i w pewnym momencie skręca i schodzi do jeziora, to ona tam mieszka. Na samym brzegu mają suszarnię sieci. Eila zagaduje babusię we wsi i przynosi czasem świeże sieje, jak mama ją poprosi.

– Ja wiem, że położna nie chodzi już porodów odbierać.

– Dajże spokój. Jak się raz tę robotę wzięło, to już się od niej nigdy nie ucieknie – odpowiada babusia.

– Tak też sobie pomyślałam.

Korci mnie, żeby spytać, czy Eila jest brzemienna, lecz nie mam śmiałości.

Eila poszła najpierw na górę pytać o babusię i wtedy mama kazała mi sprowadzić ją na dół. Babusia spała, musiałam ją obudzić. Z początku była zła, lecz kiedy jej powiedziałam, że o nią pytają, poznałam po głosie, że się ożywiła. Wyciągnęła rękę i powoli się dźwignęła, jak ją pociągnęłam. Znowu przytyła.

– Usiądź no na tym stole, dziecko – mówi babusia Eili, ale ta się wzbrania.

– Nie, gdzieżby... Może na łóżko?

– Ja już się teraz do łóżka nie pochylę. Wejdźże na krzesło i połów się na stole. Ale najpierw sukienka precz.

Sukienka w dzień powszedni? Słyszę, jak Eila ściąga ją przez głowę. Babusia zasuwa kotary i przekręca kontakt przy futrynie. Odwracam się i chcę wyjść, lecz babusia zatrzymuje mnie przy drzwiach.

– Na stole są talerz i szklanka. Wstaw je do zlewu.

Namierzam krzesło i kieruję się do stołu.

– Ja sama mogę sprzątnąć – mówi Eila.

– Po co? Helena sobie poradzi, spokojna głowa.

Znajduję głęboki talerz, w środku leży łyżka. Babusia jadła zupę rybną. Podnoszę talerz, łyżkę przytrzymuję kciukiem, szukam jeszcze szklanki.

– A jak upuści?

– To pewnie się potłuką. Niejedyne w tym domu – odpowiada babusia od pieca.

Odkręca kranik bojlera, nalewa wody do chochli i myje ręce. Znajduję szklankę i zanoszę naczynia na stół ze zlewem, który zrobił tata.

Skrzypi krzesło, Eila kładzie się na stole. Babusia idzie do niej, stukając laską w podłogę.

– Przepraszam, jeśli dłonie będą zimne – mówi i opiera laskę o krzesło.

W szufladzie szafy babusia trzyma jeszcze torbę położnej. Dała mi kiedyś pobawić się wszystkimi instrumentami, metalowymi kleszczami i takimi skarpetami z rączkami na cholewkach. Babusia nie jeździ już do porodów, bo nogi nie niosą. Ale teraz coś się stało. Nigdy jej takiej nie słyszałam. Jest jakaś inna. Taka trochę oficjalna, a przy tym serdeczna i żwawa.

– Popróbuje teraz z góry, a jak będzie trzeba, to potem też z dołu.

– Rano mnie bolało bardzo mocno.

Szeleści halka Eili.

– To twoja pierwsza, tak? – pyta babusia i teraz wiem, że Eila jest brzemienna.

– Tak.

– I krwi nie było?

– Nie. Na szczęście. Tutaj bolało i tutaj. Zupełnie jakby tam fikołki robił.

Babusia milczy. Eila bębni palcami w stół. Myślę, że skoro już tu jestem, to pozmywam. Sięgam do pieca i sprawdzam bojler; pusty.

– Dobrze jest? – pyta wreszcie Eila, cicho i nieśmiało.

– Wszystko dobrze.

– To co tak się rozbijał?

– Ciało zaczyna już ćwiczyć, jak dzieciaka z siebie wyrzucić. Kiedy ma być?

- Na początku września.
- Nie kłam mi, dziecko.
- Naprawdę, dopiero wtedy.

Babusia sięga po laskę.

– Ubieraj się i idź – mówi i kuśtyka do sypialni. – Już ja się na tym znam. Obrócił się już i obniżył.

Eila leży na stole bez ruchu. Nabieram chochłłą wody z wiadra na podłodze i nalewam do kotła. Słyszę, jak Eila wdycha głośno powietrze przez nos. Trzymam palec przy brzegu kotła, żeby nie przelać. Zmieściła się reszta wody z wiadra. W sypialni babusia odsuwa szufladę, po chwili zasuwa z powrotem.

Nagle Eila robi długi wydech i zaczyna chlipać. Płacze. Przekręca się na bok, stopy uderzają w stół od strony drzwi.

- I co ja im powiem?

Laska babusi postukuje z sypialni z powrotem do kuchni.

- Przestańże. Na, masz. Dla ciebie przyniosłam.

Eila smarka w chusteczkę. Wciąga powietrze krótkimi haustami i próbuje mówić. Wypluwa słowa małymi kęsami.

- I co ja teraz zrobię? Z nim?
- Nic nie zrobisz. A co niby miałybyś zrobić?
- Nie powiedziałam nawet Kaleviemu.

- I nie powiesz.

- Muszę przecieżyć.

– Kiedy się zaczniesz, przyjdiesz tu do mnie. Powiesz, że nie zdążyłaś do szpitala. A ja im powiem, że wcześniak był.

Eila zaczyna się uspokajać. Znowu smarka.

- A co, jak się Kalevi spostrzeże?

– Chłopy się na tym nic a nic nie wyznają. Kalevi i cały męski ród bardzo się cieszy, jak nie musi brać w tym wszystkim udziału.

Otwieram drzwiczki pieca i sprawdzam, czy na ruszcie zostało trochę żaru. Wsuwam do środka dwie szczapy. Słyszę, że babusia się odwraca.

- Helena, podejdź no tu.

- A co?

- Chodźże, chodź.

Zamykam drzwiczki i idę do stołu. Obchodzę krzesło, które stoi mi na drodze.

– Co wy tu...? – dziwi się Eila.

– Czy Helena może dotknąć twojego brzucha? – pyta ją babusia, lecz nie czeka na odpowiedź.

Ujmuje mnie za ramiona i popycha do krawędzi stołu. Eila cicho wzdycha. Spod zapachu mydła wybija odór schnących sieci. Babusia odstepuje w tył, kładzie moje dłonie na swoich i zaczyna poruszać nimi najpierw w prawo, potem w lewo.

– Tu mniej więcej jest głowa, a tutaj są nogi.

Babusia podchodzi bliżej. Tak blisko, że czuję na plecach jej ciepły brzuch.

– Tutaj jest głowa dziecka.

Eila wstrzymuje oddech. Ręce babusi suną po łagodnym wzgórku. Pod dłonią czuję ruch.

– Ono jest tam w środku? – pytam szeptem.

– Przecież, że nie położna przynosi je w torbie.

Babusia odrywa dłonie od brzucha. Teraz kładzie na nim moje ręce, a swoje na moich. Brzuch jest twardy.

– Czujesz?

Babusia powoli przesuwa moje dłonie i mówi cicho:

– Tutaj jest głowa. Dziecko już się obróciło głową w dół.

Nasze dłonie zataczają coraz mniejsze kręgi.

– Patrzy na plecy matki. Szykuje się już do wyjścia.

Babusia puszcza moje dłonie, które ciągle trzymam na brzuchu. Coś w środku się przekręca.

– Poruszyło się?

– Zmienia ułożenie. Może czuje twoje dłonie albo słyszy twój głos.

– Ale to go nie boli, prawda?

– Nie. Możesz śmiało dotykać.

Czuję, jak skóra na brzuchu przekręca się i naciąga. Dziecko pływa. Nagle coś ciśnie mocno od spodu moje palce. Odrywam dłonie od brzucha.

– Co to było? – pytam babusię, lecz Eila odpowiada pierwsza:

– Kopnął cię.

Tutaj jestem ja, tam Eila, a w jej brzuchu ktoś nowy, jeszcze bez imienia. Chciałabym wiedzieć, jaki jest i jak pachnie, jaki ma głos i jak to jest trzymać go na rękach. Opuszczam dłonie na brzuch Eili i gładzę większy wzgórek. Próbuję znaleźć obrys dziecka, żeby sobie wyobrazić jego kształty, lecz nie umiem za bardzo odróżnić brzucha od tego, co jest w nim. Tuż obok żebra coś czuję.

– Co tu jest, babusiu?

– Tutaj nic nie ma – odpowiada babusia, ale kładzie rękę obok mojej prawej dłoni i lekko naciska.

– Poczekaj. No nie, jest ramię. Masz wrażliwe dłonie.

– Mogę jeszcze? – szepczę, ale babusia psuje nastrój.

– No, trzeba już puścić Eilę z powrotem do domu.

Dziewczyna ubiera się i wylewnie dziękuje, lecz babusia przerywa jej w pół słowa.

– Dajże spokój. Zrobię, co do mnie należy, chociaż pensji mi już nie płacą.

Na schodach słyhać kroki taty. Był w piwnicy, rzeźbi tam kwiaty na oparciach nowego tapczanu. Eila czeka pod drzwiami, aż tata dojdzie na górę.

– Ile jestem położnej dłużna?

– Myślę, że już zapłaciłaś. Helenie.

Babusia otwiera drzwi, lecz Eila się odwraca.

– Jeszcze raz dziękuję. Że wszystko dobrze – szepcze.

– Podziękujesz, jak będzie po wszystkim. Zostały cztery dni. Góra pięć.

– O Jezusie, Jezusie!

Babusia wyłącza światło i rozsuwa kotary. Głos ma znowu prawie zwyczajny.

– Nikomu o tym ani słowa, Heleno.

– Ani słowa.

– Masz wrażliwe dłonie. Byłoby z nich więcej pożytku niż do samego zmywania.

Myślę o robieniu szczotek i wyplataniu koszy, o czym mówiła mama. Głos babusi staje się nagle surowszy.

– I żebyś mi się nigdy nie wpakowała w coś takiego, jeśli sama nie

będziesz tego chciała. Pilnuj tego.

Miałam właśnie spytać, jak dziecko się dostaje do brzucha mamy, ale babusia mówi dalej:

– Chociażby chłop nie wiem jak bardzo chciał, będziesz mu odmawiać, jak długo ci się podoba. A jak ci nie uwierzy, to masz go gryźć i kopać, i pierdzieć. Pamiętaj, kim jesteś, i tego się zawsze trzymaj.

– Cudne takie dziecko, chciałabym mieć.

– Jeszcze z tym zdążysz, wierz mi. Narodziny dziecka to tyle krwi, moczu i śluzu, że lepiej się do tego tak bardzo nie śpiesz.

Tata już mi obrał ziemniaki i położył na talerzu. Johannes siedzi obok przy stole i mówi, że mi posmaruje masłem podpłomyk.

– Czego ta Eila chciała, że na parterze była? – pyta mama, ale nic nie mówię.

– Podobno miała bóle – odpowiada tata. – Twoja matka powiedziała, że chyba się wcześniej urodzi.

– Taka u nich cała rodzina, słabe są. Żeby choć do szpitala dziecko doniosła, a nie do nas, jak ta Marjatta od Jurmów. Matka zdrowia już do nich nie ma.

Johannes wsuwa mi w dłoń podpłomyk.

– Kiedy będę duża, będę jak babusia – mówię mamie. – Będę odbierać porody.

– Dla ciebie to są zupełnie inne zajęcia przewidziane. Już ty się nie bój, sama nie zostaniesz.

Odgryzam kęs podpłomyka. Na dłoniach został smród suszonych sieci. Rozczapierzam palce i kładę je na stole. Pod nimi pływało dziecko.

– Dłonie pianistki – mówi tata.

Znów zaczął grać na nowym pianinie francuskie piosenki, tylko że mama już się z nich nie śmieje.



## Kiedy samotność drzwi uchyla

Tuomas pełźnie na czworakach. Głowa lawiruje w labiryncie wiązarów, rękawek koszulki czepia się nieheblowanej deski podbicia. Wywleczone spod podłogi trociny parzą ręce, w oczach wzbierają palące łzy. Robi się ciasno. Niedługo nie da już rady tam się wcisnąć.

Przez pilśniowe ściany garderoby słysząc, że na dole otwierają się drzwi na schody na strych. Tuomas nieruchomieje. Ktoś idzie kawałek po stopniach w górę i woła. Mama.

– Jesteś tam?!

Tuomas słyszy, lecz nie odpowiada. Nie ma go tutaj. Ani nigdzie. Nie istnieje.

Po jednej stronie strychu jest otwarta przestrzeń, po drugiej pokój, w którym mieszka najstarsze z rodzeństwa – najpierw był to pokój Maarit, potem Minny. Kiedyś mieszkali tam rodzice, jeszcze przed nimi Helena, a na samym początku ciocia Anna. W ścianie pokoju jest okienko, a z boku alkowa z łóżkiem. Tuomas przeciska się na czworakach za ścianą, w wąskiej szczelinie nad okapem, między przepierzeniem a dachem. Za alkową miejsca jest mało, ale potem szczelina się poszerza, bo narożnik pokoju jest trochę ścięty. Kiedyś miała tam pewnie być szafa albo jakiś schowek, którego w końcu nie zrobiono, i dlatego alkowa nie dochodzi do ściany. Szczelina jest wąska, miejsca w niej tyle, że da się usiąść lub położyć z podkurczonymi nogami. Trociny i wióry w stropie zakryto starym dywanem. Ze spojenia ściany z podbitką dachu sączy się trochę światła. Akurat tyle, że można czytać *Kaczora Donalda*. W narożniku leżą połamane muszelki. Dorosły nie przeciśnie się pod niskimi wiązarami i nie można tu nawet zajrzeć, bo najpierw trzeba by się precisnąć spory kawałek za ścianką garderoby i ominąć zaizolowany łaskoczącą wełną mineralną zbiornik wyrównawczy centralnego ogrzewania.

W goły łokieć wbija mu się drzazga z przepierzenia, ale Tuomas postanawia, że wyciągnie ją dopiero na miejscu. Drzwi strychu nie trzasnęły. Mama nadal stoi na schodach.

– Przyszędłbyś chociaż się przywitać! – woła. Wyraźnie nasłuchuje.  
– Żeby się gość nie obraził!

Tuomas trwa w bezruchu, nie odpowiada.

Rano wszystko było jeszcze dobrze. Mama jak zawsze wstała pierwsza, przekradła się korytarzem do kuchni, zamykając po cichu drzwi do jadalni, gdzie na tapczanie śpi czujnie babcia. Miała czas dla siebie; zrobiła sobie kawę i zamyślona patrzyła na krańnięjące za oknem korale jarzębiny. Kiedy babusia wstała i przyszła do kuchni, mama zaczęła czytać gazetę. Potem wstaliśmy my i zeszliśmy się w kuchni na śniadanie. Odpowiadaliśmy krótko na równie krótkie pytania babusi, a sobie nawzajem rozwlekli. Patrzyliśmy, jak tata czyta najpierw miejscową gazetę, a potem regionalną, jak dzieli je na części i po skończonej lekturze składa na stole w takim bezładzie, że nikt już nie ma ochoty wertować ich po nim. Minna kazała Tuomasowi przynieść z lodówki mleko i ser, a Tapio w tym czasie zwędził z jego skibki kawałek kiełbasy, podmieniając go plasterkiem ogórka ze swojej. Wszystko było tak jak zawsze.

Po śniadaniu mama kazała Tuomasowi rozwiesić pranie na suszarce. Zimą kilka lat wcześniej Tapio mu powiedział, że metalowe pręty mają smak salmiaków, a potem śmiał się do rozpuku, kiedy brat przymroził sobie język. Drwił z Tuomasa i palcem nie kiwnął, żeby mu pomóc, aż dopiero Maarit zobaczyła przez okno sypialni, co się dzieje, i przyszła najmłodszemu bratu z pomocą. Kawałek skóry z języka Tuomasa odpadł z pręta dopiero w kwietniu.

Minna zaniósła dwa pełne worki pod piec do spalania śmieci.

– Stare papiery i sprawdziany z liceum – odpowiedziała, kiedy zaciekawiony Tuomas spytał, czy nie ma tam jakichś skarbów.

Potem Tuomas bawił się sam. Starsze siostry i brat mieli mnóstwo kolegów i koleżanek, ale dzieci w jego wieku w okolicy już prawie nie było.

Pierwsze oznaki pojawiły się w południe. Minna krążyła między

swoim pokojem na strychu a werandą. Tata siedział w zakładzie, ale mama nie. Grzebała w szafie z pościelą i kredensach w kuchni, na stole w dużym pokoju składała czerwone komplety pościeli z niebieskimi różyczkami, a na stół w kuchni wystawiła aluminiowy garnek, brytfankę i talerze. Załadowała borówki do sokownika. Tuomas nie zwrócił jednak najmniejszej uwagi na poczynania mamy. Jeszcze po południu, kiedy kazała mu przynieść z garderoby czerwoną kołdrę, którą przywiozła ze sobą z rodzinnego domu, nie zauważył, że ma czerwone oczy. Obcierała je ukradkiem, gdy jej się wydawało, że nikt na nią nie patrzy.

Tuomas znalazł kołdrę, z jednej strony była lśniąca i śliska, a z drugiej matowa. Wychodząc z garderoby, zauważył, że drzwi do pokoju Minny są uchylone. Zazwyczaj były otwarte tylko wówczas, kiedy do domu miał przyjść inspektor ze straży pożarnej. Według przepisów na drugim piętrze domu drewnianego nie wolno mieszkać i dlatego przed każdą inspekcją biegło się otworzyć drzwi pokoju na oścież, żeby się w środku wyziębiło. Na podłogę coś się rzucało, jakieś zdjęcia albo negatywy, które w tym domu walały się wszędzie. Inspektor zaglądał tylko do środka i zerkał przez ramię na tatę.

– Latem tylko śpią tu goście, jak czasem przyjadą.

Potem strażak przechodził na niezabudowaną część strychu i zwracał uwagę na zbyt dużą ilość materiałów łatwopalnych. A tata nigdy ich nie usuwał.

Inspekcje były zawsze zimą. Teraz zbliżał się koniec wakacji, we wtorek trzeba będzie iść znowu do szkoły, a podłoga w pokoju Minny jest goła. Nie ma nawet dywaników. Tuomas przycisnął kołdrę obiema rękoma do piersi i wszedł do środka. Pokój był pusty. Zniknęły obrazy, wieża, płyty Janis Joplin. Została tylko naga rama łóżka, półka bez książek i biurko, z którego zniknęła też lampa.

Tuomas zszedł na piętro i okrążył wszystkie pokoje. Zapomniał, że cały czas chodzi z przyciśniętą do piersi kołdrą. Na łóżku mamy i taty brakowało poduszki, z podłogi w sieni zniknął dywanik. Z dna swojej przepastnej szafy babusia wygrzebała paczkę kawy i położyła ją na ławie przy tapczanie obok wysupłanych z portmonetki pięćdziesięciu marek. Tuomas zszedł na parter. Na werandzie stały sterty dużych

brązowych kartonów z napisem „Konica” na bokach. Tuomas złożył kołdrę na podłodze i otworzył jeden karton. Akwarele Minny i szkicownik, mała rzeźba kobiety z długimi włosami na olbrzymiej muszli. Aparat fotograficzny. W drugim kartonie zimowe ubrania, czapka i szal, rękawice. W trzecim cztery płytkie talerze, noże i widelce, dwie szklanki, osiem butelek soku z borówek. Tuomas zamknął kartony i wrócił na poddasze.

Trzy godziny później przez okienko na strychu zobaczył, jak na podwórko wjeżdża samochód chłopaka Minny. Drzwi werandy zablokowano haczykiem, żeby się nie zatrasnęły, i zaczęło się pakowanie kartonów najpierw w bagażniku, a potem na tylnych siedzeniach. Na samym końcu zostały drzewko pomarańczowe, które Minna wyhodowała z pestki, i biała metalowa lampa stojąca, która miała kiedyś na sznurku włącznika plastikową perełkę, ale jak się raz dostała pod klosz, to się z niej zrobiła płaska klucha. Tuomas przypomniał sobie wtedy kryjówkę za alkową w kącie strychu.

Mama schodzi po schodach i zamyka drzwi na piętrze. Tuomas pełźnie dalej. Dlaczego nikt mu nic nie powiedział? Maarit wyniosła się do Oulu w tym samym roku, kiedy Tuomas zaczął szkołę, i do tej pory nie mógł jej tego zapomnieć. Jak przyjeżdża do nich ze swoim chłopakiem, Tuomas wierci jej dziurę w brzuchu, żeby wróciła do domu, ale siostra nie chce mu nic obiecywać. Teraz wyjeżdża Minna. Za chwilę również Tapio spakuje swoje czasopisma motoryzacyjne, odpali motorower i pojedzie w siną dal. Tuomas zostanie sam w tym wielkim domu. Babusia jest już stara i kiedyś w końcu umrze. A rodzice?

Tuomas zawsze miał poczucie, że wszyscy w tym domu najfajniej się bawili, zanim on przyszedł na świat. Bez niego powstawały wszystkie rodzinne historie, wszystkie zdjęcia, ścianki działowe, skrzydła zakładu i domki letniskowe z saunami. Dawniej mama tysiąc razy podpuszczała wszystkich do najróżniejszych szaleństw i sama łamała sobie nogi, jak próbowała zjeżdżać i skakać na nartach, chodzić na szrudłach i jeździć na rolkach, ale z nim to nie miała już nigdy ochoty na żadne wygłupy. I to nawet nie on zaniósł za ścianę

alkowy komiksy i dywanik.

Przy stole reszta rodzeństwa wspominała czasy, o których on nie miał pojęcia: mówiła o ludziach, których nigdy nie widział, i meblach, które on, odkąd pamięta, stały już na strychu, nikomu niepotrzebne. Niekiedy w zimowe wieczory mama nadziewała na wykałaczkę kotleciki i kawałki jabłek, a tata przynosił z zakładu ekran i rozkładał w dużym pokoju. Wszyscy siadali wtedy na tapczanie i oglądali stare przezrocza i filmy szesnastki, na których widać Maarit i Minnę w grubych rajstopach i okrągłutką główkę Tapia śpiącego na balkonie w wózku na mrozie. Kiedy Tuomas pytał, gdzie on wtedy był, dostawał zawsze tę samą odpowiedź:

– Ciebie wtedy jeszcze na świecie nie było.

Co Tapio kwitował kąśliwą uwagą, też zawsze tą samą:

– Ty to jesteś wypadek przy pracy.

– Nieprawda – protestował wtedy tata.

– A właśnie że prawda.

Drzwi strychu znów się otwierają. Na stopniach słychać kroki, młodsze i lżejsze. Zmierzają do samej góry i wchodzą na niezabudowaną stronę, mijają zbiornik wyrównawczy. Ktoś przykucnął w tym miejscu, w którym jest najciaśniej.

– Tuomas?

Cichy, ciepły głos Minny.

– Przepraszam.

Tuomas przywiera do ściany.

– Wiem, że tam jesteś. Ja też tam się kiedyś chowałam, ale teraz już się nie mieszczę.

Minna mówi do sufitu, musiała odchylić głowę do tyłu.

– Mielśmy ci powiedzieć, ale wiedzieliśmy, że tak czy siak właśnie tak się to skończy.

Trociny pachną dziś wyjątkowo mocno. Zapach wnika w ubranie. Tata opowiadał, że kiedy dziadek budował dom, on musiał miesiącami mieszać mokre trociny żelaznym hakiem, żeby nie zaczęły gnić. Minna nasłuchuje, czy Tuomas się nie poruszył.

– Przyjdiesz powiedzieć mi „cześć” na pożegnanie?

udzie dzielą się na dwie grupy: na tych, co wyjeżdżają, i tych, co zostają. Ci, którzy wyjechali, będą już zawsze tęsknić do miejsca, gdzie zostawili swoje korzenie. Będą tam wracać i opowiadać o dziwnych kolejach swojego życia, i żywić nadzieję, że ci, którzy tam zostali, nigdy się nie zmienią. Że pozostaną na zawsze właśnie tacy, że będzie można do nich wracać i razem wspominać dawno minione czasy niewinności. Ci, którzy zostali, zmieniają się tak wolno, że sami tego nie widzą. Tylko ci, którzy wyjechali, po każdym powrocie zauważają, że dzieciństwa już nie ma. Tapety w dużym pokoju pożółkły, na skroniach rodziców pojawił się szron i nawet słowa są już teraz inne niż za dawnych czasów. Jedni wyjeżdżają, drudzy zostają, lecz wszyscy sobie nawzajem zazdroszczą. Wszyscy tęsknią za tym, co było i minęło.

Najmłodsze dzieci to ci, co zostają. Starsze rodzeństwo opróżnia swoje pokoje, pakuje torby do samochodów i jedzie do innych miast, ale najmłodsze dzieci zostają i już nie mają wstępu do wspomnień z dzieciństwa. A kiedy w końcu i one wyjeżdżają, starsze zdążyły już wszystkiego doświadczyć, posmakować życia, skończyć naukę i założyć rodzinę. I z wyrozumiałym uśmiechem patrzą na najmłodszego brata, na jego próby odkrywania świata, który na tym etapie może człowieka jeszcze ciekawić. Kiedy najmłodszy brat próbuje im się zwierzać z kłopotów sercowych, dzielić z nimi radość z ukończenia szkoły i smutek rozstania, nie ma pojęcia, że usiłuje im tłumaczyć sprawy, które w ich życiu dawno zostały nazwane, określone i przemyślane. Ci, którzy wyjechali, już wiedzą, że pierwsza miłość dana jest człowiekowi po to, żeby odnosić do niej wszystkie późniejsze, mniejsze miłości. Dla nich jest rzeczą oczywistą, że rozejścia są ważniejsze od związków, które trwają. Oni już zrozumieli, że rozstaniem kreśli się granice między sobą a światem.

Minna nie odchodzi, czeka. Rozłożyła ramiona i zapraszająco porusza palcami. Na dworze zmierzcha. Tuomas przechodzi na czworakach pod niskimi belkami. I już teraz płacze z tej tęsknoty, którą poczuje znowu rano, kiedy wejdzie do kuchni i zobaczy za stołem puste miejsce przy tacie.

## Zakazany owoc, marzeń ciemnych tabu

Spoinę krawężnika i asfaltu wypełnia smoła, która klei się do butów. Tuomas próbuje niepostrzeżenie zetrzeć ją o krawędź płyty. Nic z tego. Ulice miasta są rozżarzone, choć to dopiero rano. Tuomas nie przywykł do takiej temperatury, raz tylko byli całą rodziną na Rodos. Ale tam było ciepłe morze i wiatr, i cień. A dzisiaj w Helsinkach powietrze stoi i zewsząd bije niemiłosierny skwar. Kari otworzył duże okno w gabinecie, a mimo to na tapczanie obok stołu do masażu Tuomasowi było gorąco.

Teraz Tuomas idzie ulicą Kapitańską. Z Petersburskiej dobiegają dźwięki akordeonu. *Leśne kwiaty*. Idzie w stronę nabrzeża, dla pewności ogląda się jeszcze na lewo i prawo i przechodzi przez tory, choć podobno kolej portowa już jeździ. Nad samym brzegiem wieje słaba bryza. Ledwo się ją czuje na skórze ramion, nie daje człowiekowi żadnej ochłody. Tuomas wraca na ulicę Morską.

Ma wrażenie, że miasto opustoszało. Helena się śmiała, że w ich rodzinie wszyscy muszą zawsze płynąć pod prąd i on też przyjechał ze wsi do miasta akurat wtedy, kiedy wszyscy miastowi uciekli do lasu na swoje letniska. Ulica jest zupełnie pusta, więc Tuomas czuje się śmieiej i z ciekawością ogląda kamienice. Wszystkie fasady mają jakieś występy, wykusze i kolumny. Jeden budynek wygląda jak litera U: pośrodku oddała się od ulicy, tworząc osłonięte podwórko, na które prowadzi kilka kamiennych stopni. W wewnętrznych narożnikach stoją wysokie wieże o dachach tak zielonych od patyny jak zamontowany przez ojca odgromnik w domu.

Z bramy wychodzi na ulicę pan z psem. Tuomas odwraca spojrzenie od wieży. Nie chce być wzięty za wścibskiego turystę. Przyśpiesza kroku i dalej idzie już normalnym tempem. Tu, w mieście, ma wrażenie, że wszystkim gdzieś się śpieszy, i sam nie umie iść powoli, tak jak w domu. Na rogu skręca w Panieńską. W cichym mieście dźwięki akordeonu niosą się aż tutaj. *Drwalska*

polka. „Na wysokim, na pagórku szumi gonny świerk...”.

Dobrze mu tutaj. Helena i Kari całe dni spędzają w pracy i Tuomas może sobie swobodnie łązęgować po mieście. Parę razy poszedł z Karim do kina, a Helena zabrała go nawet do teatru. Było całkiem nieźle i tylko na samym początku musiał jej powiedzieć, że teraz mówi Don Juan, a teraz Elvira. Wieczorami ciotka opowiadała mu swoje zmyślane historie. Ale dzisiaj jest niedziela i wszyscy są od rana w domu. Helena zaproponowała, żeby popłynęli razem na Seurasaari, lecz Kari wolał zoo. Oboje chcieli mu pokazywać nowe miejsca, żadne jednak nie zamierzało ustąpić i w końcu Tuomas wyszedł z domu sam.

Tak zresztą było dla niego najlepiej. Nie musiał się bać, że ciotka wpadnie pod samochód albo Kari wyjdzie z siebie z byle powodu. Mógł krążyć sobie po mieście jak wolny elektron. Bardzo chciał się upodobnić do otoczenia, zmienić w kogoś zupełnie innego. Tak jak Maarit i Minna w Grecji, kiedy na plaży poszły do baru i rozmawiały ze sobą po angielsku. Udawały lepsze cudzoziemki, dopóki tata nie narobił im wstydu, podchodząc do nich i mówiąc po fińsku, do tego jeszcze tą ich ciężką gwarą. Tutaj Tuomas nie stawał, żeby popatrzeć w okna wystawowe, nie oglądał się na auta, nie gapił na rzeźbione fasady kamienic. Kupił sobie w kiosku butelkę coli, poszedł do Kaivopuisto i legł na trawie jak parę innych osób. Nie miał otwieracza i kiedy próbował otworzyć butelkę o kamień, utracił z kapsłem szyjkę. Rozejrzał się szybko, czy ktoś nie zauważył, lecz nikogo nie obchodziły jego poczynania.

Długo siedział na obrzeżach parku, skąd widział wszystko, nie budząc niczyjego zainteresowania. Rola obserwatora bardzo mu odpowiadała. Coś go w mieście pociągało – w sposobie poruszania się jego mieszkańców, w tym, jak trzymali innych na dystans. Przypatrywał się właśnie grupce młodych mężczyzn; kilku zdjęło koszule i rozłożyło się wygodnie na trawie. Nawet włosy nosiło się tu inaczej niż w jego stronach. Albo zaczesane na żel do tyłu, albo ułożone w wysoki czub. Tapio by od razu prychnął pogardliwie: „Faceci, a czeszą się jak baby”.



Tuomas skręca w ulicę Petersburską. Pociąga za rękawek koszulki, który wrzyna mu się w pachę, i nasłuchuje. „Zamknij oczy, dziecko me, zaśnij snem szczęśliwym”. *Lapońska kotłysanka* odbija się echem od okien i biegnie mu naprzeciw. Po tej stronie ulicy jest jeden nowszy dom, ma cokół obłożony płytami i pięć pięter, ale nie jest wcale wyższy od trzypiętrowych kamienic naprzeciw. Prawie wszystkie inne budynki są starsze. Jeden ma okazałą wieżę, inny znów stożkowate wejścia i niemal okrągłą bramę podwórzową, którą wieńczy wspaniała krata z kutego żelaza. Dom Heleny na zbiegu ulic jest najbrzydszy w całej okolicy. Stoi na siedmiu klinkierowych filarach, kryjących w swoim cieniu niewielką kawiarnię. Budynek ma dwie części; wyższa patrzy na jedną ulicę, niższa na drugą. Spina je piętrowy łukowaty łącznik, w którym mieści się pralnia. Helena z Karim mieszkają na drugim piętrze niższej połówki, dokładnie nad wejściem. Balkon jest od ulicy. Tuomas powiedział kiedyś ciotce, jak wygląda jej dom, ale Helena odpowiedziała, że nie ma to dla niej większego znaczenia.

– Chyba przyjemniej mieszkać w brzydkim domu z widokiem na piękną kamienicę niż z okien pięknej kamienicy patrzeć codziennie na brzydki dom, co?

Tuomas chciałby tu zamieszkać, wzdłuż i wszerz przemierzyć każdy kwartał miasta i każdy jego park. Nauczyć się na pamięć historii każdego pomnika i umieć powiedzieć parę słów o każdej ulicy, tak jak Helena. Podpowiadałby innym najlepsze punkty widokowe w mieście, choć sam tak przywykłby do niego, że już by go nawet nie zauważał. Jeździłby swobodnie tramwajami i nie musiałby uważać, czy wysiąść na tym, czy na następnym. Zresztą przystanki już trochę ćwiczył, pożyczył od Heleny białą laskę, założył okulary przeciwsłoneczne i cały dzień jeździł za darmo po mieście. Nikt go nie zapytał o kartę inwalidzką. Tutaj nauczyłby się rozmawiać z turystami po hiszpańsku, francusku i holendersku, bo na północ docierają tylko Niemcy, którzy szukają miejsc bitew z czasów wojny. Zachodzą nawet do ich sklepu i pytają, czy Fotomama jeszcze pracuje.

Tuomas studiował plan miasta w książce telefonicznej Kariego, żeby potem nie pytać o drogę. Duże wrażenie zrobiło na nim już to,

że miasto nie mieści się na dwóch stronach, jak jego rodzinna wieś, tylko musi mieć tych stron całe dziesiątki. Z zazdrością patrzył, jak ulice wpływają do tuneli i tory kolejowe biegną w ciasnym wąwozie, zafascynowany czytał nazwy. Ulica Apollina. Stary Trakt. Plac Dzielny.

I ta pustka. Jak gdyby całe miasto należało tylko do niego.

Pod bramą domu wyciąga klucz z tylnej kieszeni dżinsów. Helena mu tłumaczyła, że do drzwi zewnętrznych trzeba go wsuwać tak, a do wewnętrznych odwrotnie i wolał jej już nie mówić, że to przecież widać. Wsuwa klucz do zamka i ciągnie za klamkę. Dźwięk akordeonu urywa się na „Kuusamo, Kuusamo, Kuusamo”. W górze ponad poręczą ukazuje się głowa Heleny. Nasłuchuje. Ma na sobie tylko jasną halkę i biustonosz. Włosy sterczą w nieładzie.

– Tuomas, to ty?

Nie odpowiada, tylko po cichu wślizguje się z ulicy do bramy.

## Pod obcym, gorzkim niebem

– Masz, trzymaj.

Tata kładzie mi coś na dłoni. Cienka deszczułka z obłymi krawędziami. Na niej nawinięty sznurek. Ciągnę. Drugi koniec biegnie w stronę ścierniska. Wiatr pachnie zimnym lasem i szczypie mnie w nos. Niedługo spadnie pierwszy śnieg.

– Co to jest?

Głos Johannesesa dobiega daleko z pola:

– Zaraz będziesz wiedziała!

Wiatr podwiewa spódnicę. Jest mi zimno. Nagle sznurek się napręży i szarpie deszczułką. W porę zaciskam palce, bo wyrwałyby mi ją z dłoni. Słyszę śmiech taty.

– Tylko próbowałem! – rechocze Johannes.

– Mocno trzymaj! Johannes, gotów?

– Tak!

– To próbujemy!

– Co to jest? – pytam, lecz wiem, że tata mi nie zdradzi, co tak pilnie majstrował wieczorami przy warsztaciku w kotłowni od początku tygodnia. Dlaczego Johannes już wie, a ja jeszcze nie?

Sznurek się napręży i słyszę, jak Johannes biegnie polem w lewo. Wiatr podrywa mi włosy, choć mama spięła je wsuwkami. Chcę je założyć za ucho, lecz tata zaraz krzyczy z boku:

– Helena, nie puszczaj teraz!

Coś ciągnie za sznurek i unosi go wyżej i wyżej, do nieba. Szarpie i miota, szamocze. Nie rozumiem, jak sznurek może się podnosić, skoro tata śmieje się po prawej, a Johannes pobiegł gdzieś w lewo. Przecież słyszałam, jak biegł i sapał. Sznurek ciągnie do góry tak, że zupełnie prostuje mi ramię. Chcę już puścić tę deszczułkę. Boję się.

– Co wy robicie?!

Wszyscy mają tajemnice, o których nic mi nie mówią. Tata ciągle się śmieje. Ale prawie go nie słychać przez wiatr.

– To latawiec!

– Nie!?

Nie wiedziałam, co to takiego. W ubiegłym tygodniu Johannes czytał na głos książkę, aż doszedł do miejsca, gdzie Jie i Guo czekają z latawcami na mocny wiosenny wiatr. Nie wiedziałam, co to znaczy, Johannes też nie wiedział. Już o tym zapomniałam, lecz tata musiał to usłyszeć albo Johannes w końcu go spytał o te latawce.

– Powiedz mi, jak wygląda!

Deszczułka w dłoni chce wyrwać się z dłoni, szarpie tak, że muszę zrobić krok w bok i do tyłu, inaczej bym upadła.

– Rozmiary ma takie jak ta duża skrzynia z robótką w jadalni. I kształt podobny, może tylko trochę jest dłuższy.

– Dużo waży?

– Nie, bo musi być tak lekki, jak się da. Kształt ma tylko skrzyni, a ścianki nie są z drewna, tylko z materiału. I pośrodku mają dziury, żeby wpuścić do środka wiatr.

– I teraz jest tak wysoko!

– Wyżej niż dach naszego domu! Prawie dwa razy wyżej!

Johannes podchodzi do mnie.

– Daj mi też potrzymać.

– Za chwilę.

Ściskam deszczułkę obiema rękami, żeby nie puścić latawca. Radość łaskocze w dołku i tryska przez usta parsknięciami śmiechu.

– Skąd tata wiedział, jak go zrobić?

– A, znalazłem rysunek w takiej jednej książce – odpowiada tata i znów się śmieje.

Targa mną wiatr. Podskakuje i sprawdzam, czy i mnie by uniósł. Prawie się udało.

– I piękny jest? – upewniam się u Johannesesa.

– Jest. Zielony.

– Mój ulubiony kolor!

Tata odchrząka.

– Johannes, skocz no po moje rękawiczki.

– Tam leżą. Możemy je zabrać, jak będziemy wracać.

– Przynieś mi teraz.

Johannes idzie. Nie wiem za bardzo, jak daleko do domu, ile pola uszliśmy w kierunku jeziora. Tata znów odchrząkuje, tak samo jak wtedy, gdy Johannes spytał go raz, gdzie uciekły kocięta kotki z obórki.

– Helena... – zaczyna dziwnym głosem i zaraz urywa.

Nie odpowiadam, bo mocuję się z deszczułąką.

– Rozmawialiśmy z babusią. I z mamą.

– O czym?

Wiatr jest bardzo mocny, lecz udaje mi się ściągnąć trochę latawiec.

– Wygląda na to, że po zimie trzeba będzie jechać.

– Dokąd?

– Na południe. Daleko.

Johannes już jest z powrotem. Sapie, ale usłyszał ostatnie słowa taty.

– Długo cię nie będzie? – pyta.

– To nie ja wyjeżdżam – odpowiada tata.

Czuje, jak chłód z ziemi zaczyna się przesączać przez mokre buty i zaraz pnie się wyżej, do łydek i ud. Johannes jeszcze nic nie rozumie.

– Będę musiał gdzieś wyjechać? – pyta cienkim ze strachu głosem.

Chłód sięga brzucha i wypełnia go mrozem nadchodzącej zimy. Wije się i szuka sobie drogi wyżej, aż do latawca. Trudno mi oddychać.

– Nie ty. – Tata odpowiada Johannesowi, a ja czuję, jak gęsty śnieg i lód osiadają mi już na płucach. Podnoszę ramiona. Przeszuję z nogi na nogę, żeby zerwać korzenie zimy. Nie mogę jej pozwolić sięgnąć zielonego latawca. Odwracam się plecami do taty. Johannes ciągle nie rozumie. Nie rozumie nic.

– To kto? – pyta.

Głupek. Matoł. Tępak. Baran, osioł, krowia dupa. Idiota. Imbecyl. Głuchoniemy, kulawy, ślepy kuternoga.

Drepczę w miejscu, nie mogę dopuścić zimy do latawca, lecz korzenie ma już grube, już oplatają mi serce. Deszczułąka próbuje wyrwać mi się z rąk, a ja podskakuje, żeby polecieć. Nagle słyszę, że

w drzewach nad brzegiem rzeki wzmaga się wiatr. Czekam, aż dotrze tutaj. Smaga mnie po szyi, szarpie za włosy i ciska mi je na rzęsy. Wicher. Tata coś mówi, lecz go nie słyszę, nawet nie słucham. Spódnica łopocze, wiatr targa sznurkiem latawca.

Przykucam i wyrzucając w górę ramiona, wybijam się mocno z obu nóg. Wiatr porywa latawiec, ciągnie go wysoko i ja też odrywam się od ziemi, od chłodu, taty i Johannesesa. Ledwo trzymam deszczułkę. Przyciągam ją do brzucha i przytrzymuję jedną ręką, a drugą chwytam sznurek. Jest tak naprężony, że gra jak struna skrzypiec. W dole słyszę przerażone okrzyki taty i Johannesesa. Biegną obaj za mną, ale nic z tego, bo wiatr wynosi mnie prosto w górę, i to tak gwałtownie, że kręci mi się w głowie. Już nie słyszę głosów. Szarpnię sznurek w dół i udaje mi się trochę go poluźnić. Wichura kręci, kręci mną dokoła, owijam się sznurkiem w pasie i okręcam na nim deszczułkę.

Wiatr pachnie lasem, sośniną i moczarem. W dole chłód wyciąga swoje macki, jakby chciał mnie złapać, lecz nic mi nie robi. Jestem tak wysoko, że zima mnie nie dosięgnie. Wyciągam ramiona i daję się nieść prądowi powietrza. Rozpinam płaszcz i rozkładam poły niczym skrzydła. Wicher już nie szarpie mnie w górę, lecz niesie na północ, gdzie czas się zatrzymał, gdzie nigdy nie będzie wiosny i nikt nie będzie musiał nigdzie wyjeżdżać. W powietrzu czuję zapach pierwszego śniegu.

## W nocy nie śpię, w dzień nieprzytomny

„Tacy mężczyźni wolą traktować swój problem jak wrodzone znamię albo deformację stopy – ułomność, z którą będą musieli się zmagać już do końca życia”.

Tuomas bezgłośnie zamyka za sobą drzwi pokoju na poddaszu. Mroźne powietrze z początku zatyka, ale organizm szybko się przestawia. Oblodzone deski schodów skrzypią pod butami. Śniegu napadało grubo ponad metr. Na linkach do suszenia prania stoi cienka biała taśma. Tuomas rusza w stronę ulicy, zakłada na uszy słuchawki, sięga do swojego walkmana i puszcza kasetę. *Sweet Dreams Are Made of This*. Patrzy przelotnie w okna na piętrze. Nikt nie zauważył, że znowu wyszedł z domu.

W ubiegłym tygodniu Tuomas przerysowywał w domu zdjęcia z czasopisma. Jari Kurri był prawie gotowy, brakowało już tylko cieni na twarzy i lewego buta. Nagle ołówek zatrzymał się na nosie hokeisty. Tuomas nie odrywał wzroku od swojego dzieła, siedzącego przy barze mężczyzny, który prawą stopę postawił na podłodze, a lewą założył na podnózek stołka. Portret był udany, rozpoznawalny, lecz Tuomas przyglądał mu się ze zdziwieniem. Dlaczego go narysował? Nie oglądał hokeja, w ogóle nie lubił sportu. Wszystko przez nauczyciela wychowania fizycznego. Tuomas był wysoki, niezdarny i sztywny. Na zajęciach z gimnastyki wuefista kazał wszystkim usiąść i czekać, aż Löytövaara wreszcie raczy zrobić wymyk. Dwudziestu sześciu chłopaków przyglądało mu się niecierpliwie, w końcu więc nauczyciel przerwał te męczarnie.

„Nic z tego nie będzie”.

Od trzech tygodni Tuomas unikał wuefu, wymawiając się ropiejącą raną w lewym udzie po szczepieniu na gruźlicę.

Przejrzał swoje poprzednie rysunki. Paul Stanley, mimo że nigdy nie słuchał Kissów. Aktor, którego nie oglądał w żadnym filmie.

Piłkarz, spiker z telewizji.

Tuomas skręca z podwórza na drogę i idzie w kierunku końca wsi. Nie ma żadnego konkretnego celu, po prostu idzie i patrzy na śpiące domostwa. Zazwyczaj wybiera oblepione niską zabudową uliczki z dala od centrum, nie zagląda w okna, przemierza tylko ciche osiedla. Latarnie barwią śnieg pomarańczową żółcią. Brzozy przy domach trzeszczą w tężejącym mrozie. Para osiada szronem na szalu.

Matka zauważyła jego nocne wyprawy. Kiedy rano myła zamykane woreczki i przyklejała mokre od środka do drzwiczek ociekacza, spytała go mimochodem, skąd mu się wzięło to łążegowanie. Nie potrafił odpowiedzieć. Chyba fajnie tak być zupełnie samemu w mroźnej ciemności i tak po prostu iść przed siebie. Tuomas często wyłącza walkmana i słucha trzeszczenia śniegu pod butami. Matka uważa to wałęsanie się po nocy za dziwactwo. Co też sobie ludzie pomyślą, jak go ktoś zobaczy? Tuomas tłumaczy, że o tej porze nikogo na ulicy nie ma. Cała wieś leży zagrzebana pod pierzynami i czeka na pierwsze objawy wiosny, chlupot topniejącego śniegu i ruszenie lodów na wielkich rzekach.

Ojciec w ogóle nie podjął tematu. Czytał „Helsingin Sanomat”, przysłuchując się rozmowie jednym uchem. Przecież i myśmy często wychodzili wieczorami na spacer, skomentował tylko, ale zdaniem matki to była inna sprawa. Ojciec często powtarzał, że nasłuchał się jako dziecko tylu kłótni i krzyków, że nie zamierza fundować własnym dzieciom podobnego dzieciństwa. Dlatego rodzice Tuomasa zakładali tenisówki, ledwo spostrzegali pierwsze rozbieżności zdań, i nie wracali do domu, dopóki się nie dogadali. Po wielu godzinach spędzonych na dworze chciało im się już tylko śmiać.

Ojciec wrócił do czytania gazety. Przewertował ogłoszenia drobne i znalazł ogłoszenia o planowanych remontach ulic.

– Helena chyba chodzi przez Wysokogórską? Będą tam kłaść nowe rury kanalizacji. Muszę zatelefonować i ją uprzedzić.

Tuomas od początku tygodnia przeglądał w bibliotece kartoniki katalogu rzeczowego. *Automatyka, Bobry, Ciecze*. Przebiegał szybko



palcami po kolejnych literach: *Elektronika, Fale – oceany, Grafika – technika*. Przy literze „H” prędkość wertowania zmalała i Tuomas zaczął przyglądać się hasłom dokładniej, badawczo. *Hafciarstwo, Handel, Higiena – odżywianie, Hodowla – glony, Horoskopy*. Cofnął się, przekładał teraz karty bardzo powoli. Wreszcie znalazł właściwe słowo, to usłyszane w szkole na przerwie, z pudełka na szafce wyjął karteczkę i zapisał na niej kod regału oraz trzy pierwsze litery nazwiska autora. Wyruszył na poszukiwanie właściwego miejsca, krążąc między regałami i odczytując z ich boków nazwy działów: *Antropologia kultury, Astronomia – biografie, Folklor, Matematyka*. Kody zaczęły być coraz bliższe tego, który sobie zapisał. *Entomologia, Kosmologia*. Po tej stronie regału *Medycyna i Higiena*. Po drugiej, w najdalszym od stanowiska dyżurnego kącie sali – to, czego szukał.

W niewielkiej czytelnicy już ktoś siedział. Dziewczyna w czerwonej kurtce złożyła na stole stertę poradników kosmetycznych. Zerknęła na Tuomasa, który w obecności innych nie miał odwagi szukać właściwego miejsca. Zlustrował więc szybko regał, dostrzegł plastikowe literki szukanego kodu na dolnej krawędzi regału, po czym przeszedł do czytelnicy. Dziewczyna wbiła z powrotem spojrzenie w *Domową kosmologię* i skupiła się na lekturze. Tuomas usiadł przy stoliku pod dużym oknem i spojrzał na zaśnieżony parking. Postanowił poczekać, aż dziewczyna sobie pójdzie, wyjął więc z torby wypożyczoną wcześniej książkę. Na okładce widniała twarz brodatego mężczyzny i żaglowiec. *Nazywaj mnie Izmaelem*.

Tuomas przechodzi na drugą stronę wsi po skutej lodem rzece. Na brzegu można latem dostrzec pagórki, to pozostałości po ziemiankach. Mija duży drewniany budynek kina, gdzie przed seansami puszczają zawsze tę samą płytę i każdy widz zna na pamięć kolejność utworów. Jeszcze po latach każdy ziomek z ich wsi po *I Put a Spell on You* będzie spodziewał się usłyszeć *Proud Mary*, a po niej *Bad Moon Rising*.

Płoty wzdłuż dróg nie zdołały zatrzymać śniegu i wiatr zasypał ulice na grubo. Na podwórzu wielkiego budynku zespołu szkół najpierw zgarniano go na wielkie sterty, a kiedy zaczęło brakować na

nie miejsca – spychać po stoku do bagna. Obsypało też zegar nad wiatrołapem podstawówki. Cyfrowa tablica pokazuje dziewięć minut po północy i trzydzieści siedem stopni mrozu. Podnoszący się z kominów dym pachnie sosnowym drewnem.

Za oknem biblioteki zapadł już zmierzch, kiedy Tuomas zauważył, że dziewczyna w czerwonej kurtce idzie przez parking w kierunku pętli autobusowej. Wsadził książkę z powrotem do torby i podszedł do ostatniego regału. Zostawił torbę na pobliskim stole i z bijącym sercem zaczął przeglądać kody działów.

59.31 *Dietetyka. Diety*, 59.34 *Kosmetyka*. Tuomas się zatrzymał. 59.35 *Seksuologia*. Wreszcie. Wyciągnął z kieszeni karteczkę i odnalazł poszukiwane dzieło. Jasnożółta okładka, na niej czarnymi literami zapisany tytuł: *Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o seksie*. Ostatnie słowo na czerwono. Tuomas wyciągnął książkę z półki i wrócił do stolika. Przejrzał spis treści, odszukał stronę 163 i zaczął czytać.

„O homoseksualizmie mówimy wtedy, kiedy mężczyzna interesuje się emocjonalnie i seksualnie innymi mężczyznami”.

Do biblioteki wszedł nieznajomy mężczyzna w niebieskiej czapce, nie zwrócił jednak na niego żadnej uwagi. „Większość homoseksualistów traktuje to jako wyzwanie, któremu stawiają czoła nadzwyczaj pomysłowo i nie szcędząc sił”. Nieznajomy obrzucił wzrokiem tę samą półkę, lecz nie znalazł na niej tego, czego szukał, przeszedł więc na drugą stronę regału. „Preferują stroje kobiece, malują się i zachowują jak kobiety, a niekiedy usiłują nawet upodobnić się do nich pod względem fizjologicznym”. Tuomas poszedł po większą książkę i ukrył w niej czytane dzieło. „Wiele takich osób chciałoby sądzić, że homoseksualizm jest wrodzony – czytał dalej. – Jeśli homoseksualista znajdzie psychiatrę, który potrafi leczyć homoseksualizm, będzie miał wszelkie szanse po temu, aby stać się szczęśliwą osobą heteroseksualną, dobrze przystosowaną do życia”.

Tuomas zamknął książkę. Chciałby ułożyć sobie życie w tej wsi,

wiedział jednak, że to niemożliwe. Już teraz potrafił sobie wyobrazić, jakimi obelgami rzucono by za nim na ulicy. Wiedział, jak nazwałaby go babusia Lahja. „Sobierad”. Tym jednym obraźliwym słowem oddzielała ludzi zwykłych od tych, którzy się od nich odróżniali. Żarłoki, żartownisie, pyszałki, tchórze. „Istny sobierad”. Już nic gorszego nie mogło się człowiekowi w tym życiu przydarzyć: z konieczności stać na boku, samemu, z dala od reszty. A tego się lepiej nauczyć. Nie przywiązywać się do nikogo, nikim nie zachwycać. Otwarte drzwi zamykać, żeby się nie przejechać na złudnych perspektywach. Wszystko może mieć drugie dno, za wszystkim może się kryć zły zamiar.

Tuomas idzie wzdłuż budynku szkoły i spogląda w górę na okna klasy, w której rozpoczął naukę. Mama zaprowadziła go tam pierwszego dnia. Przy samym wejściu do budynku poprosił ją, żeby go już puściła, ale mu odparła, że jest jej najmłodszym dzieckiem i będzie trzymać go za rękę tak długo, jak uzna za stosowne.

Jak by to było trzymać za rękę kogoś podobnego do siebie? Znaleźć kogoś takiego, z kim można by się śmiać i wygłupiać, a czasem po prostu być razem i wcale nic nie mówić? Tak jak Tapio i Laura albo Minna i Maarit ze swoimi chłopakami w tamtych czasach, kiedy siostry jeszcze mieszkały w domu. Jak by to było, gdyby w niedzielę usiedli całą rodziną do obiadu, a Tuomas podsunąłby mu pieczeń z renifera i spytał, czy jeszcze sobie nałoży?

Na lodowisku pogaszono już reflektory. Mróz chyba ciągle tężeje. Tuomas owija sobie usta szalem i oddycha przez materiał. Zamierza obejść wszystkie ulice i osiedla we wsi. Chce zawczasu zapamiętać wszystkie swoje trasy i każdy budynek, skrzywione gonne sosny i zakopane pod śniegiem krzewy. Już teraz żegna się z tym miejscem, choć jeszcze nigdzie się nie wynosi. Wie jednak, że ta chwila z każdym dniem się zbliża.

„Homoseksualiści gromadzą się zwykle w dużych miastach, bo tam łatwiej im się uwolnić od więzów rodzinnych i kontroli społeczeństwa”.

# Część druga

## Rozwój majątku

*Każdy wiedział, że Karol August Mocznym ożenił się dla pieniędzy. Ale Balbina Sikulska...*

*– A może von Urinoff? – proponuje Helena.*

*– No pewnie! Ale Balbinie von Urinoff nie można było nic zarzucić. Miała nadzwyczaj spokojny i zgodny charakter i tak dobrą rękę do akwareli, że byłaby świetną partią dla każdego. Od nadprodukcji żółci policzki miała trochę żółtawe, poza tym jednak była kobietą mniej więcej piękną, a jak się człowiek bardzo postarał, to nawet i towarzyską.*

*Ale najważniejszym powodem były oczywiście rublowe miliony jej ojca. Poprzednie pokolenia Mocznym doprowadziły majątek do takiej ruiny, że zaprojektowane onegdaj przez miejskiego architekta ze wschodniej stolicy kapitele spadały z pilastrów od najłabszego stuknięcia drzwi. Od kilkudziesięciu lat dzieci nie zbliżają się na mniej niż pięć łokci do ścian budynku, jako że już co najmniej sześćośro ostatnich krewniaków zdążyło stracić życie pod spadającą z gzymsu lawiną stiuku.*

*Na szczęście w rodzie nie brakowało potomków. Żaden baron Mocznym nie mógł się poszczycić ani jednożeństwem, ani tym bardziej religijnością, i tak każda najęta do pracy w majątku dziewczka i służąca trafiała do sypialni gospodarza, a od czasu do czasu i co bardziej urodziwy chłopiec stajenny. Kilka dziewcząt powiło dziecko i każde z nich miało w majątku utrzymanie i godziwą pracę. Nie sposób za to zliczyć, ile dziewczek służebnych rzuciło się w bystrze Moczyska, bo wylawiano je w Rudawiźnie całymi tabunami. Topielice znoszono potem do sauny w majątku, gdzie czekały na trumnę, ale za czasów Karola Augusta zrobiło się ich tyle, że w saunie nie można się było już w ogóle kąpać. Jeśli w środku nie leżała wyłowiona dwa dni wcześniej pobladła krowiarka, to przypominał o niej unoszący się w powietrzu trupi zaduch. Dlatego na topielice wybudowano oddzielną saunę na placu równym połowie powierzchni głównego budynku.*

*– W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym tę wielgachną saunę*

*przeniesiono na wyspę do skansenu i dla uniknięcia skandalu napisano, że to wspólna sauna trzech wsi.*

*Na przełomie wieków Karolowi Augustowi i Balbinie urodziło się dziecko.*

*– Urynia?*

*– Tak, Urynia!*

*– Dziewczynka okazała się dzieckiem krnąbrnym i samowolnym. Chodziła w pożółkłej tunice i nic sobie nie robiła z ojca, który domagał się, by znalazła sobie odpowiednią partię, wyszła za mąż i zaczęła zapępniać ziemię. Biedaczka odczuwała szczególny pociąg do sztuki i w końcu, w wieku dziewiętnastu lat, porzuciła rodziców i wieś, w której dorastała, i uciekła do stolicy. Znalazła dom w świecie ulicznych grajków i klubowych tancerek, występowała na scenach teatralnych i w kabaretach, aż w końcu trafiła do wytwórni filmowej Fennia i zrobiła karierę w kinie niemym.*

*– Pod pseudonimem artystycznym Gloria Siklawa.*

*– Wiadoma rzecz – odpowiada Tuomas.*

## Naucz, Ojczy, dziatki swoje

Mam łóżko w sali młodszych dziewcząt internatu szkoły dla niewidomych, szóste w rzędzie bliżej drzwi, liczone od strony pokoju wychowawczyń. Pokój z przyborami do mycia i pościelą ma numer dwa. Tego znaku w brajlu musiałam się nauczyć zaraz pierwszego dnia. W szatni moja szuflada jest druga od ściany z oknem albo piąta od przeciwległej ściany. Na korytarzu mój wieszak z płaszczem jest siódmy. W pokoju dziennym szafa jest pierwsza, zaraz przy drzwiach, w jadalni siedzę przy trzecim stole, pierwsza na ławie pod ścianą. W klasie mój pulpit stoi w pierwszym rzędzie przy ścianie okiennej, w kaplicy stoję czwarta w trzeciej kolumnie. Sobota to dzień zmiany pościeli. Poszwy się ściąga, a materac odwraca, ale to nie dotyczy tych wychowanków, którym go zabrano za rozmowy w nocy, głośny płacz albo śpiewanie szlagierów. Jak ktoś złamie regulamin po raz drugi, jego łóżko wyjeżdża na głuchy korytarz pod duże okno, które strasznie jęczy, jak tylko zacznie wiać. Dziewczęta, które mają materac, zakładają nowe spodnie prześcieradło, a robi się to tak, że z obu końców zwiążuje się narożniki w supły i do środka wsuwa materac. Potem zakłada się wierzchnie prześcieradło i na koniec kołdrę. Młodsze dziewczęta nie mogą używać narzuty, starsze za to muszą. Raz na dwa tygodnie trzeba zmienić pościel na czystą, poszewkę poduszki i ręcznik raz na tydzień. Pościel musiałam przywieźć ze sobą z domu. Mama wyszyła na niej pismem dla widzących H kropka L kropka.

W sypialni jest nas osiemnaście i co tyle tygodni każda ma tygodniowy dyżur. Wtedy trzeba rano i wieczorem umyć ławę i wszystkie miski. Potem płucze się je wodą i wyciera ścierkami. Na koniec ścierki się pierze i wywiesza na sznurze. Co osiem tygodni jest dyżur przy zmywaku, kiedy się myje wszystkie naczynia całej szkoły z obiadu i kolacji. W niedzielę wypada jeszcze zmywak poranny, bo wtedy nie ma lekcji, tylko czas wolny. Dziewczęta mają co dwunasty

tydzień mycie kubków i talerzy po podwieczorku, chłopcy mają wtedy tydzień noszenia drewna. Potem, jak się przeniesiemy do sali starszych dziewcząt, będziemy miały tydzień obierania ziemniaków. Każda ma swoją kolejkę podczas modlitwy. Kiedy jest tydzień zamiatania, w trzyosobowych zespołach sprzątamy całą jadalnię.

Jesteśmy cały czas pod obserwacją. Dlatego lepiej tu, na uboczu, trzymać się razem i wspólnie się uczyć, jak być zwyczajnym człowiekiem. Jak się już jest niewidomym, nie można być jeszcze dziwadłem, bo zwyczajni ludzie nie lubią patrzeć na kogoś, kto za bardzo się od nich różni. Dziwacznie można się zachowywać tylko wtedy, jak się jest słabym na umyśle, bo po kimś takim nikt się niczego nie spodziewa. Takich osób nie chce się nawet na oczy oglądać. Ale jeśli ktoś jest tylko niewidomy, to musi uważać, żeby się za bardzo nie odróżniać od innych. Nie może się kołysać ani przyciskać oczu palcami, choćby nawet było to przyjemne. To są tak zwane blindyzmy i trzeba się ich pozbyć, bo inaczej nie będzie się mogło żyć między ludźmi.

Popołudniami można przebywać na ogrodzonym dziedzińcu szkoły i nauczyłam się tak dobrze skakać przez skakankę, że podskakuje prawie w tej samej chwili, kiedy linka uderza o ziemię. Na piasku są huśtawki, a po stronie dziewcząt jeszcze taka belka, na której siada się po obu końcach. Na środku dziedzińca stoją dwa stare wagony tramwajowe i możemy się w nich bawić w motorniczego i konduktora.

Na drzewach tutaj mieszkają ptaki, których głosów nie znam. Słońce świeci na podwórze rano, a potem znowu po południu i wtedy nagrzewa skały. Opieram się o gorący kamień i czytam list z domu, że na północy jeszcze pełno śniegu i na miejscu spalonego kościoła już powstaje nowy. Na letnisku tata rozciągnął nowe relingi, dzięki którym na wiosnę będę mogła sama wszędzie chodzić. Tata napisał list brajlem i podpisał go „domownicy”.

Przesuwam opuszkami po słowach taty, łaskotanie wyciśniętych w papierze punktów przekształca się w mojej głowie w obrazy, na których słońce ogrzewa pnie chojarów i wytapia w śniegu dokoła nich szerokie leje, gdzie można znaleźć gałązki wrzosu i bażyny. Ogarnia



mnie nagła tęsknota. Latem próbowałam nauczyć Johannesesa czytać brajla z zamkniętymi oczami, lecz nic nie rozumiał, musiał co chwila otwierać oczy i patrzeć. Dopiero potem nauczył się liter. Ale pisać to i on już umie i czytam, że wszystkie domy na Lopotti są już gotowe. We wsi jest podobno tyle dzieci w tym samym wieku, że chodzą do szkoły na dwie zmiany, i dlatego planuje się już na poważnie budowę nowej szkoły. Johannes pisze, że czasem w nocy nie może zasnąć, lecz na ten temat nigdy się nie rozpisuje. Anna nie pisze, zawsze za to przekazuje pozdrowienia. Od mamy nie przychodzi nic.

Odpisuję. W ubiegłym tygodniu wyprowadzili nas do miasta. Każda z nas była przywiązana w pasie do długiej liny, żebyśmy się nie zgubiły albo nie weszły na jezdnię. Na Długim Moście Eeva spytała nagle, kto zgasił słońce. Nie miała pojęcia, że właśnie oślepla na dobre. Lekarz powiedział, że jakiś czas temu miała jeszcze widzenie szczątkowe, ale że nie da się już go przywrócić. Nie mówię tego na głos, mogę za to napisać, że jestem szczęśliwa, że nie mam już nawet tego szczątkowego widzenia, bo inaczej płakałabym tak strasznie jak Eeva.

Czasami w nocy, kiedy jest cicho, nagle dopada mnie chłód. Wspina się z ziemi po nogach łóżka i łapie mnie za krzyż. Wtedy sznurek latawca zaczyna mnie szarpać za rękę, jak tamtego dnia na ściernisku. Głos taty znowu jest zdławiony.

„Babcia uważa, że jesteś bystra i pojętna. Ja cię już więcej w domu nie potrafię nauczyć”.

W łóżku słyszę, jak Johannes pociąga nosem obok mnie, bo przez mróz słyszę wszystko dobrze.

„Ja mogę w domu nauczyć Helenę tego wszystkiego co w szkole – chlipie mój mały płaksa. – Będę się nią opiekował”.

Obracam się do niego. Latawiec rwie mi ramiona, lecz nie porywa w górę, nie wybawia.

„To ja jestem starsza. Nie możesz się mną opiekować”.

Tata staje tuż obok, pochyla się i mocno mnie przytula. Pachnie papierosami i brylantyną. Do jego swetra przyczepił się także jakiś nowy zapach, lecz nie mogę ustalić, co to takiego. Chciałabym objąć tatę ramionami. Chłód sięgnął już oczu i wyciska z nich łzy. Zbliżam

usta do ucha taty i mówię bardzo cicho, żeby reszta sypialni mnie nie usłyszała:

– Przepraszam za to, że byłam zła.

– Wcale nie byłaś – odpowiada. – Ale tata nie zawsze tu będzie.

Głos mu chrypi. Przyciska mnie jeszcze mocniej, mówi, że teraz muszę być dzielna i radzić sobie sama.

– Z kim rozmawiasz? – pyta Annikki z sąsiedniego łóżka i odpowiadam, że nic jej do tego. Przepraszam ją zaraz z samego rana.

Chciałabym napisać do domu, że w nocy powietrze w sypialni jest ciężkie od tłumionego płaczu. Pod kołdrami dziewczęta krzyczą, że chcą do mamy, do sióstr i braci. Sylvi płacze za króliczkiem, którego nie mogła tu przywieźć. Wszyscy tutaj są niewidomi, ale są i tacy chłopcy i takie dziewczynki, które mają na dodatek coś jeszcze. Wychowawczynie szepczą sobie o nich, kiedy wydaje im się, że nikt ich nie słyszy. W ich rozmowach nie padają imiona i nazwiska, tylko nazwy miejscowości.

– Ten, co go przywieźli z Urjali, to istny furiat.

– Ta z Kuortane nie powinna być tutaj.

– A gdzie indziej mogliby umieścić tego z Sauvo, jeśli nie tutaj?

– Czy ta z Lahti nie jest aby upośledzona?

Chciałabym powiedzieć, że nie wszyscy tutaj umieją mówić. Niektórzy nie potrafią chodzić. Są tacy, na których trzeba uważać, i tacy, których trzeba unikać. Już po krokach wyczuwam tego dużego chłopaka, który wszystkich bije i każdemu krzyczy, że go zabije w pierwszej kolejności. Nie można się go bać. Ani tego, że Marketta miała przedwczoraj w nocy siedem ataków. Trzeba po prostu zapukać do drzwi wychowawczynie i przeprosić, że się przeszkadza. Osma na wózku trzeba nosić do jadalni i na lekcje, bo są schody. Tuula sama zejdzie po nich na czworakach, ale do góry trzeba ją ciągnąć. Wychowawczynie i nauczycielki uważają, że noszenie kolegów i koleżanek to społeczny trud, który wzmacnia więzi między wychowankami.

Chciałabym spytać, dlaczego tata nie przyjechał na akademię na

koniec roku szkolnego, choć mi obiecał. Grałam na pianinie, a potem pani dyrektor powiedziała rodzicom, że i w tym roku nie było ani jednego przypadku targnięcia się na własne życie i że tylko jeden uczeń szkoły trafił na oddział psychiatryczny. Ojcowie i matki pozostałych dzieci długo jej klaskali.

Przeprosiłabym Johannesesa, że ja jestem tutaj, a on został tam, wśród nocnych awantur. Chciałabym, żeby spał w jednej sali ze mną. Tutaj też w nocy słyszy się krzyki, ale to co innego i Johannes na pewno by się ich nie bał, bo byłabym niedaleko, a gdyby się przestraszył, mógłby się położyć przy mnie. Moglibyśmy wtedy wymyślać razem śmieszne historyjki, jak dawniej. Ja jednak leżę tu sama i rozmyślam po nocach, że mój brat musi słuchać krzyków rodziców, i trudno mi zasnąć. I tak go nie poproszę, żeby tu przyjechał, bo wychowawczynie powiedziała, że tu nie ma miejsca dla widzających. Tylko by się zmartwił. I nie piszę mu o nocnych chórach płaczek ani o tych strasznych chłopcach, żeby nie myślał, że sobie nie radzę.

Piszę o przyjemnych sprawach, o śpiewach ptaków i odgłosach szumiącego w pobliżu dużego miasta. Wspomniałam, że umiem już biegać bardzo szybko i prosto, kiedy trzymam się kółka ślizgającego się po linie. Opowiadam, że ulepiłam z gliny Jezusa, choć podobno mi się nie udało, nie nadałam mu właściwych kształtów. Popielniczka za to wyszła całkiem ładnie i zawiozę ją tacie w prezencie, tylko że nie wolno mu jeszcze tego mówić. Na koniec obiecuję, że gdy przyjdzie wiosna, przyjadę do nich pociągiem i pokażę Johannesowi zabawę w tramwaj. Piszę mu, że ma być dzielny, a na samiuteńkim końcu: „tego życzy Ci Twoja starsza siostra”.

## Ucieka tam, gdzie nikt nie pyta

– Kto się dosiadł w Lapua, bilety do kontroli poproszę.

Tuomas jeszcze nigdy nie dojechał pociągiem tak daleko. Jak już gdzieś jeździli koleją, to najdalej do babci. Do Helsinek, do Heleny, lata się samolotem.

Wagon dla palących jest prawie pusty. Przy nogach dziewczyny po drugiej stronie korytarza leży labrador. Nie może zasnąć i ciągle podnosi głowę, kiedy przez wagon przechodzi konduktor.

Do Tuomasa jeszcze nie dociera, że dostał się na studia. Najpierw przez całą wiosnę po maturze zakuwał do egzaminów wstępnych na ekonomię, na które Tapio woził go w czerwcu z prowincji do prowincji, a potem do końca wakacji siedział jak na rozżarzonych węglach. Każdy egzamin wydawał mu się trudny, podobnie każda rozmowa kwalifikacyjna. Wracając po nich do domu, był pewien, że oblał. Przy kolacji opowiadał o podchwytliwych pytaniach i skomplikowanych trasach, lecz tata go uspokajał. „Masz się dostać, to się dostaniesz. A jak się nie uda, to wymyślimy coś innego”. Tata nie chodził do liceum, za to mama skończyła dwuletnią szkołę handlowo-ekonomiczną. To zawsze denerwowało babusię, która chciała, żeby syn miał lepsze wykształcenie od synowej. „Ty też nie musisz chodzić do szkół. Próżności się tam tylko człowiek nauczy”.

W końcu przyszły wyniki. Tuomas został przyjęty aż na trzy uniwersytety, do jednego z dalekiego miejsca na liście rezerwowej. Rodzice uważali, że powinien zdecydować się na Oulu, tak jak wcześniej Tapio, ale on tak nie chciał. Brat na wszystkie weekendy przyjeżdżał do domu, przywoził rzeczy do prania, a kiedy miał wracać do Oulu, zabierał wszystko z lodówki. Wkrótce potem mama oznajmiła, że pralka nie jest jej prywatną własnością i dlatego zachęca wszystkich domowników, żeby śmiało z niej korzystali. O jedzeniu nie powiedziała nic. W końcu dziecko musi coś jeść.

Tuomas długo wazył opcje i w końcu wybrał uczelnię znajdującą

się najdalej od rodzinnej wsi, na południowo-zachodnim wybrzeżu kraju. Nie chciał pakować się jak Tapio w połowiczne życie, podzielone na dni powszednie i na weekendy. On chciał być sobą każdego dnia.

Niebieski wagon wiezie najmłodsze dziecko Löytövaarów przez uprawne niziny Ostrobotni. Tuomas wyciąga portfel z kieszeni kurtki i wstaje. Sprawdza, czy walizki są na swoich miejscach. W jednej ma ubrania i dwie zmiany pościeli od mamy, w drugiej kilka talerzy i szklanek, sztucze i nową elektryczną maszynkę do golenia od ojca. Wszystkie płyty, plakaty i książki wyniósł na strych. Teraz ma szansę zacząć od nowa.

Klamka jest ciężka. Tuomas naciska ją i przechodzi przez hałaśliwy łącznik między wagonami. Zamyka drzwi za sobą i idzie przez jeden wagon, potem drugi. W restauracyjnym wybiera zafoliowaną kanapkę i sok pomarańczowy, po chwili jednak odstawia sok, odkłada kanapkę z powrotem do witryny i rezygnuje z tacy. Podchodzi do lady i zamawia duży kufel najmocniejszego piwa. Trzyma w ręku dowód osobisty, ale sprzedawca nawet o niego nie prosi. Tuomas niesie kufel do wysokiego stolika, siada na przykręconym do podłogi taborecie i patrzy na przemykający za oknem płaski krajobraz. Tę bezkresną równinę każdej wiosny zawłaszcza powódź. Pośrodku niekończących się pól zachowało się kilka starych stodół. Przy drodze gigantyczne domy walczą o palmę pierwszeństwa w rozmiarach i przepychu.

Opowieści mamy były zawsze przepojone tęsknotą za tym pejzażem i kwitnącymi jabłoniąmi. Dawniej, kiedy jeździli samochodem do babci na południe, mama przypominała sobie nostalgiczne wiersze ostrobotniackich poetów, gdy tylko krajobraz zaczynał się wypłaszczać. Nawet w saunie chciała mieć kafelki z kwiatem jabłoni, bo w tundrze nigdzie ich nie uświadczysz. Tuomas wychował się już pośród zalesionych wzgórz i łąsych kop w tundrze, ale ten płaski kraj, dno prehistorycznego morza, kojarzy mu się zawsze z wakacjami z dzieciństwa, ze śmiechem i kuzynostwem, którego na północy w zasadzie nie mają.

Siedzieli w samochodzie wszyscy – na kanapie z tyłu oni, czwórka

dzieci. Prowadziła mama. Zawsze o to prosili, bo tata był ostrożny i włókł się tak niemiłosiernie, że w życiu by do babci nie dojechali. Przez okna wypatrywali charakterystycznych punktów krajobrazu, które pamiętali z poprzednich wyjazdów. Okazała drewniana szkoła w Kokkoli. Pomnik upamiętniający wojnę fińską. Boisko, na którym mama zaliczyła od razu trzy bazy podczas meczu fińskiego baseballa. Ceglany transformator na skrzyżowaniu w Hellanmaa. Za oknem samochodu przemykały kolejne słupy milowe na drodze do babci, a oni czuli, że coraz bardziej się zmieniają. Przenosili się do innej rzeczywistości, gdzie zamiast babusi była bunia i gdzie nieżyjącego dziadka zastępował żywy, łysy dziadunio. Tam zawsze się wszyscy śmiali. Tata łatwo zasypiał i spał długo bez środków nasennych. Mama parskała śmiechem jak mała dziewczynka.

Do buni nie można było wcześniej dzwonić i uprzedzać, że przyjeżdżają, bo za bardzo się przejmowała. Ale i tak, ledwo przyjechali, ona już biegała po całym domu, łapała w locie patelnię i pędziła do kurnika po jaja.

– I czym ja was teraz nakarmię? – biadoliła bez przerwy.

Smażyła im kotleciki i robiła tłuczone ziemniaki, a potem ścieliła im łóżka gdzie tylko się dało. Tata i mama szli spać na strych do tej samej izby, w której spała mama, gdy była małą dziewczynką.

Tuomas wciąż pamięta zapach smażenia w kuchni i dymu z okrągłego kominka. Zapach trwałości. Dom buni był pełen opowieści, które każdego lata opowiadano dzieciom na nowo. Duże pęknięcie w drzwiach zewnętrznych, bo kiedyś zakapiory przyszły po dziadunia i chciały dostać się do środka. Drabina ze strychu przydawała się mamie, kiedy jako dziewczyna uciekała na tańce. Potężna kwasielnica do kwaszenia mleka nie mieściła się w drzwiach, więc przy malowaniu podłogi trzeba ją było podciągać na sznurach pod sufit. Nie żeby nasz dom na północy nie obrósł w historie, wydawały się nam jednak skarłale i szare. Jak to ktoś prawie coś tam zrobił, a kto inny nie do końca zdążył. Tamte historie często się urywały już na samym początku. Położna zażarła się na śmierć. I tyle. Dziadek zmarł w Oulu. Kropka.

Zapach rodzinnego domu mamy przywołuje z dzieciństwa poczucie

wdzięczności i wspólnoty. Wiara buni była inna niż wiara babusi. Jak Bóg w tundrze swój czas trwonił chyba głównie na kary i pomsty, tak tutaj u buni najbardziej pragnął radować swe dzieci. Wieczorami bunia brała całą ich czwórkę na schody domu i wszyscy patrzyli na zachodzące słońce. Niebo nad głowami zasnuwało się ciemną czerwienią, na tle żółtej łuny na skraju lasu za polem majaczyły czarne kikuciki drzew. Brzuchy chmur były podszyte purpurą.

– Złożymy teraz ręce i podziękujemy Ojcu niebieskiemu za ten piękny wieczór – mówiła wtedy bunia, która w takich chwilach jednocześnie śmiała się i płakała.

Kiedy przyjeżdżali, na podwórko buni zaraz zaczynały zjeżdżać auta wujów i ciotek, a kuchnia pękała w szwach od kuzynostwa, z początku zawstydzonego, a po chwili już rywalizującego ze sobą o to, kto pierwszy wypije surowe jajko. Wuj kazał przynieść sobie trape, kuzyn wyzwał drugiego od łapiduchów. W mowie mamy częściej się słyszało gwarowy przydech. Tata robił zdjęcie grupowe, wszyscy stali na schodach przed domem. Po zdjęciu wujowie zostawali na podwórzu i brali mamę na stronę. Dzieciom kazali iść się pobawić za dom, ale Tuomas zza węgła słyszał ich przyciszoną rozmowę.

– Jeszcze ci ta stara życie uprzykrza? Może z nią pogadamy?

W otoczeniu kuzynostwa z nizin, wujów i ciotek zaczynali czuć, że stanowią coś takiego, czym u siebie w tundrze w ogóle się nie czuli – kolejne pokolenie wielkiej rodziny. Na północy owszem, tworzyli rodzinę, ciocia Anna mieszkała tuż obok i czasem z Helsinek przyjeżdżała Helena, tutaj jednak czuli, że stają się tkanką większego organizmu. Większego, choć o wyraźnie zakreślonych granicach. Takiego, w którym będzie można znaleźć bezpieczne oparcie, jeśli któregoś dnia życie zacznie się nagle walić. Takiego, który był już przed ich urodzeniem i będzie trwał nawet wówczas, kiedy wszyscy dziś tu obecni na zawsze zamkną oczy. Może i oni pozostaną przy życiu w opowieściach, które zrosły się z pewnymi przedmiotami – Tuomas w potajemnie upiłowanej nodze od łóżka, Tapio w śladzie na ścianie, który przypominał o tym, jak to, będąc jeszcze dzieckiem, zwolnił hamulec ręczny w aucie zaparkowanym na górze.

Każdy szczegół podkreślał tu różnice między ich domem a domem buni. Północ to rozżarzone wrzosowe wzgórza, a tu Tuomas nie mógł się napatrzyć na flotyllę drewnianych stodół na bezkresnym oceanie pól. W domu ocalałe z wojny drobiazgi nosiły piętno nostalgicznej tęsknoty, u buni historia i przeszłość żyły pod jednym dachem.

Kiedy wracali na północ, na powrót stawali się sobą. Na czole taty znowu wyrastała bruzda między brwiami i wszyscy znów zaczęli chodzić na paluszkach, kiedy próbował zasnąć. Mama przez chwilę była jeszcze wesoła, lecz uśmiech zamierał jej na ustach po pierwszym komentarzu babusi na widok zasłon, które bunia dla nich uszyła i dała w prezencie. Zostały zawinięte z powrotem w papier i zabrane ze stołu.

– No przecież czegoś takiego na oknach nie zawieszicie.

Zanikała gwara, która przeszła z kuzynostwa na język rodzeństwa, bledła opalenizna. W szkole Tuomas spytał nauczycielkę, czy babusia i bunia nie wierzą czasem w zupełnie innego Boga.

Tuomas zamyka oczy. Siedzi z kuzynami na rozkołysanej przyczepie traktora na pustych workach po sztucznym nawozie. Dziadunio wiezie ich przecinką przez gęstą świerczynę. Ściółkę tworzy miękki jasnozielony mech, wilgotne powietrze jest niemalże zimne. Nagle las się urywa i wyjeżdżają na skraj bezkresnego płaskiego pola. Jak okiem sięgnąć ciągną się bezkresne łąny jęczmienia. W oddali widać małą kępę budynków, za nimi pola ciągną się dalej. Ziemia jest tu równa, niebo wysokie i porażająco błękitne. Nigdzie indziej nie widać naraz takiej połaci nieba. Z wysoka dobiega ich krzyk jakiegoś ptaka. Dziadunio mówi, że jastrząb. Zboże jest złotożółte.

Na przejeździe stukocze pociąg. Samotny sygnalizator ostrzega pustkowiem przed niebezpieczeństwem. Tuomas otwiera oczy.

Kiedy Maarit i Minna się usamodzielniały i skończyły się wspólne wyjazdy rodzinne, Tuomas jechał sam do buni zaraz na początku wakacji i większość lata spędzał na samotnych wyprawach w dojrzewające zboże. W okresie dorastania zaczął mieć w wakacje inne plany. Kontakty z kuzynostwem stawały się coraz rzadsze, do buni jeździło się już tylko na chwilę. Tuomas tęskni za tym poczuciem



bezczasu z dzieciństwa. W kuchni u buni była zawsze lipcowa niedziela.

Bunia zmarła na raka przed dwoma laty. Podeszła do sprawy bez emocji i powiedziała lekarzowi, który poinformował ją o guzie, że przecież stary człowiek musi na coś umrzeć. Że życia nie da się tak przejść bez żadnego uszczerbku. Napięła ciastek na stypę, nagotowała dziaduniowi obiadów na cały rok i wsadziła je do zamrażarki. W szpitalu była miesiąc, a gdy przyszedł jej ostatni wieczór, kazała dzieciom i mężowi zostawić ją samą.

„Idźta już, a mnie czas umierać”.

Rano już jej nie było. W dniu pogrzebu na kuchennym stole czekały kartony z zestawem do gotowania na parze, po jednym dla każdej wnuczki i każdego wnuka. Babcia zamówiła je zawczasu i zapłaciła za wszystko ze swojej mikrej emerytury.

„Będą mieli na czym dzieciakom kaszę warzyć”.

Konduktor pyta, kto się dosiadał w Seinäjoki. Kufel się poci. Tuomas robi łyk na próbę i dziwi się, że zamiast jedzenia zamówił piwo. Ściany wagonu obito pomarańczową okładziną. Przy sąsiednim stoliku w części barowej mama daje dziecku loda na patyku, w części restauracyjnej wszystkie miejsca są już zajęte. Dwoje młodych ludzi je kotleciki. Ona siedzi plecami do Tuomasa, on naprzeciw niej z szeroko rozstawionymi nogami. Ma niebieską prążkowaną koszulę i granatowe džinsy. Włosy à la Steven z *Dynastii*. Mężczyzna spostrzega spojrzenie Tuomasa i marszczy czoło. Tuomas wraca do kontemplacji krajobrazu.

Przy przejeździe kolejowym wyrosła kiedyś mała osada, dziś podwórza paru domów zarosły wysoką trawą. Gdzie są ich mieszkańcy? Ilu z nich zdecydowało się na taką samą ucieczkę jak on, zanim ludzie się zorientowali, że ten chłopak to nigdy nie miał dziewczyny? Ilu cichych mężczyzn pociąg powiózł na południe, ile przestraszonych kobiet? Ilu spakowało walizki i udało się na dobrowolną ewakuację, bo nie widziało dla siebie innego wyjścia? Setki? Tysiące? Dziesiątki tysięcy? Ilu siedzi w swoim nowym domu i jak ci, co ich w czasie wojny ewakuowano z Karelii, marzy

o powrocie, dobrze wiedząc, że nie ma już powrotu do starego domu? Ilu zostało, by po latach stwierdzić, że wyjazd byłby jednak łatwiejszy do zniesienia? Próbowało rozmawiać i spostrzegło, że nikt ich nie chce słuchać? Zmieniało przebite opony, zmywało umazane psim gównem drzwi domu, chodziło do przychodni, żeby założyć szwy na rozbity łuk brwiowy?

– Za chwilę Parkano.

Tuomas wsłuchuje się w nieznaną nazwę stacji. Komunikaty z pierwszej połówki trasy pamiętał jeszcze z dzieciństwa: „Za chwilę będziemy w Pännäinen. *Vi anländen om en stund till Bennäs*”. Do każdej nazwy próbuje wydostać z pamięci jakieś wspomnienie z samotnej podróży. *Vihanti*. Przejechał już autobusem do Oulu. W pociągu boi się zasnąć, żeby nie przespać swojej stacji. *Oulainen*. Babusia dała mu na drogę dwa dziesięciomarkowe banknoty, żeby kupić sobie coś do jedzenia. Przyczepiła mu je agrafką do materiału w wewnętrznej kieszeni, ale i tak ma sprawdzać co pół godziny, czy mu ich nie ukradli. *Kannus*. Siedzi na kolanach mamy i podaje konduktorowi własny bilet z rysunkiem języka.

Nowe nazwy nie wiążą się z żadnymi wspomnieniami z dzieciństwa. Za oknem rozpościera się otwarta przestrzeń pól. Zboże zaczyna dojrzewać. „Oddech tu snadniejszy”, zacytowała mama któregoś ze swoich ostrobotniackich poetów. Tuomas dopija piwo. Znowu balansuje na styku dwóch światów. Na miejscu czeka nowe miasto z obcymi ulicami, obcymi ludźmi. Ale jeszcze jest czas. Największą frajdę ma właśnie teraz, w stanie przejściowym, kiedy człowiek przechodzi z jednej rzeczywistości do drugiej. Kiedy coś się zaczyna.

Mężczyzna w prążkowanej koszuli mówi coś szeptem do swojej dziewczyny i kiwa na niego głową. Ona chce zerknąć przez ramię, tamten jednak daje jej wyraźny sygnał: jeszcze nie teraz. Tuomas schodzi ze stołka, patrzy na mężczyznę i puszcza do niego oko. A potem odwraca się do sprzedawcy i zanim wróci do swojego wagonu, kupuje sobie kanapkę. Teraz już będzie miał wspomnienie z Parkano.

## Dzięki Tobie za Twe dary

Przewracam się na drugi bok i słyszę chrzęst metalowej siatki na spodzie łóżka. Dopiero po chwili przypominam sobie, gdzie jestem. Słyszę równomierny oddech Annikki na sąsiednim łóżku, a z drugiej strony śpi Aira, dalej od reszty dziewcząt.

Jeszcze chwilę temu byłam na letnisku i pływałam w jeziorze z Johannesem. Uniosłam ręce w górę i Johannes zsunął mi na biodra dętkę od auta, którą tata wcześniej tak napompował, że zrobiła się twarda. Potem Johannes przeprowadził mnie przez bystrze na piaszczystą łachę. Szliśmy ostrożnie i wyraźnie czułam jego ruchy. Kiedy zwolnił, to i ja zwolniłam, kiedy się pochylił, to zrobiłam to samo.

– Są jakieś ryby? – spytałam.

Johannes się zatrzymał, ja też. Czułam, jak się pochyła i patrzy na wodę.

– Nie ruszajmy się, to przyplyną.

Nurt łaskotał mnie w łydki i wypłukiwał piasek spod pięt. Woda była tu chłodniejsza niż na płyciźnie. Rzeczka płynie tu z innego jeziora. Tak powiedział tata.

Pochyliłam się tak nisko, że poczułam na twarzy chłód bijący od powierzchni wody. Opona zaskrzypiała. Johannes mocniej mnie objął, żebym tylko nie upadła.

– Przyplynęły właśnie małe okonki – szepnął Johannes.

– Jak wyglądają?

– Takie srebrne i maciupeńkie. Mają żółte oczka.

– Jak maciupeńkie?

– Takie, o.

Znalazłam jego dłoń, namacałam kciuk i palec wskazujący, które rzeczywiście prawie się stykały.

– Jakby ich wcale nie było.

– No.

Zanurzyłam rękę w wodzie. Nurt wciskał się między palce. Złączyłam je. Prąd zaczął napierać na dłoń, próbował sforsować przeszkodę. Nagle na skórze poczułam ciepło. Słońce. Wystawiłam twarz do ciepła, światła już nie widziałam, tak jak dawniej, kiedy byłam mała.

– Co tam macie?

Johannes mówił tacie, że nie musi nas pilnować, on jednak został na pomoście. Siedział w słońcu i pisał list.

– Okonki – odpowiedziałam i wyciągnęłam język, żeby się nagrzał. Johannes się roześmiał.

Chwytam się obłej ramy łóżka i szukam stopami po kolei obu pantofli. Wstaję i wkładam ściągnięty z krzesła szlafrok. Wsłuchuję się w sypialnię. Przenieśli mnie tu z powrotem z korytarza, musiałam im tylko obiecać, że nie będę już nucić pod nosem żadnych piosenek.

Nikt się nie obudził. Za oknami słychać porywisty wiatr. Okrążam łóżko od wezglowia, na którym zapisano brajlem moje imię i nazwisko, i kieruję się do wyjścia. Znajduję klamkę i otwieram drzwi, na korytarzu skręcam w lewo. Otwierają się sąsiednie drzwi. Wychowawczynie.

– Dokąd Helena idzie?

– Czy mogę iść się wysikać?

– Mówi się „do ubikacji”.

– Czy mogę iść do ubikacji?

– Trafi Helena sama?

– Tak.

– Licz kroki na głos, żebyś następnym razem pamiętała. Będę tu stała i słuchała.

Idę i głośno liczę. Nasłuchuję jednocześnie echa odbijającego się od ścian, żeby się o żadną przypadkiem nie podeprzeć. Staram się iść tak, jak nas uczono na zajęciach, lecz to nie wystarczy. Przy szóstym kroku wychowawczynie woła:

– Helena pamięta o postawie!

Opuszczam barki, unoszę pierś. Wyobrażam sobie gumową tasiemkę, która biegnie od czubka głowy przez moje ciało aż do

ziemi, i rozciągam ją.

– Dobrze! Broda do góry!

Ciągle liczę kroki na głos. Dwanaście, trzynaście, czternaście.

– Pokaż, że nie boisz się ruszać!

Opuszczam dłonie, stawiam dłuższe kroki, nie zatrzymuję się. Wreszcie jestem na dziewiętnastym kroku, lecz nie jestem pewna, czy doszłam do drzwi. Obracam się do ściany i zaczynam ją macać.

– Nie wahaj się, trzymaj nerwy na wodzy!

Głos wychowawczyni odbija się echem od sufitu i gołej posadzki. Macam ścianę, lecz klamki nie ma. Zmyliły mnie te wydłużone kroki.

– Helena kawałek wróci.

Cofam się powoli wzdłuż ściany. Niektórzy w innych salach już na pewno się pobudzili.

– Jeszcze kawałek. Nie wahaj się. Już.

Dłoń natrafia na futrynę. Przesuwam palcami po politurze, aż znajduję klamkę. Naciskam ją i otwieram drzwi.

– Helena będzie pamiętać na następny raz.

Przestępuję próg i nasłuchuję. Stukają drzwi pokoju wychowawczyni. Weszła do środka czy została i mnie obserwuje? Nie słyszę żadnych odgłosów, wracam więc na korytarz. Jedną ręką trzymam klamkę, drugą kładę na futrynie i wolno pcham drzwi. Zamykają się bezgłośnie. Znowu nasłuchuję. Zza drzwi sypialni starszych chłopców dobiega mnie stłumiony szept.

Odwracam się plecami do sypialni dziewcząt. Palcem środkowym i wskazującym wodzę po ścianie i ruszam korytarzem w kierunku schodów. Na dole nie ma wychowawczyń, tylko tutaj na górze. Natrafiam na poręcz, szukam prawą nogą pierwszego stopnia. Pantofel stuka o kamień, echo odpowiada z góry i z dołu. Zatrzymuję się i czekam, czy ktoś nie usłyszał. Chłodny prąd powietrza spływa z piętra na parter. Zdejmuję pantofle, zostawiam je na schodach i dalej idę boso. Stopnie są zimne, choć to dopiero koniec września. Nie puszczam poręczy. Jeszcze nigdy nie schodziłam środkiem klatki, zawsze tylko przy poręczach.

Schodzę na korytarz szkoły i zmierzam do wnętrza śpiącego budynku. Dwa palce lewej ręki rysują ślad na ścianie. Najpierw

natrafiają na drzwi klasy sensoryki. Nauczycielka przynosi tam za każdym razem jakiś nowy przedmiot do dotykania. Ostatnio Aira dostała do ręki pachnącą piłkę. Podawałyśmy ją sobie z rąk do rąk i mówiłyśmy na głos, co czujemy. Była taka miękka i w jednym miejscu miała wypustkę, twardą jak kamień. Nauczycielka powiedziała, że ta piłka to pomarańcza. Potem ją obrała i dostałam na dłoń kawałek skórki. Potarłam ją i zapach został na palcach. Był taki słodki i ostry. Skądś go znałam, lecz nie mogłam sobie przypomnieć skąd. Każda dostała do spróbowania kawałek owocu. Miąsz był miękki i po zgrzyzieniu puszczał sok. Smak rozlewał się po ustach i najpierw czułam go na brzegach języka, a potem na podniebieniu. Przypomniałam sobie, że tak samo pachniały kwiaty z wianka ślubnego Anny.

Palce przesuwają się po drzwiach klasy ćwiczeń ręcznych. Tutaj nauczycielka nie jest tak miła jak ta od poznawania przedmiotów.

– Nie bądźcie żałosne! – strofuje nas i każe siedzieć prosto.

Uczymy się wiązać sznurowadła, wykluwamy szpilkami jabłka w cienkim papierze i przewlekamy grubą nić przez dziurki w sklejce. A ona stoi za nami i pilnuje, żebyśmy nie pominęły ani jednego otworu. Jeśli zauważy pomyłkę, każe spruwać wszystko do opuszczonego miejsca.

– Nic jeszcze nie umiecie, ale już ja zrobię z was ludzi, którzy przydadzą się społeczeństwu.

Odpowiadam jej, że umiem mnóstwo rzeczy – poznam po szumie, czy wiatr kołysze sosną, czy świerkiem, odróżnię po zapachu pień brzozy od wierzby i osiki – lecz nauczycielka śmieje się dźwięcznie i mówi tak samo jak tata:

– Takie umiejętności to mogą być przydatne jakiemuś dzikusowi z lasu!

Porządny obywatel sam umie zatroszczyć się o siebie i dlatego każda z nas zostanie w przyszłości masażystką, szczotkarką albo wikliniarką, a jedna czy dwie – nawet telefonistką. Najpierw jednak trzeba wykluwać w papierze jabłka, chociaż każdy wie, że jabłko jest okrągłe, a nie płaskie.

Nauczyłam się pięknie sznurować buty na kokardę i pisać brajlem

H-E-L-E-N-A. Chodzę wyprostowana, nie jestem nieśmiała i nie macam niepotrzebnie rękami. Umiem na wrywki wszystkie zwrotki psalmu *Słuchaj domu Dawida*. Potrafię odważnie podejść do nauczycielki, wyczuć, ile koralików liczyła jest po lewej stronie rzędka, i policzyć w pamięci, ile powinno być z prawej. Bez zastanowienia szepnąć nauczycielce na ucho odpowiedź, żeby reszta klasy nie słyszała. Ale i tak wolałabym być tym dzikusem z lasu. Nie mam już siły uczyć się tylu rzeczy na pamięć, lecz nauczycielki nam mówią, że jak się coś porządnie zapamięta, to już zostanie w głowie na zawsze.

Tuż przed drzwiami wyjściowymi zawracam i przechodzę na drugą stronę korytarza. Opieram się czołem o kamienną ścianę i badam ją rękoma po obu stronach, jakbym robiła orła w śniegu, tylko na stojąco. Nie wolno tak się zachowywać, bo to wygląda dziwacznie. Lewą dłonią natrafiam na futrynę. Teraz nie pamiętam, czy te drzwi otwierają się na lewo czy na prawo, ale najłatwiej sprawdzić, czy są zawiasy. Jeżeli nie ma ich z tej strony, to musi być klamka. Znajduję ją i otwieram drzwi klasy przyrodniczej.

Stoję na progu i nasłuchuję. Z lewej strony z przodu słyszę cichy chłupot, taki sam jak w domu. To woda w kaloryferach. Na piętrze otwierają się drzwi. Wychowawczyni ma obchód. Próbuję sobie przypomnieć układ tej klasy, bo byłam w niej tylko raz czy dwa. Katedra jest chyba w głębi, lecz nie jestem pewna. Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi. Idę prosto przed siebie, aż trafiam na pierwszy pulpit i krzesło. Sprawdzam, jak są ustawione. Kiedy już wiem, jak iść, kieruję się w stronę katedry.

Pusta sala pachnie dziwnie. Za dnia nie zwraca się na to uwagi, bo w klasie jest pełno dziewcząt, lecz teraz, w nocy, wyczuwam zapach drewna, płynu do mycia podłogi i suchej tektury. Na szyby napiera wiatr. Wtem zahaczam o coś nogą i padam, przewracając stojący pod ścianą stolik lub taboret. Hałas odbija się echem od kamiennych ścian. Leżę bez ruchu i nasłuchuję kroków na schodach. Jest cicho.

Wyciągam prawe ramię w bok, lecz nie znajduję ściany. Nieznajoma przestrzeń napawa mnie lękiem. Muszę wstać, iść dalej.

– Nie bądź niezdara – mówię sobie.

Próbuję wysłyszeć, czy jestem zwrócona w tę samą stronę co wtedy, gdy weszłam do klasy. Naprowadzają mnie jęczące szyby, skręcam trochę w prawo. Idę w stronę pierwszego rzędu. Do samego kąta nie mam odwagi dojść, bo stoi tam podobno używany w starszych klasach ludzki szkielet. Chcę się trzymać od niego jak najdalej. Idę bokiem, z dłońmi na pulpitych. Potrącam plecami coś, co odpowiada głuchym echem i bezgłośnie się chwieje.

Ostatni pulpit. Obracam się znów twarzą do ściany z katedrą i po dwóch krokach natrafiam na nią. Rozkładam ręce i wreszcie znajduję to, co już raz byłam tu obadać. Wypukła mapa z trocin i tkaniny.

Kładę na niej rękę, gładzę ją. Szukam jakiegoś punktu zahaczenia, od którego mogłabym zacząć, zupełnie jak tata, kiedy rozwiązuje krzyżówkę, lecz pod palcami wyczuwam jedynie chaos wypiętrzeń i zagłębień. Palce usiłują odczytać obraz, ale nie potrafią. Badam mapę obiema dłońmi, aż wreszcie przy dolnej krawędzi natrafiam na duże wypiętrzenie. Alpy. To teraz już wiem, gdzie jestem.

Przenoszę ręce na północ, przez Niemcy i Danię, aż natrafiam na wrzynające się głęboko w ląd aksamitne fiordy. Norwegia. Przesuwam palce na wschód, przez Szwecję, Bałtyk i tysiące wysepek Alandów. Poruszam się skrajem zachodniego wybrzeża Finlandii w górę, szukając rzek, które płyną z głębi lądu. Perhojoki, Kalajoki. Pyhä. Siika. Oulu. Wreszcie Iijoki. Na lekcji trzeba je wyliczać, patrząc z północy na południe, ale teraz chcę właśnie iść w drugą stronę.

Płynę w górę rzeki, pod prąd. Kolej już tam nie jeździ, bo tory rozebrano i wywieziono za granicę w ramach reperacji wojennych. Palce wspinają się wyżej i wyżej. Oddalają się od morza i wznoszą po wodzie na wyżynę niczym stare łososie. Rzeka wiję się teraz po obu stronach przerywanej wypukłej linii. To droga. Śpieszę palcami po niej aż do miejsca, gdzie krzyżuje się z inną drogą, która biegnie z południa – stamtąd jest już blisko do znajomej wsi. Przykładam policzek do mapy i stawiam palec na domu. Gdzie śpią teraz Johannes, tata i mama. Anna i babusia. Pod opuszką mieści się cała wieś i na dodatek letnisko z rzeczka, łąką i okonkami.

Wstaję z łóżka na letnisku i idę przez cichy pokój. Na nic nie wpadam, poruszam się bezgłośnie, bo znam odległości, mam



policzone kroki. Johannes przewraca się przez sen na drugi bok, mama została w domu. Za drzwiami kuchni słyszę skrobanie pióra na papierze. Tata jeszcze nie śpi.

Siadam przy oknie narożnikowym na tym tapczanie z giętymi bokami, który zrobił tata. Tutaj jestem normalna. Biorę do ręki drewniaki, które Johannes postawił na parapecie. Pachną delikatnie glonami. Na dworze czeka już na mnie pajęczyna linek, które zaprowadzą mnie wszędzie, gdzie tylko zamarzy mi się pójść. Podkurczam nogi i słucham ciszy śpiącego lasu. Nie jest twarda i skrzypiąca jak tutaj, lecz miękka i obła. Noc pachnie sosnowymi szyszkami.

## Wulgarną nucąc śpiewkę

Podczas truchtu kapsel wymyślił, że drużyna kompanii radiowej będzie śpiewać. Wszystkich śmieszy nadgorliwy kapral, który wstąpił do wojska jeszcze jako nieletni chłopak. Wieczorem ogląda kasety z filmami wojennymi, *Łowcę jeleni* i *Czas apokalipsy*. Teksty z *Full Metal Jacket* zna na pamięć. Stąd też mu się wziął ten pomysł ze śpiewaniem. A w każdym razie melodia jest taka sama jak w amerykańskich filmach.

– „Bóg i honor, ojczyznaa!” – ryczy kapral i drużyna powtarza.

Pryszczaty kapral wygląda na zadowolonego. Choć jest najmłodszy w całej kompanii, w swoim mniemaniu jest nowym wcieleniem Rokki i Hietanena z *Żołnierza nieznanego*. A może porucznika Lammio. Wszyscy w kompanii to studenci – oprócz niego. Przechwalał się, że z testów miał pięć, ale zamknął się od razu, jak się zorientował, że prawie każdy miał lepszy wynik. W ubiegłym tygodniu ostrzygł się na zero. I tak go teraz chłopaki nazywają – Zerem. Wszyscy wiedzą, czemu zawdzięcza przyjęcie do szkoły podoficerskiej. On też.

– „Tylko to się liczy, taa!”

Żołnierze powtarzają. A co tam. Strzelanie poszło dobrze, lutowe słońce ładnie grzeje, wieczorna przepustka czeka.

– „Dla niej trzeba zabić czarnucha!”

Tenhola patrzy z niedowierzaniem na kaprała.

– Zero, chyba nie mówisz poważnie.

Kapral wyraźnie rozważa, czy nie pozwolić czasem drużynie się rozejść. Postanawia jednak puścić komentarz Tenholi mimo uszu.

– „Tak ojczyzny bronić trza!”

Tuomas jest drugi pod względem wzrostu w pierwszym szeregu. Nie śpiewa z innymi, bo Zero nie widzi, kto za nim powtarza, a kto nie. W zeszłym tygodniu świętował swoje dwudzieste piąte urodziny, lecz Pekka nie zadzwonił. Tuomas sam próbował się z nim skontaktować,

dzwonił parę razy z automatu w kantynie, nagrywał się na automatyczną sekretarkę, trzy razy powtórzył numer automatu na korytarzu ich kompanii, ale telefonu od Pekki nie było. Ostrzegał przed tym na wieczornej modlitwie kapelan. Gdy ludzie się zmieniają, zmieniają się też łączące ich relacje.

Na początku Tuomas nie mógł się przestawić na życie w koszarach. Trzeciego dnia był już gotów przerwać szkolenie i wrócić na nużące wykłady o gospodarce przedsiębiorstw. Większość obowiązujących w armii reguł wydawała mu się absurdalna. Mimo że składał koc w biało-niebieską kratę dokładnie tak jak trzeba i wciąż na nowo składał w szafce grube kalesony, nie zadowalało to chorążego, który w kompanii robił za sierżanta. Krata musi się pokrywać. Szwy złożonych kalesonów muszą się stykać także z tyłu, w głębi szafki. Z czasem jednak Tuomas nauczył się patrzeć na to wszystko z zewnątrz, oczami postronnego obserwatora. W życiu chorążego z ponaddwudziestoletnim stażem w armii nie ma nic ważniejszego od szwów spodni.

Najbardziej drażliwa jest jednak kwestia wyznania. Wszystko tu zależy od odpowiedzi na jedno pytanie: czy należysz do laestadian, czy nie należysz. Chorąży jest jednym z tych, co należą, i komunikuje otwarcie, przyznając się, że dzieci ma dwanaścioro. Szef kompanii do zboru nie należy, ale jego przeważnie nie ma. Kiedy jest, paraduje w mundurze komandosa, choć wylali go z brygady powietrznodesantowej wieki temu. I dlatego o wszystkim decyduje u nich chorąży. Na kaprałskie belki mogą liczyć tylko bracia ze zboru, podobnie na szkolenie ratowników medycznych trafiają tylko laestadianie. Żołnierzy dzieli się tu na dwie grupy – świeckich i wierzących. Ci pierwsi na ćwiczeniach szorują latryny i szuflują śnieg, ci drudzy inwentaryzują piece namiotowe. Tylko swoi ze zboru zostają plutonowymi, co też niedługo czeka naszego kaprała.

W szkole nikt nie traktował wierzących jak innych, na dziedzińcu wszyscy bawili się razem. Sami laestadianie twierdzą jednak, że całe dzieciństwo spędzili pod ścianami klas, dlatego teraz nagle pchają się na afisz. Tuomas ubiegał się o stanowisko pisarza szkoły podoficerskiej i sądził, że powinien je dostać po trzech semestrach

akademii ekonomicznej. Ma głowę do cyferek i jest dokładny. Miał poparcie sierżanta ze szkoły, ale przed planowanym przeniesieniem został wezwany do chorążego, który oznajmił mu, że na wakujące miejsce znalazł się człowiek po fakultatywnym kursie pisania na maszynie w gimnazjum, choć faktem jest, że na tych nowych komputerach to się nie wyznaje.

Na skrzyżowaniu w lesie Zero zdaje raport sierżantowi i przekazuje mu drużynę, po czym staje w pierwszym szeregu. Sierżant pewnie słyszał, jak śpiewali, bo intonuje na poprzednią nutę:

– „Kaczor Donald i spółka!”.

Całe szczęście, że już nie biegną, tylko maszerują.

Na wieczornych przepustkach chodzą do barów toples, które w kryzysie rosną wszędzie jak grzyby po deszczu. W ścianie za pustym barem widać drzwi do restauracji karaoke. Od czasu do czasu pojawia się w nich głowa pięćdziesięcioletniej kelnerki w zielonym swetrze, która sprawdza, czy w pubie nie pojawili się klienci. Na widok nowych twarzy przekracza próg, zdejmuje sweter i wiesz go na przyczepionym do drzwi haczyku. Obnaża swoje obwisłe, żylaste piersi i rozlane sutki przed dwudziestoletnimi chłopakami, zabiera ze stolika pusty kufel i pyta:

– Jakie piwo, trójkę czy czwórkę?

W końcu zamyka kasę zawieszonym na szyi kluczem, zakłada z powrotem sweter i wraca na drugą stronę, żeby poprowadzić karaoke. Zaczyna się długa rozmowa o jej piersiach; Tuomas nie bierze udziału.

Nie odzywa się także wówczas, gdy chłopacy pokazują sobie zdjęcia swoich dziewczyn albo żon i dzieci. Daje wymijające odpowiedzi, kiedy go pytają, czy już znalazł sobie kobietę albo wyrwał coś na przepustce. Jak im wytłumaczyć, że już kogoś ma, takiego jednego Pekkę, który przestał się odzywać, nie dzwoni i nie pisze. Z którym już rok są razem, a ciągle jeszcze nie wymienili się kluczami do mieszkań. Który czasem mówi mu w knajpie, że nie przyjdzie do niego na noc, a na zdziwienie Tuomasa odpowiada kiwnięciem głowy na jednego z podpierających bar tlenionych

blondynów. Dla Pekki życie w związku jest jak życie z kotem: jesteśmy razem, ale nie naruszamy swojej prywatnej strefy. Może dlatego nadal są na tym etapie, kiedy znajomi wiedzą o nich więcej niż oni o sobie nawzajem. Sęk w tym, że Tuomas innego życia nie zna. Skąd miałby wiedzieć, o co rzeczywiście chodzi w związku? Może osobno jest życie i życie mężczyzn?

W Dzień Niepodległości wszystko było jeszcze dobrze. Tuomas połączył weekend z przepustką przyznaną mu za dobre wyniki w biegu na orientację, mógł więc poświęcić dziewięć godzin na podróż pociągiem na południe. Poszli razem na miasto coś zjeść, zdryfowali nawet do gejbaru schowanego głęboko w mrocznej studni podwórza. Przed barem tydzień w tydzień przesiadywał ten sam gość w czapeczce i popijał piwo z owiniętej reklamówką butelki – odwagi starczało mu tylko do progu, drzwi już nie otwierał. Siedział sam w głębokim śniegu i systematycznie się zapijał. Spoglądał na wychodzące ze środka pary, ale nikogo nie zaczepiał. Jak był mróz, bramkarze wpuszczali go do wiatrołapu, żeby nie zamarznął. Tam też najczęściej odpływał.

Dokładnie o północy urwał się *Vogue* Madonny, pod sufitem rozpostarła się flaga Finlandii i z głośników gruchnął hymn narodowy. Wszyscy w barze wstali, wytatuowane kobiety i ufryzowani mężczyźni zgodnym chórem śpiewali, że nie ma dla nich droższego brzegu od ich własnego, fińskiego. Po odśpiewaniu hymnu w barze zapanował dziwny nastrój. O tym, jak piękna jest ich ojczyzna, śpiewali tu ludzie, o których większość ich współobywateli wyraża się z pogardą. Razem z Pekką i dwiema kobietami o nastroszonych włosach z sąsiedniego stolika wzniesli toast za Finlandię, wojnę zimową i ruch strzelecki. I na koniec tacy byli spici, że nie zauważyli dyżurujących w ciasnym podwórzu skinów. Jakimś cudem udało im się uniknąć łomotu – następnego wychodzący z baru nie mieli już tyle szczęścia.

– „Sknerus to pedał i będzie dyndał!”.

Od tamtego czasu Pekka się nie odzywał. Samotność dokuczała

Tuomasowi z każdym dniem coraz bardziej, bolała go świadomość, że nie może nic zrobić, niczego wyprostować. Potrzebował rozmowy, chwycił się więc obowiązku milczenia, o którym wspomniał na wieczornej modlitwie kapelan. Tuomas umówił się z nim na spotkanie, dając mu do przeczytania swój dziennik, żeby nie musiał wychodzić z szafy w trakcie rozmowy. Uznał, że będzie mu łatwiej, gdy jego rozmówca z góry będzie wiedział, z czym do niego przychodzi.

Tuomas zapukał do drzwi kapelana, został poproszony do środka i zameldował się. Pastor siedział przy oknie, wskazał Tuomasowi wolne plastikowe krzesło.

- Löytövaarze wiele ciąży na sercu.
- To prawda. Człowiek nie wie, co dalej.
- Szatan łatwo nas sprowadza na złą drogę.
- Co?
- Każe nam pragnąć rzeczy, których w rzeczywistości wcale nie pragniemy.

Rozmowa się nie kleiła, lecz kapelan nie pozwolił mu się jeszcze odmeldować, tylko zadawał co chwila te same pytania. Czy Löytövaara nie umiałby być inny? Czy Löytövaara nie myśli o upadku? Nie pragnie znaleźć sobie żony? Mieć dzieci, które przedłużą jego ród? W końcu dyżurny zawołał kompanię na posiłek. Kapelan chciał podjąć dzieło ratowania jego duszy po kolacji, lecz Tuomas skłamał, że już się umówił do kina. Nie miał ze sobą żadnych problemów. To inni je mieli.

– „Abba tylko pedziom gra!”.

Istnieje jeszcze inne wojsko, podziemne. Tuomas widzi te lustrujące spojrzenia w stołówce, w magazynie odzieży, na ćwiczeniach. Nawet nie zakładał, że będzie jedyny, który ubiera się na szaro. W weekend w miejscowym barze wpadł na kapitana z magazynu broni i porucznika z kompanii łączności. Tańczyli ze sobą wolnego. W siłowni obok głównej wartowni młody sierżant wyciska z klaty ponad sto kilo, a w umywalni opiera się plecami o ścianę i prezentuje

się wszystkim, którzy chcą popatrzeć. Pewien porucznik zawsze na dyżurze sprawdza prysznice. Reguły takiej służby Tuomas dobrze zna. Takiej, która chłopców zamienia w mężczyzn.

## Dzisiaj się rozstaniemy

Równomierny rytm usypia, lecz boję się teraz zasnąć. Sprawdzam jeszcze raz, czy mam torbę przy nogach. Unoszę szybkę zegarka i dotykam wskazówek. Zostało dwadzieścia minut. Wsuwam drugą dłoń do kieszeni i sprawdzam, czy portmonetka jest na miejscu. Ktoś przede mną pali takiego samego papierosa jak tata. Klubowe.

Do środka ktoś wchodzi i mocno ciągnąc za klamkę, zatrzaskuje drzwi za sobą. Szybkimi krokami idzie przez wagon.

– Następna stacja Oulu. *Nästa Uleåborg*.

Wysłuchuję się w pieśń żelaznych kół i lewą dłonią wystukuję jej rytm na oparciu ławki. Próbuję różnych wariacji, uderzam dwa razy wolniej i dwa razy szybciej. Palcami prawej dłoni dobieram odpowiednią melodię. *Walc nocy letniej. Latający kogut*. „I w tulipanach tonie znów wesóły Amsterdam”. Pociąg w końcu zaczyna zwalniać i ostatni walc ciągnie się jak flaki z olejem. Z emocji ściska mnie w dołku.

Wstaję i sprawdzam dłonią ławkę, potem sięgam po torbę. Pociąg nadal jedzie, łapię więc lewą ręką za oparcia. Uważam, żeby nie uderzyć nikogo w głowę. Pierwszy raz jadę sama tą trasą. Kiedy wyjeżdżałam z Helsinek, wychowawczyni w szkole spytała jeszcze, czy ojciec albo matka wyjdzie po mnie na stację. Odpowiedziałam, że oczywiście.

W przedsionku wejścia do wagonu jest bardzo głośno. Ktoś już tam stoi, za mną ustawia się kolejka. Pociąg zwalnia. Przywieram plecami do ściany, żeby tym razem nie upaść od szarpnięcia na końcu hamowania. Drzwi się otwierają. Po wyjściu pierwszych pasażerów przesuwam dłoń po ścianie, znajduję poręcz i schodzę na peron. Fabryka celulozy śmierdzi dzisiaj gorzej niż jesienią, kiedy wyjeżdżałam. Tuż po mnie z wagonu wysiada ktoś jeszcze.

– Potrzebuje pani pomocy? – słyszę głos kobiety pachnącej pieczoną wieprzowiną.



- W którą stronę do stacji?
- Prosto i na prawo. Może zaprowadzić?

Biorę torbę w jedną rękę, drugą szukam ramienia kobiety i chwytam je.

- Dziękuję.
- Czy ktoś po panią wyszedł? – pyta kobieta.
- Nie.
- A gdzie pani jedzie?
- Do szpitala w Oulunsuu.

Kobieta chwilę nic nie mówi, wyraźnie się zastanawia, co mi odpowiedzieć. Instyktownie odsuwa się trochę ode mnie.

- To może zaprowadzę na Dworcową, tam jest przystanek.

Prowadzi mnie w milczeniu wzdłuż wagonów, mijamy rozżarzony parowóz, potem schodzimy parę stopni i zatrzymujemy się na skraju drogi.

- Tutaj zatrzymuje się omnibus.

Odwraca się, rozmawia z kimś na przystanku, prosi o przypilnowanie, żebym wsiadła do właściwego wozu. Potem odwraca się znowu do mnie i żegna się krótko.

- A wygląda pani zupełnie normalnie.

Ktoś prowadzi mnie do autobusu i każe wysiąść przy szpitalu. Siadam na ławce przy konduktorze, opieram się wygodnie. Ludzie wsiadają i wysiadają. Liczę zakręty, łowię urywki rozmów. Nauczyciel rzeźby w liceum chleje. Sałaki zdrożały. Rząd Kuuskoskiego nie utrzyma się w tym składzie ani miesiąca.

W końcu autobus zwalnia.

– Jak do psychiatryka, to na tym przystanku trzeba wysiąść – mówi konduktorka.

Słyszę, jak w pobliżu cichną rozmowy, pasażerowie nadstawiają uszu. Chwytam torbę i wstaję. Nie trzeba mi pomagać, trzymam się oparcia. Torba zaczepia o coś sprężystego, lecz unoszę ją i ciągnę. Nie wpadam na nikogo, ludzie się rozstępują. Wsiadam, drzwi zamykają się za mną. Autobus odjeżdża z rykiem silnika. Kiedy gazy spalinowe rozpraszają się w powietrzu, czuję zapach sosnowego lasu.

Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, gdzie jestem. Nigdy wcześniej

tutaj nie byłam i nie wiem, jak daleko jestem od dworca kolei. Mama by się zezłościła, gdyby się dowiedziała, lecz nie zamierzam jej o tym nigdy powiedzieć. Dziś albo jutro pojedę dalej na północ, do tundry. Przenocuję choćby na dworcu, jeśli będzie otwarty. Powiem w domu, że przecież napisałam list, widocznie zaginął po drodze. Że podwieźli mnie z dworca na plac i bez przygód trafiłam do samochodu.

Wysłuchuję się w otoczenie. W drzewach śpiewają zięby. Z tyłu nadjeżdża ktoś na rowerze.

– Przepraszam, halo! – wołam.

Rower podjeżdża bliżej i zwalnia.

– Przepraszam! – wołam jeszcze raz, głośniej.

Piasek zgrzyta pod kołami, rower staje. Ktoś stawia nogę na ziemi i pociąga nosem.

– Zatraciła się, co?

Chłopak. Dziesięć lat, może więcej.

– Gdzieś tutaj ma być szpital.

– A tam, o, z tyłu jest.

– Z tyłu za tobą czy za mną?

Idę za chłopakiem. Prowadzi swój rower, podążam za odgłosem. Przechodzimy przez miękką trawę, potem jest długa piaszczysta droga. Słońce grzeje w kark, chętnie zdjęłabym płaszcz.

– O, i tu jest główne wejście.

Badam stopą drogę.

– Będą schody najpierw.

Dziękuję i nasłuchuję, chłopak staje na pedale i rusza. Po chwili się zatrzymuje. Patrzy. Myśli, że go już nie słyszę. Obracam się w jego stronę.

– Zapomniałeś o czymś?

– Stuknięta jest, co? – pyta z zaciekawieniem.

Wchodzę po schodach, znajduję klamkę i ciągnę. Drzwi otwierają się zaskakująco lekko, mimo że są ciężkie. Szukając drogi do środka, wdycham wyglancowany zapach szpitala. Z przodu dobiega stukot maszyny do pisania, z lewej słyszę oddalające się kroki. Gumowe podeszwy skrzypią na linoleum. Po prawej odsuwają się w bok po szynie szklane drzwi.

– Słucham panią?

Odwracam się w stronę głosu.

– Ja na wizytę. Löytövaara. Telefonowałam w czwartek, umówiłam się na wizytę.

Siostra sprawdza numer pokoju i obiecuje zaprowadzić mnie na oddział. Wychodzi z dyżurki, obchodzi mnie i staje po prawej stronie. Bierze moją rękę i wprawnym ruchem kładzie ją sobie na przedramieniu, przybliżyła się jeszcze, żebym przyciśniętą do jej boku dłonią mogła wyczuwać jej ruchy. Biorę torbę w lewą rękę i pozwalam się prowadzić. Korytarze szpitala pachną amoniakiem. Pęk kluczy pielęgniarki podzwania przy każdym kroku. Słońce grzeje przez szyby i powietrze wewnątrz budynku jest rozpalone, duszne. Ktoś to już zauważył, więc tu i ówdzie przeciąg włącza do środka przez otwarte okna zapach drzew i brzęczenie owadów. Idziemy przez dudniące echem hole, wchodzimy po równych stopniach, otwieramy ciężkie drzwi. Wsłuchuję się w odgłosy mijanych sal, porykiwania, płacz. W drzwiach zgrzytają rygle. Siostra prowadzi mnie uważnie, przestrzega zawczasu przed progami i schodami, podaje nawet odległości w krokach. Choć ja i tak nie wierzę już w liczby, które słyszę od innych.

Wreszcie przystajemy. Siostra puka, nie czekając na odpowiedź, otwiera drzwi i wprowadza mnie do środka. Dłonie mam zimne. Siostra zostawia mnie pośrodku sali, przynosi z korytarza krzesło i sadza mnie na nim.

– Łóżko jest naprzeciw pani. Proszę zapukać, gdy będzie pani chciała wyjść. Powiem siostrze oddziałowej, żeby nasłuchiwała.

Drzwi się zamykają, zgrzyta rygiel. Po chwili jednak znów się uchylają i siostra szepcze do mnie jeszcze:

– Tylko proszę tych nadgarstków nie ruszać.

Stawiam torbę na podłodze. W pokoju jest otwarte okno, czuję prąd powietrza. Prawą ręką szukam ramy łóżka, lecz nie znajduję. Przesuwam krzesło do przodu. Zgrzyt nóg o podłogę odbija się echem od ścian. Wyciągam przed siebie obie dłonie, aż jedną natrafiam na zimną metalową rurę. Brzeg łóżka. Przesuwam ręce w tę stronę, gdzie jak przypuszczam, jest ściana i wezglowie. Dotykam czegoś ciepłego,

skóra. Ręka. Badam ją. Palce są zaciśnięte w luźną pięść. Wokół nadgarstka bandaż. Nad nim gruby skórzany pas i mocna kłamra. Ręka jest przytroczona do ramy łóżka. Leżący ciężko oddycha. Pochyliłam się do niego.

– Tato?

Nie ma odpowiedzi.

Wiem, choć wiedzieć nie miałam. Johannes napisał, że raz był telefon i mama natychmiast kazała mu jechać pierwszym samochodem do Oulu i odszukać ojca. Pod wskazanym adresem Johannes znalazł go w łóżku z krwawiącymi nadgarstkami. Ojciec co rusz go przeproszał i tłumaczył, że chciałby tylko iść precz. Rany przewiązał mu bandażem jakiś nieznajomy pan, blondyn. Wtedy Johannes zdołał ojca uspokoić i zabrać do lekarza, a rano przywieźć do domu. Następnym razem telefon był już ze szpitala psychiatrycznego w Oulunsuu. Sąsiadom mama powiedziała, że tata dostał zapalenia płuc. Z powodu ryzyka zakażenia nie można go odwiedzać i dlatego nawet ona do szpitala nie jeździ. Nikomu nie wolno, a i też nie trzeba. Mąż szybko wraca do zdrowia, niedługo będzie w domu.

Znów kładę dłoń na łóżku i badam bandaż. Pod nim skóra próbuje na nowo zasklepić to, co zostało rozcięte. Ojciec ma ręce ułożone tak samo jak wyrzeźbiony Chrystus w mojej szkole, który opuszcza ramiona z krzyża, zapraszając cierpiących, aby przyszli do niego. Oboje jesteśmy dziećmi cieśli, Jezus i ja.

Przesuwam dłonią po jego ramieniu. Pod głową ma dwie poduszki. Zarostu nie zgolił, okulary zdjął. Włosy rozczochrane. Oddech jest teraz lżejszy i czuję, że powieki zaczynają mi drżeć. Do oczu cisną się łzy, gdy palcami zapraszam ojca, by wrócił do naszego świata. Rozczesuję mu dłonią włosy w przedziałek, potem zsuwam ją po policzkach na szczękę i kręcę palcami takie same kółka pod brodą, jakie on mi kręcił, kiedy byłam mała.

Przez jego ciało przechodzi dreszcz, słyszę gwałtowny wdech i wydech. Nie cofam jednak dłoni.

– Lahja?

Głos ma niewyraźny, zdławiony. Czuję w jego oddechu ostrą woń

leków.

– To ja, Helena – odpowiadam.

Ramiona zapadają się znowu w poślanie, płuca wypychają powietrze w długim, spokojnym wydechu.

– Helena?

Odrywam dłonie od twarzy ojca, przysuwam krzesło do łóżka. Wychylam się w przód i kładę mu głowę na barku. Próbuje unieść ręce, ale są przytroczone, dźwięczą tylko klamry pasów. Przesuwa plecy w lewo, w prawo, chce się wygodniej ułożyć, lecz nic mu to nie pomaga, więc daje za wygraną.

– Tatuś jest trochę chory. – Ze wstydu ledwie może mówić.

Przestaję się powstrzymywać i płaczę, sama nie wiedząc, czy to ze zdenerwowania, czy ze strachu, czy z czego. Ojciec wspiera głowę na mojej i nic nie mówi.

– Dlaczego? – pytam nieśmiało, chociaż wiem, że na tym świecie nie ma odpowiedzi na wszystkie pytania.

Ojciec porusza głową wte i wewte, gładzi mnie policzkiem po włosach. Uspokaja mnie. Powoli jego „ciiii” zmienia się w piosenkę i z początku nuci samą melodię, ale potem dodaje słowa. „Nieba gdy słyszę błękitną pieśń, pragnę w powietrze, ach, unieść się...”. Śpiewa cichym barytonem. Przyłączam się do niego. Nasze głosy splatają się w jeden głos. „Wysoko, gdzie nie sięga już mrok, z dala od przyziemnych trosk”.

Chciałabym mu powiedzieć, że dostałam się do akademii i będę studiować fortepian. Że przeszłam całe Kallio wzdłuż i wszerz, że pukałam do wszystkich drzwi, aż w końcu znalazłam mieszkanie do wynajęcia i wyprowadziłam się z internatu. Chciałabym powiedzieć, że wieczorami leżę sama na łóżku i tęsknię za babusią, której już nie ma, za Johannesem i mamą też, choć jestem już w tym wieku, że nie powinnam za nikim tęsknić. Chciałabym spytać, dlaczego niektórzy zostali stworzeni do tego, żeby ich nikt nie kochał, lecz wiem, że akurat jemu nie ma co zadawać podobnych pytań. Z okna płynie zapach igliwia. Ojciec przekręca głowę i przyciska usta do moich włosów.

– Córeczka tatusia.

Z podłogi wnika mi w nogi dotkliwy ziąb, w płucach czuję mróz. Nie chcę być córeczką tatusia. Podrywam się tak gwałtownie, że krzesło się przewraca. Dotykam wezglowia, żeby złapać kierunek, i po omacku znajduję torbę. Szukam w ścianie drzwi.

– Helena! – krzyczy ojciec.

Drzwi nie mają klamki. Pukam w gładką powierzchnię dwa razy, a gdy nic się nie dzieje, jeszcze trzeci raz.

– Helena, wybacz mi!

Drzwi się otwierają i po omacku wychodzę na korytarz. Podłoga faluje.

– Nie chciałem cię odsyłać z domu! – krzyczy tata.

Kobieta, która mi otworzyła, wchodzi do środka. Chwilę później ktoś jeszcze mija mnie pośpiesznie i wchodzi do pokoju.

– Niech się Löytövaara uspokoi.

Podzwanianie klamer pasów słyhać aż na korytarzu. Przeprosiny odbijają się od ścian. Przyciskam torbę do piersi, zawadzam nią o futrynę, ale idę dalej. Odtrącam ojca na zawsze, wiem, że nie spotkamy się już nigdy więcej. Echa krzyków docierają aż do holu przy wejściu, lecz zostawiam go samego w tym wielkim i pustym kamiennym domu. Tak samo jak on mnie zostawił wiele, wiele lat temu.

# Ubierz się w obcisłe

Eurowizja przechodzi w eurodance. Na parkiecie basy drażnią skórę, wnikają w głąb ciała, wprawiając w rezonans błony komórkowe. Kilka osób przystanęło, żeby popatrzeć na ogarniętych ekstazą tancerzy, większość jednak okrąży powoli salę restauracji.

*What is love?*

*Baby don't hurt me!*

*Don't hurt me no more!*

Najważniejsze to nie okazywać zainteresowania. Druga najważniejsza rzecz: pokazać, że ewentualnie byłoby się wolnym. Tu nikt nie podrywa, zgadza się jedynie zostać poderwany. Nikt nikogo nie zaczepia, lecz może czasem pozwolić na to, by ktoś go zaczepił. Nie patrzy, poddaje się spojrzeń. Trzecia najważniejsza reguła to nie stawać, tylko cały czas chodzić. Okrążyć salę w lewo, raz za razem, bo na każdym okrążeniu przetaczającą się wkoło sali grupę pochłaniają głodnymi oczami nowi widzowie. Na tym etapie nie ma sensu okazywać zainteresowania, to można zawsze zrobić później, a tymczasem trzeba sprawdzić, czy na sali nie ma kogoś lepszego. Do tych upatrzonych można zawsze wrócić, przedtem jednak warto się upewnić, że rzeczywiście nigdzie nie widać tego jednego, na którego czeka się od zawsze. Tego, którego się widzi i natychmiast wie, że to właśnie ten. Ten, dla którego szykowało się właśnie na ten wieczór: starannie dobierało strój, chodziło na solarium, szlifowało styl. Odmawiało sobie łakoci, tatuowało się, przekłuwało i kupiło jeszcze pieska. Prostowało zęby i przynosiło z modnych sklepów eleganckie ubrania.

Na ten wieczór Tuomas czekał cały tydzień. Najgorzej było właśnie dziś, kiedy kościelne dzwony wybiły początek wieczoru. Szósta wieczór w sobotę to nie jest pora dla mężczyzn takich jak on. Jest już

wtedy za późno na chodzenie po sklepach, za późno na popołudniową kawę ze znajomymi w jednej z kawiarenek przy bulwarze nad rzeką. Z drugiej strony jest znów trochę za wcześnie na wypróbowanie przepisów wyciętych w ciągu tygodnia z codziennej prasy. Za wcześnie na wyjście do baru lub podjęcie decyzji o pozostaniu w domu i wylegiwaniu się na sofie. W sobotę o szóstej wieczorem biją dzwony kościołów i stateczne pary wracają szybkim krokiem do domów. Po opustoszałych ulicach miasta snują się tylko młodzi, którzy się jeszcze nie wyznają na czasie, oraz mężczyźni tacy jak Tuomas, którzy bardzo by chcieli przed tym czasem uciec.

*I don't know why you're not there  
I give you my love but you don't care*

Kiedy w sobotę o tej porze biją dzwony kościołów, śpieszący do domów małżonkowie myślą tylko o tym, czy nie zapomnieli zaopatrzyć się w trunki, nagrzać zawczasu sauny i zadzwonić do matki. Osoba samotna, jeśli chce jakoś przetrwać godzinę szóstą w sobotę, powinna sprawdzić, kto jeszcze wybiera się do baru wieczorem, kiedy życie znowu ruszy do przodu. Kiedy będzie już niesobota, prawie niedziela. Ale najpierw trzeba jakoś przeżyć tę szóstą. Pójść do domu takim krokiem, jakby właśnie tam chciało się pójść. Popatrzeć w telewizor, choć nie ma się już siły na rozrywkę. Ugotować coś łatwego, tylko dla siebie. Doczekać do wieczora.

Ta restauracja to azyl dla samotnych. Poza lokalem jego klienci są już tylko godnymi pożałowania – albo pogardy – wybrykami natury. I kiedy tutaj spokojnie sobie siedzą, reszta świata spiera się o to, czy ich istnienie to efekt wychowania bez ojca, czy raczej podwyższonego poziomu testosteronu w wodach płodowych matki. A może pedalstwo krąży w rodzinie? W tym lokalu nie trzeba nikomu tłumaczyć, czy to ewentualna faza przejściowa, czy może skutek świadomej decyzji. W barze na piętrze nikt nie czuje potrzeby zaczepiania tańczących ze sobą kobiet i wołania na cały głos, że na takie szkarady żaden normalny facet nawet by nie spojrział.

Siedzący na parterze mężczyźni unikają męczących tematów, świat



w ich słowach jawi się jako ostra jazda na fali i odhaczanie kolejnych wyzwań. Tylko kobiety na górze rozmawiają o rosnących cenach najmu, o zwolnieniach z pracy i problemach finansowych. One nie muszą ukrywać niepowodzeń za pięknym uśmiechem.

Weekend w weekend schodzą się wszyscy tutaj, w tym samym miejscu, żeby przemierzać te same trasy, spotykać się ze starymi znajomymi i na nowo tańczyć do tych samych hitów Eurowizji. Liczą na to, że choć będą się zachowywać tak samo jak zawsze, to zakończenie tego wieczoru będzie zupełnie inne. Znajdzie się ten ktoś. Skończy się szukanie. Niektórzy marzą nawet o założeniu domu, o tym, żeby być takim jak wszyscy. Tylko po swojemu.

O heterykach mówią ze współczuciem, jednak spod słów wybija zazdrość: kiedy tamci zaczynali z kimś chodzić jeszcze w gimnazjum, oni dopiero grubo po dwudziestce. Elementarz związków, który tamci przerobili w wieku dorastania, oni zaczynają przerabiać dopiero przed trzydziestką. Oni też by chcieli smakować pierwszych pocałunków za salą gimnastyczną, gdy mieli po trzynaście lat. Przedstawić chłopaka ojcu i matce w tym samym czasie, kiedy ich rówieśnicy zaczynają przedstawiać rodzicom swoje dziewczyny. Opowiedzieć znajomym z liceum, że się zakochali, a w każdym razie znaleźli kogoś, w kim mogliby się zakochać. Kupić w supermarkecie wspólny komplet garnków. Trzymać się za ręce na ulicy.

Nie. Każdy dobrze wie, że za rękę się nie chodzi. Tu przebiega granica, której się nie przekracza, nawet gdyby znalazł się ten ktoś. Trzeba się zadowolić niedzielnymi spacerami po bulwarze, kiedy można iść obok siebie i uśmiechać się pod nosem na myśl, że wie się coś o tym świecie, o czym reszta nie ma pojęcia.

### *So what is right and what is wrong*

Tymczasem ten właściwy do wczoraj się nie znalazł i na pewno dzisiaj też się nie znajdzie. Reszta Finlandii jest już po saunie, ludzie wyciągają sobie z lodówki piwo i żółte jaffy dla dzieci i rozsiadają się przed telewizorem, żeby popatrzeć na teleturniej, a oni gromadzą się w ustronnej restauracji z dala od centrum i zaczynają obchodzić

w lewo salę. Najwcześniej przychodzą najstarsi. Zawłaszczają nieliczne kanapy i stoliki, stawiają krzesła przodem do przejścia, siadają i czekają. Następnie przybywają ci w średnim wieku. Niosą swoje kufle do wysokich stolików ustawionych wzdłuż przejść. Na końcu zjawia się młodzież, zawsze za późno, choć wie doskonale, że publiczność już dawno na nich czeka. Młodzi przyprowadzają ze sobą wyszczekane dziewczęta, których głośny chichot domaga się przestrzeni. Dziewczyny mają nadzieję, że chłopak, z którym tu przyszły, pewnego dnia się zmieni i da im jakąś szansę. I raz za razem przeżywają zawód, bo on znajduje sobie innego. Nie dają jednak za wygraną.

### *Gimme a sign*

Młodzi po przyjsciu nigdzie nie przystają, tylko od razu zaczynają szukać innych zagubionych, wprawiając bezwiednie cały lokal w ruch. Z każdym okrążeniem sali porywają ze sobą kolejnych mężczyzn, jak nurt, któremu nie potrafią się oprzeć nawet kamienie. Wszyscy chodzą z nadzieją, że znajdzie się ten nowy, jeszcze nienazwany. Z kim będzie się dzielić marzeniami o świecie, w którym na ulicy trzyma się za ręce. W którym w sobotnie poranki leży się na łóżku i daje odszukać sączącym się przez żaluzje promieniom słońca. Przez cały dzień czyta się razem na głos *Kubusia Puchatka*. Ty będziesz Prosiaczkiem i Sową, ja Kłapouchym. I nawet się nie spostrzega, że jest sobota i szósta wieczór.

*I want no other, no other lover  
This is your life, our time*

Tuomas chodzi sam, bo tego dnia Sini nie wybrała się z nim. Rzekomo ma nowego kandydata na chłopaka, ale sama już na starcie kiepsko to widzi.

– Wiesz, jak to ze mną jest. Syndrom Scarlett O’Hary i syndrom motyla w jednym. To nie potrwa długo.

Rozumieją się dobrze, bo oboje przyjechali do miasta z północy, Sini z samej tundry. Najdalej w poniedziałek dziewczyna zjawi się u niego, ma swoje klucze. Powie mu, że postanowiła zacząć nowe życie, co podkreśliła przefarbowaniem włosów.

Tuomas postanowił odsapnąć przy stoliku Paava i Ilkki. Przez cały dzień miał zastępstwo w back offisie i pisał raporty z ubiegłego roku dla inwestorów. Potem poszedł do domu, zdjął stonowaną koszulę w niebieską kratę i obcisłe spodnie. Sporo czasu spędził przed lustrem, żeby wyglądać właśnie tak jak trzeba. Żelem ułożył jasną czuprynę w fale nad czołem, podwinął rękawy koszuli i w lewy wsunął paczkę zielonych Marlboro Light. Widać ją wyraźnie pod opinającą ramię tkaniną. I choć na dworze jest paskudnie zimno, Tuomas ubrał się jak do klubu w jednej z cieplejszych metropolii świata. Jedynym ustępstwem na rzecz trzaskającego mrozu są stare kalesony, już tak cienkie od ciągłego noszenia, że nie zaznaczają się wcale pod lśnącymi spodniami z ciemnego plastiku.

Tuomas obrócił krzesło i spojrzał na sunący w parach wokół sali osobliwy korowód. Paavo przynosi mu następne piwo, a dla siebie i Ilkki whisky z colą, po czym podejmuje przerwana klasyfikację:

– Potem są indyjskie tancerki, które umieją naśladować pedalski styl tańca. Nadgarstki zawsze powyżej barków. O, tak.

Paavo demonstruje łagodną wersję i unosi dłonie trochę poniżej barków. Ilkka wyciąga z drinka plastikowe mieszadełko i odkłada je na blat, nasłuchuje, a potem sam próbuje.

– A arystokraci to ci, co zgrywają się na bogatych. Gość może być nawet sprzedawcą w kiosku, ale musi mieć najdroższe ciuchy i opowiadać, że planuje wakacje na Zanzibarze. Bo ostatnim razem było tam tak cudownie.

Ilkka akcentuje dwa ostatnie słowa, jakby czytał je z kartki, gdzie zapisano je dużymi literami.

– A już najlepiej, jak taki pan hłabia zagada do bronka, który jest faktycznie nadziany.

Tuomas nie bierze udziału w poszerzaniu klasyfikacji. Dobrze mu w towarzystwie Paava i Ilkki, ale udziela mu się niespokojna atmosfera lokalu. Nikt po niego nie przyjdzie do tego stołu, w życiu.

Tuomas patrzy na ludzi, których pokazują sobie jego towarzysze, i słucha kolejnych opisów, a w każdym rozpoznaje siebie. Jest spietranym wróbelkiem, który staje na głowie, żeby tak urządzić sobie życie, by rodzina i znajomi nigdy się nie spotkali. Jest tłukiem spod ściany, który nie ma żadnego pomysłu na życie, więc stoi jak bałwan przy barze i się zapija, aż w końcu zgarnia go jakiś dziadek. Poszukiwaczem przygód, który chce się wyróżniać strojem, pić skomplikowane drinki i jeździć daleko na koncerty supergwiazd, bo to wszystko jest po prostu rewelacyjne. Tuomas rozpoznaje siebie w każdym i nie rozpoznaje w żadnym. Jest nimi i nie jest.

Trzy razy już zajrzał do klubu nocnego, ale widział tam tylko kilku takich, z którymi nie warto by w ogóle czegokolwiek próbować. Tuomas zna swoje ograniczenia. Bo jest nie taki jak trzeba. Za wysoki. Zwalisty. Kiedy otwiera usta, słychać północną gwarę, w której spółgłoski się zdwajają, a za pojedynczymi wyskakują zbyteczne samogłoski. Za dużo wypytuje, za głośno się śmieje. Gada jak najęty. Zajmuje za dużo miejsca. W mieście kochającym dystans i milczenie wyróżnia się jak brzoźka wyrastająca z muru nad rzeką. Tuomas patrzy na Paava i Ilkkę, trzydzieści lat są razem, i wie, że jemu coś takiego nie jest pisane.

Paava i Ilkkę uważa się zresztą za osobliwy wyjątek. Byli oczywiście inni, którym zdarzyło się żyć ze sobą od dawna, nikt jednak nie mógł się poszczycić pewnością siebie tych dwóch. Panowie mieszkali pod jednym dachem, obaj podpisywali kartki na święta i w sklepach bezczelnie składali zakupy do wspólnego wózka. Zdarzali się inni, którzy dzielili ze sobą mieszkanie, lecz sąsiadom mówili, że są tylko przyjaciółmi, i jakby na dowód stawiali w jednym pokoju dodatkowe, nieużywane łóżko. Kiedy do któregoś przyjeżdżali rodzice, drugi ściągał z drzwi tabliczkę ze swoim nazwiskiem i wyprowadzał się na tydzień do motelu. Jednak większość im podobnych nie utrzymywała z rodziną żadnych kontaktów. Tak było łatwiej dla wszystkich.

– Trzeba znów się przejść – mówi Tuomas i wstaje.

Kufel zostawia na stole, bo wie, że tu jeszcze wróci. Paavo unosi szklaneczkę i spostrzega, że Ilkka mierzy spojrzeniem nieznanego

chłopaka, który akurat przechodzi obok ich stolika. Klepie męża serdecznie po dłoni.

– Mój kurwiszonek.

Tuomas ma nadzieję, że dzisiaj nie będzie musiał iść do klubu. Bramkarz jest co prawda sympatyczny i przychodzącym z ich baru zawsze zdaje relację. Opcje są tylko dwie: „Dzisiaj nikt nie wali po ryju” albo „Dzisiaj radzę pójść gdzie indziej”. Z tego drugiego komunikatu nietrudno wyczytać ostrzeżenie: za wybite zęby i podbite oczy dyrekcja lokalu nie odpowiada, w końcu klient został przy wejściu uprzedzony o aktualnej sytuacji w klubie. Jak się wtedy wchodzi, to na własne ryzyko. Siada się z dala od innych i pluje na podłogę. Nie staje się w najważniejszych przejściach i nie tańczy razem. Wtedy lepiej zachowywać się tak, jak przystało normalnemu facetowi i zwykłej kobiecie.

*When we are together, I need you forever*

Ale może dzisiaj jednak nie do nocnego. Dzisiaj w barze aż roi się od nowych krzepkich dziewczyn i nowych smukłobiodrych chłopców, którzy testują swój magnetyzm na starszej publiczności. Kolejne pokolenie uczy się kroków tego godowego tańca, nowe senne oczy rzucają zapraszające spojrzenia od zacienionych stolików. Chłopcy suną gibko przez salę restauracji. Podejdz i naucz mnie.

Na zewnątrz kuli się na mrozie świat, który za tymi ludźmi nie tęskni. A oni tutaj mają swój sekretny ogród, w którym drzewo historii rodzi zmutowane owoce. Dawid kocha Jonatana, a Jezus kocha Jana.

Tutaj już nikt nie mówi o chorobie, o zabójczej pamiętce z gościnnych występów. Nikt tu nie ma ochoty na dywagacje, czy heteryk może się zarazić, jeśli ugryzie go komar, który wcześniej się napił krwi jakiegoś pedała. Szron pokrył najpiękniejsze kwiaty, a wolne ptaki pierwsze spadły na ziemię. Ich imiona – Reijo, Jukka, Osmo – należą do pokolenia starszego od tych wszystkich siedzących tu dzisiaj Akich, Villów i Santerich. Tylko starzy potrafią wyliczyć tych wszystkich, którzy nagle odeszli, ulegli wyniszczającej chorobie

lub targnęli się na swoje życie. Z ich pokolenia na scenie pozostali już tylko ci upokorzoni, którzy uznali racje społeczeństwa i pogodzili się z tym, że nie powinni być widoczni ani tym bardziej domagać się czegokolwiek dla siebie. Samotni mężczyźni, którym pęka serce.

Nikt nie ma ochoty wspominać byłych chłopaków – ani tych zmarłych, ani tych przepędzonych ze wspólnego mieszkania. Ci ostatni pewnie dożywają swoich dni w pustych kawalerkach, wzdychając do utraconych wspólnych chwil, do ciepła bliskości i do mebli, które zostały za drzwiami z wymienionym zamkiem. Przed nimi byli ci jeszcze starsi, mężczyźni z pokolenia publicznych toalet. Rozpracowywani przez obyczajówkę dziadkowie z dawnych czasów, kiedy nikt się nie odważył wymawiać swojego prawdziwego imienia. Liisa z Okienka, Jorma Wielka Dupa, Stary Księgowy. Nikt nie wie, co się z nimi dzieje. Starzy już musieli być. Czy ktoś w ogóle siada przy ich łóżkach w szpitalu? Bywalcy tego lokalu bardzo się cieszyli, kiedy ktoś z rodziny poprosił ich na chrzestnego albo chrzestną swojego dziecka. Pojawiał się wtedy cień szansy, że człowiek nie będzie potem umierał sam jak ten palec.

*Is it love?*

Tłum ociera się o Tuomasa i zagarnia go ze sobą. Popycha przed siebie. Tuomas przestaje kontrolować ruchy i płynie z prądem dookoła sali. Obok parkietu podnosi ramiona i wypełnia się muzyką, jakby był pustą formą. Nie zatrzymuje się, nie wchodzi po schodach na piętro, żeby popatrzeć na kobiety, które dały sobie prawo nie zadowalać męskich spojrzeń. Sunie z tłumem przez mroczną salkę obok holu, gdzie na sofach obejmują się nieruchomo muskularni mężczyźni w podkoszulkach. Czuje, że jest wstawiony. Ekscytujące ożywienie zaczyna ustępować obojętnej senności. Zobaczył na sali wielu interesujących mężczyzn i chłopców, myśliwych i czekającą na strzał zwierzynę, nie chce mu się jednak wydzielać z tej rwącej ludzkiej rzeki. Po pełnym okrążeniu stwierdza, że tamci nie siedzą już tam, gdzie siedzieli, lecz znaleźli sobie kogoś albo przyłączyli się do korowodu – do tego tańca, którego reguł nie zna nikt.

Tuomasowi jest gorąco, męczy go pragnienie. Wypite piwa pulsują w głębi czaszki. Obok poręczy przy parkiecie stoi Jarkko i uśmiecha się do niego tym swoim ufnym uśmiechem. Tuomas odpowiada mu skinieniem głowy, zamyka oczy i wiruje, wiruje, wiruje; stapia się z dręczącym oczekiwaniem, przykrym gorącem i pulsującym basem.

– Nie przechodź obok swojego szczęścia.

Ktoś złapał go za ramię. Tuomas patrzy na mężczyznę, ciemnobrązowe oczy i okryte koszulką muskularne piersi. Wstrzymuje nurt i wychodzi na brzeg, gotowy na fascynację i zakochanie, a przynajmniej na duszną chwilę rozkosznego współbycia. Uśmiecha się i podaje tamtemu swój żeton z szatni.

Po wyjściu z taksówki Tuomas ogląda nieznanne mieszkanie na peryferiach. Rozpoznaje w meblach egzemplarze, które widział w magazynach wnętrzarskich. Podziwia zimowy pejzaż roztaczający się z najwyższego piętra wieżowca. Idzie do łazienki, żeby po cichu ściągnąć kalesony i ukryć je w rękawie kurtki. Grzecznie milczy na temat śladu po obrączce na lewym serdecznym palcu tamtego. Bez zaproszenia wchodzi do sypialni, choć emocje polowania wyblakły jak stare wycieruchy. Najważniejsze są łowy, nie zdobycz.

Rano wracają autobusem do centrum.

– Bardzo zimno dziś od rana – zagaja Tuomas, ale tamten milczy.

Siedzi i patrzy bez słowa na pionowe słupy dymu z kominów domów jednorodzinnych. W świetle dnia wydaje się starszy niż w nocy, ale i tak wygląda interesująco. Tuomas myśli, czy byłby to jeden z tych, dla których warto się bardziej postarać, czy też z racji obrączki zniknie pośród tylu innych bezimiennych twarzy.

Nagle mężczyzna wciska przycisk „stop” i sprężyste wstaje. Czeka, aż Tuomas wstanie i przepuści go do drzwi. Tuomas stoi w przejściu i patrzy na plecy tamtego. Autobus zwalnia i zjeżdża na przystanek przed ratuszem.

– Mróz stęzał – Tuomas próbuje jeszcze raz, ale tamten tylko obrzuca go przelotnym spojrzeniem i wysiada.

Drzwi zamykają się z sykiem i Tuomas jedzie dalej, do placu

Targowego. W drodze do domu spostrzega zwisające z rękawa kalesony.



## Żal nic tu nie pomoże

Wiatr podrywa mi spódnicę i szumi w koronach chojarów. Niesie ze sobą zapachy dzieciństwa, borówek, igliwia, żywicy. Opieram się o poręcz na tarasie letniska i zaciągam powietrzem. Domek wyrósł ze stoku na końcu garbatego cypla. W dole marszczy się tafla jeziora, za plecami zakolem płynie rzeka. Słońce grzeje mnie w policzek i znów jestem małą dziewczynką, której tata pozwala zapalić wieczorem naftową lampę na ścianie domu. Wyciągam rękę i od razu ją znajduję. Lampa jest w tym samym miejscu co wtedy, gdy tata jeszcze żył. Uchwyt schropowaciał od rdzy.

Na letnisku brak ojca odczuwa się najmocniej. Nowy dom zbudował na pogorzeliu starego, bo było trzeba, lecz tutaj, nad jeziorem, wszystko majstrował dla własnej przyjemności. Każdy zapach, każdy dotyk, każde słowo to moja żaloba po nim. Kiedy umarł, nie płakałam, lecz od tamtej pory tuż pod skórą mam ciąglą świadomość, że już go nigdy nie zobaczę. Pozostały wspomnienia.

Obok tarasu stoi samochód, słyszę stuki stygnącego silnika. Johannes od razu zabrał dzieci na dół do sauny, Kaarina chyba poszła z nimi. Matka nie zabrała się z nami, woli raczej zostać sama we wsi. Jest tak ciepło, że ściągam skarpetki i bluzkę. Drzwi salonu są otwarte na taras, ale szukam tych węższych, które prowadzą prosto do kuchni.

W środku jest chłodniej, gdzieś na szybie pobzykuje tańcząca mucha. Pięć kroków z okładem i trafiam ręką na piec. Mimo że jest gorąco, sięgam lewą ręką do szybra i ciągnę. Wyjmuję ze skrzynki parę szczap i wrzucam na ruszt. Ten piec nigdy nie zapali bez papieru. Znajduję go przy skrzynce. Działam jak maszyna, jak mechanizm fortepianu. Odrywam kilka skrawków, resztę zgniatam w kulkę. Sięgam po zapałki we wnęce komina, wsuwam skrawki papieru między szczapy i podpalam. Otwieram dolne drzwiczki, podpalam kulkę i wpycham ją pogrzebaczem do środka, zamykam drzwiczki. Słyszę, jak w nagrzanym przez słońce kominie już huczy

potężny cug, świerkowe szczapy w piecu zaczynają strzelać. W kuchni w ogóle nie czuć dymu, ani trochę. Trzeba tylko umieć.

Sięgam teraz za siebie na prawo. Imbryk stoi tam gdzie zawsze, przy zlewie, wyżej w kredensie musi być puszka z kawą. Z wieczkiem na zawiasach i wyciśniętym na boku obrysem chryzantem, które opuszki moich palców świetnie pamiętają. Wewnątrz złamana łyżeczka. Wyjmuję puszkę z kredensu. Stawiam ją na czymś, przewraca się. Na blacie przy zlewie stoi sterta plastikowych talerzy i jakieś kubki. W dłoni dziwne wrażenie, jakby były za lekkie lub wydawały niewłaściwe dźwięki. Gdzie woda? Szukam na stole znajomego czajnika, nie ma go. Może ktoś go odstawił na ławkę obok drzwi? Obracam się w tamtą stronę. Po prawej rząd okienek, po lewej, za drzwiami do salonu, stare sieci ojca. Zahaczam o coś stopą, kolano uderza w twardy przedmiot, który wydaje metaliczny odgłos. Upadam na to coś, bo nie wyciągnęłam w porę ramion w przód. Wysokie, sięga mi trochę ponad biodra. Kiedy się podnoszę, dziwnie brzęczy. Wodzę palcami po obrysie, po krawędziach i licach. Piecyk. Kuchenka gazowa. Odstępuję krok w tył i znów o mało się nie przewracam. Pod oknem nie ma już polowego łóżka ojca, tylko jakiś duży mebel. Przesuwam po nim dłońmi, po froncie i bokach. Pięknie się zakrzywiają. To tapczan ojca, lecz obicie ma nowe. Dlaczego jest tutaj?

Odwracam się i przechodzę do salonu. Idę drobnymi krokami, lewą rękę trzymam blisko brzucha, prawą nieco dalej od tułowia. Okrażam pokój. Drzwi na taras, pod oknami w rogu stół i krzesło. Dawniej tapczan stał tutaj. Na ścianie rozkładana prycza. Na próżno szukam wypchanego żurawia na pniu. W następnej ścianie okno wychodzące na rzekę, potem kominek. Przed nim nowy fotel z rattanu. A gdzie ten stary, obity przez ojca? Ten, w którym mieściliśmy się razem z Johannesem, kiedy grzaliśmy się przy ogniu po powrocie z naszych pływakich wypraw? Znam to miejsce i zarazem już nie. Słyszę tu echa przeszłości, ale i nowości. A czy nad kominkiem wisi ciągle ten przestrzelony hełm niemiecki, który ojciec przywiózł z frontu? Johannes opowiada, że latem przyjeżdżają tu na urlop ludzie, którzy znają te okolice jeszcze z wojny. Szukają lejów i wysadzonych

bunkrów.

Ktoś idzie po schodach od jeziora. Kto? Zatrzymuję się, nasłuchuję. Stukot obcasów na tarasie.

– Helena?

Kaarina. Jeszcze nie rozpoznaję jej kroków.

– Tutaj – odpowiadam.

– Przyszłam zobaczyć, gdzie się podziewasz – mówi ze śmiechem.

Kiedy ojciec zmarł, Johannes był w wojsku. Pobrali się z Kaarina, nim jeszcze wrócił do cywila. Oboje pracują z matką w zakładzie. Matka i Johannes robią zdjęcia, Kaarina zajmuje się papierami i szuka tego wszystkiego, co gubią matka i Johannes. Zaczęła od uporządkowania negatywów portretowych według alfabetu, czym zaraz się teściowej naraziła. Matka piekliła się o to przez telefon parę dobrych tygodni.

„Świetnie się wszystko znajdowało w tym dużym kartonie! Ta nowa szafa tylko miejsce zabiera!”.

Kaarina mieszka w ich domu już od pięciu lat, a w jej mowie ciągle słychać pozostałości południowej gwary. I zawsze się śmieje.

– Kawy chciałam ugotować.

– Przecież i ja mogę – mówi i idzie prosto do kuchni, nim zdążę zaprotestować.

Siadam na próbę w rattanowym fotelu. Skrzypi i trzeszczy pod moim ciężarem. Na karku czuję drewnianą ramę, mimo że oparcie jest przykryte skórą renifera. Zza ściany słyszę, jak Kaarina nalewa filiżanką wody do czajnika i otwiera puszkę z kawą. Nasłuchuję, ile daje łyżeczek. Pięć. Ja bym ugotowała mocniejszą. Zapala gaz na nowej kuchence.

Wchodzi z naczyniami.

– I udało ci się nawet rozpalić w piecu.

– Ćwiczenie czyni mistrza.

Kaarina znów się śmieje.

– To pewnie twój, ten fartuch?

– Jak wygląda?

– Taki krótki.

– Ale jaki ma kolor?

Przez chwilę milczy, zdziwiona pytaniem.

– Brązowy. We fiołki.

– To mój. Był.

Kaarina rozkłada na stole plastikowe naczynia. Z zewnątrz dobiegają kroki Johannesesa na schodach, za nim idzie ktoś jeszcze. To musi być Maarit. Wchodzą do środka.

– W rzece były takie małe rybki – odzywa się dziewczynka, zwracając się albo do matki, albo do mnie.

Pokój wypełnia się gwarem. Johannes sadza mi Minnę na kolanach. Dziecko jest okutane w ręcznik. Nie chce siedzieć, wyciąga nogi, wyrywa się na podłogę.

– Mogę ją puścić?

– Ja ją wezmę – mówi Kaarina i bierze córkę na rękę. – Johannes, przyniesiesz kawę?

Johannes idzie do kuchni, Maarit biegnie za nim. Słyszę, jak Kaarina robi Minnie pierdzioszka.

– I co, mały golasku? – pyta, a Minna śmieje się na całe gardło.

– Helena, chodź do stołu.

Z kuchni dobiega gorzki płacz Maarit.

– Ktoś mi podarł rysunek!

– Na pewno niechący – pociesza ją Johannes.

Wstaję i idę do stołu. Słyszę szybkie kroki Kaariny.

– Uważaj, Minna, na ciocię Helenę.

Podnosi dziecko z ziemi i siada na krześle, na którym chciałam usiąść. Obchodzę stół, siadam na pierwszym wolnym.

Johannes przychodzi z kuchni, mruży jeszcze pod nosem jakieś uspokajające słowa. Pewnie trzyma na rękach Maarit.

– Gdzie jest ten duży fotel, który tam stał? – pytam.

– Musieliśmy wynieść, bo się nie dało łóżka rozłożyć – odpowiada Johannes.

– Maarit śpi w kuchni, a my tutaj. Minnie rozkładamy jeszcze materacyk na podłodze.

Nocuje ich tu o jedno więcej niż nas dawniej.

– A i tak robi się ciasno – mówi Kaarina. – Tak sobie myślimy, czy nie dobudować od strony rzeki jeszcze jednego pokoju. Tam, gdzie

teraz jest okno, byłyby drzwi.

– Z tego okna Johannes zawsze patrzył na rzekę. Mówił mi, jakie widzi ryby.

– Spaliście w tamtym łóżku?

– Tak, a ojciec w kuchni. Pamiętasz, Johannes? Nocami wykukiwałaś spod kołdry i patrzyłaś na rzekę.

Słyszę, jak dzwoni łyżeczką w filiżance.

– Gdzie by tam człowiek takie rzeczy pamiętał.

– Teraz płyną jazie, a teraz szczupak. Szeptalesz mi cichutko, żeby nie zbudzić ojca.

– Tak było?

– Czasem piżmak płynął pod prąd.

– Tu nie ma piżmaków – stwierdza Johannes i siorbie kawę.

– Co to jest piżmak? – pyta Maarit i Johannes wyjaśnia, że to taki stwór, który wygląda jak wielki zmoczony szczur.

Wstaję.

– Chyba pójdę zapalić.

Kaarina podnosi Minnę z podłogi.

– Czy na dworze są jeszcze relingi? – upewniam się.

– Były już sparciałe, więc je ściągnęliśmy, bo Maarit lubiła się na nich wieszać. Ale chętnie cię zaprowadzę, gdzie tylko chcesz – mówi Kaarina.

– Pamiętasz, jak sama kiedyś paliłaś papierosy? – pyta Johannes i Kaarina wybucha śmiechem.

Maarit prycha z niedowierzaniem.

– Mama paliła?

Na tarasie słyszę przez okno, jak śmieją się z własnych wspomnień.

Na zmianę to tłumaczą coś dziewczynkom, to znów je uciszają. Johannes śpiewa półgłosem stary przebój Edith Piaf:

– „Dzień choć strasznie szary był, to wieczór, *mon amour*, rysuje się różowo...”.

Przy stole Kaarina siedzi na moim dawnym miejscu. Zakłada mój fartuch i Johannes pamięta już tylko ich wspólne historie, chociaż ciągle śpiewa piosenki ojca. Dawniej mówił, że piżmak to piękne

zwierzę.

Wszystko się zmieniło, ludzie i miejsca. Imiona pozostały, lecz ludzie, którzy je noszą, są już teraz inni. Teraz w tym domu tatą jest Johannes, a mama oznacza Kaarinę. Ten, którego ja nazywałam ojcem, poszedł do piachu, zanim ci dwoje zdążyli się poznać. Dawna mama teraz jest babcią, lecz i tej roli za dobrze nie umie. A kobiety, którą ja nazywałam babusią, na tym letnisku nie pamięta nikt poza Johannesem. Na mnie wołają tu ciocia. Kaarina powtarza to słowo dziewczynkom cierpliwie, żeby się go nauczyły. Jak się jest ciotką? Nazwy mają zasłaniać ludzi z krwi i kości.

Otwierają się drzwi, słyszę dobiegający ze środka głośny śmiech Minny. Do poręczy podchodzi Johannes.

– Na którą chcesz wrócić do wsi?

– Wrócić?

– A, czyli nie ma pośpiechu.

– Dlaczego miałabym wracać?

– A co, chciałabyś zostać na noc? Nie ma tu tylu miejsc do spania. Gaszę papierosa i ruszam wzdłuż poręczy w stronę grzbietu cypla.

– A ty dokąd?

– Wysrać się. Wychodek chyba jeszcze jest?

– Jest.

Drogę znam dobrze. Mijam wychodek, lewą dłoń trzymam na wysokości zamocowanych kiedyś przez ojca relingów, prawą na wszelki wypadek wyciągam przed siebie. Idę pod górę. Sześć kroków i zwalone zmurszałe drzewo, w którym wycięto kawałek tarasujący przejście. Dwanaście i duży pień, z którego kiedyś spadłam. Robi się bardziej stromo, pod stopami trzaska chrust, gdzieś przy karku brzęczy samotny komar. Osiemnaście i chojar, na który łatwo było się wdrapać. Na górze wiatr jest mocniejszy, ale nadal ciepły.

Znam tę górkę i las, znam te wszystkie sosny. Przedemną spokojne wody jeziora, za mną łagodne zakole rzeki, a na niej wysepka tak maleńka, że ledwo można się na niej położyć. Idę jeszcze wyżej. Chcę się wtopić w las. Być zmurszałym pnem zwalonym na suchy piasek, kwiatem borówki, maciupęńkim okonkiem, prądem chłodnej rzeki. Nie zgodzę się na rolę osoby z zewnątrz, nie zamierzam pielęgnować

w sobie niechęci do tego miejsca ani do tych ludzi. Czy człowiek, który nienawidzi własnego gniazda, mógłby sobie znaleźć miejsce na tym świecie?

Wciągam w płuca woń wrzosu i bazyńny, z odległych bagien niesie się zapach groszku i kwitnącego dzikiego rozmarynu. Staję na szczycie grzbietu. Tutaj ojciec stawiał sobie namiot, kiedy budował letnisko, i tuż obok leżało we mchu poroże renifera, które nigdy niegniło. Tutaj zrobił nam miejsce na ognisko, były siedzenia, nie zapomniał nawet o stole.

Szukam krawędzi łąwy, ale nie znajduję.

– Zmurszała.

Johannes szedł za mną.

– Za dużo zim na dworze.

Mówi takim głosem, jakim oznajmia się dziecku o śmierci psa. Na dole Kaarina woła, żeby zaprowadził Maarit do wychodka.

– Jak te łąwy dawniej wytrzymały?

– Tata na zimę wciągał je pod taras.

Chciałabym zapytać, dlaczego on tego nie robił, lecz nic nie mówię. Nie chcę się kłócić. Chcę znaleźć coś, co będzie moje własne i nigdy się nie zmieni.

## Chciałabym z kimś do pianina sięść

Przesuwam but na skraj krawężnika. Opada ostro w dół pod palcami stopy. Słucham, czy inni przechodzą. Nie. Błoto tłumi dźwięki. Wszyscy stoją. Sygnalizator na przejściu pokazuje widzającym, czy wolno przejść przez jezdnię, czy jeszcze nie.

Samochody jadą tak blisko, że aż strach. Coś dużego, autobus albo ciężarówka, niemal wsysa mnie za sobą na ulicę. Przyciskam nuty do piersi. Wczoraj przepisałam je na brajla. Na połę spódnicy chlusta rozjeżdżony śnieg. Robię krok w tył i kogoś potrącam, stał tuż za mną. Przepraszam. Jak różne są odgłosy aut. Ojciec mnie kiedyś ich uczył: basowy warkot to ford, wyższy to fiat; jego studebaker brzmiał jeszcze inaczej. Potem pojawiło się dużo nowych marek. Po drugiej stronie wysepki człapie koń. Wolno tak furmankom w śródmieściu? Spaliny strasznie śmierdzą, lecz w powietrzu mimo to czuć już nadchodzącą wiosnę.

Ileż ja się nachodziłam. W szkole orientację w dużej przestrzeni ćwiczyło się bez przerwy. Żyliśmy na uboczu niczym strachliwe, nieopierzone pisklęta i tylko czasem wypuszczaliśmy się na chwilę do świata widzących. Najpierw dokoła kwartału, w którym była nasza szkoła: z głównego wyjścia na prawo, w Pierwszą Linie, na rogu w ulicę Wallina, na następnym rogu w Drugą Linie, na następnym w Castrena. Nie wolno było dotykać rękami ścian ani płotów, musiałyśmy iść prosto i pewnie, inaczej ćwiczenia nam nie zaliczano. Każde kolejne było trudniejsze od poprzedniego. Dokoła zakładu Diakonis, dokoła kwartału Szkoły Inwalidów. Do biblioteki dla niewidzących ścieżką wijącą się między skałami. Na rynek na Hakaniemi. Do kościoła na Kallio. Do biblioteki na Piątej Linii.

Nie miałyśmy białych lasek jak w szwedzkich szkołach, bo podobno używają ich tylko starzy niewidzący. Młodzi muszą przywyknąć do otoczenia. Muszą się go nauczyć, zakarbować je sobie w pamięci, punkt po punkcie. Do tej pory pamiętam liczbę kroków.



Siedemdziesiąt siedem od stopni szkoły do rogu Wallina, stamtąd sto dwadzieścia osiem do Alpejskiej, dwieście czterdzieści sześć do Trzeciej Linii, sto dwadzieścia cztery do Helsińskiej. Wszystkie przecięcia ulic pod kątem prostym. Ale centrum tego miasta do dzisiaj się boję. Nie można się go nauczyć. Co dzień w drodze z mieszkania do Akademii Sibeliusa przechodzę przez szerokie ulice. Kiedy na miejscu siadam do fortepianu, palce na klawiaturze jeszcze mi drżą.

Nagle wszyscy ruszają. Próbuję iść za nimi. Nie jest to łatwe: najpierw kilka pasów jezdni, potem wysepka, szyny tramwajowe w obu kierunkach, znowu wysepka, jezdnia i dopiero potem chodnik. Ludzie mijają mnie z prawej i lewej. Czyjaś torba uderza mnie w udo. Próbuję przyśpieszyć kroku, żeby nie odróżniać się za bardzo od innych, nie rzucać się w oczy. Ktoś mnie popycha, prawie się przewracam. Już siedem kroków, jeszcze kilka i będę na wysepce. Dziewięć, dziesięć. Ludzie mijają mnie szybko, buty rozchlapują błoto. Jedenaście. Ktoś biegnie z naprzeciwka. Zatrzymuję się i robię krótki krok, jeszcze jeden. Łącznie już dwanaście. Nie natrafiam na krawężnik. Dokoła nie ma już nikogo. Wyciągam prawą stopę przed siebie i w bok. Nie ma krawężnika, nie ma wysepki. Nic. Nie jestem już pewna, czy czasem nie skręciłam. Słyszę ryk silników. Są za mną i przede mną. Jakieś duże auto hamuje przede mną i trąbi klaksonem. Nie wiem, w którą stronę iść, żeby nie wyleźć na środek skrzyżowania. Znowu klakson. Zmuszam się do wzięcia głębokiego wdechu. Trąbi już drugie auto i trzecie. Jakiś samochód prawie się o mnie ociera, pluje spalinami w twarz. Krzyczę. Ktoś głośno przeklina.

Nie wolno panikować, nie wolno biec! Uświadamiam sobie, że wstrzymuję oddech. Latem czułabym na policzku ciepłe promienie słońca i one by mnie prowadziły, nie dały zboczyć z drogi. Nie wolno płakać. Nie wolno okazywać słabości.

Kiedy jeszcze mieszkałam w internacie, Pekkę ze starszej klasy przejechała na Helsińskiej ciężarówka. Seija spadła z nabrzeża przystani prosto pod lód. Rok później Irja weszła pod pociąg, bo jej się pomyliło i została po drugiej stronie szlabanu. Jak budowali

wieżowiec na skrzyżowaniu Trzeciej Linii, Janne spadł do ośmiometrowego wykopu i roztrzaskał sobie czaszkę. Nikt z klasy nie mógł go pożegnać, bo jego ojciec nie życzył sobie ślepaków na pogrzebie syna. O każdym ciężkim i śmiertelnym wypadku pani dyrektor wspominała zawsze po porannej mszy i odmawialiśmy wtedy dodatkową modlitwę. Zmarłych opłakiwaliśmy wspólnie przez wiele dni, w końcu jednak dochodziliśmy do jednego wniosku: poruszanie się po mieście niestety kosztuje.

Muszę się ugiąć, muszę się poniżyć. Trzeba przykłęknąć i spróbować się jakoś zorientować, macając jedną ręką trotuar, a drugą chroniąc nuty. Czy nikt mnie nie widzi?

– W którą stronę mam iść?! – krzyczę.

Po obu stronach ulicy pełne napięcia milczenie. Ludzie się na mnie gapią, są ciekawi, jak ta biedna niewidoma wyjdzie z tej przygody. Czuję się jak podróżniczka, którą z głębi mrocznej dżungli obserwują tubylcy. Jak męczenniczka na rzymskiej arenie, na którą dozorczy pędzą batogami kolejne dzikie bestie. Spódnica pod kolanami nasiąka zimną breją. Jestem widowiskiem dnia, cyrkowym dziwadłem, miejską wariatką, co pada na kolana przed światem i żebrze o łaskę wyciągniętej dłoni.

– Powiedzcie, gdzie jesteście!

Nikt nie odpowiada. Nuty spadają na ziemię.

Za autami są auta, za nimi następne, a każdy tylko czeka, kiedy wreszcie zniknę. Wszędzie słyszę warczące silniki i nie mam pojęcia, w którą stronę iść. Rozlega się dzwonek ostrzegawczy tramwaju. Wiem, że krawędzie jezdni są oblepione gawiedzią.

– Na Boga, dziewczyno, zejdziesz z tej jezdni!

Głos kobiety dobiega z prawej strony i z tyłu. Przelykam łyzy.

– Nie potrafię!

– Niech ktoś ją stamtąd sprowadzi!

Słyszę kroki, biegnie do mnie dwóch ludzi, chwytają mnie pod pachy i podnoszą.

– Tylko spokojnie – mówi niskim głosem jakiś mężczyzna.

– Nic się pani nie stało? – pyta drugi, starszy.

Ciągną mnie na chodnik i samochody mogą wreszcie ruszyć. Ryk

słysząc z obu stron, a więc jesteśmy na wysepce pośrodku ulicy.

– Co to było, jakiś atak? – pyta ta sama kobieta, która krzyknęła na mnie wcześniej. Teraz głos brzmi starzej, musi być w wieku mojej matki.

– Po prostu zgubiłam kierunek.

Po głosach i kaszlnięciach poznaję, że na wysepce jest więcej ludzi.

– Spódnicę sobie pani pobrudziła.

Kobieta podchodzi bliżej. Jedną dłonią podpira mnie w krzyżu, a drugą mnie otrzepuje, zupełnie jak dawniej matka. Czuję się jak małe dziecko. Ktoś się o mnie zatroszczył, samochód mnie nie przejedzie.

– Lepiej się nie wypuszczać, jak się nie umie samemu.

– Wiem.

Pieką mnie policzki.

– Papiery auta rozjechały, ale to nic takiego.

– Wiem.

Kobieta odstepuje krok, mierzy mnie wzrokiem.

– Trochę plam zostało, ale zejda potem od szczotki, muszą tylko przeschnąć.

– Dziękuję.

– Da już sobie pani radę?

– Tak. Dziękuję.

Kobieta pociąga nosem i się oddala.

– No to niech pani wraca do domu.

Stoję na wysepce i nie mogę się zdecydować, w którą stronę iść.

– Czy mogę jakoś pomóc?

To ten mężczyzna o niskim głosie, który sprowadził mnie z ulicy. Czy wrócił specjalnie, żeby mnie o to spytać, czy też stał tu obok cały czas i przyglądał się niewidomej poszukiwaczce przygód?

– Dziękuję, poradzę sobie.

Ludzie ruszają, wczuwam się w ich rytm. Przechodzę obok tamtego. Jeśli się okaże, że poszłam w niewłaściwą stronę, zawrócę na następnym skrzyżowaniu. Wreszcie docieram na drugą stronę. Tuż za sobą słyszę znajomy głos. Czyżby szedł za mną?

– Uparta jak wszyscy diabli.

Głos ma teraz ciemniejszy i jakiś ciepły. Obracam się do niego z uśmiechem.

## Porzuć płonne swe nadzieje

– Nie dręcz mnie.

Jarkko powiedział to bardzo grzecznie, w jego głosie nie było oskarżenia ani goryczy. Wielkie reflektory wynosiły muzeum sztuki ponad otaczający je mrok. Gdzieś w dole autobusy ostatnich weekendowych kursów wiozły do domów zmęczonych imprezowiczów. Jarkko patrzył na Tuomasa, nie był pewny, czy czasem wiatr nie rozproszył jego słów.

– Nie dręcz mnie – powtórzył. – To nie do zniesienia.

Tuomas wcale nie zamierzał go ranić. Sam po prostu nie wiedział, o co mu chodzi. Czy chce mieć związek, czy partnera na jedną noc, czy może właśnie nie chce niczego. Nie obmyślał niczego z góry, nie robił żadnych planów pięcioletnich. Przyswoił sobie reguły gry barowej. Podobało mu się to nocne dryfowanie z prądem. Dawał się wyciągnąć na brzeg, kiedy miał ochotę, i potem odbierał telefon, jeśli go to bawiło. Takie jest życie. Bywało i tak, że ciągnął jednocześnie kilka znajomości z mężczyznami, którzy wmawiali sobie, że stoją na progu nowego rozdziału, a on nie raczył ich nawet wyprowadzać z błędu. Sami się w pewnym momencie połapią, jak się sprawy mają. W końcu żadnemu nic nie obiecywał. No i kogo mógłby zranić, dorosłego mężczyznę?

A teraz jeden z nich stoi przed nim i patrzy na niego ciemnymi oczami. Jarkko wpił się w niego jak wędkarska kotwiczka w rybę, mocno i pewnie. Z jego spojrzenia wycierał smutek wiecznych rozczarowań. Tuomas zdał sobie sprawę, że zmienił się w jego oczach w kogoś, kim nie był i być nie chciał. Kim być nie dałby rady.

– Nie jest ci potrzebny – skwitowała Sini, kiedy podjął z nią temat Jarkka. – Ty nie potrzebujesz nikogo.

Zaproponowała mu zawody, w których zwycięży ten, kto zaliczy więcej nocy w hotelu z przygodnym znajomym.

Ostatecznie Jarkko sam wyszedł za nim z baru i stromymi

schodami pociągnął za nim na wzgórze przy muzeum, a potem przysiadł na murku i patrzył na wijące się w dole miasto. Oświetlona latarniami ulica schodziła do rzeki, by po drugiej stronie znowu wspiąć się wysoko na przeciwległe wzgórze. Tam gdzie Jarkko mieszkał. Tuomas nigdy u niego nie był. Po co miałby tam chodzić, skoro on przychodził do niego, kiedy tylko zadzwonił. Poza tym nie wiedział o Jarkku prawie nic. Wydział, kierunek studiów. Z bankowej bazy danych dowiedział się przypadkiem, że jego rodzina ma pokaźne portfolio. On sam przyjechał do miasta kuszetką, prawie bez bagażu: wszystkiego dwie walizki. I postanowił, że będzie mocny, otwarty na świat i pożądanym, i takim się właśnie stał. Tamten był tego zresztą kolejnym dowodem, ten cały Jarkko, co tak bardzo się boi, że gra go wykończy.

Niżej na zboczu, pod przyciętymi graniasto drzewami, kłócili się jacyś młodzi. Chłopak szedł z przodu z rękoma w kieszeniach, dziewczyna tuptała za nim i coś krzyczała. Słowa nie docierały do nich, tylko ton jej głosu. Nie pasowali do siebie, podpita dziewczyna, zamasyżuje opisująca doznane od niego krzywdy, i zdecydowany chłopak, po którym jej oskarżenia spływały niczym woda po kaczce.

Jarkko wciąż siedział na murku. Nogi skrzyżował po turecku, gołe dłonie wycofał do mankietów kurtki. Nie nosił rękawiczek? Przystojny był, krótkie włosy, długie nogi. Idealny kandydat na zięcia, którego przyszła teściowa wita uśmiechem na twarzy, kiedy córka przyprowadza go pierwszy raz do domu. Teraz zmienił pozycję, nogi mu pewnie ścierpły. Oparł się dłonią o mur, ale szybko stwierdził, że kamień jest zimny. Przykucnął więc na granitowym filarze i wsunął ręce do kieszeni. Spoglądał stamtąd na miasto jak gargulec z gotyckiej katedry lub ptak szykujący się do lotu.

Waga mu skakała. Tuomas spostrzegł to wtedy, gdy po dłuższym epizodzie wrócił do domu i zadzwonił po niego. Kiedy nie widzi się kogoś przez dłuższy czas, zmiany od razu rzucają się w oczy. Jarkko zmienił uczesanie, koszula ciasno opinała brzuch. W oczach pojawił się smutek. Raz, wychodząc z łazienki, Tuomas zobaczył, że Jarkko połyka do śniadania jakąś pigułkę. Nigdy go nie zapytał, na co to bierze.

Tuomas uważał, że zdrowa psychika to kwestia silnej woli. Nie umiał się tylko kłócić i dlatego tak dobrze znosił milczącą bierność Jarkka. W domu nieraz widział, jak się rodzi kłótnia, zakończenia jednak zawsze mu umykały. Dlatego wystarczy mu w złości coś zarzucić, żeby wytrącić go z równowagi, wystarczy podnieść głos, żeby się w sobie zamknął. Dlatego łatwiej jest po prostu odejść. Nie odbierać telefonów i nie przychodzić na spotkania, kiedy mieli sobie wszystko wyjaśnić. Liczyć na to, że problem sam się rozwiąże.

Tuomas zapalił papierosa, wsunął paczkę z powrotem do kieszeni i zapiął kurtkę. Powieki zaczynały mu ciążyć. Zerknął jeszcze na Jarkka, który z wysokości wzgórza czuwał nad spokojnym snem mieszkańców miasta jak jakiś Batman z tajgi. W oknie pobliskiego wieżowca zapaliło się światło i po chwili ukazał się w nim mężczyzna kołyszący na rękach niemowlę. Jarkko skrzywił się na ten widok. Tuomas odwrócił się i ruszył do domu. Jarkko usłyszał skrzypienie butów na piasku, ale się nie obrócił.

– A ja? Nie mogę iść z tobą?

„Nigdy nie zostawiaj nikogo w potrzebie”, mówiła mu zawsze matka. Nie złościła się na swoje dzieci, choćby nie wiadomo co zbroiły – uśmiechała się tylko i tuż przed wyjściem w gości robiła im przyspieszony kurs dobrych manier. Ale kiedy raz usłyszała, że Tuomas przezywa syna sąsiadów i mówi, że nie chce go już więcej widzieć u nich w domu, wściekła się nie na żarty. Ujęła go jeszcze pod pachy i posadziła na sedesie, żeby dobrze widział jej rozszuszczonej minę.

„Nigdy nie wystawia się nikogo za drzwi, rozumiesz?! Jeśli wiem coś o tym świecie, to właśnie to! I ty też będziesz musiał się tego nauczyć!”.

Jarkko trwał bez ruchu, lecz coś się zmieniło. Może nieznacznie unióś barki, a może zwiesił trochę niżej głowę. Kurtkę miał tak cienką, że było na niej widać guzły kręgosłupa. Czy od takiego kucania nie cierpną człowiekowi nogi? Jarkko obrócił głowę w stronę Tuomasa, ale nic więcej nie powiedział.

Często łatwiej powiedzieć, czego się nie chce, niż wiedzieć na pewno, czego się tak naprawdę oczekuje od życia.

– No chodź – powiedział Tuomas, chociaż nie był pewien, czy podjął właściwą decyzję.



## Bez kochania bardzo źle

Kari uważa, żeby mnie nie zgnieść. Przesuwa się uprzejmie trochę na bok, robi miejsce. Na wszelki wypadek, żebym nie spadła z posłania. Zawsze bardzo zważa na moje palce.

– Muzyk nie ma innych narzędzi, tylko tym zarabia – tłumaczy.

Dbą o to, żeby wszystko poszło szybko, na co się zgadzam. Całuje w szyję, zwilża językiem ucho. Po prawej stronie tyka budzik. Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądam. Wyglądam halkę i wciągam brzuch. Rozkładam włosy na poduszce, jak mi radzono. Wtulam się w jego ciało, staram się nie być za głośna.

Przewraca się na plecy, niby niechcący naprowadza moją dłoń na rozporek. Jak gdyby sprawy toczyły się własnym trybem albo jakbym to ja sama wpadła na ten pomysł. Jak się coś robi, to powinno się to robić dlatego, że się tego chce, a nie wyłącznie dlatego, że ja na to przystaję. Czuję przez materiał, że jest już gotowy. Rozpinam mu spodnie. Kari wstrzymuje oddech i wyraża nadzieję, że się nie przestraszę. Że się nie wycofam. A to nie pierwszy raz, ani dla niego, ani dla mnie, ani dla nas razem. Mimo to spowalnia tempo i się dopytuje, zależy mu na tym, żebym była pewna i zdecydowana.

Cała moja wiedza pochodzi z pogłosek. W szkole o tych rzeczach się nie mówiło, dziewczęta ograniczały się do niejasnych aluzji, nauczycielki rzuciły czasem jakiś suchy termin. Nasieniowód. Najądrze. Ciało jamiste. Łańcuchy górskie miały swoje mapy wypukłe, mogłyśmy dotykać makiet rowów w oceanach, lecz nikt nas nie nauczył, jak się zachowywać w takich sytuacjach. Byłyśmy oddzielone od chłopców. Nasza część dziedzińca była odgradzona od części dla chłopców i nawet do biblioteki chodziliśmy na zmianę. Nauczyciele pilnowali, żebyśmy nie spotykali się także w czasie wolnym od zajęć, i śledzili niekiedy starsze dziewczęta w mieście. Jeśli ktoś gdzieś zobaczył jakąś mieszaną parę, kara była murowana.

Raz nauczyciel prac ręcznych wziął chłopców na pogadankę do

sąsiedniej klasy, a my zostałyśmy w warsztacie i dalej szyłyśmy szale. Do czego nam ta cała wiedza, ociemniałym księżniczkom? Córy smutku nie mogą przecież odczuwać popędu płciowego, bo życie będzie im upływać na wywiązywaniu się z codziennych obowiązków. Dobrze wychowanym kobietom nie przystoi tęsknić za dotykiem ani pragnąć niczego, o czym nie mogłyby porozmawiać swobodnie z rodzicami. Wszystko, co ich dotyczy, musi się nadawać do rozmowy przy kawie ze znajomymi znajomych.

Chłopcy wrócili z pogadanki więksi, niż wyszli. Nie powiedzieli nam, czego ich tam nauczono, jaki nowy sekret posiadli w sąsiedniej klasie. Nauczyciel zabronił im z nami rozmawiać, więc chłopcy nabrali wody w usta także po lekcjach. My miałyśmy jedynie skąpe informacje odziedziczone po tych, które już opuściły internat, i podczas ciszy nocnej próbowałyśmy tworzyć z nich jakieś obrazy. Chłopcy mają coś, co wygląda jak palec albo jak dłoń. Jak tłuczek do kartofli. Jak oślizgły wąż. Najpierw miękki, potem twardy i wścibski. Nigdy przecież nie widziałyśmy w saunie rozebranych ojców i braci tak jak inne dziewczęta. Własne ciała znałyśmy z dotyku, lecz o ciałach mężczyzn rozmawiałyśmy szeptem. Czy mogą poruszać tą dodatkową kończyną? Wiedziałyśmy, że ona nie ma w środku żadnej kości, bo dwie z nas wybrały się na ekspedycję naukową do klasy przyrodniczej i obadały stojący w niej ludzki szkielet. Dla nas było to tylko słowo, które nie kojarzyło się z niczym znanym ani zrozumiałym. Wypuszczono nas w świat widzących z pustymi rękami.

Żelazne łóżko chybotcze, gdy Kari się kokosi, żeby ściągnąć spodnie. Przywieram do jego ciepłego boku i moja dłoń zapuszcza się tu i ówdzie. Czuję jego męskie wyziewy, słone i treściwe. Są pociągające i zarazem zbyt mocne jak na zapach ludzkiego ciała. Sprawdzam, czy halka zakrywa mi uda. Kari zagarnia mnie ramieniem, czuję pot i charakterystyczną woń męskości. Jego ubranie pachnie jatką, golonką i wątrową. Kari gładzi mnie po palcach, bierze je i przyciska do ust. Ostrożnie przekręca się na mnie, zakładam mu ręce na szyję. Wgłębienie na karku jest gorące i spocone. Czuję w nim, jak szybko łomocze mu serce.

Pod palcami mam to coś, o czym dziewczęta szeptały sobie w sypialni przez poduszki, o czym wiedziałyśmy tylko tyle, ile nam powiedział model uformowany na zajęciach garncarskich przez starsze dziewczęta na podstawie plotek. Po ogłoszeniu ciszy nocnej wyciągałyśmy go z tajemnej kryjówki w materacu pustego łóżka i przekazywałyśmy sobie z rąk do rąk, parszcząc tłumionym śmiechem. Właśnie na coś takiego miałyśmy się rzekomo wszystkie w życiu nadziać. Fama niosła, że model ma dokładnie takie same wypukłości i zagłębienia, takie same nabrzmiące żyły jak autentyk. A przecież Kariego wcale taki nie jest, ani tak szorstki, ani tak powycierany przez ciekawskie palce kilkudziesięciu dziewcząt. Ani nie popękany jak wyschnięta glina, ani nie skrzywiony w lewo.

Cofam rękę i wsuwam obie dłonie pod ramiączka halki. Ściągam gładki materiał na brzuch, odsłaniam piersi. Kari wstrzymuje oddech, śledzi moje ruchy i po chwili mówi, że jestem piękna i zmysłowa, że oczy mam rozmarzone i kuszące, że moje piersi są piękne. Milczę. Bo co bym miała powiedzieć? Że miążdży mi miednicę swoim ciężkim ciałem? Że czuję na obojczykach każdy włoszek zarostu, gdy całuje mnie w szyję? Że jego wyziewy nie przypominają mi żadnego poznanego wcześniej zapachu? Że są ostrzejsze niż zapach tamtego dyszącego chłopaka, który pierwszy poddał się dotykowi moich nieśmiałych palców? Kari wodzi palcem po moich ustach i mówi, że są jak u Taylor albo Hepburn. Bądźże już cicho. Nie próbuj mi schlebiać obrazami widzących, nie jest mi to potrzebne.

Nigdy nie będę nosiła ciemnych okularów, by zawczasu ostrzegać ludzi, że jestem inna niż oni. Może właśnie dlatego zawsze mnie poddawali rozmaitym próbom. Nauczyłam się chodzić pięknie i dumnie, tak samo jak oni. Potrafię zwrócić twarz w stronę obiektywu, kiedy mnie o to proszą, swawolnie przechylić głowę w lewo, nieznacznie wyduć usta. Kiedy siadam, łączę nogi i krzyżuję je w kostkach, plecy mam proste i pamiętam o tym, żeby nie pokazywać zębów. Patrę lekko w dół. Nie z pokory, nie chcę po prostu straszyć reszty towarzystwa moim niewidzącym spojrzeniem. Niech myślą, że jestem wycofana i nieśmiała. Już na pierwszym spotkaniu jestem pytana, czy umiem wywracać oczy albo czy widzę

choćby zarysy przedmiotów, na co odpowiadam dwukrotnie przecząco. Niektórzy bez słowa machają mi ręką przed oczami. Wyczuwam poruszenie powietrza. W końcu ktoś z towarzystwa pochyła się do mnie i wydaje werdykt. Że o mały włos można by mnie wziąć za widzącą, no ale brzeg spódnicy uciekł mi trochę za wysoko, kosmyk włosów wysunął się ze spinki i po szwach bluzki widać, że włożyłam ją chyba na lewą stronę. Uśmiecham się wtedy i dziękuję za uwagi. Obiecuję, że następnym razem będę uważniejsza. Nikt za to nie zauważa, że specjalnie na ten wieczór umalowałam usta albo że moje perfumy pachną cytrynowo.

Widzący mierzą mnie swoją miarką i dochodzą do wniosku, że do ideału trochę mi brakuje. Pytają, czy chciałabym odzyskać wzrok, gdyby to było możliwe. A po co mi taka umiejętność, z której nie umiałabym korzystać? W moim świecie mam wszystko, czego mi trzeba. Ta odpowiedź budzi zdumienie, teraz więc ja pytam, czy oni też by chcieli umieć wyczuwać dotykiem najmniejsze wypukłości powierzchni. Śmieją się.

– A na co komu taka umiejętność?

Zastanawiam się czasem, czy w ramach przysługi nie opowiedzieć im o tym, co odkryłam. Że to, jak się mówi i milczy, znaczy bardzo wiele. Że z tonów i westchnięć wiem, że narzeczonemu Anji już niedługo się znudzi słuchać ukochanej. Że Pentti kłamie, kiedy mówi, że pracuje w biurze, bo jego ubranie trąci mdłym zapachem słodu. Matti wcale nie pachnie lepszą dzielnicą, w której rzekomo mieszka, lecz tak jak przedmieścia pod samym Sörnäinenem.

Kiedy następnym razem szykuję się do wyjścia, raz jeszcze sprawdzam wszystkie szwy, dokładnie macam włosy i obciążam spódnice najniżej jak się da. Nie znoszę siebie za te usilne próby dostosowania się do świata widzących, chociaż to oni powinni przywyknąć do mojego. Zamykam drzwi i próbuję zgadnąć, na czym dzisiaj zostaną oblana.

Kari wsuwa mi obie dłonie pod pachy.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak.

– Nie musisz się o nic bać.

Nie odpowiadam. Czuję na twarzy jego oddech, na sobie ciężar jego tułowia. Daję swojemu językowi pełną swobodę i teraz bada jego język, zęby i wargi.

– Wiesz – mówi Kari – kiedy się całujesz, to patrzysz prosto w oczy. Skąd to wie? Opuszczam ręce z jego szyi.

– Światło jest włączone?

– A co?

– Wolałabym, żeby było ciemno.

Kari wyciąga ramię, pstryka wyłącznik lampy. Po chwili znowu czuję na sobie jego ciężar.

– Przyjemnie tak sobie na ciebie patrzeć – mówi, lecz nie czeka na odpowiedź. Całuje mnie w dołek pod szyją.

Jego ruchy zmieniają się z miękkich i płynnych na krótkie, bardziej rwane. Oddech staje się szybszy. Nagle unoszę biodra w górę i w bok, zrzucam z siebie Karięgo, który ląduje obok mnie na brzuchu. Łapie się mnie, żeby nie spaść z wąskiego łóżka. Ciągnę go tam, gdzie przed chwilą leżałam, a sama siadam na nim okrakiem. Zaczyna się śmiać, ja razem z nim. Nie powinnam, tak nie wolno, nie można. Ściągam halkę przez głowę. Biodra Karięgo zaczynają falować, a ja unoszę ramiona do sufitu i sama się kołyszę, jakbym podskakiwała na wysokiej fali.

W ciemności mogę wywalić język i kręcić oczami, rozpuścić włosy. Opuścić dłonie na swoje nierówne piersi, wachać swoje palce, Karięgo i siebie. Czuć na stopach wilgoć pościeli, a pod sobą spocony męski tułów. Wspierać się dłońmi na jego piersiach. Do rana czuć w sobie rytm łóżka, rytm zegara, rytm Karięgo, który śmieje się na głos, bo wydaje mu się, że w ciemności wszedł do mojego świata.

## Że mi tak w piersiach błogo

– Może ustawcie go po tej stronie salonu – mówi pani domu i idzie przodem.

Przedstawia się jako doktorowa, jak na filmach z wytwórni Suomi-Film, i mówi „salon”, choć nie może być dużo starsza ode mnie. No i jednak nie mieszka w tej lepszej części dzielnicy. Pracownicy sklepu Seppo i Markku niosą gabinetowy fortepian. Taszczyli go po schodach, ich niebieskie kitle parują potem. Ja wjechałam na czwarte piętro windą.

Pani domu otwiera kolejne drzwi i komenderuje.

– Tutaj. Proszę uważać na futrynę. I teraz tu, na lewo.

W salonie pachnie liliami i świeżo pomalowanymi ścianami. Zatrzymuję się pośrodku pomieszczenia, które odpowiada echem, jakby było puste. Czuję na grzbiecie dłoni słaby prąd powietrza.

– Nie tam – mówię.

Mężczyźni się zatrzymują, pani domu również.

– Tam nie powinien stać.

– Ale zaplanowaliśmy, że właśnie tutaj.

– Strój się nie utrzyma pod ścianą zewnętrzną. Na jesień płyta rezonansowa będzie puchnąć, a na wiosnę schnąć.

Pani domu wyraźnie się zastanawia.

– No to gdzie ja mam go postawić?

– To luksusowa rzecz. Czegoś takiego nie chowa się pod ścianą. Na środek pokoju z nim.

Poziom życia w kraju zaczyna się podnosić. Sporo się pianin sprzedaje, od czasu do czasu ktoś kupi nawet fortepian. W obrazie rodzinnej idylli klasy średniej nie może zabraknąć dziewcząt pobierających lekcje gry na pianinie, a jak kto zdołał awansować do klasy wyższej, musi mieć koniecznie lichtarz na koronkowym obrusie zdobiącym skrzydło fortepianu. Rzadko się jednak na tych instrumentach naprawdę gra, ludzie kupują je bardziej na pokaz, żeby

było widać, że my teraz miastowe i nie musimy się już taszczyć wózkiem z kankami do skupu mleka. W domu piją kawę z nowoczesnych zestawów i narzekają, jak to na wsi cuchnie krowim łajnem. Na urodzinach rodziców dziwią się na głos, jak można tak strasznie kaleczyć język fiński.

Pani domu zapala się do mojego pomysłu. Prosi tragarzy, żeby przesunęli sofę i na jej miejscu postawili fortepian.

– Rzeczywiście, tu również świetnie się prezentuje. I widać go od samego wejścia.

Seppo składa sukno, które ochraniało lakierowane powierzchnie w czasie transportu.

– W kuchni podano kawę, zapraszam – mówi pani domu i wychodzi z salonu. Seppo podąża za nią. Słyszę ich głosy w korytarzu.

– Pani Syrjänen to prawdziwa dama i nie pija kawy w kuchni.

– Skąd niewidoma może wiedzieć, że tam jest ściana zewnętrzna? – dziwi się pani domu.

– To jest mistrzyni.

– Czy w pokoju jest pusto? – zwracam się do Markku.

Przystawia krzesło do fortepianu i parska śmiechem. Rozbawił go Seppo tą swoją „prawdziwą damą”.

– Metr po lewej masz stolik z wazonem. Poza tym pusto. Pewnikiem dopiero co się wprowadzili.

Stawiam swoją torbę przy krześle. Najpierw podnoszę skrzydło fortepianu i opieram je na nóżce, potem zdejmuję pulpit i odkładam na podłogę po prawej stronie. Podnoszę pokrywę i ściągam materiał z klawiatury. Siadam na krześle i na chybił trafił wciskam klawisze do końca palcami lewej ręki, uderzając je jednocześnie kilka razy palcem prawej. Słucham. Mechanizm mocno przylega do stołu klawiatury, nie wisi nigdzie w powietrzu.

Gram kilka interwałów i słucham dźwięku. Z kuchni dobiegają strzępy rozmowy. Z początku traciłam niewyobrażalną liczbę godzin, usiłując robić takie stroje, jakich instrument nie przyjmie – teraz jestem mądrzejsza. Każdy instrument sam mi podpowiada, jaki dźwięk trzeba na nim stworzyć. Każdy ma swój głos. Zazwyczaj te

nowe są niedostrojone, bo struny jeszcze się rozciągają. Najpiękniej brzmią właśnie wtedy, kiedy są na granicy zerwania. Rano przyszedłam do sklepu przy fabryce wcześniej niż zwykle i zdążyłam założyć naciąg przed transportem. Teraz wystarczy tylko nastroić.

W fabryce obowiązywała sztywna hierarchia. Kiedy po studiach nie mogłam znaleźć pracy, zatelefonowała do mnie matka i kazała wracać do domu, lecz ja poszłam do sklepu z fortepianami i powiedziałam im, że chcę u nich pracować. Nie wiem dlaczego, ale mnie przyjęli. Przydzielili do fabryki w Rajamäki, gdzie było paru niewidomych stroicieli, od których wszystkiego się nauczyłam. Codziennie rano wsiadałam do pociągu, miałam się pośledniejszych prac i nie wstąpiłam do związku jak inni. Pewnie dlatego dostałam się w końcu do sklepu w centrum Helsinek, do obsługi przedsprzedażnej. A że umiem naprawdę na tych instrumentach grać, zrobili mnie w końcu stroicielką i jeżdżę na odbiory.

Czasem słyszę, jak sprzedawcy mydlą klientom oczy starą gadką. „Właśnie takie pianino wybrał Toivo Kuula. Na takim fortepianie grał Merikanto”, klepią w kółko jedno i to samo, a dystyngowane damy i wdowy po dziekanach rozplývają się w zachwytach, bo nie mają pojęcia, że ich model został zerznięty z Bechsteina, a mechanizm wzięty od Rennera. W ubiegłym miesiącu usłyszałam po raz pierwszy dodatek nadzwyczajny: „I stawi się u państwa niewidoma stroicielka. Fenomenalnie wyostrzone zmysły, mistrzyni w swoim fachu. Słuch absolutny”. Musiałam pobiec do kantorka, żeby nie parsknąć śmiechem przy klientach. Mogłabym w chórze obniżyć prawą strunę i podnieść lewą jak w knajpianych pianinach i nikt by się nie zorientował. Na odbiorach Seppo i Markku dodają nowe wątki do wymyślonej przez sprzedawców legendy. Kazały klientom zatrzymać wahadła wszystkich zegarów i unieruchomić wagi, żeby pani Syrjänen mogła pracować w skupieniu. Rozwrzeszczany drobiazg trzeba wyprowadzić na dwór, a gary zestawić z pieca, żeby płyta rezonansowa nie odkształciła się podczas strojenia.

Słucham jednokreślnego „a”. Młoteczek klawisza uderza w struny, dolne i górne alikwoty wzbogacają dźwięk, lecz mimo to coś brzęczy. Wyciągam z torby klucz stroicielski oraz filcowe kliny i szukam pod



pokrywą kołków naciągu dla wszystkich trzech strun tego dźwięku. Wygłuszam skrajne, szukam dla środkowej właściwej wysokości, a potem zestrąjam do niej pozostałe dwie. Powinno się tego słuchać jeszcze z kamertonem, lecz robię tak tylko w obecności klienta. Słyszę i bez kamertonu. Lubię intonować każdy instrument tak, jak sama chcę. Przenoszę się oktawę niżej i szukam właściwej formy dla wielkiego „A”.

Z kuchni przychodzą Seppo i Markku. Za nimi do salonu wchodzi pani domu.

– Mamy na ciebie poczekać czy wrócisz sama? – pyta Seppo.

– Możecie jechać. Kari odbierze mnie o piątej.

Obracam się w stronę kobiety i wyjaśniam.

– Przyjedzie po mnie mąż. Jesteśmy na ulicy Sportowej, prawda?

Mężczyźni wychodzą i zostaję sam na sam z fortepianem. Wiem, że kobieta nie spuszcza ze mnie wzroku, lecz to mi nie przeszkadza. Wiem, co robię. Szukam odpowiedniej wielkości dla kwinty, dostrajam jej chór, słucham tercji i zastanawiam się, czy „f” dobrze brzmi.

Głos Johannesesa w słuchawce zamarł na długo, kiedy powiedziałam, że wychodzę za Kariego, a jeszcze lepiej zatkało matkę, kiedy jej oznajmiłam, że ślub weźmiemy w urzędzie. Ale z przyjęcia nie zdołałam się już wykręcić, uparli się. W końcu więc usiedliśmy wszyscy w naszej dusznej kawalerce w starym drewnianym domu na Vallili, Kari i ja, Johannes i Kaarina, matka i Anna plus rodzice Kariego, Toivo i Martta. Nikt nie potrafił do nikogo się odezwać. Anna próbowała zagać rozmowę, Kari żałował, że Minna i Maarit pojechały do babci i dziadka. Johannes patrzył przez okno i zastanawiał się na głos, czy to dobra okolica. Toivo i Martta zamilkli na dobre, gdy matka ich spytała, czy należą do klasy robotniczej. Ona sama miała się zawsze za kogoś znacznie lepszego.

Do mnie zresztą teściowie też się nie odzywają. Uważają, że Kari powinien być ożenić się z kobietą, która ma w ręku jakiś fach, a nie z paniusią, co to całymi dniami uczy się brzdąkać na pianinie. Nic nie powiedzieli, kiedy dwa razy koncertowałam dla Fińskiego Radia, ale

gdy po Akademii Sibeliusa nie mogłam znaleźć pracy, usłyszałam tylko, że oni z góry wiedzieli, że tak to się właśnie skończy. Że przecież nikt nie będzie chciał się uczyć grać na pianinie u ślepej nauczycielki. Nic sobie z takiego gadania nie robię. Teściowie są zadowoleni, bo synowa tak im się nie udała, że mogą ją śmiało uważać za kogoś gorszego od siebie.

– Skąd wiesz, który kołek trzeba przekręcić? – pyta mnie kobieta, lecz jej głos dobiega jakby z daleka i nie odpowiadam, tylko słucham interwałów. Kwarty to kwadraty. Nie mogą być ani za szerokie, ani za wąskie. Dźwięk jest jak pajęcza sieć. Jego drgania przenoszą się na otoczenie, wzbogacony alikwotami dźwięk tężeje. Pracuję jak maszyna. To moje dłonie informują mózg, co robię, a nie odwrotnie. Decyduję, jak bardzo interwał może się rozchwiać, ażeby był kwintą, i jak bardzo, żeby był kwartą. Nie mogę porównać stroju do niczego oprócz dźwięków w mojej głowie i tylko ja decyduję, na jakiej wysokości będą ustawione przebiegi tego instrumentu. Stroję wszystkie pianina i fortepiany z naszej fabryki, które idą do sklepu w Helsinkach, i każdy instrument został zintonowany według mojej miary. To ja ustalam w stolicy wysokość dźwięków i zdudnień.

Wieczorami leżę w łóżku i słucham radia. Kari siedzi w fotelu i czyta książkę. Słyszę jego spokojny oddech i szelest przewracanych kartek z głębi koncertu fortepianowego. Powietrze jest wolne od słów. Nigdy mnie nie pyta, jak mi idzie w pracy, bo wie, że dobrze. Ciepło mi.

Kobieta wraca do kuchni. Badam skok klawiszy i zastanawiam się, czy próg jest dość twardy. Każdy pianista ma inny dotyk i każdy ma swoje wyobrażenie idealnego ruchu, w wyniku którego powstaje dźwięk, lecz dla tego instrumentu ja jestem pierwsza. Myślę, czy nie zdemontować mechanizmu i nie podregulować progu. Odkręcam już lewy klocek, ale zmieniam zdanie. W tej przestrzeni i dla tych pianistów miękki próg będzie na pewno lepszy.

Pakuje rzeczy do torby i zakładam z powrotem pulpit. Jeszcze tylko

wytrzeć ślady palców i będzie gotowe. Mimo wszystko chciałabym przed wyjściem wypróbować to cacko. Do mnie należy prawo pierwszej nocy. Siadam więc na krześle, kładę dłonie na klawiaturze i zaczynam grać koncert fortepianowy Prokofiewa. Dźwięki są doskonałe i wszystkie wybrzmiewają w tym samym kierunku. Już się nie wsłuchuję, bo nic nie trzeba poprawiać, oddaję się całkowicie muzyce we władanie. Wyobrażam sobie obok brakującą orkiestrę. Pod moimi palcami maszyna ożywa. Stalowe i miedziane struny reagują na uderzenia młotków, tłumiki wygaszają drżenia, mostki wibrują i płyta śpiewa. Żeliwna rama rozmawia ze skrzypcami, wiolonczelami i obojem, odpowiada rytmicznie puzonom i kotłowi.

Pani domu wnosi na tacy kawę, lecz ja nie piję, tylko gram, coraz dalej stąd i coraz bliżej Kariego. Allegro dudni mi w uszach. Czubkami palców wyczuwam soprany, basy przez podłogę wspinają się po nogach, wibracje poruszają miednicę. Kari siedzi obok mnie na tapczanie, opuszczam głowę na jego pierś. Całe miasto gra moimi rękoma. Jestem cała wibracją, czuję interwały i wariacje melodii. Obejmują mnie, podszczypują. Kobieta siada na sofie, nie pije, tylko słucha. Wiem, że patrzy, staram się obrócić do niej plecami. Ona nie słyszy klarnetów ani fagotów, patrzy tylko, jak piękne palce biegają szaleńczo po wyczekujących klawiszach. Gładzę Kariego po szorstkiej koszuli i gładkich spodniach. Kołnierzyk czuć jeszcze słabo wodą po goleniu i lizolem z muzeum. Dźwięki unoszą i zabierają sofę, opróżniają mieszkanie, wywiewają z niego smród farb i zapach lilii. Gram w doskonałej próżni, w tej muzyce jest delikatne muśnięcie włosków przedramion i chłód mlecznika trzymanego między szybami, pocałunek z samego rana, kiedy otworzyło się oczy i zaczyna przeciągać. Puls wyczuwalny na skórze nadgarstka. Kari to prostokątne kwarty i graniaste kwinty. Pocę się. Pani domu nie może oderwać wzroku. Chcę już kończyć, lecz Kari z powrotem bierze mnie w ramiona. Zapach jego skóry mówi mi, że znowu jest gotowy, i spostrzegam, że ja także jestem. Palce biegają po klawiaturze. Tak bardzo pragnę, żeby Kari zabrał mnie stąd właśnie teraz.

## Odkryjemy miłość nieznaną

Śnieg skrzypi pod podszwami. W jarzębinach ćwierczą jemiołuszki. Jest pogodna marcowa niedziela. Słońce się nie pokazuje, ale jest już wyraźnie jaśniej. Wczoraj było cieplej i w przydrożnym rowie pozostał ślad po płynącej wodzie. Niedługo znów stopnieje, tak jak grudy błota na chodnikach.

Tuomas z Erikiem idą jedną z tych ulic przedmieścia, gdzie kończą się kamienice i zaczynają duże działki z domami pośród jabłoni za ogrodzeniami ginącymi w krzewach różanych. Rozmowa się nie klei, brakuje im wspólnego języka. Erik nie zna fińskiego, a szwedzki Tuomasa zatrzymał się na poziomie liceum. Angielski wydaje mu się sztywny, trudno w nim opisywać otaczający ich świat, wysokie zasy, ślady pozostawione przez równiarkę na chodniku czy staruszków odśnieżających podjazdy do swoich starych domów, budowanych tuż po wojnie dla frontowców. Jak gdyby w obcym języku dawało się wyrazić jedynie proste sprawy, a właśnie dzisiaj Tuomas widzi świat nadzwyczaj wyraźnie. Chciałby wspomnieć o okalających rudere zdziczałych głogach, o gnieździe, które zbudowały sobie wrony w rozszczepionej brzozie, tylko brakuje mu słów. Samo *fence* czy *nest* nie ukáže Erikowi tego świata, który widzi Tuomas. Dlatego nic nie mówi, tylko idzie.

Poznali się przez znajomych, raz czy dwa spotkali się wcześniej w większej ekipie. Na randki się nie umawiali, w tej branży to tak nie działa. Sami się temu dziwią w rozmowach ze znajomkami, zastanawiają się, czy nie byłoby fajnie, gdyby można się było poznać trochę zawczasu. Poszłoby się do kina albo na kawę i od razu by się wiedziało, czy jest jakaś chemia, czy nie. A w branży nikt nikogo nie prosi na wernisaż albo na przejażdżkę. Ludzie z branży szukają sobie towarzystwa w barze i czasem z kimś się wychodzi, a czasem nie. Z tego się zawsze śmieją: nikt tu nie kupuje kota w worku, najpierw musi sprawdzić, czy towar jest pełnowartościowy. Potem dopiero

człowiek zaczyna szukać czegoś, do czego mógłby się przywiązać.

Dlatego właśnie są teraz tutaj, na osiedlu zamieszkanym przez rodziny i starych ludzi, którzy patrzą na siebie od pięćdziesięciu lat. Rano Erik nie zdradzał najmniejszej chęci powrotu do domu, łamiąc niepisane prawa branży. Tuomasa czekał w poniedziałek egzamin z rachunkowości, a Erik nie wstawał z łóżka, ziewał i się przeciągał. Poszedł do łazienki i zadzwonił do rodziców w Norrköping. Tuomas nie wiedział, jak faceta spławić, zresztą wcale tego nie chciał. Zajrzał więc do lodówki i ocenił, że ma prawie wszystko, czego mu potrzeba na chili con carne. Zapach smażonej papryki zwabił Erika do kuchni. Otoczył Tuomasa ramieniem, pocałował go delikatnie w miejsce, gdzie szyja przechodzi w bark, i z zainteresowaniem śledził proces gotowania.

– *My mother always uses beans*<sup>3</sup>.

– *I didn't have any*<sup>4</sup>.

Po jedzeniu beczynność zaczęła działać Tuomasowi na nerwy. Chciał się przejść, a Erik nadal nie zbierał się do domu. Dlatego wyszli na spacer razem. Erik był w interesujący sposób niefiński, miał świadomość swojej nieprzeciętnej urody i tę pewność siebie, która graniczy z bezczelnością.

Jezdnią wyprzedza ich dziewczynka. Ciągnie na smyczy szczenię z puszystą sierścią, które okazuje się suczką, bo obwąchawszy namiętnie okolice furtki, kuca, żeby oznaczyć ją jeszcze swoim zapachem. Obaj patrzą, jak piesek pędzi za swoją małą panią, na przemian to skacząc, to znów idąc bokiem, tak że tylne łapy zrównują się prawie z przednimi. Jak to powiedzieć? *A funny puppy is walking?*

<sup>5</sup> Tuomas nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak ze słów buduje się świat, bo widział w nim dotychczas skończony zbiór związków przyczynowych. Dokoła nich nie ma czekających na wiosnę drzew ani zniszczonych przez pług krzewów róż, nie ma bladego słońca ani wznoszących się prosto do nieba słupów dymu, lecz rozmaite zestawienia liter, którymi można to wszystko określić. Każde takie zestawienie opisuje niewielki wycinek świata, a Tuomas nie potrafi

przywołać z pamięci nawet jednego.

We właśnie mijanym domu tata chyba lubi sobie pospać albo dziadek trafił do szpitala, bo przylegający do działki chodnik jest nieodśnieżony. Ludzie zdążyli już jednak od rana wydeptać w grubym śniegu wąską ścieżkę. Tutaj nie da się iść obok siebie, więc Erik idzie pierwszy. Tuomas patrzy na jego plecy. Erik ma na sobie jasny kozuch, a na głowie czapkę z nausznikami ozdobionymi wełnianymi warkoczykami, które można zawiązać pod brodą. Nogawki dzinsów wsunął w jasne zimowe buty o sznurówkach tak długich, że musi je owijać wokół cholewek. Wygląda jak Nansen wybierający się w kilkuletnią wyprawę na biegun. Brakuje mu tylko strzelby do obrony przed białymi niedźwiedziami. *Polar bear czy arctic bear?*

Tuomas czuje, że uczucie zbliża się równie szybko i pewnie jak wiosna, ale jak coś takiego mogłoby się udać? Jak opowiedzieć o tym, że warunki klimatyczne nad Atlantykiem wpływają na ruchy zimnych mas powietrza z północy, co znów wywołuje wahania kursów spółek energetycznych? Jeśli nie zna nawet takich słów, tej rzeczywistości, która ich tutaj otacza, skąd miałby znać słowa, którymi opowiada się o tym, co się znajduje o dzień jazdy pociągiem stąd? Nawet po fińsku nie potrafiłyby wyjaśnić, co ciekawego jest w krzywych popytowych, a cóż dopiero powiedzieć o przenikliwym metalicznym zapachu, który mówi, że wkrótce spadnie śnieg. Jak wyrugować z komunikatu samego siebie i zacząć mówić w obcym języku tylko podstawowymi słowami, bez niuansów?

Droga wznosi się na wzgórze i skręca ostro w prawo. Na wprost zaczynają się schody, którymi można zejść z powrotem po skarpie. Przed wejściem umieszczono tablicę z napisem po fińsku i szwedzku: „Zimą nie odśnieża się”. Ludzie mimo to korzystają z przejścia, śnieg na kamiennych stopniach jest wydeptany. Erik przystaje, ściera łapawicą poręcz i siada na niej. Potem oczyszcza ze śniegu miejsce obok siebie i klepie je, zapraszając Tuomasa, żeby usiadł przy nim. Obaj podziwiają widok roztaczający się ze wzgórza.

– Skönt<sup>6</sup>.

Erik mówi to inaczej niż Szwedofinowie na uniwerku. Pełniejszą

piersią. Na początku słowa jest głoska, której Tuomas nie potrafi wymówić, a brzmi to tak, jakby się próbowało zdmuchnąć zachodzącą na oczy grzywkę. Przysłuchiwał się jej już, kiedy Erik dzwonił do matki. Język mu się łamał od samego słuchania: *Skönt. Stjärna. Sju sjösjuka sjömän*<sup>7</sup>.

Erik ściąga łapawice i wsuwa je do kieszeni kozucha. Z jednej wyciąga mandarynkę i zaczyna ją obierać. Tuomas jest rozbawiony. Nosił tę mandarynkę w kieszeni przez cały dzień i wczorajszy wieczór? Wszedł do baru z prowiantem w kieszeni kozucha? Patrzy na jego smukłe palce. Odrywają po kawałeczku skórki owocu. Tuomas zazwyczaj formuje ze skórki długą, cienką wstęgę. To samo z jabłkami: można je obrać, skrawając z niego z metra pachnącą tasiemkę.

Obraną mandarynkę Erik wkłada Tuomasowi do ręki i wyciąga z kieszeni drugą, ją też obiera. Spozstrzega, że Tuomas go obserwuje, i zaczyna się śmiać.

– *Vad?*<sup>8</sup>

Mocny podbródek, śnieżnobiałe zęby, dźwięczny śmiech.

– *Ingenting*<sup>9</sup> – odpowiada Tuomas i też się śmieje, dzieli mandarynkę na części.

Zna takich jak Erik, zna te wilcze grymasy i tęsknotę za ojcem, wie, że trzeba się nimi zajmować i z ich małych gestów wyczytywać wielkie myśli. Pozwala sobie wejść do tej zabawy, choć wie, że nie będzie mógł mieć do nikogo pretensji, kiedy pewnego dnia wszystko skończy się płaczem. Takie zabawy nigdy nie kończą się dobrze.

Erik obrał już swoją mandarynkę, próbuje kawałek.

– *Va’gott!*<sup>10</sup>

Swoją Tuomas już zdążył zjeść. Erik odgryza połowę cząstki, drugą podaje jemu. Trzeba by się nauczyć szwedzkiego. Sini lepiej o niczym nie mówić, ulotni się natychmiast, kiedy się domyśli, że Tuomas kogoś ma. I wróci dopiero wtedy, gdy będzie po wszystkim. Tuomas wsuwa owoc do ust i postanawia do egzaminu pouczyć się w nocy. Mięsz jest słodki i soczysty, dopiero w posmaku czuć delikatną cierpkość. Tuomas czuje, że tanio się sprzedaje.

## Na co bóle wrzące?

– Mięsień czworoboczny. *Musculus trapezius*.

Kari bardzo chce pokazać, czego się nauczył. Jeszcze nie masuje, powtarza tylko nazwy mięśni. Mięsień trójgłowy ramienia. Mięsień podgrzebieniowy. Mięsień obły mniejszy.

Pierwsza zima w nowym mieszkaniu. Matka ciągle siedzi w niepodzielonym po śmierci ojca domu. Johannesowi nie zapisuje nic, żeby Kaarinie nic się nie dostało, ale Anna dostała już na poczet swojej części spadku pieniądze na własny dom, a ja kupiłam sobie mieszkanie w Helsinkach. Johannes i Kaarina podżyrowali mi drugą pożyczkę na remont. Pokój dzienny, sypialnia, kuchnia. I jeszcze ten pokój, do którego prowadzi od drzwi długi korytarz. Będzie tu gabinet Kariego albo pokój dziecięcy.

Leżę na brzuchu na stole do masażu. Kupiony okazynie od jakiegoś znajomego, gruzłowaty i śmierdzący stęchlizną. Kari rozłożył na nim prześcieradło. Głowę mam w specjalnie zaprojektowanym otworze. Trudno mi oddychać.

– Czy w tym prześcieradle nie powinno być jakiejś dziury?

– Wtedy nie można by go już używać do spania.

Dłonie Kariego inwentaryzują moje ciało. Niektóre mięśnie widać od razu, inne znajduje dopiero po długich poszukiwaniach. Mięsień krawiecki. Głowa przyśrodkowa mięśnia brzuchatego łydki. Przypominają mi się badawcze ruchy dłoni babusi na nabrzmiętym brzuchu Eili. Palce Kariego to nieruchomieją, to ślizgają się po skórze, szukają przyczepów i rozgałęzień. Głowa boczna mięśnia brzuchatego łydki, mięsień podeszwowy. Kari jest bardzo dumny z odkrycia nowego świata. Już niedługo będzie dyplomowanym masażystą po szkole i skończy się to wieczne wynieś-przynieś-pozamiataj. Wreszcie porządny fach w rękę. Kari czuje się za mnie odpowiedzialny i dlatego imał się wszystkiego – woził samochodem mięso na targowisko, był akwizytorem w dziale prenumeraty, portierem



w Muzeum Narodowym. Teraz jest skupiony, bardzo się stara. Aż tryska zapałem, codziennie do późna w nocy zakuwa nowe słownictwo. Jego palce mnie łaskoczą. Kari śmieje się razem ze mną, a jeszcze bardziej mnie łaskocze, kiedy wymienia kolejne nazwy.

– Zginacz krótki palców. *Musculus flexor digitorum brevis*.

Kari czuje, że mógłby się tym zajmować na stałe, odnaleźć się w masażu, i ja też tak myślę. Mój mąż lubi czuć robotę w rękach i gawędzić z ludźmi. Powie coś sympatycznego, niekiedy przejdzie na chwilę na poważny temat, a bywa tak, że po prostu mówi, co właśnie teraz robi.

– Przewróć się na plecy.

Przewracam się. Zdejmuje mi biustonosz, który rozpiął mi już wcześniej, kiedy szukał mięśnia podłopatkowego. Dlaczego własna nagość czasem wydaje się naturalna, a czasami nie? Nie wstydzę się, gdy przechodzę z łazienki do sypialni, nie żenuje mnie rozbieranie się przed nim, kiedy głos mu się robi niski i chrapliwy. Lecz teraz, kiedy jego zainteresowanie ma charakter czysto anatomiczny, najchętniej zakryłabym piersi rękami.

Siada za moją głową i kładzie mi dłonie na barkach. Palce ma jakieś śliskie, tłuste.

– Co robisz? Co to jest?

Dłonie nieruchomieją.

– To tylko olej. Tłustymi rękami łatwiej przesuwają po skórze.

Całuje mnie w usta. Nie trafia jak trzeba, bo głowę ma odwróconą o sto osiemdziesiąt stopni.

Dotyk jego dłoni jest przyjemny. Palce suną po szyi, klatce piersiowej, ramionach, są ciekawe, szukają jeszcze nieskatalogowanych obszarów. Wsłuchuję się w niski, dźwięczny głos, który wylicza nazwy części mojego ciała. Mięsień mostkowo-obojczykowo-sutkowy. Mięsień piersiowy mniejszy. Mięsień piersiowy większy. Kari dzieli się ze mną swoją najświeższą wiedzą. Opowiada, jak przyczepiony do obojczyka *pectoralis major* może uciskać na nerwy palców i jak pewien przygłuchawy kantor odzyskał słuch po czwartym masażu. Wstaje i pochyla się, żeby mi pokazać mięśnie zębate przednie, tłumaczy, że pomagają zarówno w oddychaniu, jak

i wyrzucaniu pięści w przód. Czuję ciepło nad głową, czuję jego brzuch nad twarzą i krok uciskający włosy. Czuję swój oddech i woń jego skóry. To zapach zdecydowania, tak pachnie mężczyzna, kiedy wie, czego chce. Dłonie przesuwają się na brzuch, posuwiste, badawcze ruchy. Mięsień prosty brzucha. Mięsień skośny zewnętrzny brzucha. Krew szumi mi w uszach i pod wpływem zdecydowanych dłoni Kariego rozdzielam się na tysiąc cienkich strumyczków, przesączam kroplami przez stół i rozpląwam po podłodze wielkim oceanem spokoju i błogości. Kari mówi coś do mnie, lecz nie rozumiem słów.

Dłonie odrywają się od brzucha; ten ruch jest inny, nie piękny, tylko wnikliwy.

– Nie ma żadnych fizycznych przeszkód do rozwoju płodu – mówi lekarz. – Może się pani ubrać.

Wstaję z kozetki, wkładam z powrotem halkę. Pokój jest tak samo zimny jak ręce lekarza. Cały szpital śmierdzi tym samym środkiem dezynfekującym, którym przecierają skórę przed szczepieniem.

– Polecałbym pani środki przeciwowulacyjne. Urodzenie dziecka w rodzinach anormalnych wiąże się z ogromną odpowiedzialnością.

Dziwnie długo myje ręce.

– W normalnej sytuacji nie proponowałbym tego rodzaju leków, ponieważ uważam, że jeśli kobieta na coś się decyduje, to powinna także ponieść konsekwencje swojej decyzji. Przed wojną społeczeństwo miało swoje sposoby regulowania kwestii pożądanej płodności. Dziś jednak tamte metody nie cieszą się już uznaniem, nawet gdy chodzi o Lapończyków i Cyganów.

Ciągle się myje. Czuję się brudna.

– Zresztą pani też nie jest upośledzona – mówi dalej. – Tylko inwalidka.

Potakuję ruchem głowy i macam oparcie krzesła w poszukiwaniu sukienki i pończoch, lecz nie mogę ich znaleźć. Lekarz wyciera ręce.

– Ponieważ ma pani zupełnie normalnego męża, w opiece nad dzieckiem prawdopodobnie uda się uniknąć większych nieszczęść.

Wychodzi i zostaję sama, w korytarzu rzuca mi jeszcze, że za

chwilę przyjdzie po mnie siostra. Kładę dłonie na swoim płaskim brzuchu. Materiał halki jest śliski. Tutaj się zaczynam, a świat się kończy. Palce spoczywają na linii granicznej. Ponad dłońmi są inni, a pod dłońmi ja i niedługo – my. Próbuję wyobrazić sobie siebie jako matkę i moją matkę jako babkę. Jak się matka czuła, kiedy nosiła Annę w brzuchu? Co Anna myślała o swoich bliźniakach, co Kaarina o Maarit? Czy umiały się cieszyć?

– *Obliquus externus abdominis.*

Kari przeniósł się na prawą stronę stołu.

– Przestałaś słuchać.

Moje oczy podobno patrzą w górę i w bok, kiedy jestem skupiona. Nie panuję nad tymi ruchami, nie wiem nawet, jak mogłabym je poczuć. Gałki oczne, rzęsy, powieki, soczewki nie są mi do niczego potrzebne, a mimo to przekazują mojemu otoczeniu informacje, które wolałabym zachować dla siebie.

Kari opowiada o mięśniach dna miednicy, o ciąży i porodzie.

– Twoje ciało się zmieni, wiesz? Nie będziesz się mogła poruszać tak szybko jak wcześniej.

Kładzie czule dłonie na moim brzuchu. Delikatnie je obraca. Palce nie są już śliskie, czuję na skórze tarcie. W głosie Kariego słyszę jeszcze większy zapach.

– Już ja się o nas zatroszczę – obiecuje.

Przyciska usta do skóry, całuje mnie obok pępka. Niedługo zostanie ojcem. Rozmawia z moim brzuchem, mnie nikt nigdy nie słucha.

– Niedługo siebie nie poznasz, tak ci brzuch spęcznieje.

## Nie dawać mnie za mąż było

– Uważaj na psa – ostrzega Anna.

Zatrzymuję się pośrodku chodnika, lecz końcówka laski uderza zwierzę, na szczęście nie mocno.

– Co to za pies?

– Lassie. Taki sam, jakiego my mieliśmy.

– A już nie macie?

– Sprzykrzył się Mattiemu. Sam go zabił.

Boję się go pogłaskać, z psami nigdy nie wiadomo. Tak jak z właścicielami.

Anna przyjechała nas odwiedzić. Znów jest w ciąży, siedziałyby tylko przy pianinie i słuchała, więc gram jej stare szlagiery, czasem poprosi o jakiś psalm. Ale do sklepu się ze mną wybrała. Zdziwiła się, że rzuciłam pracę w sklepie z fortepianami, powiedziałam jej, że już mi się odechciało. Dosyć mam roboty ze strojeniem pianin w domach parafialnych. Podobno w domu kultury też by mnie chcieli.

Składam laskę, wkładam ją do torebki, Anna otwiera drzwi. W przedsionku czuć silny zapach produktów spożywczych. Kiełbasy i jabłek. I czegoś pełniejszego, mielonego albo żeberek.

– Czego nam potrzeba? – pyta Anna, prowadząc mnie przez obrotowe drzwi.

To dziwne, ale prawie od razu wiem, że zmienił się kierownik sklepu. Jakby mieli taką zasadę, że trzeba wtedy inaczej rozmieścić towary i tam, gdzie dawniej była musztarda, teraz postawić butelki cholera wie z czym. Niektóre alejki zamykają, a między półkami otwierają nagle jakieś nowe przejścia. W ubiegłym tygodniu byłam tu dwa razy z Karim, więc mam już jakie takie pojęcie, gdzie co jest. Pogorszyło się z czystością, bo pod butami skrzypi piasek.

– Co byś wolała, chłopca czy dziewczynkę? – pytam.

– Miło by było po chłopcach mieć teraz córeczkę.

Przy ladzie z mięsem stoi kolejka. Ktoś prosi o sałaki.

– Weźmie pani wszystko, co zostało? – pyta sprzedawczyni. Nowa jest, bo nie znam jej głosu. Może mieć jakieś dwadzieścia lat.

– Nie, trzecią część z tego pani da, to wystarczy, dziękuję.

Anna prowadzi mnie do skrzyń z nabiałem. Po skórze przeciąga ziab. Na szczęście mleko w woreczkach jest tam, gdzie poprzednio.

– Jak ja sobie poradzę z kolejnym dzieciakiem? – zastanawia się na głos.

– Wypadek przy pracy?

– Nie, sama chciałam jeszcze jedno dziecko. Mam już swoje lata, ale Matti nic nie powiedział.

– No to o co chodzi?

– Dobrze, jak ktoś cię potrzebuje.

– Mnie?

– O sobie mówię. Chcę czuć, że jestem komuś potrzebna.

Po głosie poznaję, że przy kasie siedzi sam kierownik sklepu. Anna stawia metalowy koszyk na ladzie. Tutaj nie ma taśmy, tylko taka obrotowa płyta, na której trudno się zorientować, co jest czyje. Kasa chyba jest nowa.

– Te sałaki to niby świeże są? – pyta klientka stojąca przed nimi, ta sama co wcześniej przy ladzie z mięsem.

– Prawie się jeszcze rzucają.

– Oczy mają mętne.

– Nie musi pani kupować.

Anna wyklada zakupy z koszyka na płytę, co chwilę trochę przesuwa, żeby zrobić miejsce. Sama dałabym sobie z tym radę.

– Ty idź pakować.

Idzie. Nie przestaje gadać.

– A ty nie chciałabyś dziecka?

– A trzeba mieć?

– Chyba każda by chciała?

Nie odpowiadam. Mój brzuch nie jest już duży, tylko płaski i pusty.

Kierownik sklepu nabija na kasie ceny produktów. Anna wkłada zakupy do mojej torby. Szukam portmonetki i płacę. Dostaję resztę. Badam palcami.

– To za mało.

– Jak to? – dziwi się mężczyzna.  
– Dałam panu setkę.  
– Dała mi pani pięćdziesiątkę i z tego wydałam resztę.  
– Nieprawda.  
– Chybabym zauważył, że to setka? A nie mam tu żadnego banknotu w niewłaściwej przegrodzie.

– Anna, widziałaś?

Przestaje pakować.

– Nie widziałam.

– No to mamy słowo przeciw słowu – konstatuje kierownik i wciska mi do ręki znaczki do wklejenia do zeszytiku zniżek.

Składałam znaczki i wkładam je do przegródki z dziesiątkami. W portmonetce mam osobne przegródki na wszystkie banknoty i wiem dokładnie, ile ich jest, jak są ułożone i gdzie się należą. Anna bierze torbę i otwiera drzwi. Przy wejściu do sklepu musi być jakiś pies, bo słyszę warknięcie. Po chłodnych wnętrzach uliczny skwar zapiera dech w piersiach.

– Widziałaś czy nie?

– Nie wiem, może to i była setka?

– I nic nie powiedziałaś.

– Nie byłam pewna.

– Na litość boską, Anna, to pięćdziesiąt marek!

– No jest to jakiś pieniądz, fakt.

– Wracamy po tę resztę.

– Ja się nie odważę.

Zawsze taka sama, nie ma własnego zdania i milczy, jak trzeba się odezwać. Tylko by dzieciaki rodziła i roiła sobie, że jest dla nich ważna. Znosi im do stołu zupę mięsną, a sama je w kuchni. Nikt jej nigdy nie słucha. Ona nie umie niczego chcieć. Nie przyjdzie jej nawet do głowy, że nie jest rybą i też ma głos.

– Nie po tośmy na ten świat przychodziły, żeby teraz stać z boku i patrzeć.

Otwieram drzwi sklepu, wchodzę. Anna zostaje na zewnątrz.

– Czegoś się zapomniało? – pyta kierownik sklepu.

– Jak zawsze. Mogę tu zostawić?

Wyciągam rękę z torbą, odbiera ją ode mnie. Między półkami skręcam do lady z mięsem. Przede mną stoi jedna klientka.

– Wezmę resztę tych sałak – mówię do dziewczyny. – Zrobisz mi dwa oddzielne pakunki?

– Włożyć do woreczka?

– Papier wystarczy. Ile?

Trzymam paczuski w lewej ręce, prawą szukam krawędzi półek. Mąka jest tam, gdzie była. Słucham, czy w przejściu są inni klienci. Szumi tylko chłodziarka regału z mlekiem. Pięciokilowe torby mąki pszennej są idealne, nikt w mieście nie kupuje naraz takich ilości. Latem się nie robi wielkich wypieków. Unoszę jedną torbę i chowam za nią paczuszkę z rybami. Znajdą ją tam dopiero, gdy będzie już porządnie cuchnąć.

Idę w stronę skrzyń z mrożonkami i cały czas nasłuchuję, czy nie ma nikogo w pobliżu. Pod butami skrzypi piasek, pod tymi skrzyniami na pewno się tutaj nigdy nie sprząta. Pochylam się i wsuwam drugą paczkę ryb pod maszynę, tam gdzie silnik chłodziarki wyrzuca ciepłe powietrze.

– Co pani robi?

Z drugiej strony mrozonek słychać kroki. Sprzedawczyni. Widocznie musiała wkładać towar na półki. Myślę, co odpowiedzieć. Kobieta zdecydowanie obchodzi skrzynię i staje obok mnie. Wpycham sałaki butem najgłębiej, jak się da.

– Tych pokręteł nie wolno dotykać!

Podnoszę się. Rozdziawiam usta i poruszam szybko powiekami.

– Ja-a? – mówię trochę przez nos, przeciągając samogłoskę i podnosząc ją pod koniec, tak jak wtedy, kiedy w dzieciństwie bawiliśmy się z Johannesem w wariatkowo. Pochylam głowę i macham jedną ręką. Palec mały i serdeczny zginam, resztę rozstawiam najszerzej jak się da.

– Helena, co ty wyprawiasz?

A więc jednak poszła za mną. Anna podchodzi do mnie.

– Wariatka z ciebie.

– Fakt – odpowiadam cicho.

Anna prycha, ale bez złości, odwraca się w stronę sprzedawczyni.

Zamykam usta i toczę trochę piany z ust.

- To moja siostra.
- Czy ona się dobrze czuje?
- Jest trochę... głupkowata.

Krzywię się i bulgoczę „deguje”, jakbym była głucha i nie słyszała własnego głosu. Sprzedawczyni nic nie mówi. Wiem, że się waha. Nikt nie lubi spotykać takich ludzi na swojej drodze, nawet na nich patrzeć. Wydaję z siebie skrzek i sama nie wiem, czy ma to być śmiech, czy coś innego.

- Może w czymś pomóc? – pyta kobieta.

Stoję w miejscu i chwieję się nieznacznie, drapię pod lewą piersią. Anna przejmuję pałeczkę.

– Potrzeba nam jeszcze rzeżuchy – wypala Anna i słyszę w jej głosie psotną nutę. Muszę się obrócić do niej prawie plecami, bo inaczej sprzedawczyni zobaczy, że jeszcze chwila i parsknę śmiechem.

– Nie wiem, czy będziemy jeszcze mieć, tak pod koniec lata. Proszę spytać przy kasie.

Strącam niechcący stojącą na brzegu półki torebkę kaszy. Schylam się, żeby ją podnieść, lecz Anna już jest przy mnie.

- Ale z ciebie fajtłapa! – strofuje mnie.

Wymyka mi się krótkie parsknięcie.

Anna ciągnie mnie do kasy. Sprzedawczyni na pewno odprowadza nas wzrokiem, chce zobaczyć, jak sobie poradzimy. Wieczorem będzie opowiadać w domu, jakie kretyнки przyszły dziś do sklepu. A może o nas zapomni, może pamięta tylko te normalne klientki, które kupują litr pełnego mleka.

Przy kasie odbieram swoją torbę.

- Nie znalazło się? – pyta kierownik.
- Znalazło, ale nie wzięłam.

Pcham drzwi i wychodzę. Anna śmieje się na całe gardło. Pies przed sklepem znowu się podnosi. Stawiam torbę na ziemi i wyciągam do niego rękę. Wącha ją leniwie. Czuję na grzbiecie dłoni jego wilgotny nos. Drapię go obiema rękoma za uszami, pies przysiada i nadstawia łeb. Zbliżam twarz do sierści i chichoczę.

- Jeszcze parę takich wypadów i będziemy kwita.



– Idziemy od razu? – pyta Anna, z trudem łapiąc powietrze.

## Tęsknota ma wspomnieniem płynie w świat

Tuomas patrzy we wsteczne lusterko. Ojciec i matka siedzą na kanapie z tyłu. Oczy matki są czerwone, ojciec patrzy w szybę i kiwa głową stojącym na skraju drogi ludziom. Na prawym siedzeniu z przodu siedzi Helena i gładzi spódnicę na udach. Tuomas widział na pogrzebie, że nie płakała. Podeszła do trumny i wróciła na ławkę, idąc pod rękę z Anną, a nie jak zazwyczaj z ojcem. Kiedy szli z kościoła, każdy miał z kim iść. Matka szła z Minną, ojciec i Tapio nieśli trumnę. Tylko Tuomas szedł sam, jako jedyny. Erik z nim nie przyjechał, to oczywiste. Nikt z obecnych na pogrzebie osób nie wie w ogóle o jego istnieniu. Tuomas nie potrafił się do nikogo przyłączyć, nikomu też nie przyszło do głowy, żeby wziąć go pod ramię i razem dźwigać smutek, który udzielił mu się w kościele.

Teraz jadą jako drudzy. Przed nimi samochód córki Anny, za nimi cała kawalkada. Karawan mija skrzyżowanie, zwalnia i zatrzymuje się na wysokości ich domu. Cały kondukt staje.

– Chyba nie jesteśmy jeszcze na cmentarzu? – pyta Helena.

– Zatrzymaliśmy się na chwilę przed domem – odpowiada z tyłu ojciec.

Zablokowali skrzyżowanie, stanął ruch na całej Lopotti. Babusi ta nazwa nigdy nie chciała przejść przez gardło. Ubzdurała sobie, że to słowo oznacza dzielnicę kobiet o złej reputacji, choć miała na myśli chyba tylko swoją matkę. Bo urodziła nieślubne dziecko. Kiedy pytało się babusię, do której części wsi jej dom należy, nie umiała odpowiedzieć. Myślała pewnie, że do Czterech Dróg. Nikt w zasadzie nie wiedział, co to takiego to całe Lopotti i nie interesowało to nikogo – poza babusią.

Ojciec mówi zawsze, że człowiek dobrze przeżył życie, jeżeli będzie go opłakiwać choćby jedna osoba. A teraz kolejka aut ciągnie się od domu aż do Czterech Dróg. Tuomas patrzy w boczne lusterko, światła zmieniają się z zielonego na czerwone i znów na zielone, lecz żaden

samochód nie rusza. Nigdzie z boku nie można wjechać na główną ulicę, nikt nie zjedzie z głównej w lewo, nie przebije się przez ten żałobny sznur. Cała wieś czeka, aż babusia przejedzie. Starsi ludzie na chodnikach przystanęli, mężczyźni zdjęli czapki. Tylko młodszy nie zwracają uwagi na kondukt. Zmarli tyle ich obchodzą co zeszłoroczny śnieg.

Przebieg dróg przy skrzyżowaniu niedaleko domu zmieniono i z podwórza na główną drogę można wyjechać tylko przez działkę sąsiada. Tuomas zerka w tylne lustro. Matka wyciera nos, ojciec chwyta ją za rękę. Można by pomyśleć, że powinni się cieszyć, w końcu będą mogli rządzić się sami w domu. Śmierć babusi nie była dla nikogo zaskoczeniem, wręcz przeciwnie. Sama ją do siebie przyzywała co najmniej od piętnastu lat. Każda Gwiazdka miała być już nieodwołalnie tą ostatnią, wreszcie kostucha po nią przyjdzie i zabierze precz, żeby już przestała ludziom uprzykrzać życie. Ale nie. Tylko chudła, z każdym rokiem bardziej, aż zostały z niej sama skóra i kości, a pod koniec życia zaczęła jakby topnieć od środka. Nie wiadomo, czy znudziło się jej już to ciągle rozkazywanie, czy może grzeczny, ale stanowczy opór synowej uświadomił jej w końcu, że się tej kobiety z domu nigdy nie pozbędzie. Nawet do nich, Kaarinowych bachorów, zaczęła mówić pięknymi słowami i podziwiać je za to, że tak się wszystkie garną do nauki. Wieszczyła, że pokończą studia. Prezydentami pozostawają, jeżeli nie lepiej. Tylko że oni nie umieli się już wtedy z nią odnaleźć, przetrzeć dawno zarośniętych ścieżek. Nauczyli się żyć bez babusi Lahji.

Karawan rusza, a za nim po kolei pozostałe auta. Każdy kierowca rusza za poprzednikiem z niewielkim opóźnieniem i kawalkada się wydłuża. Tym razem jednak nikt nie próbuje nikogo doganiać. Helena miętosi suknię, to wsuwa ją palcami między uda, to znowu prostuje, w końcu jej dłonie nieruchomieją.

– Jestem podobna do ojca czy do matki?

Tuomas nie odpowiada, pytanie nie było zresztą skierowane do niego. Nadstawia jednak uszu. On i jego rodzeństwo robią tak zawsze w tych nielicznych chwilach, kiedy pojawia się temat dziadka. Wspólnie próbują składać zdobyte informacje w jakąś sensowną

całość. Potem opowiadają ją sobie szeptem, kiedy się widzą następnym razem.

– Sam nie wiem – odpowiada ojciec. – Masz na pewno jej oczy. Jak my wszyscy.

Matka pochyla się ku przednim siedzeniom.

– Ja widzę podobieństwo do ojca w ustach, może podbródku – mówi Helenie.

– Naprawdę? – dziwi się ojciec.

– Pamiętasz tamto zdjęcie, na którym twoi rodzice stoją na balkonie?

W rodzinie Tuomasa rozmowy bardzo szybko schodzą na fotografię. Czasu nie mierzy się latami ani pokoleniami, tylko tym, jakie różnice widać na zdjęciach. Czy dom Tuovilów miał jeszcze panele, czy Hiltunenowie mieli volvo, czy forda albo jaki dom stał kiedyś na miejscu sklepu Kantoli. Każde z nich ma świetną pamięć do zdjęć. Gdy latem zjeżdżają się wszyscy w tym samym czasie do domu, albumy lądują na stole najpóźniej pod wieczór. Ale ty jesteś podobna do babusi. Tutaj domek do zabawy nie był jeszcze pomalowany. A więc to jednak było kawasaki, ten pierwszy motocykl Tapia. Żadna teza nie zostaje uznana, dopóki nie znajdzie się fotografia na jej potwierdzenie. Wszyscy pamiętają, że na konfirmację Maarit robili ciastka z czekoladą, ale nie ma na to żadnego dowodu. Dlatego nic takiego się nie wydarzyło.

Teraz matka przypomina sobie starą fotografię zrobioną na długo przed jej przyjazdem, wklejoną do jednego z niezliczonych albumów.

– To, na którym twoja matka trzyma kota na kolanach.

Teraz ojciec sobie przypomina.

– A, to. No fakt.

Helena znów zaczyna miętosić sukienkę.

– To dobrze.

Tuomas włącza lewy migacz i skręca na dziedziniec cmentarza. Ojciec pomaga wsiąść Helenie, lecz gdy próbuje chwycić ją pod ramię, siostra go odpędza.

– Nie będzie Kaarina sama szła.

Matka wyjmuje z bagażnika dwa wieńce, prostuje wstęgi i jeden

daje Tuomasowi. Ojciec szuka jego spojrzenia, pokazuje mu głowę Helenę. Parking zaczyna się zapierać. Pracownicy biura pogrzebowego czekają, aż stawią się wszyscy tragarze. Tuomas zamyka samochód, obchodzi go i dołącza do ciotki.

– Co tam słyhać u tej dziewczyny? – pyta go Helena.

Byli kiedyś razem z Sini w Helsinkach i Tuomas ni stąd, ni zowąd postanowił zabrać ją do ciotki – żeby sprawdzić, czy różne wymiary jego życia mogłyby się jakoś przeciąć, choćby w tym jednym miejscu. Sini nie była zachwycona, podobnie jak Helena. Nie rozumiały nawzajem swojego poczucia humoru i obie nawiązywały do wydarzeń, o których druga strona nie miała pojęcia.

– Nawet nie wiem. Dawno się nie widzieliśmy. Na prawie nie ma lekko, egzamin za egzaminem.

Tuomas podsuwa wieniec.

– Chcesz kwiaty czy ja mam nieść?

– Ty nieś.

– Kartka wcale nie jest zapisana brajlem. A tak myślałem, kiedy czytałaś w kościele.

– Nauczyłam się na pamięć. Nie umięją tutaj pisać w ten sposób.

Mężczyźni wysuwają z karawanu trumnę przykrytą białą tkaniną i stawiają ją na czarnym wózku. Pracownik biura sprawdza najdrobniejsze detale, oszczędnymi gestami kieruje tragarzami. Trochę na prawo. Za dużo. Na lewo. Starczy, tak dobrze. W kościele przypominał dyrygenta, pilnował rytmu i płynności obrzędów, do czego najbliższa rodzina zmarłej nie miała przecież głowy.

Żałobnicy zaczynają zajmować miejsca w kondukcje. Ojciec i Tapio idą pchać wózek z trumną, matka idzie z rodziną Minny. Helena wsuwa Tuomasowi dłoń pod ramię.

– Nawet nie wiem, czy umiałabym jeszcze odczytać brajla – mówi.

– U nas pisać umieli tylko ja i twój ojciec. No i dziadek, oczywiście.

– I babusia – dodaje Tuomas.

Ludzie idą powoli przez nowy cmentarz w stronę starej części. Graniaste nagrobki ustępują miejsca obłym kamieniom, a jeszcze dalej – zardzewiałym krzyżom z kutego żelaza. Kiedy zachodziło się tutaj samemu i szło po cichu, z drzew zlatywały na powitanie szare

sójki syberyjskie.

– Matka nie umiała. Ojciec pisał czasem do szkoły, kiedy byłam mała, ale z jego śmiercią wszystko się skończyło.

– A nie, bo mi babusia raz pokazywała, dawno temu, jak się czyta z lewej do prawej, ale pisze odwrotnie.

Helena ściska mnie mocniej za ramię.

– Nie może być – mówi prawie szeptem.

– No mówię ci, że umiała. Miała nawet taką metalową tabliczkę i dłutko do robienia kropek. Mam jeszcze gdzieś karteczkę ze swoim imieniem w brajlu.

Na stypie obok Tuomasa siedzi córka Minny i śpiewa sobie o chorym niedźwiadku. Po jego drugiej stronie dzieci Maarit zastanawiają się, kim są ludzie, których imiona i nazwiska widziały na grobach.

– Onni Löytövaara to na pewno był mąż prababci.

– Czy Maria Tuomela to była ta położna?

– To chyba była matka naszej prababci.

Najmłodsze z dzieci, które urodziły się już w innych miastach, były przerażone tutejszym zwyczajem zasypywania grobu przez najbliższych. Pierwsze szufle ziemi zabębniły głucho o wieko trumny, zapraszając żałobników do oplakiwania zmarłej. Wkrótce jednak smutek ustąpił miejsca pragnieniu czynu i każdy się garnał do ostatniej posługi. Nawet Minna i Maarit chwyciły za łopatę, chociaż to w sumie męska robota. Nikt się nie dziwił. Wszyscy we wsi wiedzieli, że ta rodzina jest dziwna pod wieloma względami.

Przy długim stole Helena siedzi naprzeciw i nieco po skosie od Tuomasa, je łyżką kotlet, który Johannes pokroił jej na kawałki. Odnajduje ostatni kawałek, podnosi łyżkę do ust i odkłada ją na talerz. Potem obraca się w stronę taty.

– Czy to prawda, że matka umiała pisać brajlem?

Tata odpowiada niedbale, przerywając na chwilę drugą rozmowę:

– No tak, umiała.

– A nie ojciec? – dopytuje się Helena.

– Był w takim stanie, że nie mógł się nauczyć.

– I matka wysyłała wszystkie te listy? To matka była tymi

„domownikami”?

Tata obraca się i patrzy na Helenę.

– Myślałem zawsze, że o tym wiedziałaś.

– To dlaczego potem już nie pisała?

– Nie wiem. Pewnie łatwiej było im dzwonić, odkąd mieli telefon.

Tuomas widzi, jak Helena gwałtownie obraca głowę w bok. Jej policzki się nadymają i z ust wyrywa się odgłos. Z oczu ciekną wielkie łzy. Najpierw wyciera je grzbietem dłoni, potem osusza policzki nasadą kciuka. Jej głos brzmi teraz jak płaczliwy bulgot.

– Nie mamy już, Johannes, ani ojca, ani matki.

Smutek udziela się mamie, która płacze tak, jakby sama została sierotą. Tata chwyta Helenę za rękę. A ona się nie wyrywa, tylko pochyla w jego stronę.

– Czy jestem choć trochę do matki podobna?

Córka Minny chce, żeby Tuomas dał buziaka pluszowemu jeżykowi, bo jeżyk się przestraszył głośnego płaczu cioci Heleny.

## Pokazały swoje twarze krzywe lustra

Winda staje. Słyszę to nawet z łazienki. Kari miał wrócić od rodziców dopiero jutro. Sięgam w przód, łapię za klamkę i zamykam się od środka. Z klatki schodowej dobiega brzęk kluczy wytrząsanych ze skórzanej pochewki. Kari. Wstaję. Damy radę, mówię do siebie, ale brzuch mnie boli.

Drzwi się otwierają.

– Helena?

Jego kroki cichną pod drzwiami łazienki. Kręci mi się w głowie, za szybko wstałam. Po udach cieknie krew.

– Helena, co ci jest?

Biorę więcej papieru i próbuję się wytrzeć. Czuję na palcach lepkie ciepło. Zapach żelaza.

Kari dwa razy mocno uderza w drzwi.

– Otwieraj w tej chwili!

Wycieram i wycieram, lecz strużka krwi jest już na łydce. Opuszczam sukienkę. Muszę przysiąc na krawędzi sedesu.

– Znowu poroniłaś?

– Daj mi spokój.

– Więc nie zostanę ojcem?

Nie mam ochoty z nim teraz gadać. Chcę jedynie dowlec się do łóżka, położyć i zasnąć. Leżeć i czekać, dopóki nie zgaśnie pulsujący ból w dole brzucha, tak jak zgasł ostatnio i poprzednim razem. Chcę się owinać w kołdrę i trwać w tym duszącym ciepłe, aż on pogodzi się z faktami i mi wybaczy. Aż uczyni znak pojednania i postawi obok łóżka filiżankę gorącej kawy. I razem zaczekamy, aż cykl się unormuje.

Kari dobija się coraz mocniej. Wali pięścią i kopie w drzwi, rytm jest przerażający. Liczę: trzy uderzenia, kopnięcie. Dwa uderzenia, kopnięcie. Pięć uderzeń, trzy kopnięcia. Wściekłe łomotanie wyżej. Szybkie, ostre kopnięcia niżej.



– Otwieraj te drzwi, do kurwy nędzy!

Nagle się uspokaja. Kroki nikną w gabinecie, po chwili wracają. Za drzwiami zapada cisza. Słyszę szum powietrza w wywietrzniku. Chciałabym się stąd ulotnić, dać się wyssać razem z nim. Rozpaść na molekuly i rozplynać po niebie nad Helsinkami, rozszczepić się na atomy i rozproszyć po całej Finlandii. Po całym świecie. Być wszędzie i nigdzie. Chcę już zapomnieć ten raz, tak jak zapomniałam wszystkie poprzednie. O czym się nie myśli, tego tak naprawdę nigdy nie było.

Wtem rozlega się metaliczny łoskot, słyszę trzask pękającego drewna. Podnoszę się i dotykam drzwi, potem futryny. Spycha mi palce na prawo. Łapię za klamkę i ciągnę do siebie. Kari jest silniejszy.

– Wybacz mi! – wołam, lecz on nie odpowiada.

Jedno szarpnięcie i drzwi są rozwarte na oścież. Nie zdążyłam puścić klamki, więc wyciągają mnie na korytarz i wpadam na Karięgo. Cios jest nagły, zupełnie nieoczekiwany. Pięść uderza mnie w kość policzkową i czuję z osobna każdy odcisnięty na niej knykciec. Ból promienieje na całą twarz, lecę na ścianę. Wyciągam ręce przed siebie, lecz nic mi to nie daje. Łokciem trafiam w coś ostrego i ból stapia się w jedno z pulsującą twarzą.

– Nigdy nie będę ojcem! Przez ciebie!

Nie wiem, jak upadłam na ziemię, straciłam orientację. Próbuje nasłuchiwać, skąd dobiega gwar ulicy, gdzie tyka zegar i gdzie jest Kari, lecz słyszę tylko buzowanie krwi w uszach. Zagubiona we własnym domu. Macam podłogę, szukam punktów orientacyjnych, lecz pętelkowy dywan nie mówi, gdzie jest gabinet, a gdzie przedpokój. Unoszę rękę i dotykam ściany, badam pionowe wytłoczenia na winylowej tapecie. Teraz trzeba wybrać kierunek. Czołgam się w stronę drzwi mieszkania, tak przynajmniej sędzę. Przed sobą słyszę oddech Karięgo. Próbuje zawrócić. Kopnięcie trafia mnie w brzuch. Wargi się rozwierają i powietrze ucieka mi z płuc długą, cienką nicią. Zwijam się w kłębek i próbuję osłaniać rękoma brzuch, zupełnie jakbym miała w nim jeszcze coś, co trzeba osłaniać. Krew wycieka ze mnie na podłogę. Przez chwilę czuję ciepło jego

ciała tuż przy twarzy. Potem już nic nie robi.

Nasłuchuję. Oddech słycać blisko, prawie przy mojej twarzy. Siedzi na podłodze? Pełnę do przodu, aż słyse przed sobą odgłos poruszenia. Udaje mi się zorientować we własnym mieszkaniu, wiem, że leżę na podłodze w korytarzu na wyciągnięcie ręki od progu gabinetu Kariego, po lewej stronie na ścianie wisi zrobione przez matkę zdjęcie ślubne, po prawej lustro.

Pełnę do gabinetu, Kari nie idzie za mną.

Przekręcam klucz w drzwiach, nie próbuje ich otworzyć.

Siadam oparta plecami o drzwi, ale on nie zamierza ich już forsować.

Kładę dłonie na brzuchu. Pod spodem ziejje pustka. Przykładam ucho do drzwi. Na korytarzu słycać cichy, tłumiony szloch. Robi mi się go żal.

- Kari, przestań.
- Nie jesteś mnie warta.
- Może następnym razem.
- Nie jesteś mnie warta.

Siedzę na podłodze, zakrwawiona sukienka klei się do skóry.

- Nie jestem.

Mówię to zupełnie poważnie.

## Nigdy ciebie nie kochałem

Pochyłe klony w parku na Vartiovuori obsypały się liśćmi. Kiedy Erik kończy tłumaczyć, przysiada na ławce i z kieszonki na piersi wyciąga pęk kluczy na łańcuszku, jeden z nich odczepia. Tuomas czuje się pusty. Jakby był okalającą próżnię cieniutką skorupą i niczym więcej.

Erik patrzy prosto przed siebie, nie na Tuomasa.

– *Vi har brutit alla löften*<sup>11</sup> – mówi i trzyma klucz w powietrzu tak długo, aż Tuomas domyśla się, że trzeba unieść rękę. Przecież Erik nie złamał żadnej obietnicy. Metal wydaje się parzyć skórę dłoni.

Erik porusza się na ławce. Chce już iść, formalności związane z rozstaniem zostały dopełnione. Tuomas patrzy z profilu na jego prosty nos, białą koszulę w niebieskie prążki, czerwono-brązowe wojskowe spodnie. Z kieszonki na piersiach, gdzie przed chwilą był klucz, unosi się cienka strużka dymu, którego Erik nie widzi. Tuomas nie ma pojęcia, kiedy to wszystko zdążyło się wydarzyć. Kiedy przestali być parą, zrezygnowali ze wspólnego załatwiania spraw i znaleźli się po dwóch stronach barykady, jak wrogowie? Kiedy Tuomas przestał już wierzyć w to, że nieznany mu zegarek na stoliku przy łóżku Erik znalazł na ulicy albo że po pracy znowu poszedł na spacer i wrócił do domu tak późno tylko dlatego, że stracił rachubę czasu? Kiedy przestał śmiać się z tego, że po każdym posiłku Erik klepie go po ramieniu i mówi: *Tant får stanna*<sup>12</sup>? Teść miał w zwyczaju mówić tak do teściowej.

Tuomas ściska klucz i wstaje szybko, machinalnie. Nie wolno teraz płakać. Sam go wybrał, sam go wziął. Sam wiedział, że to jeden z tych, którzy zawsze odchodzą.

– *Jag ska snart hämta mina kläder*<sup>13</sup> – mówi Erik, ale Tuomas nie słyszy albo już nie słucha.

Alejką schodzi w stronę ulicy, nie oglądając się za siebie. Erik nie zdążył dopowiedzieć, w który dzień przyjdzie po swoje rzeczy, bo nagle cały staje w ogniu, tak jak siedzi na ławce. Koszula

z syntetycznego włókna topi się, płomienie liżą już głowę i jego dawniej piękne włosy rozbłyskują pomarańczowymi jęzorami. Oczy robią się czarne, rzęsy zwijają od żaru, tryskając na chwilę płomieniem. Głowa odgina się do tyłu, ramiona próbują jeszcze dźwignąć korpus z ławki. Usta się rozwierają, lecz krzyku bólu nie słyszą. Język za zębami jest już całkiem zwęglony.

Tuomas nie patrzy na tę ludzką pochodnię, na końcu alejki skręca w prawo i schodzi w stronę mostu. Klosze secesyjnych latarni strzelają od żaru. Tuomas przechodzi nad rzeką i zmierza do rynku. Nie rozumie, że może już opuścić wyciągniętą rękę, w której dzierży klucz. Ogień przerzucił się na stojące za ławką modrzewie, zagłuszając dochodzące z tyłu wrzaski Erika – płonące pnie trzeszczą, jęzory ognia przeskakują z drzewa na drzewo, obejmują już klony, brzozy i jesiony. Żywioł sięga szczytu wieży obserwatorium na wzgórzu, cały park zamienił się w gorejące piekło, w którym temperatura osiąga tysiące stopni. Pożoga wytwarza ogromne podciśnienie, które zasysa powietrze spomiędzy okolicznych budynków. Potężny cug wybija okna kamienic. Jakiś mężczyzna uczeplił się znaku drogowego, tuli go do piersi i usiłuje oddychać, lecz w powietrzu nie ma już ani trochę tlenu. Wzbudzony przez pożar wiatr porywa przechodniów z przylegających do parku ulic i ciska do rozpalonego pieca. Tuomas nie widzi przelatujących obok niego wrzeszczących ludzi. Klucz wyprowadza go z rynku na Uniwersytecką.

– *Varför kan du inte gråla som min mamma?*<sup>14</sup>

Do ostatniej kłótni doszło w niedzielę wieczorem, ale Tuomas już nie pamięta, o co wtedy poszło. Były podniesione głosy i kłamstwa, powietrze było gęste od epitetów. Ja zawsze. Ty nigdy. Nie umiesz się kłócić. Przytyłeś. Zbrzydłeś. Gdzie jesteś, kiedy cię wiecznie nie ma? Dlaczego wiecznie mnie sprawdzasz? Tuomas zamknął oczy, próbował uciec przed krzykiem na klatkę schodową, lecz Erik wciągnął go z powrotem do mieszkania. W końcu padło imię wspólnego znajomego, i to nie raz. Może wymknęło się Erikowi przez nieuwagę w pierwszej fazie kłótni, a może wspomniał je celowo, żeby

przyśpieszyć koniec, który wkrótce i tak by nastąpił. Następnego dnia rano, w przerwie między naradami w banku, Tuomas wykręcił numer tego, o którym mówił Erik, bo chciał dociec prawdy, lecz zanim tamten zdążył się przedstawić, on już wszystko wiedział. Spływające z drugiej strony „haloo” dzwoniły mu w uszach, dopóki się nie rozłączył. Po powrocie z pracy wrzucił rzeczy Erika do czarnego worka na śmieci.

W szwedzkim Norrköping, w domu teściowej na ulicy Eggebyvägen lampy w solarium pękają jedna po drugiej i cała posadzka w piwnicy pokrywa się odłamkami szkła. W końcu cały piękny ceglany dom staje w płomieniach. Pożoga pochłania elegancką, świeżo wyremontowaną kuchnię Kvänum, osusza basen, w którym Tuomas i Erik kąpali się zawsze w wakacje, roztrzaskuje wazony wytoczone przez teściową na kole garncarskim. W szkole sama Agnetha zmienia się nagle w żywą pochodnię i przerażeni drugoklasiści patrzą, jak pani dyrektor zaczyna tarzać się po podłodze, próbując stłumić płomień. W wydziale wodociągów i kanalizacji Björn rozpada się na kawałki podczas zebrania zarządu, który przechodzi właśnie do punktu drugiego porządku obrad, czyli stwierdzenia prawomocności i zdolności do podejmowania uchwał.

Tuomas idzie ulicą Chmielną w płonącej odzieży. Za nim już całe miasto zmieniło się w gorejące piekło. Pękają mijane witryny, modele się topią i osuwają na ziemię w pokracznych pozach. Na stołkach w znajomym barze sztuczna skóra pęka i się łuszczy, dzwony katedry spadają z wieży, przebijając średniowieczne sklepienia, a prowadzące z nabrzeża na wzgórze kamienne schody, gdzie pewnego wiosennego ranka jedli kanapki kupione w budce na rynku, staczają się po skarpie i znikają w kipieli Aurajoki. Śruby mostu Katedralnego żarzą się, most Młyński wygiął się jak łuk. Drewniane domy na Port Arthur palą się do szczytu. Pożar wybucha na ulicy Wysokogórskiej, w tej samej kamienicy, w której jeszcze w ubiegłym tygodniu byli oglądać mieszkania.

Stają w płomieniach ich wspólne wspomnienia z Finlandii i Szwecji. Sympatyczny kucharz z pizzerii przy ulicy Handlowej w Kuopio próbuje uciec przed ogniem, gramoląc się do gorącego

pieca. Uśmiechnięty proboszcz katedry w Uppsali rozsiewa z ambony po osmalonym kościele swąd palonego tłuszczu. W klatce schroniska dla psów w Parainenie popiskuje płonący szorstkowłosy szczeniak, który miał dostać imię po Karolu Auguście. Wszystko, co razem oglądali, wszyscy ludzie, o których rozmawiali, i miejsca, w których razem byli – wszystko to przestaje istnieć. Wspólni znajomi giną w męczarniach, oszczędzając sobie trudnej decyzji, z którym z nich się teraz przyjaźnić. Nie pozostaje nic, ogień wytrawia świat ze wszystkiego, co dawniej było ich wspólną własnością.

Nagi Tuomas jedzie windą na czwarte piętro. Rozżarzoną kluczem w wyciągniętej ręce otwiera płonące drzwi. Ściąga zwęglone buty i zasuwa dymiące kotary. Opada na łóżko i zwija się jak embrion.

## Część trzecia

## Zmierzch majątku

- *Ta Gloria też powinna mieć dzieci.*
  - *Nieślubne.*
  - *No!*
  - *A przynajmniej syna.*
  - *Alfreda Wymoczka!*
  - *Zblazowanego i zniewieściałego, jak wszystkie pedały. Zakałę rodziny. Spekulanta.*
    - *Zamożnego rentiera, jak by to powiedział nasz Aleksis Kivi.*
    - *Pedzia najgorszego sortu. Który ubiera się w fatalnie skrojone garnitury i jeździ kabrioletem.*
      - *I ginie, kiedy jego długi szal wkręca się w koło.*
      - *Ale nawet po śmierci będzie ciągle piękny i pożądanym. Mężczyźni i kobiety stoją w długiej kolejce do trumny Wymoczka, żeby móc odcisnąć ostatni pocałunek na jego pobladłych wargach.*
        - *Może by się ożenił?*
        - *Pewnie by nawet musiał. Reputacja rodziny, wiadoma rzecz.*
        - *Już Gloria postarałaby się o jakąś memeję dla swojego ciepłego gogusia.*
          - *Która by mu za bardzo nie mieszała sików.*
          - *Sikfryda!*
          - *Fon Szczął?*
          - *Jawohl! I do tego bidula ślepa jak kret.*
          - *Inwalidka z jajami!*
          - *Ale umie tylko wyc jak dzikie zwierzę. Musieli ją przykuwać łańcuchem za szyję do ściany. Więc łażyła po tej ścianie i wyła.*
            - *Nikt nie chciał jej oglądać.*
            - *Ale miała za to cholera naprawdę złote ręce. Wystarczyło jej podrzucić wygrzebany z ziemi pień, a już robiła z niego szczotkę do ubrań i miotłę. Z odpadów wyplatała kosze, które przeszły do historii.*
              - *A może byłaby siostrą tego Alfreda Wymoczka?*



*– No! Która zagięła przed laty. Matka straciła rachubę, ile tego wszystkiego w końcu urodziła, albo ojciec zapomniał, gdzie ten cały drobiazg podstawiał.*

*– Mieszkaliby razem w jakiejś marnej chacie gdzieś głęboko w lesie. I przeciwności losu wytrawiłyby z nich całe zło.*

*– Uszlachetniłyby ich cierpienia.*

*– I tylko by się uśmiechali niczym indyjscy bogowie i nic by nie mogło wyprowadzić ich z równowagi.*

*– Ale nigdy by nie zapomnieli, że pochodzą od królewskiego moczu.*

*– I byliby z tego dumni.*

## Bliżej gwiazd, bliżej dna

Kari był niemożliwy, kiedy poszliśmy do wodospadu. Cały czas trzymał mnie za rękę i ciągle ostrzegał. Nie podchodź za blisko. Nie wychylaj się. Ty tu siedź, a my podejdziemy bliżej. Nie jest ci zimno? Nie jest ci gorąco? Mówiłam mu, żeby mnie w nos pocałował, bo dobrze znam to miejsce, ale mi nie wierzył. Chyba sam nigdy w życiu wodospadu nie widział, że tak sobie wziął do serca, żeby mnie pilnować. Nawet Kaarina się dziwiła, odciągała go z dziećmi ode mnie, żebym mogła choć chwilę iść z Johannesem. Usiedliśmy we dwójkę na samym brzegu, w tym miejscu, gdzie ryk spadającej wody jest najgłośniejszy, a powietrze gęste od przeraźliwie zimnej chmury. Johannes pogładził siniaka na moim ramieniu i spytał, czy u mnie wszystko dobrze. Kiedy nie odpowiedziałam, zapytał jeszcze, jak trafiam do tych wszystkich domów parafialnych, gdzie mnie proszą o strojenie instrumentów. Odpowiedziałam, że wszystkie trasy zakarbowałam sobie w pamięci.

Nie mamy dzieci, więc Kari zdecydował, że będzie niańczył mnie. Całą drogę z powrotem do samochodu głądził, że rzeczy mi przemokły. Odparłam, że świetnie, wreszcie mogę ze spokojem zeszczuć się w gacie, bo nie będzie nic widać.

Johannes bierze ten najostrzejszy zakręt w lewo i jedziemy w górę zbocza do centrum narciarskiego. Latem podobno prawie nikt tam nie zachodzi, tak mówi Kaarina, ale hotel jest otwarty, no i kawiarnia. Znam to miejsce. Nieraz się wspinaliśmy z ojcem i Johannesem po skarpie, teraz na górę jeżdżą już wyciągi. To podobno najdalej na południe wysunięty punkt, gdzie w juhannusa słońce świeci przez całą noc. Johannes zrobił tam nawet takie zdjęcie z długim czasem naświetlania, na którym słońce ani razu nie znika za linią horyzontu.

Znowu ostry zakręt.

– Tam jest Czarci Kościół – mówi Kaarina i stuka paznokciem w boczną szybę po prawej.

Czuję woń jej perfum. Subtelna jak zapach odległej jeszcze wiosny, niesiony przez zimowy wiatr. Ten zapach mi mówi, że kończy się już władza matki nad rodziną brata. Już się ośmielają być jak te sobierady.

Siedzący na kolanach matki Tuomas chyba nie zrozumiał, co mu matka pokazuje, bo Kaarina mówi dalej:

– To taka pieczara, tam, na samej górze. Widzisz?

Johannes też słucha.

– Jest tam księga gości. Babusia wdrapała się tam kiedyś, żeby się do niej wpisać – opowiada. – Zrobiła stamtąd nawet parę zdjęć.

Między mną i Kaariną siedzi Tapio. Głowę wsunął między przednie siedzenia. Wszystkie dzieciaki Johannes'a śmierdzą wywoływaczem.

– Kari, nie mieliśmy się tam wdrapać?

– No mieliśmy, mieliśmy.

Kari lubi dzieci Johannes'a i pewnie dlatego zostaliśmy poproszeni na rodziców chrzestnych Tapia. Mój mąż zawsze doszukuje się w nich wspólnych cech Löytövaarów i zgaduje, jak by wyglądały nasze dzieci, gdybyśmy je mieli. „Żeby tak miały wasze oczy i nasze nosy, ale by były przystojne”.

Tuomasa przestraszyła nazwa pieczary. Podobno odkąd znalazł na półce u babusi starą Biblię rodzinną z rysunkami diabłów i potopów, zrobił się taki strachliwy, że bał się byle czego. Maarit powiedziała, że raz na lotnisku tata pokazał jej lecącego kozodoja. Gdy Tuomas usłyszał jego dziwny klekot, zaraz czmychnął pod domek. Wieczorem w saunie popłakiwał, że widział na niebie diabła z kozimi racicami.

Johannes parkuje przed hotelem. Kari wysiada pierwszy i najpierw bierze od Kaariny Tuomasa, a potem próbuje pomóc wysiąść mnie, ale syczę na niego, że sama sobie poradzę.

– Kto chce lody? – pyta Johannes i okazuje się, że wszyscy chcą.

Idzie do kawiarni, a Kaarina zaraz za nim, bo Tuomas chce do ubikacji. Tapio stoi chwilę przy samochodzie, a potem biegnie w stronę skarpy.

– Kto ostatni, ten zgniłe jajo!

Kariemu nie trzeba dwa razy powtarzać i już pędzi za chłopcem. Bardzo się stara wypełniać wszystkie obowiązki ojca chrzestnego. Ja

za to jestem okropną matką chrzestną. Zapominam o urodzinach i imieninach. Tylko o Gwiazdce pamiętam. Trudno ją przegapić.

Zostaję sama przy aucie. Znam to miejsce od dzieciństwa. Ostatnimi czasy przyjeżdżamy tylko latem, w drodze powrotnej od wodospadu. Przede mną wznosi się skarpa, po prawej jest staw. Za plecami mam niewielki grzbiet i drogę, z pięknym podobno widokiem na całą dolinę. Słońce grzeje w kark. Odwracam się i rozkładam laskę. Ciekawe, czy pamiętam jeszcze, jak się stąd tam idzie. Ruszam za głosami Tapia i Kariego.

Droga jest ta sama, zapachy te same. Ten sam wiatr w koronach chojarów. Schodzę skrajem drogi, łatwizna, wystarczy pamiętać, żeby się trzymać rowu po lewej i asfaltu po prawej. W jednym miejscu jest krótka poręcz, jest tam jakaś rozpadlina. Kari złapał Tapia i śmieją się obaj. Po chwili słyszę ich głosy bardziej z lewej strony. Kamyki toczą się na dół, strzelają łamane gałązki.

– Co robicie?

– Wspinamy się na skarpe! – krzyczy Tapio.

– Za chwilę jesteśmy z powrotem! – dodaje Kari.

Wiedziałałam, że tak będzie.

– Dasz radę wrócić sama do auta? – pyta jeszcze. – Albo zaczekaj na nas, to potem wrócimy razem.

Wiedziałałam i to.

Przechodzę na drugą stronę drogi i siadam na poboczu. Jest ciepło. Bzyczą komary. Czy kwitną dzikie rozmaryny? Wystawiam twarz do słońca. Na łydkę wspina się jakiś ciekawski owad, pewnie mrówka. Strzepuję go. Jakieś auto jedzie pod górę, drugie zmierza w dół. Samochody rzadko się tu zapuszczają.

Tapio tłumaczy coś Kariemu na skarpie, lecz podmuch wiatru porywa słowa i rozpoznaję tylko głos. W odpowiedzi Kari się śmieje. Innych to lubi słuchać, tylko mnie nie. Wstaję i strzepuję brzeg sukienki. Coś małego skacze mi po bucie. Pochyliłam się i strząsam. Nasłuchuję, czy nic nie jedzie, i przechodzę na drugą stronę. Laską badam grunt, prowadzi mnie głos Tapia. Najpierw jest kawałek w dół, potem się wyrównuje. Kilka drzew. Po pięciu metrach zaczyna się podejście. Unoszę laskę i szukam pierwszej sosny na skarpie.

Podchodzę do niej, chwytam się pnia i szukam laską następnego.

Łapię gałęzie i leżę do góry. To zupełnie bez sensu, sama to wiem. Czuję pod stopami ruchome kamienie. Co stąpnę, to spycham kilka w dół. Sosna po sośnie winduję się w górę. Opieram się plecami o pień i wyciągam przed siebie laskę w poszukiwaniu następnego. Droga wędrowca więzi. Chce mi się śmiać. Przy każdym kroku prawie upadam. W nachylnym terenie nie umiem oceniać odległości. Nie mam bladego pojęcia, gdzie jestem.

„Północne kopy to pozostałości po prastarych górach, które zwietrzały na przestrzeni dziejów”, mówiła nauczycielka od przyrody. Śmieję się, szukam po omacku kolejnego drzewa. Skarpa robi się tak stroma, że opieram się o brzozę i ciskam laskę daleko za siebie, nic mi tutaj po niej. Nie spada na ziemię, słyszę, że utknęła w gęstwie gałęzi.

Nasłuchuję dobiegających z góry głosów. Są na prawo ode mnie. Idę w inną stronę niż oni. Las rzędzie i nie mogę znaleźć następnego drzewa. Pochylam się i dotykam rękami ziemi, idę teraz na czworakach, jak niedźwiedź. Brakuje mi tchu. W jednym miejscu skarpa jest prawie pionowa, obchodzę ten kawałek na czterech z prawej strony, aż natrafiam na łagodniejszy odcinek. Pachy sukienki mam zupełnie mokre. Jakim cudem matka tu wlaźła z aparatem pod pachą? Do dłoni klei mi się igliwie i drobiny żwiru. Od drogi dobiega warkot samochodu. Trafiam kolanem w ostry kamień. Z trudem utrzymuję równowagę. Opuszczam tułów ile się da, żeby obniżyć punkt ciężkości, pełznę teraz jak borsuk. Pot ścieka mi między piersiami. Wpadam na zwalony pień i przeczołguję się po nim. Mogę się tylko domyślać, co po tym wszystkim Kari powie o moich rajstopach. Dochodzę do granicy drzew i słońce pali mi kark. Tutaj nie ma komarów.

Z dołu dobiega mnie głos Johannesesa:

- Helena, na Boga, czego ty tam szukasz?
- A jak ci się wydaje?
- Dasz radę zejść?
- Pomyślę o tym na górze.

Wspinam się na czworakach jeszcze wyżej. Kari usłyszał Johannesesa. Pyta, czego się tak wydziera, Johannes odpowiada. Głos Kariego

słyszę daleko z prawej strony, lecz jakby trochę niżej.

– Gdzie jest Helena?

– A co ci do tego?

Stawiam nogę wyżej i strącam butem duży kamień. Poleciałabym z nim w dół, ale zdążyłam chwycić się skały. Czuję ból między kciukiem a palcem wskazującym. Pewnie się przecięłam.

– Stąd tam nie przejdziemy! – krzyczy Tapio. – Ciocia jest za rumowiskiem!

– Dobrze! To siedźcie tam, gdzie jesteście!

Słyszę, że z dołu ktoś się do mnie wspina.

– Tylko spróbuj mi tu wleźć! – krzyczę na Johannesesa, ale mnie nie słucha.

Przyśpieszam. Czołgam się, podciągam, szarpię w górę. Dłonie mam całe we krwi. Gubię lewy but, lecz nawet nie próbuję go szukać, wspinam się dalej. Kari krzyczy:

– Przed kim się popisujesz?! Zawsze musisz pokazać, że nie jesteś gorsza od innych?!

Nie odpowiadam. Bolać mnie mięśnie. Ale do czego miałam ich używać? Nie jestem typem sportswomenki. W dole słyszę trzask gałązek.

Próbuję wejść jeszcze wyżej. Do oczu cisną się łzy. Ramiona mi drżą, kłuje mnie w bok. Ledwo zipię. W końcu muszę się zatrzymać. W poprzek skały biegnie szeroka rozpadlina, zakleszczam się w niej i czekam, aż oddech się uspokoi. Na dole osypują się kamienie, łamie grubsza gałąź. Przyciskam dłoń do boku. Przez chwilę chcę kopnąć jakiś kamień, żeby spadł Johannesowi na głowę, ale się boję. Twardo się wspina. W naszych żyłach płynie ta sama krew, ta sama wytrwałość i złość. Ta, która wikła człowieka w różne sytuacje i nie pozwala się potem z nich wyplątać, która nie słucha skarg, tylko mówi, że jak sobie żeś piwa nawarzył, to teraz musisz je wypić. Nikt cię przecież do niczego nie zmuszał.

Jest już blisko, parę metrów ode mnie. Słyszę, jak sapie, kiedy przełazi przez ostatni głaz. Tylko że to nie jest głos Johannesesa.

– A, tutaj jesteście.

Kaarina. Przysiada obok mnie, znalazła chyba dobre miejsce.

– Piękny stąd widok.

Coś jej się przypomina. Słyszę wizg suwaka, Kaarina otwiera chyba kieszeń kurtki, coś z niej wyciąga.

– Proszę.

Kładzie mi na dłoni coś zimnego. Badam palcami. Podługowaty przedmiot w wilgotnym papierze.

– Johannes przesyła ci loda waniliowego.

Kaarina siedzi cicho, lecz ja już nie mogę wytrzymać. Miętoszę w dłoniach roztopionego lodu na patyku i wybucham śmiechem, choć słysząc w nim też półtony płaczu. Z początku to tylko cichy chichot, szybko jednak zaczyna się rozkręcać. Po chwili już rechoczę pełną pierśią i ściany skał wzbudzają echo, które hula po grzbietach kopy i buja koronami sosen na skarpie. Wpada do Czarciego Kościoła i wpisuje się do księgi. Czuję ból pod żebrem, znowu brakuje mi tchu, ale nie mogę przestać się śmiać. Kaarina też chichocze. Muszę się położyć. Ramiona mi się trzęsą, krztuszę się ze śmiechu. Nie mogę złapać powietrza. Kaarina trzyma mnie za rękę, boi się, że spadnę. Słońce pali mnie w twarz.

W drodze na dół Kaarina pyta, jak nam się układa z Karim, i mówię jej krótko, że między nami od dawna jest kiepsko.

## Miłość zabrała mu rozum

Na prawo od mostu skuta kamiennym nabrzeżem rzeka skręca. Zegar katedry bije trzeci kwadrans. Tuomas ma jeszcze pół godziny. Jeszcze tylko ten egzamin i jeden mały. Ostatnie poprawki do magisterki: *Modelowanie i prognozowanie niestabilności kursu walutowego*, a potem obrona. I koniec. Tuomas próbuje coś poczuć: ulgę, radość, zadowolenie albo coś innego, na próżno jednak – zakończenie sześćoletniej orki nie wywołuje w nim w zasadzie żadnych emocji. Pod mostem na brunatnej wodzie kołyszą się kaczki.

Tuomas jeszcze nigdy nie spędził w tym mieście lata, bo zawsze pod koniec maja pakował torby, podnajmował swoją kawalerkę i jechał na północ, żeby przez wakacje zarobić pieniądze na kolejny semestr. Latem wracał oczywiście zaliczyć literaturę, ale wtedy wpadał tu tylko jak po ogień, biegł z dworca na uniwersytet, myśląc tylko o zadaniach z księgowości. Czasem ktoś go przewaletował na zapasowym materacu, a rano Tuomas biegł już na pociąg i jechał bite dwanaście godzin z powrotem na północ.

Teraz też ma już zarezerwowany bilet na jutrzejszy pociąg do Oulu, gdzie wsiądzie do autobusu i pojedzie dalej w tundrę, tym razem jednak pojedzie tylko odwiedzić rodziców i zaraz wróci tutaj. W tym roku nie podnajmował nikomu mieszkania na wakacje i nie spytał ojca, czy nie potrzebuje na lato pomocnika w zakładzie. Kiedy rozmawiał z nim przez telefon, w słuchawce zapadło długie milczenie. Następnego dnia zadzwoniła matka i powiedziała mu, że ojciec nie odzywał się już potem do końca dnia. A więc stało się – ich ostatnie dziecko nie przyjedzie już na wakacje do domu.

Jesienią przyjaciele Tuomasa opowiadają o letnim skwarze w mieście, o tym, jak kamienne ściany za dnia kumulują ciepło, by potem buchać nim przez całą noc. Ludzie na ulicy uśmiechają się do nieznajomych i spacerują nabrzeżem rzeki do późnego wieczora. Tuomas słucha, lecz nie rozumie tych opowieści, bo nigdy miasta



takiego nie widział. Zna tylko takie, w którym popołudniami śnieg zmienia się w paskudną breję, które smaga wiejący od morza lodowaty wicher, co przenika płaszcz, swetry i szale. Tuomas nigdy się nie nauczył ubierać na zimę w tym mieście. Czasem wracał w sierpniu, kiedy było jeszcze ciepło, ale wtedy jego znajomym już się lato znudziło. Dzwonił do Sini, lecz ona już się objadła do syta lodami, napływała w morzu i nasiedziała w ogródkach i na tarasach. Zresztą kontakt z Sini i tak się urwał. Pewnie miała już po dziurki w nosie odgrywania jego dziewczyny na imprezach dla pracowników banku. Bez tego nigdy by go nie przyjęli na etat, bo do finansów gejów po prostu się nie przyjmuje. Wiadomo – najlepiej się nadają na fryzjerów i kelnerów.

Teraz jednak jest zimna wiosna. Jesiony nad brzegiem rzeki filtrują światło słońca, które tworzy na powierzchni leniwie płynącej rzeki jasne plamy. Nad mostem unosi się smród spalin. Pojutrze Tuomas będzie w domu, będzie się rozkoszował zapachami kory, igliwia i piaszczystej gleby. Brakuje mu tego, a kiedy jest tam, brakuje mu tego miasta drzemiącego nad tą śniętą rzeką. Wydaje mu się, że jego miejsce jest i tu, i tam, ale może właśnie ani tu, ani tam. Jest zawsze gdzieś pomiędzy, zawsze w drodze z jednego do drugiego, tęskniąc do tego, z którego właśnie wyjechał.

Tuomas zauważył, że studia i praca wpływają na to, jak człowiek postrzega świat. Wiosną dostał stałą pracę w dziale *back office* swojego banku i podoba mu się; jest pracownikiem sumiennym, by nie rzec – pedantycznym. Za przesłoniętym żaluzjami oknem tętni życiem plac Drzewny, a on w skupieniu wypełnia nowe umowy o świadczenie usługi zarządzania portfelem. Czyta teraz gazety inaczej niż dawniej, zastanawia się, które wydarzenia mogą wpłynąć na kursy. Świat wydaje się niepewnym, przypadkowym organizmem, w którym zmiany za oceanem wpływają na futuresy i zmuszają do skracania pozycji. Dyrektor go zauważył, obiecał już przeniesienie na doradcę inwestycyjnego. Tuomas zaczął prenumerować szwedzkie gazety, bo sytuację skandynawskich spółek giełdowych omawia się w nich dobie wcześniej niż w Finlandii.

Coś przykuwa uwagę Tuomasa. Na drugim końcu mostu widzi

znajomą postać. Chłopak idzie wolno przy samej poręczy.

Jarkko. Nie widział go od dawna, może nawet rok, a co najmniej sześć miesięcy. Sądził, że Jarkko wyjechał do Helsinek, jak się przeważnie robi po ukończeniu studiów. Miałby przecież w firmie ojca zapewnioną pracę.

Jarkko porusza się wolno, bo wspiera się na kulach i wpatruje uważnie w chodnik. Tuomas idzie prosto na niego, lecz tamten nie patrzy na przechodniów. Tuomas sam nie wie, dlaczego woła:

– Jarkko!

Chłopak się zatrzymuje.

– Nie poznasz mnie czy co?

Jarkko unosi głowę. Niewidzący wzrok usiłuje zogniskować na twarzy Tuomasa. Oczy są szklane i mętne. Jarkko zapuścił włosy, parę kosmyków przykleiło się do spoconego czoła. Schudł. Jest w spodniach od dresu, prawą nogę okala błyszczący metalowy szkielec. Odchodzące od niego druty przechodzą przez skarpetkę w głąb kostki, lewa jest owinięta samoprzylepnym bandażem.

Tuomas spostrzega zaschnięte plamy na jego kurtce, smarki albo śluz. Od nosa odchodzą głębokie bruzdy. Czy ten pokurcz to ten sam krzepki Jarkko, obok którego się budził, kiedy w barze nie znalazł nikogo na noc? Ten, który biegał do sklepu po świeże bułeczki na śniadanie, kiedy on brał prysznic? Tuomas nie wierzy własnym oczom. Pamięta ciepło jego ciała, rozpoznałby senny zapach skóry. Czasem w nocy oczy tamtego poruszały się pod zamkniętymi powiekami i usta wyginały w rozespany uśmiech. Tamtego Jarkka Tuomas zna, ale ten mężczyzna wspierający się na kulach na pogrążonej w chmurze spalin ulicy to ktoś inny, obcy.

Jarkko go dostrzega. Widać po spojrzeniu, które skupia na twarzy Tuomasa, że szuka go teraz w pamięci. Usta ma spierzchnięte i popękane.

– Ja cię znam.

– Idę na egzamin.

Tuomas milknie. Wie, że powinien powiedzieć coś jeszcze. Mózg szuka właściwej emocji, nic się jednak nie przebija na powierzchnię świadomości. Układ nerwowy nie przekazuje komend do przepony,

płuca nie tłoczą powietrza na fałdy głosowe. Za zaciśniętymi zębami nie uwieźło ani jedno słowo. Tuomas rozumie, jaki wpływ na gospodarke światową wywarło połączenie buteleczki fińskiego napoju energetycznego Vita Nova ze zrywanym kapslem, ale tej sytuacji najzwyczajniej w świecie nie może ogarnąć. Przesłupuje z nogi na nogę jakby na znak, że powinien być już gdzie indziej, lecz Jarkko tego nie widzi albo nie rozumie.

Kiedy Tuomas widział go ostatni raz? W Boże Narodzenie? Jesienią? Zazwyczaj tamten podpierał bar przy poręczy parkietu, ale od dawna już go tam nie było. Kiedy w jego życiu gościł jeszcze Erik i raz wracał z nim z baru, zauważył, że Jarkko idzie za nimi. Trzymając dystans kilkudziesięciu metrów, poszedł za nimi na skróty przez park przy Muzeum Sztuki i zatrzymał się pod fontanną przedstawiającą wzbijające się do lotu łabędzie. Tuomas dostrzegł go jeszcze z okna mieszkania, kiedy zaciągał zasłony. Później Jarkko nagrał mu się parę razy na pocztce głosowej, ale on zapomniał do niego oddzwonić.

Tuomas patrzy na rzekę.

– Jutro wyjeżdżam na północ.

Jakaś kobieta z wózkiem dziecięcym wymija ich z trudem.

– Wieczorem zamierzam opić to w barze.

Jarkko staje na prawej nodze. Druty nawet nie drgnęły, są przyśrubowane do kości. Po jego twarzy widać, że ruch obudził w nim coś, czego otępiały mózg nie potrafi określić jako ból. Jarkko zapiera się kulami w chodnik i unosi prawą nogę na kilka centymetrów, nadal patrząc Tuomasowi w oczy. Mówi wolno i niewyraźnie.

– Nie dadzą mi. Nigdy.

– Nie dadzą czego?

Jarkko wychyla się w stronę Tuomasa. Wargi ma popękane. Za nimi też pobłyskuje drut.

– Nie dadzą mi umrzeć.

W tej branży ludzie pojawiają się i znikają, wyjeżdżają do Helsinek do pracy albo wracają do rodzinnej wsi, niekiedy do żony, i dlatego nie zawsze się zauważa, że ktoś zniknął na zawsze. Dopiero później

człowiek słyszy, dlaczego Risto nie oddzwaniał, a zaproszenie wysłane do Outi wróciło do nadawcy. Tuomas powtarza sobie w myślach imiona tych wszystkich, którzy odeszli. Pauliina skoczyła z dachu kamienicy na chodnik przy samym wejściu do pizzerii. Olli wbił się toyotą w filar wiaduktu na drodze ekspresowej. Taina na zakończenie niedzielnego wieczoru wysmarowała się zawartością klozetu i leży teraz na oddziale zamkniętym. Marko rzucił się w grudniu z pokładu promu do morza. Irmeli znaleziono pod prysznicem w pozycji embrionalnej i już nawet nie próbowano płukać żołądka. O pogrzebach nikt ich nie informuje, a tych, którzy mimo to ośmielą się na nich zjawić, wrogie spojrzenia wypędzają z kościoła. Dalszej rodzinie opowiada się o nieszczęśliwych wypadkach doskonale zapowiadających się studentek i studentów, o niewyobrażalnych tragediach mężów i ojców, na stypy nie zaprasza się więc tych, którzy znają inną prawdę o zmarłych. Tych, którzy odeszli z własnej woli, Tuomas uważa za dezserterów. Wszystkim dano tyle samo woli i sił do radzenia sobie z przeciwnościami losu, ale co poniektórzy zbyt łatwo się poddają, zabierają swoje łopatki i przenoszą się do innej piaskownicy w trakcie zabawy.

Od portu wieje chłodny wiatr. Morze jest jeszcze zimne. Tuomas patrzy na Jarkka i czeka na jakąś emocję. Na jakiś żal albo smutek. Nie ma kontaktu ze swoimi uczuciami, jest natomiast świadomy faktu, że zastanawia się właśnie, jak najsprawniej uwolnić się od Jarkka i ruszyć dalej na uniwersytet.

– Pewnie nie przyjdiesz wieczorem do baru? – pyta, byle tylko coś powiedzieć.

Jarkko nie słucha, tylko porusza bezgłośnie szczęką. W kącikach ust rosną bąbelki śliny.

– Powinni dać umrzeć, jak człowiek już dłużej nie może.

– No tak.

Tuomas głośno wydycha powietrze przez nos. Widocznie nie każdy jest w stanie wieść podwójne życie. Łatwe to nie jest, ale nie niemożliwe. On nauczył się kłamać rodzinie, wynajął skrytkę pocztową, zamówił drugi numer telefonu i każdy odbiera swój. Zbudował sobie własne wzorcowe życie. Kto może, niech bierze

z niego przykład.

Jarkko już nic nie mówi, z jego oczu cieką łzy, na górną wargę spływa przezroczysty gil. Tuomas klepie go po plecach.

– Wracaj do zdrowia.

Po pewnym czasie się odwraca – Jarkko ciągle stoi tam, gdzie stał, pośrodku mostu. Bardzo schudł. Rowerzyści go wymijają, a on nie potrafi ruszyć się z miejsca. Czy ktoś na niego czeka w domu? Może by do niego podejść i powiedzieć mu, że on już wyjechał?

## Ten kraj, gdzie cytryna dojrzeła

Balkon zalewają nowe, fascynujące zapachy. Rozpoznaję majeranek. Czuję też słodką woń nieznanego mi kwiatu i niosący się z zaułków zapach jedzenia i ziół z niezabudowanych działek. Gdzieś tu musi rosnąć oleander, taki sam, jaki babusia trzymała kiedyś w donicy. Zasuвам drzwi balkonu, żeby Kari się nie obudził. Skupiam się na tym, żeby być właśnie tu, właśnie teraz. Wsłuchuję się w rytm miasta, w warkot samochodów i skuterów, w śmiech ludzi siedzących w restauracji na nabrzeżu, w puls muzyki, którym tętnią nocne kluby. Ściany tchną słonecznym ciepłem, choć jest już prawie noc. Powietrze jest wilgotne, wypełnione po brzegi cykaniem świerszczy. Wieczorami wiatr się odwraca i dmie z ładu w morze.

Na stoliku balkonu znajduję kupioną przez Kariego butelkę i nalewam sobie z niej do kieliszka. Wącham. Ma zapach cukru złamanego delikatną wonią jakiejś miejscowej przyprawy albo owocu. Alkohol pali gardło, w ustach pozostaje po nim trwałe, ciężki smak.

W środku Kari przewraca się ciężko na drugi bok. Chyba się na chwilę przebudził. Dziwi się teraz, gdzie jest, lecz zaraz znowu zapadnie w sen. Daleko nie mogłam uciec. Nalewam sobie jeszcze jednego, choć już nie powinnam.

Kiedy robi się zupełnie cicho, słyszeć morze. W ciągu dnia nie, ale nocą, gdy hałasy miasteczka słabną, wyraźnie słyszę, jak fale ubijają piasek. Nie byłam na plaży, lecz czuję zapach wody. Ma w sobie słoność i słodycz, jest bardziej intensywny od zapachu Bałtyku. Mocniejszy. Kari opowiadał rano, że z balkonu widać kawałek morza między dwoma budynkami. Wychyłam kieliszek jednym haustem i rozsuвам drzwi. Nasz pokój jest duży i głośny. Mebli nie ma dużo, więc przestrzeń łatwo zakarbować sobie w pamięci. Podwójne łóżko, szafa, nieduży stół i krzesło. Nic więcej. Jak cela. Podchodzę do łóżka i biorę poduszkę. Kołdra jest tylko jedna, podwójna, i z niej nie zrezygnuję. Co tu jeszcze jest? Drzwi na korytarz, drzwi łazienki.

Wchodzę do środka. Po prawej umywalka, po lewej sedes, obok bidet, w którym jest tylko zimna woda. Wanna, w zagłębieniu ściany dwie butelki – po lewej szampon, po prawej mydło, lecz gdybym nie zapamiętała, to zawsze da się je odróżnić po zapachu. Nocą kafelkowana posadzka chłodzi powietrze. Sam hotel też nie jest jakoś strasznie wielki. Zaraz po przyjeździe Kari zaprowadził mnie do jadalni. Nie zdążyłam nawet rozpakować walizki. Do sali można przyjść o każdej porze, trzeba tylko pokazać kelnerowi klucz z numerem pokoju. Przynoszą mi wszystko do stolika. Siedzę tylko i jem.

Na patio jest podobno basen, lecz Kari ma co innego na głowie i szkoda mu czasu na kąpiel.

Szukam na półce pod ścianą świeżego ręcznika. Ma delikatną woń proszku do prania, ale pachnie rzeźkością, suszyli go na powietrzu. Nie mam pojęcia, jak duży jest ten hotel. Czy piorą wszystko sami, pościele i ręczniki, i potem wywieszają je gdzieś na tyłach budynku? Czy może pokójów jest tyle, że opłaca im się zlecać robotę na zewnątrz? I kto inny im pierze, a potem wywiesza uprane na balearskie wiatry? Magluje i dowozi do hotelu?

Wracam do pokoju i kucam przy Karim. Nasłuchuję, jak głęboko śpi. Pochylam się nad nim, szukam ramienia. Podnoszę je i potrząsam. Nic. Niech tu śpi. Pierwszej nocy chciałam go wtaszczyć na łóżko, teraz nawet nie próbuję. Przykrywam mu plecy ręcznikiem i unoszę głowę, żeby wepchnąć pod nią poduszkę.

Mamy różne rozkłady kursowania. Czy raczej Kari ma inny. Ja siedzę w pokoju, a on pada na sofę w holu albo w korytarzu, który jest za długi dla spitego faceta. Kaleczy się. Wieczorem kelnerzy targają mi go do pokoju i czasem jest mokry, bo wpadł do basenu, czasem znów ma założony plaster, bo stoczył się ze schodów. Jeden z nich chwytam mnie za rękę i kładzie ją na tej kończynie mojego męża, która tym razem uległa kontuzji, spuchła albo krwawi.

– *Lo siento, señora*<sup>15</sup> – ubolewają i opowiadają, co tym razem się stało. – *La piscina. Las escaleras muy empinadas. El perro loco*<sup>16</sup>.

Wychodzę znów na balkon. Siadam, nalewam sobie jeszcze jednego i próbuję. Nie mogę sobie przypomnieć, co to za smak. Migdał?

Nikt mnie o nic nie obwinia. Nikt ze mną nie rozmawia. Rano przy śniadaniu słyszę ściszone głosy naszych rodaków. Pokazują na mnie, że to jest ta, której mąż nie będzie nawet pamiętał, że był za granicą. Który na ulicy prawie wpadł pod autobus. Który przewrócił tę palmę w donicy, co stała przy recepcji, jak przyjechaliśmy, pamiętasz? Pierwszego dnia wieczorem kupił sobie sombrero w sklepiku z pamiątkami i dużą butelkę rumu z miodem. Wszyscy go pamiętają. Kari jest dla nich prostakiem, który dał się złapać na hiszpański wieczorek dla turystów, więc łatwo nim pomierzyć swoją moralną wyższość. Chcieliby się nade mną poużalać, lecz ja nie biorę roli zapłakanej kury domowej, która szuka pomocy u nieznajomych, której przynosi się z bufetu plasterki wędliny, do której drzwi puka się po śniadaniu i której w odruchu pańskiej dobroci proponuje się wspólne pójście na plażę. Doskonale wiedziałam, na co się z Karim piszę.

W domu chodzę własnymi ścieżkami. Rzadko gram na pianinie, ostatnio głównie wesołe kawałki. Tutaj jestem zdana na męża. Pokazał mi najpierw, co się gdzie w tej celi znajduje – tu jedzenie, tu mydło, tu papier toaletowy – a potem zniknął, poszedł w długie tango. Dobrze wie, że mu nie ucieknę. Nie znam drogi na plażę, nie poradzę sobie w sklepach z pamiątkami, porozbijam im lady. Siedzę więc w pokoju niczym Penelopa, siedzę na balkonie w słońcu niczym Roszpunka czekająca na swojego księcia. Pod wieczór jestem już tak ponura jak legendarne hiszpańskie señory. Odbieram od kelnerów mojego zakrwawionego, przemoczonego, zaszczanego męża, którego doprowadzam do ładu z obojętnością kościelnej madonny. Chociaż raz mogę być dla niego tą upragnioną osobą. Matką. Teraz Kari już nie chce się mną opiekować, teraz sam zaczyna się zachowywać jak małe dziecko. Zamknął się w swoim prywatnym więzieniu. I postanowił, że odsiedzimy ten wyrok razem.

W domu dużo nie pije. Przynajmniej na razie. Tylko za granicą. Dlatego postanowiłam, że poniosę ten krzyż. Nawet nie myślę o tym, żeby zejść do restauracji. To tylko jeden tydzień w roku, najwyżej dwa. Jeszcze tylko cztery dni. Czuję, jak migdałowe wino powoli wymazuje mi z pamięci ostatnie dni. Nie cieszę się, nie smucę. Po



prostu jestem. Ale może chciałabym poczuć.

## Jesteś gwiazdą w ciemności

Nie zauważył go, choć później twierdził, że zwrócił na niego uwagę już wtedy, kiedy stał na znanym choćby z musicalu półpiętrze wielkiego holu opery. Dół poręczy zdobiła rzeźba przedstawiająca kobietę z obnażonymi piersiami i leżącego u jej stóp mężczyznę. Oboje trzymali w rękach lichterze, które oświetlały schody. Podobno tam właśnie Tuomas na chwilę przystanął, żeby spojrzeć w górę na pokrywające sklepienie malowidła, po czym obrócił się w prawo i ruszył dalej w górę po czerwono-zielonych marmurowych stopniach. Czy tak rzeczywiście było, tego Tuomas nie wiedział. Może tamten próbował mu się tylko przypodobać, nadać faktom jakąś podniecającą, baśniową aurę.

Foyer pękało w szwach, ludzie w strojach wieczorowych przepuszczali się nawzajem przy wejściu na widownię. Tuomas zajął swoje cudem zdobyte miejsce w łoży na trzecim piętrze. W tym mieście ludzie cenią sobie kulturę i bilety do opery rozchodzą się jak ciepłe bułeczki. Na szczęście tego dnia nie było premiery tylko zwykłe przedstawienie. W następnym tygodniu rolę Violetty miała śpiewać Barbara Hendricks, ale Tuomas nie żałował. Hendricks jest już chyba trochę za stara na tę rolę, a już na pewno nie jest wiarygodna jako suchotniczka.

Usiadł w łoży i zaczął przeglądać kursy w „Wall Street Journal”, zastanawiając się, jak szybko zostaną zajęte sąsiednie miejsca, ale nikt już nie przyszedł. Od czasu do czasu firmy i spółki państwowe wykupują pakiet biletów i zdarza się, że ich amerykańscy goście nie mają akurat ochoty na wieczór w operze, tylko wolą założyć lżejsze buty i ruszyć na tradycyjny obchód po placu Pigalle i katedrze Notre Dame. Byli zawiedzeni, bo sądzili, że z okna każdego pokoju w każdym hotelu widać wieżę Eiffla.

Widownia dosłownie biła po oczach złotem i czerwonym aksamitem. Za każdym razem, kiedy tu wchodził, dziwiło go to

bogactwo ozdób. Człowiekowi wyrosłemu na skandynawskim minimalizmie ten przepych mógł się wydawać absurdalną przesadą, lecz połączenie form, rzeźb, kolumn i złota w takiej ilości dawało niezamierzony efekt doznania ekstatycznego. Wreszcie wielki żyrandol zaczął przygasać i rozmowy ucichły. Reflektor wyłowił z ciemności dyrygenta, który przy aplauzie słuchaczy stanął przed orkiestrą. Skłonił się, odwrócił i uniósł ramiona; dłonie znieruchomiały, by za chwilę jednocześnie opaść. Zaczęły skrzypce. Wysoki, czysty głos rozniósł się po sali. Zmieniło się tempo, do skrzypiec przyłączyły się waltornie, potem wiolonczele, kontrabasy, fagoty i oboje. Każdy grał własną melodię, tak jak dłonie Heleny na klawiaturze pianina, razem jednak składały się one w doskonałą, harmonijną całość. Tuomas przeniósł spojrzenie na służący za kurtynę wielki obraz udrapowanej materii, czekając, aż powędruje w górę.

Muzyka była mu dobrze znana, fabuła również. Wolałby może trochę bardziej sugestywną scenografię i odważniejszą reżyserię w stylu niemieckich eksperymentalistów, przedstawienie było jednak profesjonalne w każdym calu. Też dobrze. Może nie zapadnie na długo w pamięć, ale zapewni przyzwoitą rozrywkę.

Nagle, w momencie, kiedy Violetta śpiewała *Povera donna, sola, abbandonata / In questo popoloso deserto*, Tuomas zauważył, że przez obitą czerwoną tkaniną przegrodę wychyla się z sąsiedniej łoży przystojny, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna. Tuomas przesunął głowę w bok, żeby lepiej słyszeć, jak spotężnieje sopran, gdy dojdzie do *Gioire*, tamten jednak wyraźnie szukał kontaktu wzrokowego. Tuomas uznał, że trzeba będzie wyjaśnić, o co chodzi, pochylił się więc w jego stronę. Mężczyzna odezwał się do niego po włosku:

– *Mi scusi, lei ha il programma dell 'opera?*<sup>17</sup>

Oczywiście, że ma program. Nie jest mu potrzebny, bo zna tę operę na pamięć, chciałby jednak mieć wgląd do listy solistów. Uśmiechnął się do tamtego i odpowiedział po francusku:

– *Mais vous pouvez venir ici*<sup>18</sup>...

Nieznajomy odpowiedział uśmiechem. I już po chwili siedział w jego łoży, może trochę zbyt blisko. I wydawał się trochę zbyt

przystojny w tym swoim idealnie skrojonym ciemnym garniturze. Ze skroniami pięknie przyprószonymi siwizną, jak gdyby ktoś starannie posrebrzył co czwarty smolistoczarny włos.

– Kiedy się zorientowaliście, że obaj jesteście Finami?

Sini patrzy na nich z nieskrywaną zazdrością. Jest sobotnie popołudnie i w kawiarni kooperatywy spożywczej nie ma ani jednego wolnego miejsca.

– Cholera mnie bierze, że gejom się zawsze tak życie układa, a ja muszę sprzedawać bachorom cukierki w wypożyczalni wideo.

Oskari zamierza coś powiedzieć, lecz Tuomas powstrzymuje go spojrzeniem.

Sini zniknęła na długo, czekała na koniec ich związku, ale kiedy wciąż nic nie wskazywało na to, że Tuomas i Oskari się rozejdą, znowu zaczęła się do nich odzywać. Teraz ogląda się za siebie, patrzy na bar. Ma ognistoczerwone włosy. Skóra u nasady włosów też się zabarwiła.

– Gdzie ten Pete?

Obecny chłopak Sini niesie wypełnioną po brzegi tacę. Spotkali się na wykładzie z prawa rodzinnego. Sini się podnosi, żeby mu pomóc. Nie może się doczekać, żeby zadać chłopakowi zagadkę.

– Nigdy nie zgadniesz, gdzie Tuomas spotkał swojego faceta! Masz trzy podejścia.

– Nie masz serca – szepcze Oskari do Tuomasa z krzywym uśmiechem.

To co miał jej powiedzieć? Że spotkali się jakiś czas temu przy parkiecie w barze, do którego żaden nie chciał iść, i to w dzień, w którym obaj zamierzali zostać w domu?

„Zatańczymy?” – zagadnął go wtedy Oskari.

„Chuja tam zatańczymy”.

I tak to się zaczęło, a dwa lata później Oskari przeprowadził się do niego z Helsinek. Tuomas właśnie awansował na maklera i nie miał ochoty zmieniać miejsca zamieszkania, a Oskari znalazł pracę w komendzie straży pożarnej, gdzie jak na zamówienie zwolnił się właśnie etat. Obaj swoje w życiu przeszli, zdążyli poznać smak radości i rozczarowania. Obaj pogodzili się już z tym, że nie znajdują

stałego partnera, i przywykli do myśli, że resztę życia przyjdzie im spędzić samotnie. Obaj zdążyli też okazjnie sprzedać swoje podwójne łóżka i polubić siedzenie w domu, obaj poważnie rozważali przygarnięcie kota. I wtedy się poznali.

Ich spotkanie nie było bajkowe ani dramatyczne. Nie było historią zauroczenia. Namietność to przywilej młodych, którzy umieją jeszcze odtrącić wszystko, zostawić za sobą cały świat, żeby zamieszkać z tym wybranym choćby w namiocie pośrodku ronda. A oni byli jak dwaj długodystansowcy, którzy wpadają na siebie na mecie.

Są tacy, o których się mówi „dusza towarzystwa”, którzy sypią kawałami jak z rękawa i zostają gwiazdami rodzinnych zjazdów. Są też tacy jak Oskari, którzy prezentują się z najlepszej strony dopiero sam na sam. Którzy świeczkami rozjaśniają jesienną szarugę i roztaczają w całym domu zapach obecności, trwałości i dobrej pieczeni. Otwierają drzwi, gdy w mroczne zimowe dni wraca się do domu z mrozu. Podają wełniane skarpety i pytają, czy zrobimy razem kolację. W świecie Oskariego nie stoi się w kolejce przed bankiem, żeby kupić akcje firm technologicznych, nie zaciąga kredytów pracowniczych. Nie spekuluje się, nie kupuje rano akcji Basware’a, żeby je wyprzedać tuż przed szesnastą.

Oskari przygląda się idącym przez rynek ludziom. Za oknem kawiarni pada deszcz ze śniegiem, lecz wszędzie pachnie wiosna. Po chwili Oskari patrzy na Tuomasa i uśmiecha się. W kącikach oczu pojawiają się zmarszczki. Na skroniach coraz więcej szarości.

## Że nie wrócisz, już wiem

Duży pokój matki pachnie mirtem. Szukam na ławie doniczki z kwiatem, lecz nie znajduję.

– Przyjechałaś tak niespodziewanie – mówi matka i aż mruczy z zadowolenia.

– Nie chce mi się wszystkiego tak dokładnie planować.

– Gdybym wiedziała, tobym poprosiła chłopców Anny, żeby wyjechali po ciebie na lotnisko. Johannes ze swoimi pojechał do domu Kaariny.

– Są taksówki.

– Nie jest tania taka jazda.

Matka robi przerwę, reguluje oburzenie w głosie:

– A Kariego gdzie masz?

Nie odpowiadam.

W dzieciństwie nigdy się nie zastanawiałam nad tym, że pachnie u nas jakoś szczególnie. Charakterystyczny zapach domu czuło się dopiero, gdy szło się do kogoś z wizytą, we własnym tego nie było. A teraz zapach tego domu rozpoznaję, ledwo przekroczę próg. Szybko do niego przywykam i tylko na samym początku wyczuwam jeszcze słabą woń chemikaliów, mimo że zakład już dawno temu został przeniesiony do nowego skrzydła. Jakby nawet matka wydzielala teraz inny zapach. Ciągle śmierdzi kamforą i lekami, jak wszystkie kobiety w jej wieku, lecz za tym wszystkim wyczuwam coś jeszcze. Kruchość. Małość. Starość. Zapach, który przychodzi z wiekiem. Ze świadomością, że nie ma już sensu odmieniać biegu życia, że teraz trzeba już rozwaźnie szacować własne siły.

Na zewnątrz samochód rusza ze skrzyżowania. Dziś jest tam już sygnalizacja świetlna. Ulice dostały nowe nazwy po zwierzętach. Matce się podobają.

– Co przyjeżdżam, to mam wrażenie, że ulica znowu jest bardziej ruchliwa – mówię.

– Mocno ją poszerzyli. Nasze róże też poszły. Te, co je twój ojciec posadził. Pamiętasz?

– Musiałam być już wtedy w Helsinkach.

Matka siada na fotelu bujanym, odpycha się nogą. Bieguny miarowo stukają o nierówności podłogi.

– Zasadziliśmy z twoim ojcem najpierw brzozy, a potem te róże.

To nie było tak. Wiesz to dobrze i Johannes to wie, a od niego wiemy ja i Anna. Kaarina na pewno też, a czy ich dzieci, to nie wiem. Może i one słyszały już tę historię, jak to babusia Lahja zamierzała walnąć łopata dziadka Onniego, kiedy wrócił z Oulu. Diabeł jeden wie, po co tam pojechał. Najchętniej powiedziałabym to wszystko na głos, ale daję sobie spokój. Nikomu nic z tego nie przyjdzie. Po co mówić o ludziach, którzy już dawno obrócili się w proch? Po co mówić o brzozach?

Bujanie ustaje.

– Co ty zrobiłaś z włosami?

– Nic.

Matka zrywa się z fotela.

– I tak przyleciałaś z samych Helsinek? Boże święty!

Idzie do jadalni. Otwierają się drzwi, słyszę, że wysuwa szufladę.

– Chodź no tutaj.

– Po co?

– Chodź tu, mówię.

Wstaję z fotela i idę do jadalni.

– No co?

Odsunęła już krzesło od stołu i sadza mnie na nim. Owija mnie ręcznikiem czy obrusem, na karku zawiązuje supeł. Aż się pali do roboty.

– Sterczy ci z każdej strony. Zetnę te najgorsze.

Z każdym powrotem do domu zauważam, że częściowo rezygnuję z siebie i wchodzę w rolę, którą grałam dawniej, a dziś już się w niej nie czuję. Tutaj jednak nie jestem pięćdziesięciolatką, lecz córką swojej matki, która ma tylko dwie możliwości: słuchać się albo wierzcąć. Pierwsza jest rolą dziecka, a druga nastolatki i wybieram tę pierwszą, bo to dzisiaj łatwiejsza ścieżka, a obie i tak wiodą na te

same manowce. Dorosłość nie zaczyna się od określonego wieku, lecz nastaje wtedy, gdy nie ma już nikogo, dla kogo byłoby się dzieckiem.

– Nic mi nie będziesz ścinać – mówię, byle coś powiedzieć, lecz nie robię nic.

Ona nawet nie umie strzyc. Ani szyć na maszynie, ani gotować. Z poczucia obowiązku robi wszystko, co jej zdaniem kobieta robić powinna, mimo że nikt jej do tego nie zmusza. Kupuje całą belę syntetycznej tkaniny i produkuje dla wszystkich ręczniki, które nie chłoną wody. Szyje dla mnie i Anny bezkształtne workowate sukienki, które odstają od bioder i pleców, czy się siedzi, czy stoi. Szyła je kiedyś nawet dla Kaariny, ale synowa ostatnio nabrała odwagi i przestała je nosić. Teraz matka gotuje już rzadko, co nie znaczy, że przestała się w kuchni udzielać, bo Tapio prosi Kaarinę, żeby została w domu, żeby mu babusia znowu nie natarła do tłuczonych ziemniaków surowej cebuli.

A teraz matka ciągnie mnie za grzywkę i tam, i siam szczęka nożycami.

– Potargane masz te włosy jak nie wiem co.

– Nieprawda.

– Kobieta musi trochę o siebie zadbać.

Słucham melodii nożyc. Tempo *andante*, „idąc”. A tempo jej życia to *moderato*, „umiarkowanie”. Może *appenato*, „z żalem, boleśnie”.

Chyba skończyła tę grzywkę, bo nawija mi na skroniach sprężynki na palcach.

– Przyjedzie później ten Kari czy nie?

Wzruszam ramionami. Nożyce szczękają mi koło ucha, na rękę spadają włosy. Co ona mi wycina na tej głowie? Czekam na powrót do domu chłopców Johannesesa jak ta obszczana wariatka z przedwojennego przytułku. Kiedy młodzi zobaczą taką pociachaną ciotkę, to nie odważą się z nią przywitać, choćby Kaarina nie wiem jak ich namawiała. Będę toczyć pianę z ust i głośno popierdywać. I pytać, który gołąbeczek chce kostkę czekulady.

– Z czego się śmiejesz?

– Z niczego.

Matka przechodzi na kark. Prostuje mi głowę, przycina końcówki.



Ciacha mnie tymi nożycami, jakby tekturę cięła.

– Tamten ciągle przysyła kartki na święta.

– Kto?

– A ten, wiesz, znajomy twojego ojca.

Matka milknie, rozważa, jak go bliżej określić.

– No, ten istny z Oulu.

Powinnam teraz kuć żelazo, póki gorące. Skoro już zostało to powiedziane na głos, trzeba by o tym porozmawiać. Chciałabym usłyszeć od matki opowieść o ojcu i o tym jego istnym z Oulu. O tym wszystkim, o czym nawet Johannes ma tylko strzępy informacji. Tylko że nie mam siły, nie dzisiaj, akurat nie w tej chwili. Gdyby można to było przełożyć na jutro albo choć do wieczora, lecz wiem, że wtedy ta zakazana sprawa zostanie zbyta milczeniem i zapomniana.

– Dziękuję za fotografie twojego ojca – ciągnie matka.

Daje mi szansę, lecz dzisiaj jestem do niczego. Nie potrafię składać myśli, nie mogę się skupić. Matka ścisza głos.

– Ale ja mu niczego nie wysyłałam. Nigdy nawet nie odpisałam. Raz wcześniej już tak samo chciał mnie brać pod włos. Wtedy dziękował za zdjęcia z pogrzebu.

Nie mów do mnie teraz, mamó. Daj mi po prostu posiedzieć, mamó, jak baranowi przed strzyżą. Posłuchać szczękania nożyc. Nic więcej. Nic o ojcu ani jego istnych. Nic o tym, co było i co będzie. Po prostu bądźmy teraz, mamó, zgódź się, proszę. Przepłynęłam wpław ocean. Przemierzyłam sama wszystkie ulice miasta. Obsiedziałam wszystkie ławki w parkach. I teraz nie mam już siły, nawet gdybym chciała.

Musi chyba czytać w moich myślach, bo milknie. Czuję, że wypuszczam z rąk jedyną szansę, lecz godzę się na to. Nie mam siły, by sięgnąć po nią nawet jednym słowem. Jest mi zimno.

Matka kładzie mi dłoń na lewym barku i czubkami nożyc strzyże za uchem. Rękę ma ciepłą. Słucham szczękania ostrzy. Unoszę dłoń i kładę ją na dłoni matki. Ruch nożyc zamiera. Robi się zupełnie cicho.

– Nie jest dobrze, co? – bardziej stwierdza, niż pyta po chwili, nie

opuszczając nożyc.

Nie umiem zacząć. Nawet Johannesowi nie powiedziałam. Gdzie znaleźć słowa na coś takiego? Jak opisać to uczucie, kiedy wchodzi się do domu i już w przedpokoju słyszeć, że w środku jest inne echo? Że głos jest bardziej głuchy, przestrzeń obszerniejsza? Że utarte trasy nagle straciły punkty odniesienia, że przeszkody na drodze gdzieś wyparowały? Chodziłam po pustych pokojach i dotykałam przedmiotów, połowa z nich zniknęła. Próbowałam usiąść na krześle, którego nie było, wytrzeć dłonie w ręcznik, lecz nie miałam pojęcia, gdzie się znajduje. Otwarłam kredens i stwierdziłam, że braknie połowy talerzy, że z szuflady ubyło sześć łyżek, sześć noży i sześć widelców. Co druga szafa stała pusta. Ze ściany w przedpokoju zniknęły dwa haczyki na ubrania, z szafki z lustrem w łazience zniknęła półka. I telewizor, regał i jeden fotel. Pobiegłam do gabinetu i już w progu usłyszałam, że jest pusty i w gołych ścianach gra tylko echo ulicy za oknem. Połowa domu, połowa życia. Pół świata. Wszystkie pokoje opowiadały tę samą historię porzucenia, jak uliczki tej wsi.

Przed wyjściem zakręcił wszystkie grzejniki. Nie zostawił mi żadnej wieści, żadnej kartki, wiadomości. Nikt nie umiał powiedzieć, gdzie się wyprowadził. Nikt nic nie wiedział – w pracy, u teściów, nigdzie. Po tygodniu odezwał się telefon. Słuchałam, jak dzwoni, lecz nie podniosłam słuchawki. Cztery dni z rzędu dzwonił dokładnie o tej samej porze, kwadrans po ósmej. Piątego dnia odebrałam.

– To dla wielu chłopów bardzo ważna rzecz – mówi matka. Opuszcza drugą rękę na mój bark. Milczy.

– Tylko o tym nie mówią – podejmuje po chwili. – To przez to, że mu wtedy nie urodziłaś dziecka.

Mamo, przestań.

Zabiera rękę z mojego ramienia. Co robi? Nożyce stukają głucho o brzeg drewnianego stołu. Ręka wraca na bark, lecz nie zatrzymuje się tam. Jej lewa dłoń wyswobadza się spod mojej i zsuwa na klatkę piersiową, prawa się podnosi. Co ona robi? Gładzi mnie palcami po policzku, wolno i czule. Oczy mi łzawią, w nosie mnie piecze.

– Ma inną – wyznaję. – Młodsza ode mnie. Normalną.

Przepona zaczyna falować, lecz wstrzymuję oddech. Odchylam głowę, żeby łzy nie ciekły mi po policzkach. Matka kładzie brodę na moim czole. A może to usta? Całuje mnie?

– Tak nam zabierają mężów – mówi słabym głosem.

Nie dlatego płaczę. Nie jestem z tych, co płaczą za chłopem. Co sobie nie radzą.

## Wszyscy chcą kochać, choć nie przyznają się

Siedzisz naprzeciw mnie na tym samym taborecie, na którym kiedyś Kari. W ubiegłym tygodniu usiadła na nim twoja siostra i powiedziała mi, że zamierza się rozwieść. Ty też już skończyłeś mówić i teraz zaciągasz się mocno papierosem, zatrzymujesz dym na chwilę i wydmuchujesz. Wiem, że patrzysz na mnie badawczo, spodziewasz się, że może zdradzę się wyrazem twarzy i pozwolę ci odgadnąć, co o tym wszystkim myślę. Otworzyłeś się przede mną i jesteś nagi, wyznałeś mi swoją wielką tajemnicę. Odsłoniłeś swój słaby punkt, tak jak pies odsłania szyję, i teraz się boisz, że właśnie tam cię ugodzę.

Nie bój nic, Tuomasie, jestem po twojej stronie. Płynie w nas ta sama krew. Jestem siostrą twojego ojca. Kiedy wszystko przeminie, co innego nam pozostanie? Przyjaciele znikną, wyjadą, umrą. Mężowie i żony, dziewczyny i chłopcy znajdą w życiu ciekawsze zajęcia, zaczną chlać albo rzucą picie i wyjadą. Domowe pieski zdechną albo zostaną uśpione. Ale rodzina to coś takiego, z czego nie można się wypisać ani zostać wypisanym. Rodzina trzyma się twardo w kupie, krewni się odwiedzają i słuchają, co kogo boli.

Ty też. Już ja wiem, co sobie myślisz, kiedy do ciebie dzwonię. Słuchasz uważnie moich pierwszych słów. Zanim wybrzmi do końca: „No cześć, tu Helena”, ty już wiesz, czy jestem na cyku, czy nie. I choćbym nawet była, ty nie odkładasz słuchawki, ty opowiadasz mi swoje powszednie historie, a ja opowiadam ci moje. Nie musiałbyś tego robić. Mógłbyś mi nakłamać, że nie masz czasu. Że właśnie wychodzisz do pracy albo że dosłownie za chwilę przychodzą do ciebie goście. A ty tego nie robisz. Idziesz zdjąć patelnię z płyty albo mówisz swoim hałaśliwym znajomym, żeby chwilę poczekali. Twoje rodzeństwo robi tak samo, bez wyjątku. Zastanawiałeś się kiedyś dlaczego? Ja wiem.

Z tego samego powodu, dla którego właśnie teraz siedzisz w mojej kuchni.

Ci, w których się zakochaliśmy i których sami sobie wybraliśmy, żeby z nimi żyć, pewnego dnia umrą lub spakują walizki i wyjadą precz, lecz ci, których sobie nie wybraliśmy, ci zostaną. Tylko rodzeństwo dzieli ze sobą te same wspomnienia i wyciąga z przeszłości te same nauki. Rodzina po swojemu rozumie rozmaite słowa. Z innymi w zasadzie nie mamy wspólnego języka.

Z drżenia zgaduję, że jesteś zdenerwowany i uderzasz nogą w poprzeczkę taboretu. Pachniesz delikatnie wodą po goleniu. Trzeba ci oddać, że nigdy nie używasz jej w nadmiarze, nie polewasz się nią jak inni do ciebie podobni. Jeszcze następnego dnia mogłabym po tym zapachu trafić do tych domów, gdzie ich na noc zwabiono z jednego z waszych klubów. Dawniej unosił się w holach dworców i publicznych toaletach; znam zapach homoseksualisty ze swetrów mojego ojca.

Co mogłabym ci powiedzieć? Wcale mnie nie zdziwiło to, co powiedziałaś. Przecież wiedziałam, ale nie zamierzam ci tego mówić, bo na pewno od razu byś zapytał skąd. Po wszystkim i po niczym konkretnym. Po tym, że chłopak ma już pewien wiek, a nie przyprowadził jeszcze do domu ani jednej porządnej dziewczyny, żeby pokazać rodzicom. Ta Sini się nie liczy. Nie boisz się interesować galeriami i teatrami, chociaż handlujesz akcjami, żeby twoi klienci zarabiali na pracy ludzi, których ani ty nie widziałaś na oczy, ani oni nie znają. Kaarina już dawno temu doszła do tego samego wniosku, lecz ma dosyć taktu, żeby cię o to nie pytać, i czeka, aż sam poruszysz ten temat. Minna też o tym wspominała, i mąż Maarit.

Co do Johannesesa, to nie umiem powiedzieć. Kiedyś wiedziałam, co myśli o świecie, a on wiedział, co myślę ja. To było wtedy, gdy byliśmy jeszcze nierozłączni. Wiem, że wtedy by cię przeklął. Nie zrozum mnie źle, to by nie była nienawiść. To, co zrobił sobie nasz ojciec, najmocniej ugodziło właśnie Johannesesa. Zanim to się stało, matka chyba miała nadzieję, że wszystko się jeszcze ułoży. Anna wyszła za mąż i zmieniła się, przestała oczekiwać od świata czegokolwiek. Ja już wtedy postawiłam krzyżyk na ojcu. Pamiętam tamten dzień, kiedy wyjeżdżał ostatni raz do Oulu. Tyle razy miałam ochotę spytać matkę, czy i ona wiedziała wtedy, że ojciec już stamtąd

żywy nie wróci. I myślę, że wiedziała.

Ty byś czegoś takiego nigdy nie zrobił. Ty nie jesteś taki. A może czasy są inne. Kto wie, może przeniosłeś się na południe z tego samego powodu, dla którego ja nie wróciłam na północ. Tutaj chyba jest łatwiej. Trudno żyć z tą jedną jedyną łatką, jaką człowiekowi tam przykleją. Może tęskniłeś za bezimiennością wielkiego miasta, tak jak trzy siostry tęskniły za Moskwą? Ja też nie chciałam być tą wiejską inwalidką. Ciężką przeszłam tu szkołę, lecz bez niej byłabym dzisiaj inna, słabsza.

Jaką dałabym ci teraz radę, kiedy postanowiłeś zebrać się na odwagę i zacząć chodzić prosto? Powiedziałabym ci, że życie nie jest niekończącą się walką o wszystko, a jutro nigdy nie jest wierną kopią wczoraj. Są dni dobre i są dni złe. Trzeba umieć je rozróżnić i oddzielać od siebie jak piątek od świątku. Nigdy nie staraj się być taki czy inny tylko dlatego, że ktoś od ciebie tego oczekuje. Musisz się podobać wyłącznie sobie i nikomu innemu. I pamiętaj, że nawet jeśli nie wszystkie historie ludzkie to historie miłosne, to wcale nie znaczy, że są to historie bez happy endu.

Nalewam sobie drugą filiżankę kawy i wyciągam czajniczek przed siebie. Kładziesz rękę na stole. Wychylam się i znajduję ją. Palce masz lekko podwinięte. Przykrywam je swoją dłonią. Dlaczego masz obrączkę? Nie chcę pytać, lecz czuję ją pod palcami. Ja swoją już dawno zdjęłam. Wpiła mi się tak głęboko w skórę, że nie mogłam jej ściągnąć. Złotnik wsunął pod nią ząb kleszczy i przeciął. Spytał, jak się czuję, odpowiedziałam mu, że nie bolało. Powiedział wtedy, że chodziło mu o to, czy z obrączką wiążą się jakieś wspomnienia, a ja mu na to, że może ją wyrzucić do kosza. Wyrzucił, choć jestem pewna, że ją stamtąd wyciągnął, ledwo drzwi się za mną zamknęły. Tania to ona nie była.

Ale nie ukrywam, czuję się samotna. Niektórzy znajomi radzili mi, żebym sobie znalazła nowego chłopca, lecz niewidoma kobieta w siódmych potach klimakterium to nie jest najlepsza partia. Wychodź do knajpy, mówią mi. Śmiać mi się z nich chce. Gdybym tam kogoś znalazła, na pewno bym go nie wzięła. Musi być jakiś powód, że w tym wieku facet jest wolny i siedzi sam przy stoliku. To

zapisz się do jakiegoś kółka zainteresowań dla niewidomych, nie dają za wygraną, tam sobie kogoś poszukaj. Nie zapiszę się. Czy nie wolno mi pragnąć mężczyzny, który widzi? Czy wolno mi szukać wyłącznie wśród podobnych do mnie? Czy muszę się zamykać w tym towarzystwie, traktując resztę świata jako zagrożenie? W moim życiu nie ma nic wyjątkowego, co mógłby zrozumieć wyłącznie ktoś taki jak ja. I w twoim pewnie też nie.

Odchylasz się do tyłu. Zaczynasz się niecierpliwić. Jestem tak przyzwyczajona do bycia sama ze sobą, że nie zawsze pamiętam o tym, że czasem trzeba coś powiedzieć. Cieszę się, że masz do mnie więcej zaufania niż do własnego ojca. Choć raz wiem coś, o czym nie wie Johannes. Ściskam krzepiąco twoją dłoń.

– Jak kogoś masz, to przyprowadź go tutaj. W domu na razie nic im nie mów.

Ja chcę być tą, do której przyprowadza się zięciów.

## Na szczęśliwy ląd zainoszą mnie

Kubikowy barak starego lotniska działał jak pudło rezonansowe. Tak zwielokrotniał ryk startujących i lądujących samolotów, że małe dzieci zakrywały uszy dłońmi. W nowym terminalu odgłosów z płyty lotniska w ogóle nie słyhać. Tuomas uprzytamnia sobie, że samolot wylądował, dopiero gdy zaczyna się rozładunek luków bagażowych. W świetle wielkich reflektorów śnieg na lotnisku jest żółty. Tuomas ma tremę.

W domu już wszystko gotowe. Matka postawiła na stole talerze, których używa się tylko na Gwiazdkę. Wyjęła nawet srebrne sztucce, do wazy z kisiem wsadziła chochlę matki babusi, a do cukierniczki szczypczyki z lwimi łapami. W piekarniku dochodziła pieczeń z renifera. Tuomas krążył po całym domu. To nie były już te pokoje, do których przywykł w dzieciństwie. Musiało minąć wiele lat od śmierci babusi, żeby ojciec i matka w końcu się przemogli i zaczęli od zawsze planowany remont. Teraz w miejscu starej kuchni jest przedpokój, a nowa znajduje się tam, gdzie kiedyś było to dziwne przejście do dużego pokoju. Raz odwiedziła ich Helena i podobno zupełnie się pogubiła w tym nowym porządku. Ciotka próbowała chodzić utartymi szlakami, ale ciągle zatrzymywały ją ściany w miejscu pamiętanych drzwi, a raz nawet wpadła na schody, bo myślała, że jest w zupełnie innym miejscu. Narzekała, że teraz to już nigdzie w tym domu nie trafi.

Matka zawsze się odgrażała, że wyrzuci wszystkie meble po babusi, okazało się jednak, że zdążyła się do nich przywiązać przez te wszystkie lata, i skończyło się na tym, że porozstawiała je po wszystkich kątach. Rozproszone pojedynczo po pokojach stoły i niskie kredensy przestały symbolizować władzę teściowej, a dzięki nim babusia jest teraz obecna w całym domu. Jeszcze żywsza pozostała w słowach. Mówiła do nich nawet z za grobu. Wszyscy mogli jak z rękawa sypać kaśliwymi uwagami, które w jej ustach brzmiałyby



jak obelgi, teraz jednak świetnie się nadawały do nazywania skrajnych uczuć, na które w zwyczajnym języku nie było słów. Powiedzonek babusi używali nie tylko oni, którzy żyli z nią pod jednym dachem, lecz także ich żony i mężowie, którzy przejęli je później od nich. Niekiedy nawet któreś z wnuków przedrzeźniało północną gwara babusi i powtarzało słowa kobiety, której nigdy w życiu nie widziało na oczy. „Znowu breszesz. Ale sobierad z ciebie. Najlepsze to już było”. Już nigdy się babusi nie pozbędą, ale też wcale tego nie chcieli. Zawsze będą żyli w sobie nawzajem.

Do kadłuba samolotu podjeżdżają schody i otwierają się drzwi. Tuomasowi robi się gorąco. Na dworze mróz tężeje i matka kazała mu włożyć kalesony. Próbował jej tłumaczyć, że nie potrzebuje i że w samochodzie jest ciepło, ale nie chciała go słuchać. W końcu się ugiął. W tym domu był zawsze dzieckiem. Matka zaczęła kuśtykać, ojciec zapominać. Tuomas musiał jednocześnie słuchać ich i się nimi opiekować.

Teraz rozpoznaje kilka osób wychodzących z samolotu: córka komendanta policji, właścicielka kwiaciarni. Zna ich głównie z widzenia, bo to albo znajomi rodziców, albo klienci ich zakładu. Reszta to przyjezdni narciarze. Tuomas wyciąga szyję. Większość podróżnych już wyszła z samolotu. Jednego ciągle brakuje.

Tuomas wrócił do domu poprzedniego dnia. Zdążył już wybrać się na długi spacer zaśnieżonymi drogami przez wieś. Pobudowane na peryferiach wsi markety pękały w szwach i w dawniej gwarnym centrum nie było teraz ani ludzi, ani sklepów. Część niskich drewnianych domów rozebrano i na zwolnionych działkach wyrosły za wysokie budynki. Na zamarznętym jeziorze nie organizuje się już zawodów reniferów. Tamtej wsi, w której wychował się Tuomas, już nie ma. Zniknęła kawałek po kawałku i pierwsze powojenne domy albo przeniesiono nad niewielkie jeziora i zdegradowano do roli letniskowych, albo puszczono z dymem w piecach centralnego ogrzewania. Na pustych działkach stanęły pstrokate bloki. Ich dom rodzinny dorównywał im jeszcze wysokością, ale farba na ścianach

już się łuszczyła. Na blaszanym dachu kwitły plamy rdzy, widok na kopy zasłoniła pływalia.

Na szybach wielu opuszczonych domów na Lopotti mróz wymalował piękne kwiaty. Rozebrano sklep spółdzielczy oraz domy Tuovilów i Vellów. W kilku oknach paliło się jeszcze jasne światło. Dzieci nie widziało się nigdzie, w tej części wsi pozostało już tylko kilka starszych małżeństw, które wymieniły w domach stare żarówki na lampy halogenowe, żeby lepiej widzieć opustoszałe kąty. Wieś była mniejsza niż ta ze wspomnień, ale i mieszkańcy stali się inni. Wydawali się teraz Tuomasowi bardziej znajomi, bardziej uśmiechnięci i bardziej otwarci. A może ta zmiana zaszła raczej w nim. Odwiedził już Annę, zaszedł do kuzynów. Rozmawiał z nimi swobodnie o takich sprawach, o których kiedyś wolał milczeć.

Zakład fotograficzny ojca był jedynym miejscem, które się nie zmieniło. Co prawda i tutaj było spokojniej niż kiedyś, choć zdarzało się jeszcze, że zeszło się naraz kilku klientów i robił się mały tłok. Tuomas złapał się na tym, że zachowuje się tak samo jak każdy z ich rodzeństwa, kiedy przyjeżdża do domu: zdjął płaszcz i poszedł do sklepu przy zakładzie. Przywitał się z pierwszym klientem i zerknął szybko na krawędź półki, ile teraz kosztuje rolka dwudziestoczeroklatkowego filmu dwusetki. Trajektorie ruchów, obsługa kasy i wiedza o zawartości szuflad za ladą wpływały samoczynnie z głębin świadomości. Uśmiechał się do klientów, rozbawiał ich zdawkowymi uwagami i wpisywał dane na kopertach, jakby nigdy nie robił niczego innego.

– Robimy od razu podwójne odbitki?

Niemców podobno przyjeżdża już drugie pokolenie. Małżeństwa w średnim wieku z Europy Środkowej szukały w ich stronach blizn po ranach, które wydarło w tej ziemi za życia ich ojców.

Mama pościeliła im już na sofie w bibliotece. Dawniej była tam jadalnia, gdzie w starym łóżku w rogu sypiała zazwyczaj babusia. Teraz stół w pokoju uginał się od zniesionej przez ojca literatury genealogicznej. Zachciało mu się takiej samej wielkiej rodziny, jaką ma matka. Tuomas nie chciał spać na strychu, choć stały tam jeszcze jego stare meble. Tym razem nawet nie zaszedł na poddasze. Miał

wrażenie, że pokój na górze należy do innego życia i do człowieka, którym dawno nie jest. Tuomas nie potrafił już stawiać filiżanki na spodku.

Poszwa kołdry miała niebieskie stylizowane baranki.

– Mówiłam ci już, że podobno syn proboszcza też jest...?

Pytanie zawisło niedokończone. Oboje wiedzieli, jak brzmi ostatnie słowo, ale matka krępowwała się je wymówić. Nie dlatego, żeby sprawiało jej to trudność, po prostu nie chciała syna w żaden sposób zredukować, nie chciała go ubierać w przyciasne rzeczy. Jej zdaniem każdy człowiek dostanie na tym świecie akurat tyle miejsca, ile sam postanowi zażądać. Ani trochę mniej, ani trochę więcej.

Wreszcie z samolotu wysiada znajomy mężczyzna. Tuomas czuje, że przedramiona pokrywają mu się gęsią skórą. Oskari dostrzega go za szybą i macha na powitanie ręką. Wiatr podrywa mu płaszcz, więc przyciska ręką końcówki kołnierza. Krzywi się i kręci głową. W terminalu nie wiedzą, czy się objąć, czy nie. Tuomas spostrzega, że jakby się trochę wstydził przed innymi. Kiedy wracają samochodem do domu, zastanawia się, jak też jego wieś może wyglądać w oczach Oskariego. Czy widzi w niej jedynie śnieg i mrok? Czy zauważy, że mróz spadł już poniżej dwudziestu pięciu stopni? Nadjeżdżającym z przeciwka kierowcom Tuomas błyska długimi światłami, to ostrzeżenie, że na drogę wyszły renifery i zlizują z jezdni sól. A jeśli Oskari uzna, że wieś jest mniejsza i bardziej zapuszczona niż w opowieściach Tuomasa? A jeśli zobaczy tu tylko pordzewiałe rynny i zerwaną papę na dachach?

Na podwórzu stoją dwa płonące pieńki. Tuomas skręca przed dom i wyjmując z bagażnika walizkę gościa. Ten wyraźnie się mierzy z wielkością domu. Otwierają się drzwi balkonu, matka podchodzi do balustrady i macha na powitanie. Wcześniej postawiła na poręczy kilka zapalonych podgrzewaczy w kolorowych filiżankach. Oskari ma widoczną tremę. To pierwszy mężczyzna, którego Tuomas zdecydował się przedstawić matce i ojcu.

Tuomas długo rozważał, jak powiedzieć o tym wszystkim rodzicom i rodzeństwu, bo czuł, że Helena nie zastąpi mu całej rodziny. Nie bał

się już reakcji najbliższych, tylko poruszenia tego tematu po raz pierwszy, jak gdyby było to dla niego czymś nowym, wydawało mu się równie żenujące co zapytanie o imię sąsiada, któremu od dawna mówi się „dzień dobry”, lecz jakoś nigdy samemu się nie przedstawiło. W końcu Tuomas uznał, że napisze do wszystkich maila. Był tak zdenerwowany, że po wysłaniu wiadomości wyłączył w ogóle komórkę. Lepiej niech się uspokoją, zanim zaczną komentować.

Kiedy dwa dni później ponownie włączył telefon, ten powiadomił go od razu o kilkudziesięciu nowych wiadomościach. „A kto by o tym jeszcze nie wiedział?”, pytała go Minna. „Będziemy zawsze braćmi, choćby świat się walił”, napisał Tapio. Maarit mu podziękowała, bo dzięki niemu może pokazać swoim dzieciom, jak różnorodny jest nasz dzisiejszy świat. Matka dzwoniła do niego ze dwadzieścia razy, żeby mu powiedzieć, że ojciec już siedzi w pociągu. Podobno spakował się od razu po przeczytaniu wiadomości i powiedział tylko, że jedzie do syna. Na stacji Tuomas i ojciec bez słowa padli sobie w ramiona. Zawsze kiedy się spotykali, Tuomas miał wrażenie, że świat staje się prostszy. Ojciec miał dobrą radę na każdą okoliczność.

Poszli razem do restauracji, a ojciec nieoczekiwanie przerwał krojenie kotleta i opowiedział mu całą historię swojego ojca. Jak babusia nieraz kazała mu jechać go szukać i jak parę razy rzeczywiście go znalazł. Jak przewiązał mu nadgarstki i krwawiącego zaciągnął do takiego szpitala, gdzie próbowano wybić mu homoseksualizm z głowy wstrząsami elektrycznymi i insulinowymi. Dziadek jeździł do Oulu do jakiegoś mężczyzny, który jeszcze długo po pogrzebie próbował utrzymywać z nimi kontakt. Ojciec wysyłał mu zdjęcia rodziny i dziadka, napisał nawet kilka listów. Teraz tamten człowiek już dawno nie pisze. Pewnie nie żyje.

„Dziadek nie miał udanego życia. Dopilnuję, żebyś ty miał”.

Rodzeństwo Tuomasa już Oskariego poznało, a on poznał jego braci i siostrę. Kilka razy odwiedzili też Helenę, nawet zatrzymali się u niej na jedną noc. Wszyscy przyjmowali ich z radością i trwała nieoficjalna rywalizacja o tytuł najbardziej tolerancyjnego członka rodziny. Wszędzie gospodarze zastanawiali się głośno, kto nie zrozumie. „A już swojej siostrze to na pewno nie mów”, radził brat

Oskariego. Ona sama z kolei twierdziła, że nie wolno tego mówić ojcu. Minna nie była pewna, co na to wszystko powie mąż Maarit, a Tapio wątpił, żeby wujowie dali radę to przełknąć. Zawsze ktoś inny był za bardzo staroświecki, za bardzo wiekowy, za bardzo prowincjonalny, żeby ich zrozumieć. W całościowym oglądzie rzeczywistości miały im przeszkadzać wąskie horyzonty, brak wykształcenia, pochodzenie czy doświadczenia z dzieciństwa. Dlatego lepiej nic nie mówić i po prostu czekać, aż świat się jeszcze trochę zmieni.

Późnym wieczorem Oskari i Tuomas rozbierają się w bibliotece i zakładają piżamy. Matka już się położyła, ojciec chce jeszcze obejrzeć ostatnie wiadomości. Węgły domu trzeszczą w tężejącym mrozie. Tuomas zajmuje połowę łóżka od strony pokoju. Oskari gramoli się nad nim pod ścianę, obejmuje go ramionami i przyciąga do siebie. Tak jest przyjemnie.

„Przesympatyczny”, szepnął w kuchni ojciec Tuomasowi na ucho.

„Nie wiem, co bym powiedziała, gdyby był to ktoś inny – powiedziała matka. – Ale kogoś takiego nie można nie polubić”.

W czasie kolacji zadzwoniła Helena. Była zaskoczona, że Tuomas i Oskari wybrali się na północ. Ojciec obiecał, że oddzwoni do niej, jak zjedzą, ale Helena odparła, że nie trzeba, bo nie dzwoni z żadną konkretną sprawą. „Była jakaś przyklapnięta”, ocenił ojciec.

Oskari kreśli palcem kółka na barku Tuomasa. On zaś leży na boku i patrzy w kąt, w którym kiedyś spała babusia, a przedtem, jak mówi ojciec, dziadek Onni. Myśli o zakurzonych meblach na strychu, o zapomnianych rzeczach w garderobie i stęchłym materacu piankowym. O wypłowiałych okładkach kaset wideo z nagranyimi odcinkami *Dynastii*. Nigdy nie przypuszczał, że dożyje tak pięknego dnia.

Ojciec i matka byli po kolacji jednomyślni.

– Ale dziadkowi to lepiej nic nie mów.

## Ludzie są samotni, czy tego chcą, czy nie

Dwa razy w tygodniu, zawsze o siódmej. Ciekawe, jak okłamuje żonę, czym jej tłumaczy te wyjścia? W radiu grają *Naprawdę pięknie żyć ten jeden jedyny raz*. Nie ścisza, żeby się nie zorientował, że wiem o jego obecności. Kiedy ktoś otwiera okienko pocztowe w drzwiach, sprężyna klapki cichuteńko skrzypi. Z początku za nic nie mogłam ustalić, skąd się bierze to dziwne skrzypienie, lecz jednego dnia się zawzięłam i w końcu znalazłam.

Radio gra, przechodzę do dużego pokoju. Klapka okienka cichutko opada. Odwracam się i idę do przedpokoju.

– Że też ci się to jeszcze nie znudziło – mówię przez drzwi.

Opieram się o ścianę i kucam. Odsuwam but i siadam na podłodze, ostatnio zawsze tak robię, kiedy przychodzi pod drzwi. Klapka ani drgnie. Żeby chociaż coś powiedział, jedno słowo. Na początku otwierałam drzwi i wychodziłam na klatkę, ale uciekał i tylko echo kroków na schodach zdradzało, że tu był. Raz próbował stać bezgłośnie po drugiej stronie korytarza, lecz kiedy spytałam, kto tu jest, nie odpowiedział. Słyszałam jego oddech, czułam znajomy zapach, a mimo to próbował mnie zrobić w konia, że niby stoję na klatce sama. Chwilę nasłuchiwałam i potem podeszłam do niego tak blisko, że czułam ciepło jego ciała, nie dotknęłam go jednak. Wróciłam do mieszkania i zamknęłam za sobą drzwi. Płacz Kariego na klatce był tak cichy, że nawet echo milczało.

No i tak sobie siedzimy, po tylu latach rozłąki znowu blisko siebie. Nie odzywamy się. Kiedy człowiekowi kończą się słowa, kiedy – opowieści? Dlaczego nie opowiadamy sobie nowych, skoro tamte się urwały? Mogłabym opisać ci rozwój tej choroby, o której nic nie wiesz. Nie bój się, nikt jeszcze o niej nie słyszał, nawet Johannes, chociaż podałam go bez jego wiedzy jako swojego pełnomocnika. Bo widzisz, ja już mam tę jedną wadę, jedno piętno. Drugiej byście nie

znieśli.

Ale jakoś daję sobie radę, na szczęście. Czasami tracę czucie w lewej ręce, prawa jest sprawna. Ściskam więc sobie taką antystresową piłeczkę, żeby odzyskać siłę w mięśniach. Czekam, kiedy zacznę się robić nieustępliwa i wybuchowa. Lekarka mówi, że z czasem coraz trudniej mi będzie zrozumieć uczucia innych ludzi. Śmiać mi się chce, bo sam pomyśl: dopiero teraz! Podobno może być tak, że coś mi nagle strzeli do łba i rozbiore się do naga albo się zatnę i zacznę machinalnie powtarzać w kółko jakąś banalną czynność. To też mnie śmieszy, w końcu jestem stroicielką fortepianów. Już widzę, jak siedzę z gołą dupą w Domu Kultury i godzinami katuję cis na fortepianie, dopóki strażnik w końcu nie odprowadzi mnie do taksówki. Po drodze capnie z szatni jakiś łach, żeby czymś okryć te obwisłe cyce.

Ale nie będę ci nic opowiadać, spokojna głowa. Nabieram wody w usta. Nie po toś tu przyszedł, żeby godzinę wysłuchiwać, co tam teraz u mnie. Po prostu masz takie śmieszne hobby, swoją byłą żonę. Ona jest jak obraz, na którym widzisz nieznaną mi osobę. Przyjeżdżasz tu podglądać mnie przez okienko w drzwiach niczym tygrysicę w zoo. Przywozisz tu ze sobą swoje wyobrażenia. Wydaje ci się, że wiesz, jak tygryśca wygląda i jakie wie dzie życie, lecz chcesz się jeszcze upewnić. Pragniesz wiedzieć, co jem i jak się parzę, z kim. Całą tę historię można by opowiedzieć w paru słowach, tylko że prawda cię nie obchodzi. Masz przecież swoją.

Poszedłbyś już sobie, dziś nie mam nerwów do ciebie. Wspieram się prawą ręką o podłogę i dźwigam w górę. Czuję kolana i kostki. Przytyłam. Tak łatwo przestać wychodzić z domu. Na szczęście widzisz mnie tylko w wąskich paskach, jakie ci daje to okienko w drzwiach. Gdybym otworzyła drzwi, bardzo byś się zdziwił, że tygryśca zmieniła się w starą zubrzą.

Ja wiem, co u ciebie, choć nigdy się nie odzywasz. Niczego się sama nie dowiadywałam, ale powiedzmy, że nie broniłam, jak ktoś mi chciał coś opowiedzieć. Nie zatykałam uszu, kiedy ktoś mi mówił, że cię widział. Was. Ma na imię Taina, to też mi wiadomo. Młodsza od nas, to też bardzo szybko stało się jasne. Dwójka dzieci, dziewczynka

będzie już miała dziesięć lat. To młodsze to podobno syn, można poznać po kolorze ubranek. Na ławeczkach przy placu zabaw słyszy się, że chłopiec nie chodzi za dobrze, choć sześć lat już na pewno ma. Wszystko to wiem, mimo że nie widzę.

Ta twoja Taina chyba nie chodzi do pracy, bo ludzie widują ją z dziećmi za dnia. Z czego ty ich utrzymujesz, tego nie pojmuję. Przecież po dziś dzień najchętniej przesiadujesz w Chlewie na Kapitańskiej, przy tym samym stoliku zresztą, przy którym i my siadaliśmy, kiedy jeszcze piłam z tobą. Z daleka przyjeżdżasz tam się urżnąć? Rozgłaszasz teraz wszystkim, żeś wreszcie został prawdziwym mężczyzną. Kumple kiwają głowami i potulnie wychylają do dna, co im tam teraz stawiasz. Pozbyłeś się balastu i jesteś teraz ojcem co się zowie, jesteś głową nowej podstawowej komórki społecznej. Rozmnażasz się i zapełniasz ziemię. I w drodze do domu wyrzucasz z siebie wszystko, tylko nie tę gorycz.

Czego ty tu jeszcze chcesz? W dzieciństwie byłam tak, kurwa, dzielna i grzeczna, że teraz, na starość, już nie mam na to siły. Poza tym w swoich myślach widzisz nie prawdziwą mnie, tylko swoje wyobrażenie kobiety, jaką mogłabym dziś być. Po kiego czorta przesiadujesz pod tymi drzwiami? Żeby ślinić się do byłej żony przez okienko pocztowe? Wracaj do rodziny, tam jest twoje miejsce. Sam przestałeś mnie dotykać, choć grałam pod tobą jak idealnie nastrojony Bösendorfer. Uznałeś, że moje łono jest chore i jałowe, że samo zadbało o to, by pewna linia mojego rodu wygasła. Że to nawet lepiej, że nasze dzieci nigdy się nie narodziły, zamiast potem wypaść z okna, nadziać się na nóż albo połknąć całą fiolkę tabletek, bo matka nie zdołała ich przypilnować. Ślepa nie widziałaaby niebezpieczeństwa, nie pobiegłaby do dziecinnego gasić płomieni, nie odsunęłaby garnka z kaszą z krawędzi płyty. Miałeś rację. Nie jestem jedną z tych, co to lubią biegać. Boże święty, nie jestem nawet jedną z tych, co to umieją gotować!

Ani jedną z tych matek, które oddają swoje dzieci, jak tylko spostrzegą, że nie potrafią same się nimi opiekować.

Słuchaj, powiem ci coś teraz i już nigdy więcej nie powtórzę. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że te wszystkie poronienia nie były



samoistne? Jesteś dorosłym mężczyzną, więc sam rozumiesz, że trzy poronienia w rodzinie, w której kobiety rodzą jak zajęce w lesie, to nie może być normalna rzecz.

Później, kiedy już znalazłeś i wyrzuciłeś moje leki, sama szłam na zabieg, kładłam się na stół i liczyłam do dziesięciu, jak kazał anestezjolog. Zaraz po wybudzeniu się prosiłam o szybkie wypisanie do domu. Lekarze sami mi skrobankę proponowali jako najlepsze możliwe rozwiązanie, wystarczyła delikatna aluzja z mojej strony i kamień spadał im z serca. Bo widzisz, jak kobieta była ślepa prawie od urodzenia, to znaczy, że nie można jej było karmić od dziecka lukrowanymi obrazkami świętego macierzyństwa. Owszem, próbowali dotrzeć do mnie piosenką i właśnie dlatego zaczęłam sama sobie grać taką muzykę, jakiej chciałam słuchać. Nigdy nie zaglądałam ludziom na ulicy do wózków dziecięcych. Ja pragnęłam ciebie. Bez reszty. Na wyłączność. Inaczej patrzyłbyś tylko na to swoje dziecko. Na dzieci. Po dwudziestu latach zostalibyśmy znowu sami, tylko że w tym czasie zdążylibyśmy już dawno dla siebie się zagubić.

Przestań mi walić w te drzwi. Przecież wszystko to wiedziałeś, nie chciałeś tylko o tym myśleć. Co było najpierw, twoje kopniaki czy moje skrobanki? Tego już nie pamiętam. Ale twoje razy mówiły mi, że o wszystkim wiesz. Po prostu pogodzić się z prawdą było dużo trudniej niż żyć przez lata w kłamstwie. Co niby masz na myśli, mówiąc o uczciwości? Nie ma czegoś takiego. Sprawiedliwość to kosmiczna pomyłka tego wszechświata.

A krzycz sobie, wyrzuć z siebie wszystko, przestanie ci w końcu zalegać na wątrobie. Ta nienawiść to miłość, co nie znalazła sobie nigdy domu. Ty mnie tak naprawdę wcale nie pragniesz. Nawet nie wiesz, jak teraz wyglądam. Na ulicy nieznajomi krzyczą za mną, że jestem brzydka jak noc, choć nikt ich o to nie prosi. Nie odpowiadam, bo guzik mnie to obchodzi. Oni nie wiedzą, że dla mnie brzydota i piękno po prostu nie istnieją. Ślepotą to nie ciemność, to absolutna czystość. Tak przejrzystość bywa jedynie w ten jeden dzień na przedzimiu, kiedy w powietrzu nie ma nic prócz przecucia, że za chwilę spadną pierwsze płatki śniegu.

Więc idź już do tej swojej Tainy, przy niej jesteś prawdziwym

mężczyzną i ojcem dzieciom. Nie marnuj mi więcej życia. Ani jej. Chyba zdajesz sobie sprawę, że w pokoju tego mieszkania, gdzie miał być dziecięcy, echo nadal się odbija od pustych ścian? Umeblowałam go swoimi decyzjami i lubię w nim przebywać. Nie o to w życiu chodzi, żeby być szczęśliwym.

Przestań się już mazgaić. Sam mi nieraz powtarzałeś, że łyzy kobiety to tragedia, ale jak płacze facet, to już zakrawa na farsę. Nikt tu nie ma z górki, ale nie warto patrzeć na życie jak na pasmo nieszczęść. Czegoś takiego człowiek by nie wytrzymał.

## Widziałem wiatr o siwych włosach

Tuomas w wyjściowych szortach i lepszych japonkach siedzi pięć metrów nad ziemią na dachu domku i popija piwo z puszki. Obok niego Tapio rozprawdza pędzlem smołę na arkuszu papy, bo trzeba uszczelnić ściankę komina, zimą naciekło wody do środka. Mieli to zrobić razem, ale Tapio zabrał się do pracy, ledwo dzieci dostały śniadanie. Dlatego Tuomas wszedł na dach za późno i teraz tylko siedzi na kalenicy; ostatecznie może pomóc, dotrzymując bratu towarzystwa. Słońce grzeje, jezioro lśni. Wiatr szumi w chojarach, wywiewając Tuomasowi z głowy wykresy zduszone przez pęknięcie bańki technologicznej i spadki wartości obligacji.

Najstarsze dziewczynki Minny i Maarit zepchnęły łódkę na wodę i łowią pod trzcinami okonie. U stóp drabiny przejęta czterolatka Tapia tłumaczy swojemu misiowi, że na dach nie wolno nigdy wchodzić, bo to nie jest miejsce do zabawy, a teraz to na pewno nie, bo teraz pracują tam tatuś ze stryjkiem. W płamie światła za domkiem, gdzie nie sięga wiatr, tańczą jętki. Samce płasają chwiejnie w górę i w dół, łapią zawieszono nieruchomo w powietrzu samice i kopulują. Rozmnażanie to ich jedyne zajęcie, bo jutro wszystkie będą już martwe.

Choć raz zjechali się na lotnisko wszyscy w jednym czasie, cała ich czwórka z rodzinami. W sumie szesnaście osób, a do tego jeszcze ojciec i matka. Tak się złożyło, że przyleciała nawet Helena. Dzieciaki ganiają ze śmiechem po piasku, chowają się w lesie. Każdy pokój i izba przy saunie wypełnia się ojcostwem i macierzyństwem, troskliwością, czułością i machinalnie powtarzanymi prośbami i groźbami, których nikomu nie chce się egzekwować. Nie bierz tej szyszki do ust. Daj się czasem pohańcać swojej siostrze. Idźcie się najpierw wygrzać do sauny, a dopiero potem drugi raz do jeziora. Rottweiler Tapia próbuje podporządkować sobie teriera Tuomasa i Oskariego. Nasdaq jednak nie daje się ustawiać.

Dziwnie się wszyscy czują razem, przecież to nie chrzciny ani pogrzeb, a w ostatnich latach tylko dla tych skrajności zjeżdżali się w jednym miejscu o jednym czasie. Co drugie zdanie zaczyna się od „A pamiętasz, jak raz...”, a pozostałe od „Czy za twoich czasów była już...”. „Czy za twoich czasów była już sauna na cypelku przy ujściu? W którym roku dziadek ją zbudował? A pamiętasz, jak brodziliśmy zawsze na tamtą łachę?”. Dzień przypomina do złudzenia tamte dni z minionych lat, kiedy było ciepło i nie cięły komary. Z głębin pamięci wybija strumień nazw z dzieciństwa. Wyspa z Łąką. Ostre Zakole. Drzewo Krowy. Nikt nie pamięta, by o wodzie płynącej za starym domkiem mówiło się kiedykolwiek inaczej niż „rzeczka”.

Nastolatki wydostały z drewnutni stary motorower Tapia i zdołały go nawet odpalić. Teraz Oskari jeździ z nimi w kółko po piaszczystej górcie, a w przerwach idzie z najmłodszym synem Minny zbierać na brzegu muszelki. Na tarasie przy saunie Maarit częstuje wszystkich wędzonymi siejami. Matka panikuje, że jedzenia nie starczy dla wszystkich, i postanawia na wszelki wypadek rozpalić pod letnią kuchnią. Ojciec i Helena opalają się na tarasie. Rozmawiają po cichu, o tym, że zakład najlepiej byłoby zamknąć teraz, zanim wszystko się zdigitalizuje i trzeba się będzie uczyć wszystkiego od nowa. Nikt z dzieciaków nie został, żeby przejąć zakład, wszyscy się wyuczyli innego fachu. U Heleny podobno coś wykryli, ale nie mówi co. Dorośli zauważyli, że nie trzyma moczu, wszyscy jednak zachowują taktowne milczenie.

Tuomas ogląda z dachu miejsca, w których bawił się w dzieciństwie. Przez trzciny sunie ciemnoboki szczupak. Często widać go z brzegu i pomostu, ale nie daje się złapać ani na sztywny kij, ani na wędkę z kołowrotkiem. Tapio ubabrał nogawkę w smole i klnie jak szewc. Tuomas podaje mu puszkę z piwem, którą postawił wcześniej na kominie. Tapio przysiada obok niego na kalenicy i razem pogrążają się w milczeniu, jakie jest możliwe tylko między braćmi. Jeden patrzy na jezioro i drugi wie, że brat liczy w myślach nowe domki, które wyrosły za drzewami na przeciwległym brzegu. Sam patrzy w bok i drugi zgaduje, że brat ocenia stan obumarłej sosny. Bez słowa, bez jednego spojrzenia obaj dochodzą do tego

samego wniosku: byłby już czas ją ściąć i porąbać na opał do sauny.

W dole Oskari przejeżdża na motorowerze i macha im ręką, za nim biegnie dzieciarnia za mała jeszcze na samodzielną jazdę. Z nikim innym Tuomas nie zamieszkałby pod jednym dachem, nikomu innemu nie dał wiary, że naprawdę zostaną razem, dopóki śmierć ich nie rozdzieli. Oskari zdołał go nawet odczulić na kłótnie. Kiedy zaczynali się o coś spierać i Oskari dostrzegł w oczach Tuomasa wypłoszonego zajęcia, natychmiast się opanowywał. Połykał gniewne słowa i mocno go przytulał. Gdy atmosfera trochę się poprawiała, wypuszczał go z ramion i mówił swoje, już trochę łagodniej. Jeśli Tuomas znowu reagował lękiem, Oskari ponownie brał go w ramiona.

Tuomas nigdy nie był szczęśliwy, to dla niego zbyt mocne słowo. Teraz często jest po prostu zadowolony ze swojego życia. Nauczył się, że związek to nie miejsce pracy, gdzie najlepiej być niezastąpionym i błyszczeć na tle innych. Miłości nie trzeba niczym wykupywać. Wystarczy się otworzyć i odkryć – zaufać partnerowi, że będzie grał po tej samej stronie. Tylko będąc silnym, kiedy partner jest słaby, można liczyć na wsparcie, gdy opadnie się z sił. Przyjemnie myśleć o wspólnej starości. Będą kiedyś czarującą parą starszych panów.

Tuomas często myśli o Bogu buni. Ona nigdy go o nic nie prosi, za to co chwila mu za coś dziękuje. Z Kościoła wystąpiła, bo nie czuła, żeby jej był do czegokolwiek potrzebny, tak samo jak religia. Wiary jej potrzeba. Niejasnego przecucia, że za wszystkim kryje się jednak ktoś, kto ma jakiś plan i zawsze ostatnie słowo do powiedzenia. Że nie na wszystko jednak człowiek ma wpływ. Ta świadomość jest dla buni kojąca.

Za wychodkiem kwitnie wierzbownica. Lato ma się ku końcowi. W powietrzu wyczuwa się już zmianę wilgotności, szum odległej autostrady słychać teraz wyraźniej.

## W sercu cię kołyszę

Światłówki zapalają się z cichym stęknieniem, echo próbuje je zwielokrotnić. Gdzieś w głębi pomieszczenia szumi klimatyzator. Włączył się razem z jarzeniówkami. W powietrzu unosi się słaby zapach, lecz nikt inny go nie czuje lub nie chce o nim wspominać. Prowadzi mnie Johannes, za nim idą Anna i na samym końcu Kaarina. Pytali innych, nikt nie chciał. Jest zimno, choć na dworze jest ciepło, w końcu jest juhannus.

Zamykają się drzwi za nami. Kaarina zaczyna płakać. Johannes staje i klepie mnie po dłoni, którą trzymam go za ramię.

– Jest tuż przed tobą.

Puszczam go, opuszczam rękę i znajduję. Palce trafiają na miękką tkaninę, pod którą wyczuwam coś twardego. Badam. Fałdy tkaniny biegną od brzegu do środka.

– Jaki to ma kolor? – pytam.

– Naturalnie biały – odpowiada Anna. Stanęła z drugiego boku.

Próbuję jeszcze. W rogu jest coś zimnego, metal. Nie chcę się pochylać, żeby nie trącić Johanna.

Mężczyzna, który zamknął drzwi, obszedł nas i stanął naprzeciwko.

– Czy chcieliby państwo zobaczyć? – pyta.

Z tyłu Kaarina bierze głęboki wdech, lecz nic nie mówi. Anna chwyta mnie za jedno ramię, Johannes za drugie. I tak stoimy tu raz jeszcze obok siebie, brat i dwie siostry. Zdaję sobie sprawę, że następnym razem będzie tu leżeć któreś z nas.

– Tak, moglibyśmy – odpowiada Johannes.

Kroki tamtego kierują się w prawo, ktoś drugi idzie w lewo. Nie wiedziałam, że oprócz nas jest tu ktoś jeszcze. Przez chwilę słysząc jedynie ciche poruszenia, a potem powietrze przed nami wiruje i coś się bezszelestnie unosi. Tamci dwaj odstępują parę kroków i z głuchym odgłosem kładą wieko na ziemi. Johannesowi wyrывa się zdławiony pomruk, Kaarina zaczyna głośno płakać. Anna ściska mnie

mocniej za ramię.

– Mama.

Tamci dwaj cofają się pod drzwi kostnicy.

– Mogę? – pytam, lecz nikt nie odpowiada.

Szukam prawą ręką krawędzi trumny i badam. Bark. Szyja. Broda. Puszczam krawędź i badam twarz matki. Skóra pod palcami wydaje się dziwna. Jest chłodna, ale to nie jest chłód twarzy wychłostanej wiatrem czy wyszczypanej na mrozie, bo tam gdzieś pod przemarznącą skórą czuje się zawsze jakiś zarodek ciepła. A ta jest lodowata na wskroś.

– To już nie jest matka – odzywa się Anna.

Myślę, kiedy to było.

Oczy matki są zamknięte.

– Nie ma okularów?

– Nie wolno ich wkładać do trumny – odpowiada Johannes. – Niczego nie wolno.

– A obrączki?

– Też nie.

– Zostały u nas w domu – mówi Kaarina. – Kto je chce?

– Nie miała z nich wielkiej radości. Ty je weź, Anna.

Ciągle badam. Matka ma mały nos. Zawsze mówiła, że Tuomele miały kluchowate nosy, lecz już nie pamiętam, jaki nos miała babusia. W kącikach ust ma głębokie bruzdy, tak samo pod nosem. W ogóle wygląda zupełnie inaczej, niż ją sobie wyobrażałam. Nie znam jej. Czy ja w ogóle kiedyś dotknęłam jej twarzy? Wiem mniej więcej, jakiego była wzrostu, znam dotyk jej dłoni, pamiętam jej chudy stan. Ale jak wyglądała? Próbuję wydostać z pamięci jakieś wrażenia z dotyku twarzy, lecz nic nie znajduję. Jej włosy pamiętam z dzieciństwa, były grube i sztywne, poza tym jednak przypominają mi się tylko pojedyncze szczegóły ciała. Takie, które wydawały się dziecku zaskakujące, więc specjalnie dawano mu ich dotykać. Ukąszenie końskiej muchy nad brwią. Wargę skaleczona przy upadku. Jęczmień na powiece. I tyle. Matka to dla mnie wyłącznie słowa, jedzenie prawie siłą nakładane mi na talerz i szybki uścisk na powitanie i na pożegnanie. Nieprawdopodobnie długie rozmowy

przez telefon, podczas których nie porusza się trudnych tematów.

Matka nigdy nie przedstawiała się wszystkimi imionami, chyba że chciała zrobić na kimś wrażenie. Lahja Tekla Aleksandra Löytövaara. Z domu Tuomela. Babusia miała jednak osobliwe poczucie humoru – żeby dać swojemu nieślubnemu dziecku na imię Lahja. Dar. Prezent. I jakby tego nie było dość, przypieczętować to jeszcze dwoma imionami po słynnych propagatorkach sprawy kobiecej. Hultin i Gripenberg. Mimo tych pierwowzorów matka nie pragnęła wyzwolenia dla swojej płci, lecz stawała na głowie, żeby zachowywać się tak, jak tego oczekiwano po zwyczajnej kobiecie. Najchętniej by się komuś bez szemrania poddała, gdyby tylko ktoś chciał tę jej uniżoność dostrzec. Ale w jednej kwestii matka podzielała zdanie babusi: kobieta powinna sama na siebie zarabiać i dojść do czegoś bez pomocy mężczyzn.

Matka chciała mieć takie samo życie jak inne kobiety, lecz nie było jej to dane. Żyła długo i jej długie życie nie sprawiało nikomu radości. Ja nie chciałabym żyć tak długo. W wieku matki będę na pewno szczającą pod siebie wariatką.

– Co cię tak śmieszy? – syczy Anna.

– Nic.

Moje palce odczytują pismo zimnej skóry. Od dzieciństwa znały na pamięć twarz ojca, jego szeroki podbródek, głębokie zakola na skroniach, pieprzyk po lewej stronie pod szczęką, zmarszczki w kącikach oczu i wgłębienie po okularach na nosie. A matki czytać nie umieją. Gdybym była tu sama, drugą ręką badałabym swoją twarz i spróbowałabym ustalić, w kogo wdałam się bardziej – w ojca czy matkę. Usta ojca, to pamiętam, że mi Johannes powiedział. Czy po matce miałabym nos?

– Nie jest bardzo pomarszczona.

– Nie – przyznaje Anna i po jej głosie słyszę, że jest zła.

Nie umiem się zachować nawet w obliczu śmierci. Żadnych świętości.

Przez drzwi słysząc, jak na parking zajeżdżają samochody. Johannes okrąża mnie i staje po drugiej stronie, dotyka trumny, a może dłoni matki.



– Co ty robisz? – pyta Kaarina. Głos ma mętny od powstrzymanego szlochu.

– Daję matce fotografię.

– Którą?

– Tę z całą rodziną przy Wigilii. Jest ojciec i nawet babusia.

– W starym domu? – pyta Anna.

– Nie, już w nowym. W ostatnim roku.

Johannes nie kończy zdania, lecz każde z nas wie, jak by brzmiało dalej. W ostatnim roku, kiedy byliśmy jeszcze wszyscy razem. Potem ja zostałam wysłana z domu na południe, ojciec zachorował na pragnienie śmierci, babusia zażarła się na śmierć, a matka stała się zgorzkniała. Anna zaraz wyszła za mąż, żeby jak najszybciej uciec z domu, a Johannes przestał mówić i tylko zapisywał wszystko w pamięci jak na taśmie. Czy ciągle musi brać tabletki na sen? Śmiech łaskocze przeponę. Ta rodzina nawet na talię kart się nie nadaje, same Czarne Piotrusie. Dlatego zawsze się dziwię, jak Kaarina zdołała wychować takie zdrowe dzieci. Pewnie jako postronny obserwator robiła wszystko dokładnie odwrotnie niż teściowa. Jej dzieci wyrosły już w innej ziemi.

Odrywam palce od twarzy, choć wcale tego nie chcę. Już nigdy nie zobaczę matki. Tęsknię już tylko do tamtego czasu, kiedy nie wiedziałam jeszcze nic o życiu. Johannes siąka, Anna buczy. Jej łyzy układają się w słowa psalmu. Dlaczego mnie oczy nie wilgotnieją? Nie płakałam po ojcu wtedy, a teraz nie płaczę po matce. Wiem, że w kościele żal ściśnie mi gardło, ale to będą takie łyzy, co płyną z obowiązku. Chciałabym właśnie w tej chwili poczuć jakąś stosowną emocję. Ktoś puka, otwierają się drzwi. W nogach czuję ciepły prąd powietrza. Johannes chyba się odwrócił.

– Mieliśmy tu przyjść? – pyta ojca Tapio, za jego plecami ktoś jeszcze rozmawia. Bliźniaki Anny? Nie pytałam nawet, kto będzie niósł trumnę.

– Proszę jeszcze chwileczkę zaczekać – odpowiada pracownik zakładu i drzwi się zamykają.

Kaarina wydmuchuje nos.

– Czy potrzebują państwo jeszcze trochę czasu? – pyta tamten spod

drzwi.

– Nie, już chyba nie – odpowiada Anna.

Mężczyźni podchodzą, stają po drugiej stronie trumny.

– Zaczekaj – mówię i kroki zamierają. Obracam się do Kaariny.

– Ty nie musisz stać tak z tyłu – mówię do niej. – Chodź do mnie.

Johannes robi miejsce i Kaarina wchodzi między nas. Znowu płacze, chociaż przed chwilą już się uspokajała.

Matka nie cierpiała Kaariny, bo widziała, że synowa dostała od życia to wszystko, czego ona sama chciała, a nigdy nie miała. Męża, którym nie trzeba dzielić się z nikim. Zdrowe dzieci. Śmiech. Czy Kaarina zdaje sobie sprawę, że teraz to ona zasiądzie na matriarchalnym tronie tej rodziny? Anna tej godności nie pragnie, a ja się nie nadaję. Ci wszyscy ludzie tam na zewnątrz potrzebują osoby, która będzie ich łączyć. Wszyscy musimy mieć kogoś lepszego od nas, żeby się z nim porównywać, szukać u niego akceptacji, nawet odpuszczenia win. Tej roli się nie wybiera, to ona wybiera człowieka, nie pytając go o zdanie ani zgodę. Nie mam wątpliwości, że matka naszą rodzinę scementowała, choć bynajmniej nie miłością. Potrafiła być tą osobą, której wspólnie się unika i wspólnie rzuca złowrogie spojrzenia. Kaarina będzie tą, do której pędzi się prosto z porodówki. Której sadza się na kolanach nowych członków rodu do wspólnego zdjęcia. Tylko babusią już jej nikt nazywać nie będzie, już sama sobie imię wybrała, bo mówi o sobie „bunia”.

Kaarina chyba się pochyla. Poklepie teściową, włoży do trumny kwiat albo jakieś inne zdjęcie?

– No to żegnajcie – mówi.

Dobrze się matką zajmowała. Może sobie Anna mówić, co jej się podoba.

## Możesz wziąć mnie za rękę

Ostatnie numerki w kolejce zmieniają się długo. Sto pięćdziesiąt sześć, okienko trzecie. Tuomas wpatruje się w żółto-szare ściany urzędu skarbowego. Farby o tym odcieniu wolno sprzedawać chyba tylko podstawówkom i urzędowi administracji państwowej.

Wreszcie przychodzi kolejka Tuomasa. Jego pytanie jest tak niespotykane i dziwne, że urzędnik nie potrafi odpowiedzieć, kieruje go więc na trzecie piętro. Tam trzeba najpierw ustawić się w kolejce w holu i przedstawić sprawę w punkcie informacyjnym, skąd posyłają petenta do właściwego pokoju. Mam nadzieję, że panu pomogłem. Dziękuję i do widzenia. Jeśli chce pan wyrazić opinię o naszych usługach, proszę przed wyjściem nacisnąć zielony, żółty albo czerwony przycisk z emotikonem na urządzeniu znajdującym się przy drzwiach.

Tuomas oświadczył się Oskariemu latem, na weselu znajomych. Myśl przyszła mu do głowy zupełnie nieoczekiwanie przy bufecie – Oskari wyławiał właśnie kotlet z sosu śmietanowego, a on nakładał sobie na talerz sałatkę z buraków.

– Może powinniśmy się pobrać? – rzucił od niechcienia.

– Powinniśmy.

Łyżki do sałatek znieruchomiały i po białym obrusie potoczyła się kostka buraka, kreśląc na nim czerwony ślad.

– Czy to były oświadczyny? – spytał Tuomas.

Oczy Oskariego śmiały się do niego.

– Miałem ci zadać to samo pytanie.

Tuomas wyjaśnia sprawę cierpliwie najpierw na parterze, potem na piętrze, w wydziale podatków od osób fizycznych, i na koniec tłumaczy wszystko jeszcze urzędnicze w okularach i żółtawej tunice.

– Jeśli kupiliśmy wspólnie mieszkanie w kamienicy, to dlaczego

w obu propozycjach podatkowych, które nam przysłaliście, oznaczono je jako „wspólną nieruchomościową Löytövaara i Pirkkala”?

Kobieta w tunice ściąga okulary, zwiesza je na mosiężnym łańcuszku i tłumaczy mu jak dziecku:

– Kiedy dwie osoby niebędące w związku małżeńskim kupują w Finlandii nieruchomość, to w świetle prawa skarbowego automatycznie tworzą wspólną nieruchomościową. Czyli jeśli bracia czy dajmy na to koledzy kupią razem coś fajnego, to mają wspólną nieruchomościową.

Kobieta nie powiedziała Tuomasowi niczego nowego, to już wie od urzędnika, który siedzi na parterze. To samo można przeczytać w przesłanych im dokumentach i na stronach w internecie. To jednak nie jest sedno jego pytania.

– Nie jesteśmy braćmi. Czy ta wspólnota nieruchomościowa zniknie z waszej bazy automatycznie, czy muszę to zgłosić u was osobiście?

Urzędniczka prosi go o podanie numeru identyfikacyjnego i wstukuje go do komputera. Zerka na monitor.

– Jak to: „zniknie”?

Kobieta zakłada z powrotem okulary na nos i patrzy na Tuomasa z zaciekawieniem jak na foczkę pozostawioną przez rodziców na skraju przerębla. Raz jeszcze zerka na dane z rejestru i wybucha dźwięcznym śmiechem. Wstaje.

– Sprawa wygląda tak. Żeby ta wspólnota, to musielibyście być z panem... – Kobieta wypatruje na monitorze stosownego wiersza i po chwili kończy: – Musielibyście być z panem Oskarim Pirkkalą w związku małżeńskim!

Śmiech niesie się po całym wydziale, zachęcając kilka osób do uniesienia głowy nad swoją przegrodę. Tuomas kiwa głową do najbliższej ciekawskiej, potem patrzy znowu na urzędniczkę. Nie jest jej gorąco w takim ubraniu?

– Tylko że my właśnie jesteśmy w związku małżeńskim.

Kobieta śmieje się jeszcze głośniej. Z wydziałowej kuchenki wychodzi mężczyzna w bezrękawniku, przystaje i słucha. Śmieje się trochę z przymusu, w końcu wydziałowa samica alfa daje wyraźny sygnał.

– Ale przecież ten Oskari Pirkkala to... – zaczyna urzędniczka i szuka jeszcze potwierdzenia na monitorze komputera. – To mężczyzna!

Tuomasowi cała ta sytuacja wydaje się żywcem wyjęta ze zbioru zwariowanych historyjek, które wymyślają czasem z Heleną. Urzędniczka jest tak zapatrzona w swoją skarbową bazę danych jak on we wskaźniki P/E i wartości mcap. Nie ma sensu jej tłumaczyć, jak piękny mieli ślub, bo w tym gmachu ludzie są wyłącznie numerami identyfikacyjnymi w generowanych przez system tabelkach. Czy sam Tuomas rozumie, że światowe katastrofy to wcale nie wstrząsające kursami akcji konflikty złamanych długopisów i kartoników papieru fotograficznego, tylko ludzkie nieszczęścia, które dotyczą konkretnego człowieka? Kiedy w ubiegłym roku w Ameryce drugi samolot uderzał w ścianę drapacza chmur, maklerzy przy desku gadali tylko o spadku koniunktury, próbując zgadywać, jak zamachy odbiją się na akcjach. Nikt słowem nie wspomniał o skaczących z płonącego budynku ludziach, którzy spadali w czarną przepaść jak kreślone przez monitory krzywe. Oskari często wspominał los tamtych ludzi.

Urzędniczka patrzy na niego z przekrzywioną głową i czeka. Tuomas formułuje w myślach odpowiedzi, takie jak „chyba nie”, „a, to dlatego zawsze chciał gasić światło!” albo „a matka zawsze ostrzegła: unikaj niezdecydowanych”. Wreszcie pociąga nosem i patrzy na kobietę z poważną miną.

– To prawda. Nieraz widziałem jego jaja.

Ślub planowali przez całą zimę razem z Sini. Nie chcieli nikogo pominąć i lista gości rozrosła się do ponad dwustu osób. Takiego tłumu nie pomieściłaby żadna sala, uznali więc, że z rodziny zaproszą tylko kuzynostwo, dalszych krewnych sobie darują. Listy do Jarkka już nie dochodziły. Zaprojektowali piękne zaproszenie, którego najważniejsze zdanie, co do tego byli jednomyślni, brzmiało tak: „Ponieważ na imprezie nie będzie panny młodej, nie ma sensu organizować jej porwania. Nie warto też wymyślać żenujących prób dla młodej pary ani zmuszać jej do śpiewów i wygłupów. Nie

jesteśmy w nastroju do żartów”.

– Zmieniłeś się – powiedziała mu Sini na wieczorze kawalerskim. – Zmizerniałeś.

Twarz urzędniczki stężała. Uśmiech nie zniknął, tylko zamarł na jej ustach. Kobieta wygląda teraz jak naturszczyk w reklamie udający swoje zdjęcie zatrzymane w kadrze. Powoli do niej dociera, że popełniła błąd. Uśmiech przekształca się w minę odpowiedzialnej urzędniczki obsługującej klienta, brwi opadają do położenia wyjściowego. Kobieta odchrząkuje, szybko zerka jeszcze raz w monitor, lecz nie znajduje w nim wsparcia. Klika myszką, kursor zaczyna migać w innej tabelce. Tłumaczy uprzejmie:

- U nas mówi się na to „zarejestrowane związki partnerskie”.
- Rejestrować to można samochody. Albo psy rasowe.

Sini robi za druha pana młodego. Znalazła dobrą firmę cateringową, załatwiła porządny zespół i potrafiła wziąć pod uwagę takie rzeczy, które im by nawet do głowy nie przyszły. Z dwóch zwykłych ozdób zrobiła parę dwóch panów młodych na tort weselny. Spod ich stóp spływały ozdobne tasiemki w kolorach tęczy. Powiedziała, że oderwane panie młode sobie zachowała. Kto wie, może zorganizuje kiedyś jeszcze lesbijski ślub.

Pod koniec lata rok po oświadczeniach stu pięćdziesięciu spoconych gości zebrało się w parnych murach starej fabryki lin i sznurów. Pod sufitem podwieszono barwne latarnie, na stołach leżały wiązanki zrobione z kawałków węży strażackich i kartek z drukarek igłowych. Siostra Oskariego otwierała okna, robiła przeciągi w nagrzanym budynku. Oni siedzieli we dwójkę przy własnym stole pod zardzewiałym wciągnikiem przy wysokiej ceglanej ścianie i już teraz wspominali, jak przy słowach „chcę” obie matki się rozpląkały, a ojcowie przeżykali ślinę.

– Nigdy bym nie dał wiary, że weselisko może się obejść bez panny młodej – powiedział dziadek Tuomasa, ściskając rękę Oskariego. – Ale i takie ślicznie się kręci.

Całą poweselną imprezę Sini przepłakała. Kajał spływał jej po policzkach ze łzami. Bo wszyscy cudowni ludzie znajdują sobie kogoś na zawsze, a jej to się nigdy nie uda.

– Wiadomo, bez miłości też się da przez życie przejść. Ale najgorzej jest uświadomić sobie, że nikt za tobą nie tęskni. Możesz się z dnia na dzień wynieść do innego miasta i nikt tego nawet nie zauważy, wszystkim to zwisa jak kilo kitu.

Prawie każdy z gości weselnych podszedł do Sini, żeby ją wyściskać, nawet ojciec Oskariego. Tłumaczył jej cicho, że w końcu każdy znajduje sobie kogoś wyjątkowego i ważnego. Sini jakby mu trochę uwierzyła.

Urzędniczka siada, zaczyna jeździć myszką po ekranie, co chwila klika to tu, to tam. Mężczyzna, który wyszedł z kuchenki, ciągle się im przygląda. Urzędniczka zauważa to i robi zaskoczoną minę.

– No ale proszę, rzeczywiście jest adnotacja. Musiała się pojawić jakoś niedawno.

Tuomasowi robi się żal kobiety. Trzeba jej przyznać, że chociaż się stara.

– Ale wróćmy może do tej mojej sprawy – mówi.

Kobieta patrzy na niego z wyraźną ulgą.

– Ależ oczywiście. Ta wspólnota nieruchomościowa natychmiast zniknie z bazy. Dołączę tu jeszcze adnotację, żeby tego dopilnowali.

– Serdeczne dzięki.

Mężczyzna w bezrękawniku idzie do swojego boksu, lecz wygląda stamtąd jeszcze znad przegrody. Tuomas żegna się z urzędniczką i idzie w stronę holu. Kobieta wstaje.

– Gratulacje z okazji zarejestrowania związku! – krzyczy za nim, jakby chciała pokazać, że wiele potrafi zrozumieć.

## Kroki, czyjeś kroki

Oddychanie. Nie wiem, czy spałam chwilę, czy godzinę. Może w ogóle nie spałam, tylko leżałam na granicy snu i jawy, gotowa w każdej chwili obudzić się lub zasnąć. Przez sen słyszałam obcy oddech. Leżę w łóżku i jest mi gorąco. Kołdra mnie dusi, nogi mam odkryte, wystawiłam je na chłód. Znów. Wdech. Wydech.

Nie powinno tu nikogo być oprócz mnie, lecz wyraźnie słyszałam, jak ktoś cicho wciąga powietrze przez nos i potem je wydycha. Spokojnie, jak osoba w stanie odprężenia. Unoszę się na łokciach i nadstawiam uszu, lecz szelest pościeli i ruch sprężyn łóżka ostrzegły go. Teraz już wie, że się obudziłam.

Wstrzymuję oddech i nasłuchuję, czy po pokoju ktoś chodzi. Kari od lat nie przychodzi pod moje drzwi, zamki kazałam wymienić, a zapasowe klucze mają tylko Johannes i opiekunka, która przychodzi mi pomagać. Czy ktoś się tam teraz nie poruszył? Odsuwam kołdrę na bok, chwytam się krawędzi łóżka i wystawiam nogi na zewnątrz. Jedna stopa trafia na dywan, druga na podłogę. Czuję jej zimny dotyk. Sprężyny materaca trzeszczą, uwolnione od ciężaru ciała. Nie wiem, czy utrzymam się na nogach.

Koszula nocna cała przeupocona. Wilgotny materiał przykleił mi się do tułowia. Ściągam koszulę przez głowę i idę do drzwi dużego pokoju, opieram się o nie. Kości paluchów strzelają przy każdym kroku. Staję. Mam wrażenie, jakby mi się ktoś przyglądał. Stoi bez ruchu pod drzwiami kuchni, wstrzymał oddech i gapi się na mnie. Włącza się z hurgotem kompresor lodówki.

– Kto tu jest? – szepczę w ciszę, lecz nikt nie odpowiada.

Robię kilka kroków na środek pokoju i przekręcam głowę lewym uchem w stronę kuchni. Lepiej nim słyszę. Znowu ten oddech, teraz szybszy, bardziej zaspany. Nie orientuję się, skąd dobiega. Nie chcę ruszać się z miejsca, więc zaciskam powieki i wyjęzgam słuch do granic możliwości. Próbuję przesłyszeć ciszę, zarejestrować w niej



ruch, czyjaś obecność. Wyróżniam tylko stłumione odgłosy kamienicy, szumy w wywietrznikach i kaloryferach. Z ulicy dobiega stukot butów.

Podchodzę do drzwi kuchni. W całym ciele czuję ogień, który wypala ostatnie relikty płodności. Trzymam się futryny, wstrzymuję oddech i wystawiam ucho na zmianę to na duży pokój, to na kuchnię. U góry ktoś spłukuje toaletę i kiedy puszcza dźwignię, rura głośno stęka. Z pokoju dobiega mnie cichy pomruk głośników. Wieża, gotowa w każdej chwili odtworzyć nagrane wcześniej dźwięki. Moje płuca domagają się tlenu, lecz jeszcze nie oddycham. Chcę zaczekać, aż ten ktoś podda się pierwszy, pierwszy weźmie wdech i tym zdradzi mi swoje położenie. W końcu moje ciało wycofuje się z rywalizacji i łapczywie łykam powietrze. Słyszę tylko siebie.

W kuchni nie ma nikogo. Idę do przedpokoju, stoję przy stoliku z telefonem. Przez okienko w drzwiach sączy się rześkie, chłodne powietrze. Na dole szczeka zamek drzwi do bramy, lecz klatką schodową nikt nie idzie. Winda milczy. Ktoś wyszedł.

Znowu to słyszę. Cichy, słaby odgłos, jak szybki wdech, sapnięcie. Odwracam się na pięcie i próbuję ustalić, skąd dobiegał. Idę na lewo w stronę pustego pokoju. Jak to jest, że własne mieszkanie może się nagle wydać człowiekowi obce? Znam je jak własną kieszeń, znam na pamięć lokalizację każdego mebla i wiem, co się znajduje na którym parapecie i na której półce, a mimo to brnę teraz przez zupełnie obcą mi przestrzeń.

W łazience wywietrznik pod sufitem zasysa powietrze, poza tym jest cicho. Drzwi do tej pory się nie domykają. Idę dalej korytarzem do pokoju, w którym Kari przyjmował klientów. Coś mi przeskakuje w kolanie. Otwieram drzwi i nadstawiam ucha. Do korytarza wpływa z pokoju chłodne powietrze. Czuję je na piersiach, gdzie skóra jest najcieńsza. Kiedy był tu ostatnio Johannes, zakreślił kaloryfer. Nie idę dalej, tam nie ma dla mnie nic.

Johannes obudził się chyba o tej samej porze? Czy w ogóle zasnął? Może słucha sennego oddechu Kaariny i dziwi się, jak pusty jest teraz ich dom po wyprowadzce dzieci i śmierci matki. Idę do telefonu. Podnoszę słuchawkę, przyciskam ją barkiem do ucha, palcem prawej

ręki wybieram numer, czekam. To zawsze długo trwa, lecz ja mam czas. W końcu ktoś odbiera.

– Johannes Löytövaara.

Łączą przenoszą imię brata z północy na południe, słyszę w słuchawce cichy poszum linii. Johannes powtarza imię.

– Jest tam kto? – pyta.

Nie odpowiadam. Odkładam słuchawkę na aparat, gaszę to jego „halo” i „halo”. Już on wie, kto do niego dzwonił. Wraca do swojej zaspanej Kaariny i przewracając oczami, opowiada, co się stało. Kaarina na pewno się zaniepokoi i zaraz pobiegnie, żeby do mnie oddzwonić. Wyciągam wtyczkę telefonu z gniazdka.

Wracam do dużego pokoju. Pośrodku jeszcze przystaję. Wilgotne ciało dygocze. Wiatr napiera na okno. Szyby stękają cicho. Idę dalej do sypialni. Pada deszcz, na metalową poręcz balkonu kapie woda. Na ulicy ktoś kaszle.

Wracam do łóżka, przykrywam się. Pod kołdrą zachowało się jeszcze trochę ciepła mojego ciała. Zaprasza mnie i kusi, lecz nie jestem jeszcze gotowa. Serce mi wali, w żyłach buzuje niepokój, oddech mam przyspieszony. Próbuję uspokoić ciało, ono jednak nie daje mi tego zrobić. Drzę. Chłód pali śluzówkę w nosie.

Przyciskam oczy dłonią, wciągam głęboko powietrze przez nos. Odgłos odbija się echem od drzwi szaf w sypialni. Już wiem. Słyszałam samą siebie.

W szczytach płuc pulsuje śmiech. Pęcznieje, wyrywa się na świat. Rechoczę na całe gardło, w którym gotuje się smoła z tych wszystkich papierosów, jakie wypaliłam przez dziesiątki lat. *Die Partisanen*.

Wszystko w porządku, Kaarino. Nie martw się o mnie. Życie czasem takie jest.

## Nadzieja na pogodę

– Jeszcze tam.

Oskari podąży wzrokiem za palcem Tuomasa. Unosi brzeg poprzedniego brytu i wklepuje pod spód trochę kleju, potem smaruje ścianę pod kolejny. Tuomas wchodzi na szcękającą drabinę i niepewnie przykłada tapetę do ściany obiema rękami. Oskari chwytą za dolną krawędź i naciąga bryt. Na ścianie wyrastają kolejne brązowe pnie z zielonymi i czerwonymi budkami dla ptaków. W uchylonych drzwiach pojawia się mordka Nasdaq.

– Już za chwilę idziemy na dwór – uspokaja go Tuomas.

Terier patrzy na świeżo wyrosły las, po czym odwraca się i schodzi na parter do swojego kosza. Słyszc drapanie pazurów o stopnie.

Niedługo skończą remontować dom. Okazało się, że jest w lepszym stanie, niż ktokolwiek się spodziewał. W ogłoszeniu właściciele ostrzegali, że fundamenty trochę opadły, najprawdopodobniej przez płynący niedaleko domu strumień. To wystarczyło, żeby odstraszyć większość potencjalnych klientów – ale nie ich. Na ostatnie oględziny wzięli ze sobą Paava, który zbadał konstrukcję, wczołgał się pod podłogę i przez drzwiczki rewizyjne wszedł na czworakach pod dach. Przeanalizował raporty inspekcji budowlanej i kazał Oskariemu poprosić w urzędzie geodezyjnym o wyniki badań geologicznych. W końcu wydał werdykt.

– Wszystko jest w porządku. Dom trochę osiadł, to prawda, ale najpóźniej gdzieś w latach pięćdziesiątych. Więcej fundamenty nie siadają.

Ponieważ okolica była piękna, podwórze duże, a niedaleko było centrum handlowe i droga ekspresowa, którą Oskari dojeżdżałby prosto do remizy, złożyli ofertę. W stosunku do tego, co chcieli właściciele, ich propozycja była bezwstydnie niska, ale też sądzili, że to dopiero początek dialogu ze sprzedawcami, starszym już małżeństwem, i w toku negocjacji ustalą rzeczywistą wartość posesji.

Dlatego byli bardzo zaskoczeni, gdy zaraz następnego dnia rano zadzwonił do nich pośrednik z informacją, że właściciele zgodzili się na zaproponowaną sumę. Innych chętnych na osiadający dom nie było. Tuomas i Oskari musieli więc szybko wystawić na sprzedaż swoje mieszkanie w kamienicy.

Tuomas wygładza tapetę na ścianie plastikową szpachelką, którą podał mu Oskari. Pod śpiewającym kosem została gruda kleju, ale udaje mu się wycisnąć ją spod tapety. Wygląda to tak, jak gdyby siedzący na krawędzi papieru ptak dostał nudności. Oskari przeciera cały bryt wilgotną szmatką, żeby nie zostały plamy po kleju. Zdarli ze ścian wszystko do gołych belek. Ilkka zrobił plan remontu i sporządził rysunki dla nadzoru budowlanego. Wykładziny zostały zerwane, stare wióry usunięte, a wata szklana zastąpiona izolacją z włókien lnianych. Farby są paroprzepuszczalne, tak samo jak kleje i tapety. Cały dom musi oddychać lekko jak astmatyk w grocie solnej. Do wykończenia zostały już tylko ten pokój i sypialnia po stronie Sini, poza tym jeszcze za kilkoma umywalkami brakuje płytek. Ojciec Sini obiecał, że przyjedzie do nich specjalnie z północy i im wytapetuje, ale powiedzieli mu, że zrobią wszystko przy okazji, jak będą urządzić pokój dla dziecka. Sami mają tu na piętrze gotowe już dwie sypialnie i mały kącik do pracy, na dole salon z otwartą kuchnią. Z dziecięcego można przejść zarówno na ich stronę, jak i na stronę Sini. W piwnicy będzie wspólna sauna i pokój z kominkiem. Przy podpisywaniu umowy Oskari nie zgodził się, żeby Tuomas obciążył hipotekę kredytem pracowniczym, mimo że pożyczkę ulokowaliby tylko w funduszach hedgingowych.

Oskari schodzi na parter. Tuomas smaruje klejem kolejny bryt i zagina go, żeby nasiąknął. Wchodzi na drabinę i mierzy długość następnego. Oskari wraca z dwiema puszkami piwa. Jedną podaje Tuomasowi, drugą otwiera. Tuomas siada na podeście i patrzy przez okno na meandrujący skrajem działki strumień. Woda jest mętna od gliny. Trzeba by tam postawić jakiś płot, przynajmniej na jakiś czas.

Kiedy ojciec zobaczył dom pierwszy raz, twarz mu spoważniała. Nie patrzył głębiej, jego spojrzenie ślizgało się po tapetach w medaliony i żółtych szafkach kuchennych; już oceniał w myślach,

ile pracy będzie ich kosztować zerwanie wykładziny z sieni i połączenie dwóch pokoi na piętrze w jeden duży. Do tej pory po cichu liczył na to, że chociaż jedno z dzieci wróci do nich na północ. Matce spodobały się pokręcone jabłunki przy domu i rezerwat dębów na wzniesieniu po drugiej stronie drogi.

– Pięknie tu będziecie mieli. Tyle tu światła.

Zachwycała się wszystkim. Schody były piękne, nurt w strumieniu ani za szybki, ani za wolny. I syn zrobił na niej wrażenie, bo naostrzył szpadel gumówką, tylko iskry leciały.

– Jak ty to potrafisz!

Tuomas sam czuje się nagle tak, jakby był kimś zupełnie innym. Rzeczywiście, ten facet w poszarpanych dżinsach i brudnej koszuli, który nauczył się obsługiwać pilarkę i gwoździarkę, to ten sam chłopak, który kiedyś znał wszystkie modne drinki i wszystkie hity Eurowizji. Ten sam, który w wieku dojrzewania tak bardzo starał się odróżnić od innych. Kiedy oni dostawali fioła na punkcie metalu, zapuszczali pióra do pasa i śpiewali z Kissami *Lick it up*, on słuchał brytyjskiego technopopu. Dlaczego wmówił sobie kiedyś, że nigdy nie zrozumie silników spalinowych ani instalacji elektrycznych, i tak nie znosił gier zespołowych i sportu w ogóle? Z jakiegoś powodu poprzysiął sobie, że nigdy się nie nauczy porządnie rzucać piłki, tylko uderzać od dołu? A teraz podłącza włączniki, wymienia spalone szczotki w wyrzynarce i w każdą środę gra w unihokeja z kolegami z pracy. Na teście Coopera wybiegał z chłopakami z desku 3210 metrów.

Może próbował opowiadać o sobie historię, która nie była prawdziwa. Przecież w szkole wybrał z przedmiotów dodatkowych prace z drewna, a jako nastolatek zbudował nowe schody do sauny na letnisku i naprawiał motorower Tapia. Wszystkie te umiejętności drzemały w nim uśpione przez cały ten czas, kiedy usiłował być kimś innym. I w końcu spotkał Oskarię – który nie szukał ani mamy, ani taty, który zjawiał się w jego życiu, niczego nie oczekując, jak modraszka zaglądnąca na wiosnę przez okno. Obaj przeszli metamorfozę. I czuli się z tym dobrze. Jak długą drogę musiał Tuomas przebyć, żeby odnaleźć w sobie człowieka, którym zawsze

był?

Na samym początku musieli podzielić się obowiązkami domowymi. Tuomas gotował i prał, Oskari zmywał i odkurzał. Na urodziny poprosił o maszynę do szycia, bo tak czy owak któryś z nich musiał się nauczyć skracać nogawki i zszywać rozdarte kombinezony. Śmiali się, wspominając zajęcia praktyczne w podstawówce: kiedy dziewczynki uczy się robić na drutach, a chłopców wykuwać na kowadłe chochlę do sauny, u nich każdy umie toczyć, a nikt nie potrafi przyszyć guzika. Zastanawiali się też nad zakupem magła, bo już sama nazwa brzmi elektryzująco.

Tuomas ogląda pokój. Brakuje jeszcze listew, ale z nimi tak zawsze. Maarit już cztery lata jakoś się bez nich obywa w swoim nowym domu. Oskari wciska palec przez dziurę na kolanie dżinsów Tuomasa, unosi brwi i robi kwaśną minę.

– Ciebie to lepiej karmić niż ubierać.

Tuomas pokazuje mu język.

– Ktoś w tym domu musi pracować.

Schodzi z drabiny, stawia pustą puszkę na stole do tapetowania i chwyta złożony bryt.

– Kto nie robi, ten nie je.

Do terminu rozwiązania zostały już tylko cztery miesiące. A ze wszystkim trzeba zdążyć, bo potem już nie będzie na nic czasu. No i jeszcze przenosiny. Sini mówiła, że już wypowiedziała umowę na mieszkanie i musi się wynieść do końca następnego miesiąca, że spakowała już część rzeczy, ale nie chce przywozić jeszcze pudeł, żeby się nie kurzyły. Tuomas manewruje brytem, przesuwając go dwa milimetry w górę, potem trzy w dół. Zostawia minimalną zakładkę, bo po wyschnięciu zawsze trochę się skurczy.

Nikomu nie powiedzieli, który z nich jest ojcem. Wie to tylko ich trójka, taki był warunek Sini.

To zresztą był jej pomysł. Powiedziała im, że chce mieć dziecko. Że jej zegar biologiczny z każdym dniem tyka coraz głośniejsze, a porządni faceci są albo zajęci, albo okazują się gejami. Czasem jedno i drugie.

Tuomas i Oskari rozmawiali czasem o dziecku, zwłaszcza kiedy

gościli z wizytą u rodzeństwa, uważali jednak, że podobne marzenia są nieziszczalne. Podczas podróży poślubnej do Kambodży siedzieli na stopniach ruin świątyni Pre Rup i patrzyli, jak grupka małych obdartusów próbuje wyżebrać u turystów kilka dolarów. Za większymi dziećmi biegały bose maluchy, które nie umiały jeszcze mówić. Tuomas pokazał na małą, uczącą się dopiero chodzić dziewczynkę w niebieskiej sukience.

– Wyobraź sobie, że mielibyśmy takiego berbecia.

Dziwili się, że uzależniona od alkoholu i narkotyków degeneratka może urodzić dziecko choćby w namiocie i że petersburskie sieroty muszą chronić się przed mrozem w kanałach, a ich dwóch prawo z góry uznaje za złych rodziców.

Mimo to poprosili Sini o czas do namysłu. Czy nie będzie im trudno wyrzec się dotychczasowej swobody, nieplanowanych podróży pod wpływem impulsu? Nie, przecież w zasadzie przestali już wyjeżdżać i w ogóle wychodzić z domu. Epokę przesiadywania w barach mieli za sobą, najciekawsze miasta Europy zdążyli już zobaczyć. W końcu się więc zgodzili. Żaden z nich nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego chce mieć dziecko. Czy musi być jakiś powód?

Nocami rozmawiali o możliwych scenariuszach nowego życia. Fajnie byłoby, żeby dzieciak od małego przyzwyczajał się do lasu. Wieczorami trzeba mu zawsze czytać bajkę, tak jak ojciec czytał mnie. Byłoby cudownie, żeby się nauczyło, że zawsze sobie poradzi, wystarczy tylko chcieć. Jeśli to będzie chłopiec, żeby mógł wyrosnąć na takiego mężczyznę, jakim będzie chciał być. A jeżeli dziewczynka, to żeby mogła na progu dorosłości wybrać sobie taką drogę życiową, jaką sobie upatrzy. Nie będzie dla niej żadnych zamkniętych drzwi. Trzeba tylko naprawdę chcieć samemu przez nie przejść. Nie może być tak, że ktoś inny wybiera, które drzwi jej czy jemu zawczasu otworzyć.

Pierwszy trymestr ciąży Sini upłynął Tuomasowi w wiecznym strachu. A co będzie, jak coś się stanie? Jak Sini się przewróci albo uderzy i poroni? Albo się okaże, że płód jest zdeformowany? Oglądał na forach zdjęcia z różnych etapów ciąży, googlował kolejne zagrożenia, znajdując nowe powody do lęku. Może trzeba Sini kupić

kwas foliowy? Chyba przestała już w końcu jeść ten biały ser?

Ostatecznie wszystko zostało przegadane i ustalone. Ciąża przebiegała dobrze i krytyczne tygodnie minęły bez komplikacji. Sini prawie nie miała mdłości i sprawiała wrażenie, że cieszy się na pierwsze dziecko. Nie potrzebowali żadnych pisemnych umów, zresztą podobno i tak nie miałyby mocy prawnej. Ustalili, że Sini przeniesie się do nich: wynajmie połówkę domu, a później przekształci się dom w spółkę i z czasem Sini wykupi swoją część od Tuomasa i Oskarię. Po narodzinach potwierdzi się ojcostwo jednego, a drugi wystąpi w magistracie o opiekuństwo zastępcze. Niedługo pod osłoną malowanych drzew na ścianach pokoju będzie posapywać mała istotka, a gdy nauczy się chodzić, będzie mogła iść, do kogo zechce. Za jednymi drzwiami będą dwaj tatusie, a za drugimi mama. Wszyscy gotowi obdarzać dziecko miłością, zapewniać mu poczucie bezpieczeństwa.

Tuomas schodzi z drabiny i wpuszcza na nią Oskarię. Kiedy się mijają, mąż macha mu szmatką przed nosem i śmieje się.

– Ale to ty przetniesz pępowinę. Bez gadania.



## Ta pieśń to awanturka

– Przytrzymaj drzwi!

Od wejścia biegnie w stronę windy kobieta w średnim wieku. Tuomas zasłania fotokomórkę.

– Dziękuję.

– Które piętro?

– Drugie.

– To wysiadamy razem.

Winda jest tak ciasna, że z trudem mieści dwie osoby. Wózkiem dziecięcym nawet nie warto próbować się do niej pchać.

Na piętrze Tuomas wyciąga z kieszeni klucze z kieszonki torby. Kobieta idzie w swoją stronę, śledzi go jednak wzrokiem. Tuomas staje przed drzwiami mieszkania. Na klapce okienka pocztowego widnieje ułożony z białych literek napis „Syrjänen”.

– Powiedzieć tej tam, że mogłaby czasem u siebie wywietrzyć – prycha kobieta. – Cuchnie ścierwem aż na schodach!

Tuomas odwraca się i otwiera usta, lecz tamta już zamknęła za sobą drzwi mieszkania. Światło na klatce gaśnie samoczynnie.

Tuomas przekręca klucz w zamku i wchodzi do środka. Smród bije w nozdrza od samego progu. W środku jest ciemno i cicho. Tuomas stawia torbę na podłodze, szuka włącznika. Pod sufitem w przedpokoju rozbłyska słabe światelko. Ledwo je widać przez szlifowane szkiełka żółtopomarańczowego abażuru.

– Jest tu kto?

W kuchni rozlega się najpierw coś jakby charknięcie, a po chwili głos Heleny:

– Tu jestem.

– Dzień dobry.

– Miałam jej mówić, żeby zostawiła światło zapalone, i zapomniałam.

Tuomas pstryka włącznik w dużym pokoju i przechodzi do kuchni,

tam też włącza światło. Fetor moczu bije po twarzy. Rano opiekunka dopchnęła wózek do stołu. Helena siedzi przy nim jak w imadle, zgarbiona nad nieotwartym plastikowym pudełkiem z surówką z czerwonej kapusty. Obok leży tacka z mięsem w sosie, już bez folii. W kącie stoi wiadro, na wyciskaczu suszy się mop.

– Jak lot?

– W porządku.

– Co u rodziców?

– Po staremu. Latem zdecydowali o zamknięciu zakładu.

– No to koniec dzieła życia matki.

Helena chwilę milczy. Stara się wyprostować w wózku.

– O której masz pociągi? – pyta. – O pełnych godzinach. Czwarta, piąta, szósta. Wieczorem muszę się jeszcze wyrobić z płytkami.

– A jak Sini?

– W porządku. Za chwilę zaczniesz skakać, byleby wreszcie zaczęło się coś dziać.

– Już mieszkacie pod jednym dachem?

– Jeszcze się nie zdążyła przenieść. Planuje na początku przyszłego tygodnia.

Helena prawą dłoń przeciera blat, odsuwa od siebie kartonik ciepłego już mleka. Lewa dłoń spoczywa na piersiach. Tuomas otwiera okno. Z oddali niesie się zgrzyt tramwaju.

– Wstawić jedzenie do lodówki?

– A wstaw.

Dłoń znajduje karton papierosów, wyciąga z niego nową paczkę i przyciska ją do piersi lewą, mniej sprawną ręką. Ta przytrzymuje paczkę, gdy prawa szuka końcówki taśmy. Znajduje ją i obiera paczkę z folii jak pomarańczę ze skórki.

– Widzisz, tak to teraz ze mną.

– Całkiem nieźle wyglądasz.

Dłoń dźwiga papierosa do ust i szuka zapalniczki.

– Gówno prawda.

Tuomas bierze z kaloryfera ścierkę, zamacza i przeciera nią stół. Ojciec najchętniej sprowadziłby siostrę na północ, żeby mieć ją pod opieką, ale Helena nie chce.

„Dosyć się Kaarina namordowała z teściową, do samej śmierci się nią zajmowała – argumentowała. – Będzie teraz jeszcze bratową niańczyć. Już ja tu sobie sama poradzę”.

Z okna napływa do środka świeże powietrze. Tuomas patrzy na ciotkę. Jak często ktoś ją przebiera w suche rzeczy? Helena zaciąga się głęboko papierosem i wydmuchuje dym na sufit.

– Tak to teraz ze mną – powtarza. – Pieluchy i w ogóle.

Nagle obraca twarz w tę stronę, gdzie słyszy Tuomasa, i wybucha śmiechem.

– Będę musiała zmienić nazwisko.

Odrzuca głowę w tył i śmieje się z jakiejś historyjki, która zaczyna już pewnie kiełkować jej w myślach. Wesoły śmiech dźwięczy pod pożółkłym od dymu sufitem i tonie w brązowym dywanie. Popiół z papierosa spada na sukienkę. Już przedtem miała wypalone dziury.

– Na Helena Moczną.

Śmiech porusza śluz w płucach i Helena zaczyna charczeć. Sięga na parapet po przezroczystą plastikową ssawkę, ścisną ją, wsuwa końcówkę do przełyku i puszcza ściśniętą ssawkę, która rozpręży się i oczyszcza gardło. Na dno ssawki ścieka żółtobrazowa wydzielina. Helena odkrztusza jeszcze i znowu wsuwa końcówkę do ust, ale już więcej nic się nie ściąga. Na parapecie stoi otwarte plastikowe pudełko, do którego Helena wylewa zawartość ssawki. Potem znowu wkłada papierosa do ust i śmieje się.

– A może jednak Urinoff?

– No nie, Moczną brzmi znacznie lepiej.

– No to może von Urinoff? Szlachcianka, przedstaw sobie.

– To może jedno i drugie?

Helena wydmuchuje dym i rechocze.

– Karol August Moczný. Mieszka w wielkim majątku nad brzegiem rwącego Moczyska.

Teraz i Tuomas wykrzywia twarz w uśmiechu. Siada na krześle, na którym zawsze siedział Kari.

– Karol August pojął za żonę Balbinę Sikulską.

– Nie, przecież ona była von Urinoff.

– No tak, jasne. Balbina von Urinoff.

Pomysł zaczyna nabierać rumieńców, przeradza się w barwną opowieść. Tuomas i Helena opowiadają sobie na zmianę życie i losy mieszkańców Moczyska, którzy nigdy nie zaznali szczęścia. Miłość jakby omija każde kolejne pokolenie, lęk i brak zdecydowania przekreślają szanse na lepszą przyszłość. Pociąg za pociągiem odjeżdża z peronu „Miłość”, a czarna owca rodu, gwiazda kina Gloria Siklawa, traktuje pana Sigmunda Rurę, jakby był powietrzem. Kiedy Kaj Kapucyn odrzuca szczere uczucie Svena Prostaty, papierosy się kończą i ssawka znowu idzie w ruch.

W trakcie opowieści Tuomas wiezie Helenę do pianina w dużym pokoju, gdzie ma skomponować marsz hrabiego Mocznego. Patrzy, jak ciotka prawą ręką chwyta lewą i kładzie ją na klawiaturze, jak ta z początku leży bezwładnie, wreszcie jednak przypomina sobie, co ma robić, i obie zaczynają powoli wygrywać właściwe akordy.

– Przecież to marsz pogrzebowy! – chichocze Helena i próbuje zmusić rękę do szybszego grania, lecz nic z tego nie wychodzi. – Przy tej melodii wrzucano do grobów topielców z Moczyska!

Na ulicy za oknami już włączają się latarnie, a oni układają słowa marsza. Helena gra, Tuomas wybija stopą takt o podłogę.

*Toczy Moczysko swoje żółte męty,  
kroczy posepnie obłąkany pułk.  
Kolejna walnięta cista się w odmęta,  
czeka już na zgniłka czarna mogiłka.*

Emisje schodzą na dalszy plan, ruchy na rynku kontraktów terminowych idą w zapomnienie. Tuomas nie zwraca uwagi na smród w mieszkaniu, na koszty utraconych korzyści i wzrost prestiżu obszarów mieszkalnych. Helena nie siedzi bez ruchu w ciemności, nie zapomina słów. Zmiany w strukturze białek nie niszczą komórek nerwowych, funkcje płatów czołowych nie są zaburzone. Śmieją się oboje, bo z sagi wyłania się drzewo genealogiczne, którego korzenie sięgają także ich życia.

W drzwiach słychać zgrzyt przekręcanego klucza. Helena i Tuomas siedzą w dużym pokoju i trzymają się za obolałe od śmiechu brzuchy,

ona w wózku, on na podłodze obok pianina. Patrzą na wchodzącą do środka młodą opiekunkę, ciągle chichocząc.

– Co, pani Syrjänen ma gości?

– Nie jestem żadna pani Syrjänen, nazywam się Moczna. – Helena próbuje i ją wciągnąć do żartu, ale samo wypowiedzenie nowego nazwiska na głos brzmi dziwnie, niestosownie. Helena sama to spostrzega i więcej nie żartuje.

– Trzeba by się zabierać do pracy – mówi dziewczyna i patrzy na Tuomasa. – Pan zostaje tu na noc?

Helena wyciąga rękę, znajduje bark Tuomasa, ściska go za ramię.

– Tak, zostanie.

– Nie mogę.

– Możesz spać na tapczanie.

– Mam jeszcze do zrobienia te płytki w gospodarczym.

Helena zwalnia uścisk.

– No tak, prawda.

– Muszę iść.

– Idź, idź. Nie zatrzymuję.

Opiekunka staje za plecami Heleny i chwyta za rączki wózka.

– To może najpierw pojedziemy się umyć.

– To na razie – mówi Helena i przyciska lewą dłoń do piersi.

Tuomas odprowadza kobiety spojrzeniem. W popielniczce na pianinie tli się niedopałek. Smużka dymu wije się pod sufit. Miał poprosić Helenę na matkę chrzestną, ale na pewno by nawet nie chciała.

## Świat wypadł mi z moich rąk

Oskari stawia pod szafą kolejną niebieską torbę z Ikei.

– Dużo ich zostało?

– Jeszcze tylko dwie.

Składają rzeczy i odkładają na miejsce, byle tylko coś robić. Wszystko jest za mgłą, za szumem.

Poród poszedł dobrze. Położna zadzwoniła do nich nad ranem. Oskari pobiegł po auto, a Tuomas spakował ładowarkę, kamerę i komórkę. W lodówce czekały w worku przygotowane jabłka i kanapki, które co wieczór wymieniali na świeże. Wszystko potoczyło się tak szybko, że Tuomas do tej pory nie mógł wszystkiego ogarnąć. Zazwyczaj sam decydował, co się dzieje i kiedy, a tym razem mógł się tylko przyglądać. I czuł się tak, jakby go nie było, bo w niczym nie mógł pomóc rodzącej Sini. Położne się zmieniły. Poprzednia bardziej jej pasowała, komenderowała jak trenerka. „Przyj. Oddychaj. Jak dasz radę, to się zdrzemnij”. Rozkazy były precyzyjne i możliwe do wykonania. Tuomas rozumiał, że poród to problem, który dla ułatwienia rozbito na etapy. Nowa położna przyciemniła światła, nastawiła muzykę i chwyciła Sini za rękę. Pokój wypełnił się nagle macierzyństwem i pluszową troskliwością, w którą aż się chciało wtulić. „Spróbuj zamknąć oczy przed kolejnym skurczem. Wydychaj. Ściśnij moją dłoń”. Miało się wrażenie, że położna otoczyła całą ich trójkę swoją obecnością jak ciepłe morze.

I choć wszystko to trwało osiem godzin, bite osiem, w końcu wszystko poszło szybko. Sini krzyczała i wrzeszczała, trzymała za rękę na zmianę to jego, to Oskariego. Płakała, jęczała i dyszała. Klęła jak szewc. „W dupę sobie wsadź te dobre rady, to ja tu rodzę! Jak jesteś taki mądry, to chodź tu, kurwa, i spróbuj wysrać krzesło! Więc morda w kubek i po prostu siedź tu przy mnie!”.

Z początku dziecko próbowało wyjść twarzą do przodu, ale potem

obróciło główkę, żeby się zmieścić w ciasnym kanale rodnym. W końcu wyszło, z przyczepioną do główki elektrodą do pomiaru tętna, którą przymocowała mu wcześniej położna. Z tą antenką wyglądało zupełnie jak pomarszczony Teletubiś. Pępowinę przeciął lekarz. Sini odwróciła się do nich plecami, może przysnęła, a chłopiec okutany w szpitalne śpioszki został w jej ramionach. Patrzył na nich nieruchomo z otwartym umysłem, jak dziecko po raz pierwszy zabrane do cyrku, które jeszcze nie wie, czego się spodziewać. Gdzieś z głębin pamięci zaczęły płynąć czułe słowa, które słyszeli w dzieciństwie od swoich rodziców i których do tej pory zupełnie nie pamiętali. Wiewióreczka tatusia. Nasz mały wróbelek. Nasza mała zmokła pliszka. Rozwierali piąsteczki dziecka i dziwili się maleńkim paznokciom. Opowiadali sobie, że te nóżki nie zrobiły jeszcze ani jednego kroku, a te oczka nie widziały jeszcze nigdy błękitnego nieba. Wreszcie dziecko uznało, że zapoznało się już z tatusiami. Zamknęło oczy i przysnęło na brzuchu Tuomasa. Żaden nie pamiętał o tym, żeby zrobić choćby jedno zdjęcie.

Sini i chłopiec są jeszcze w szpitalu, ale wypiszą ich być może już jutro. Tuomas i Oskari wrócili do domu odpocząć, lecz sen nie przychodził. Żeby jakoś uporządkować myśli, zaczęli wyklądać ubranka do szafy w pokoju dziecięcym. Wcześniej nie mieli odwagi, mieli wrażenie, że to trąci zbytnią pewnością siebie. Oskari wytrząsa zawartość torby na dywan i sortuje rzeczy. Tuomas wyciąga z kupki ubranko, niebieskie.

– Tu jest jeszcze jedno takie.

– Co to jest?

– Nie wiem.

– Ma napy?

– Zaczekaj.

Tuomas rozkłada ubranko i sprawdza.

– Ma.

– Połóż na tej półce.

– To są chyba te, jak to się nazywa... Mam na końcu języka...

Body?

- Nie mam pojęcia.
- Ustalmy, że to są body, to wtedy będą.
- No to niech będą.

Tuomas składa ubranko i kładzie je na stercie innych podobnych. Dziwi się, że zajmują tak mało miejsca. Oskari bierze ze sterty kolejny łaszek.

- A teraz taki z suwakiem z przodu.
- Niech będzie, że śpioszki na noc.
- W porządku.
- A teraz takie coś, co grzechocze, jak się poruszy – mówi Oskari i pokazuje.

W obszernym pokoju rozlega się delikatny dźwięk.

- Grzechotka.
- To akurat wiedziałem.

Wszystkie rzeczy i przedmioty to podarunki od przyjaciół. Gorąco im kibicowali i ofiarowali wszystko, co zostało po ich dzieciach. Oskari i Tuomas dostali piękne łóżeczko, wagoniki i tory. Na dziecko czekają już nawet dwa rowerki, jeden trójkołowiec, a drugi z kółkami bocznymi. Matka Tuomasa przysłała garnek. W ogóle ich rodzice byli przeszczęśliwi, a najbardziej chyba matka Oskariego, bo nowy wnuczek zamknie jej pełną dziesiątkę. Każdy się cieszy, że w ich rodzinie ziścił się scenariusz, o którego istnieniu nikt nie wiedział.

– To dziecko wyrośnie na hitach Eurowizji – śmiała się Maarit, kiedy pierwszy raz usłyszała o sprawie.

W kręgu ich przyjaciół nowej sytuacji nie potrafiły zaakceptować jedynie starsze pary gejowskie. Ich zdaniem sprawy zaszły za daleko. Każdy z nich jest oczywiście ojcem chrzestnym, ale płodzenie własnego potomstwa prowadzi na ścieżkę, na którą nie powinno się wkraczać. Zwolennicy tego poglądu nie widzą nawet potrzeby, żeby swoje zdanie uzasadnić – po prostu na tym świecie już tak jest. Dzieci i geje nie składają się nigdy w rodzinę. Ponieważ jednak co się stało, to już się nie odstanie, trzeba się z tym pogodzić. Część starej gwardii żegnała się z nimi jak przed wyjazdem na stałe za granicę.

- No to was już też nie zobaczymy.

Skarpetki dziecka są niewyobrażalnie małe. Oskari przysiada na



podłódze i przykłada je do swojej stopy. Jego buty mają rozmiar 44. Tuomas śmieje się i bierze ze sterty łapawice zrobione z pomarańczowej włóczki. Może je sobie założyć na kciuk. Składają rzeczy do szafy i postanawiają, że resztę przejrzą później, żeby Sini zobaczyła, co już mają, a co może trzeba by jeszcze dokupić. Oskari pożyczył z remizy przyczepe, żeby przewieźć do domu rzeczy Sini. Wcześniej z tym nie zdążyli, bo akcja porodowa zaczęła się tydzień przed terminem.

Do Tuomasa ciągle nie dociera, co się stało. Wszystko jest nowe i inne. Cieplesze. Czasem nawet się nie wie, że się czegoś chciało, dopóki to się przypadkiem nie wydarzy, a czasem znów spostrzega się, że bardzo się za czymś tęskniło, dopiero wtedy, gdy to coś znika bezpowrotnie. Mimo długich rozważań Tuomas wcale nie był pewny, czy chce być ojcem – dopóki nie zobaczył na swoim brzuchu śpiącego dziecka, w którego świecie wszystko jest możliwe. Każda przeżyta chwila obfitowała w oczywiste znaki, które rozumie dopiero teraz. Jarkko nie lubił dzieci. Erik sam najchętniej cofnąłby się do fazy dzieciństwa. Sini długo nie było w jego życiu, aż nieoczekiwanie pojawiła się znów. Jak to możliwe, że niczego nie widział? Miał wrażenie, że życie niosło go do tego dnia z nieuchronną konsekwencją rzeki.

Zapakowali na przenosiny do domu kilka ubranek, które umownie nazwali body, oraz miękkie śpioszki i kombinezonik, które kupiła matka Oskariego. Młodsza córka Maarit zrobiła na szydełku czapczkę ze złotej nici. Jest tak szorstka, że chłopiec nie będzie mógł jej nosić, ale i tak wezmą ją ze sobą. Może da się zrobić zdjęcie w czapczce i posłać zachwyconej kuzynce. Na pewno się ucieszy.

Kiedy wchodzą znów do szpitala, nie zdają sobie sprawy, że coś się zmieniło. Nie zwracają uwagi na to, że pielęgniarka za przeszkloną ścianą dyżurki nie odpowiada na ich kiwnięcie głową, tylko zaraz podnosi słuchawkę telefonu. Nie zauważają, że ze swojego pokoju wychodzi i rusza za nimi siostra przełożona. Nie sprawdzają nawet, czy na tabliczce przy futrynie widnieje znajome nazwisko.

Pokój jest pusty. Nie mogli pomylić drzwi, nie mogli zabłądzić, to

ten sam narożny pokój. W środku stoją dwa łóżka, na tym przy drzwiach leży starannie złożony szalik Tuomasa, zostawił go tu rano. Łóżko pod oknem jest niezajęte.

Na korytarzu słychać stuk ortopedycznych chodaków. Otwierają się drzwi i do środka wchodzi niska kobieta, której ani Tuomas, ani Oskari jeszcze tu nie widzieli. Jasne włosy ma niedbale związane w koński ogon i ubrana jest na biało, co przywodzi na myśl dziecięce obrazki aniołów, choć kobieta nie ma białej bluzy ani kitla jak pielęgniarki i lekarze. Podaje im rękę i przedstawia się, ale jej imię i nazwisko nie zapadają Tuomasowi w pamięć. Mówi, że jest pracownicą wydziału spraw socjalnych. Prosi, żeby usiedli i starali się zachować spokój. Wyjaśnia sytuację. Jej słowa przeszywają Tuomasa na wylot. Słyszy je i wie, co znaczą, lecz mimo to nie pojmuje ich. Z zakamarków przeszłości wybija fragment jakiejś książki.

„Szczęśliwe pary to rzadkie ptaki w społeczności homoseksualnej”.

Matka oświadczyła, że nie chce się z nimi widzieć, i dlatego nie mogą zobaczyć ani jej, ani dziecka. Oboje znajdują się w tej chwili w innej części budynku, wszystko jest z nią w porządku, dziecko także czuje się dobrze. Ponieważ matka sama o to poprosiła, szpital musiał uznać jej wolę. Nie mogą się domagać widzenia dziecka, gdyż w żadnym dokumencie nie figuruje nazwisko ojca. W świetle prawa są zatem dla niego ludźmi tak samo obcymi jak każdy inny człowiek z ulicy. Nie ma sensu się awanturować, w szpitalu są wartownicy przeszkoleni na wypadek zakłócenia porządku.

Tuomas zdaje sobie sprawę, że słucha kobiety, że siedzi na krawędzi łóżka, że trzyma Oskariego za rękę. Słowa blondynki nie składają się w zrozumiałe zdania, nie tworzą żadnych całości. Tuomas usiłuje zatrzymać pędzące w jego głowie myśli, ale nie daje rady. Nie potrafi sformułować żadnego sensownego pytania. Wie, że zapamięta tę środę jako dzień, w którym wszystko się zmieniło. Najpierw w ich życiu coś drgnęło, a potem ugrzęzło na dobre w miejscu.

Tuomas patrzy nad barkiem mówiącej kobiety za okno. Porodówka jest na tyle wysoko, że nie widać dachów sąsiednich budynków. Tylko

błękitne, bezchmurne niebo. Tuomas nie pamięta, czy słońce świeciło, kiedy wchodzili do szpitala, teraz świeci. Unosi dłoń do oczu. Trzęsie się. Spogląda na Oskarię i widzi jego zaciśnięte w pięści dłonie. Podnosi spojrzenie na jego twarz. Usta się ruszają. Oskari coś mówi. Tuomas usiłuje usłyszeć, zrozumieć wypływające z jego ust słowa.

– Chyba mamy tutaj jakieś prawa?

– W przypadku dziecka urodzonego poza związkiem małżeńskim najpierw należy ustalić ojcostwo.

– To się ustali.

– Matka ma prawo odmówić badania krwi do czasu, gdy dziecko ukończy czternasty rok życia.

– A potem?

– Potem bierze się pod uwagę zdanie dziecka.

Idą korytarzem szpitala, Oskari niesie torbę z rzeczami zakupionymi przez jego matkę. Tuomas niesie zamaryły w trzewiach krzyk. Głos go opuścił i myśli nie znajdują ujścia. Nie potrafi ubrać tego, co się zdarzyło, w żadne słowa, bo wszystkie są na to zbyt małe. Wie jedynie tyle, że ta środa już do końca życia będzie ciążyć na każdym ich dniu, na każdym poranku i każdym wieczorze. Coś takiego można jedynie tłamsić w środku. Może czas zmieni to w coś takiego, do czego można przywyknąć, tak jak język przywyka do wyłamanego zęba.

Blondynka idzie obok nich, odprowadza do drzwi porodówki. Teraz jej słowa są bardziej miękkie, rozmawia z nimi nieformalnie, spoza swojej roli.

– Kobiety rodzące po raz pierwszy miewają burze hormonalne – mówi cicho, żeby nikt jej nie usłyszał. – Prowadzi to niekiedy do nielogicznych zachowań. Możliwe, że bardzo szybko matka uzna, że dziecku przydałby się na co dzień także ojciec.

Wychodzą z tego kobiecego świata, anioł odprowadza ich na zewnątrz. Mijają zamknięte drzwi ze świadomością, że za jednymi z nich jest dziecko, które miało założyć niesiony przez Oskarię kombinezonik. Powietrze jest za gęste, nie można oddychać.

## Noszę w sobie, by kiedyś ci dać

Nie widzisz, jak twoje dziecko stawia pierwsze kroki. Nie wykupujesz dodatkowego ubezpieczenia, nie cieszysz się z niego potem, kiedy się zaczyna chroniczne zapalenie ucha. Nigdy się nie śmiejesz z nieporadnych prób jedzenia samemu łyżeczką i chwiejnych kroków. Nie dmuchasz na ałka na kolanie, kiedy twoje dziecko łapie zająca. Nigdy nie umawiasz się z mężem, że ty będziesz karmić i zabawiać je wieczorem, a on nad ranem.

Nigdy nie poznajesz pań z przedszkola ani imion dzieci z grupy, w piątek nie zabierasz do domu brudnego kombinezonu, żeby go wyprać na poniedziałek. Inni rodzice chodzą po sklepach i decydują się kupić właśnie taki model fotelika do samochodu ze skomplikowanym systemem pasów. Przed półkami ze słodyczami w supermarketach histeryzują nie twoje dzieci, a ty możesz tylko patrzeć, jak ojcowie je pocieszają spokojnie i pewnie. W przejściach między regałami cudze dzieci trzymają za ręce swoich rodziców, jednego za lewą, drugiego za prawą. Twoja dłoń dzierży rączkę koszyka, w którym masz tanie piwo produkowane specjalnie dla tej sieci.

Nigdy nie ustalasz z mężem, który z was będzie tatą, a który tatkiem. Nigdy nie podchodzisz zatroskany do łóżeczka, żeby posłuchać, czy aby na pewno dziecko oddycha. Nie wymyślasz rytuałów, nie pieczesz pierników na Boże Narodzenie ani nie stawiasz na juhannusa brzózek pod drzwiami jak dawno temu twój dziadek. Nie dożywasz dnia, w którym twoje dziecko po raz pierwszy biegnie do ciebie z wyciągniętymi rączkami przez plac zabaw w przedszkolu. Ani tej wiosny, kiedy po roztopach ryjecie piętami kaloszy kanały w rozmiękłym piasku. I nie wiesz, że twojemu dziecku zapadł w pamięć strumień za domem, bo w dorosłym życiu chce mieszkać nad samą wodą. Domku do zabaw nie warto budować.

Nie zabierzesz nigdy tego dziecka w swoje rodzinne strony, nie

pokażesz, w jakich lasach urodził się jego ojciec. Nie zobaczysz, jak chłopak zadziera spojrzenie na korony śmigłych chojarów i dziwi się, czemu tak szumią, chociaż nie ma wiatru. Nigdy się nie dowiesz, czy jesteś dla niego takim dobrym ojcem, jakim twój był dla ciebie. Nie umiesz już zachowywać się naturalnie przy dzieciach swojego rodzeństwa. Wspólnie dochodzicie do wniosku, że wszystkim będzie łatwiej, jak nie będziecie zapraszani na każdą rodzinną imprezę.

Może jeszcze kiedyś zobaczysz swojego syna, ale wtedy chłopak będzie już nastolatkiem, który akurat przechodzi fazę ucieczki od świata. Będziesz się musiał mu przedstawić imieniem i nazwiskiem, powiedzieć, czym się zajmujesz, i streścić swój życiorys. Pokazać w komórce zdjęcia swojego brata, sióstr i rodziców, którzy będą mu równie obojętni jak ludzie czekający na przystanku na autobus.

Inni jakoś żyją, płodzą dzieci i odmierzają czas własną rachubą – chrzcinami, konfirmacjami, przyjęciami po zdanej maturze, narodzinami wnuków. Na dworcach wsiadają do pociągów i kładą bagaż na półki; ty na zawsze pozostaniesz tym, który na peronie macha odjeżdżającym i czeka na swoją wielką zmianę w życiu. Która nigdy nie przyjdzie. A ci, co wyjechali, szybko o tobie zapomną. O pierwszej zmianie adresu jeszcze cię powiadomią, o następnej już nie. Wkrótce twoja twarz zatonie w morzu innych bezimiennych twarzy – takich, na które dorośli pokazują czasem palcami na zdjęciach z dzieciństwa i pytają: „Kto to był?”. A ich starzy rodzice odpowiadają, że nie wiedzą na pewno. Że byłeś chyba znajomym, który obracał się wtedy w tych samych kręgach, a potem gdzieś zniknął, pewnie wyjechał do innego miasta. Twoje imię będą mieli na końcu języka, lecz nie zdołają już go sobie przypomnieć. Mogło zaczynać się na „k”, ale nie musiało. I to tylko będą pamiętać, że byłeś gejem. Będą się zastanawiać, czy byłeś z tych zniewieściałych, i w końcu stanie na tym, że taki właśnie byłeś.

Zamkniesz się w swojej skorupie, którą zamkniesz w waszej. Nie będziecie rozmawiać. Ty staniesz się milczący, Oskari w jesienne wieczory będzie ocierał kąciaki oczu, sądząc, że tego nie widzisz. Ty skupisz się na zarabianiu pieniędzy i własnym życiu wykresów giełdowych. Życie zacznie się wypełniać innymi elementami:

meblami, markowymi rzeczami, dalekimi podróżami. Kupicie rasowe psy i zainwestujecie w mieszkania na wynajem, którym nie grozi utrata wartości. Będziecie kupować drogie wina, nabędziecie segment szeregowca albo dom wolno stojący, który szybko się zamieni w designerską perełkę. W całym tym bogactwie będzie rezonować twój bezgłośny krzyk samotnego człowieka. Nauczysz się siebie tak dobrze, że będziesz znał na pamięć bruzdy własnych linii papilarnych. Całą mapę wszystkich ran ciała i duszy. One staną się twoimi dziećmi i w nich będziesz żył.

Z czasem zdziwaczysz. Zaczyniesz kupować lody swoim psom, pokój z kominkiem zapełnisz sztuką erotyczną, będziesz nosić jedwabne koszule i pachnieć piżmem. Wypchniesz się za margines, zwiktyimizujesz, zrobisz się zgorzkniały i odwrócisz się od świata. Na pogrzebach dziadków, rodziców, rodzeństwa będziecie z Oskarem siadać w osobnej ławce, z dala od reszty żałobników. Rodzina chętnie o was zapomni i tylko od najbardziej wytrwałych siostrzenic będzie przychodzić kartka na święta. I przyjdzie taki dzień, kiedy nie będziesz już umiał sobie przypomnieć, jak wyglądał twój rodzinny dom, i nie będziesz miał kogo o niego zapytać, bo wokół ciebie nie będzie nikogo, kto kiedykolwiek był w nim choć raz.

Wiesz już, że umrzesz samotnie. W porażającej bieli szpitala będziesz się skarżył na odleżyny, będziesz wołał matkę i ojca, lecz nikt do ciebie nie przyjdzie. Może będziecie leżeć na sąsiednich łóżkach w tym samym pokoju, nie będziecie już jednak pamiętać ciepła swoich ciał. Bóg wam nie pomoże. Ktoś potrzyma przez chwilę twoją gorącą dłoń, bo taką ma pracę. Ale zostaniesz zapomniany z chwilą, gdy zamkniesz oczy. Obrócisz się w proch, a nie w rodzinną opowieść.

Taki twój los. Takie życie zostało ci dane – przeżyj je do końca.

## Ścieżki swe równajcie

Na prawo trzy szafy. W pierwszej od prawej półki, na najniższej sznurowane buty zimowe i dwie pary botów, nad nimi bielizna, pończochy, koszule i trzy biustonosze. Na środkowej półce złożone bluzki, na kupce po prawej z długim rękawem, po lewej z krótkim. Dwie z wierzchu po prawej bawełniane, pierwsza zielona z szerokim kołnierzykiem, druga niebieska. Potem trzy flanelowe, pierwsza z wierzchu czerwona z kieszeniami na piersiach, druga szara, trochę za ciasna. Trzeciej nie pamiętam.

Poniżej jeszcze dwie cienkie, pierwsza w kolorze pasującym do szorstkiej spódnicy, druga tak długa, że nie można jej nosić do spodni. Na drugiej półce od góry po prawej spodnie. Te, które według Kaariny mają za szerokie nogawki. Dwie pary czarne, jedne niebieskie sztruksowe i jedne szare. Szóste z oderwanym guzikiem. Po lewej spódnice, pięć sztuk, z wierzchu ta szorstka szara, potem dwie niebieskie, ciemnoczerwona i czarna. Niebieskie są w innym odcieniu niż bluzka. Na górnej półce swetry, rozpinane i nierozpinane. Za nimi butelka whisky.

W środkowej szafie dawniej rzeczy Karięgo, teraz prześcieradła. Po prawej szersze na łóżko małżeńskie, pięć sztuk, po lewej węższe, na łóżko dla gości, trzy sztuki. Poszwy. Żelazko i ręczniki pośrodku, siedem dużych, osiem do twarzy, wszystkie od Kaariny. Dwa małe, na pięćdziesiąt szerokie, których nigdy nie używam.

Przychodzi dziewczyna. Po oddechu poznaję, że Mervi. Odpowiadam, zanim zapyta. Dobrze spałam.

Dźwigam biodra, żeby dostała pieluchę. Biodra w dół, obrót, stopy na podłogę, tułów w górę. Garbię się, wciskam prawą dłoń w łóżko, lewą mogę poruszać tylko palcami. Mervi chwyta mnie pod boki. Prawa noga w bok, dostawić lewą. Tak, ustoję w miejscu. Mervi idzie po wózek. To nie jest wózek inwalidzki, tylko wózek. Nie jestem inwalidką.

Kolejna półka, wyżej. Obrusy. Trzy na stół w jadalni, dwa okrągłe i jeden kwadratowy. Ten ostatni ze sporą plamą blisko brzegu. Jeszcze jeden z grubego i sztywnego lnu, od matki Kaariny. Jeden obrus na stół kuchenny, od Anny, dwa na ławę. Na dole wigilijny.

Mervi kładzie moją lewą rękę na podłokietniku, prawą szukam drugiego i powoli przysiadam. Mogę jej zaufać, bo muszę, nie mam innego wyjścia. No więc ufam jej. Tył uda natrafia na krawędź siedzenia. Wózek wyjeżdża z sypialni. Mervi ostrzega, żebym uważała na ręce. Daj spokój, dziewczyno, znam ten dom na pamięć.

Lewa szafa, na dole akordeon, za nią deska do prasowania i moja stroicielska torba. W kieszeni na boku mam klucz do Domu Kultury, jeszcze nie zdążyłam go zwrócić nowemu właścicielowi. Poprzednicy zbankrutowali na handlu akcjami. W szafie na ramiączkach letnie sukienki, jedna uszyta przez matkę, w zielone kwiaty. Kaarina mówi, że wygląda jak worek. Druga brązowa, trzecia granatowa, z pliskami w pasie. Cztery grubsze sukienki, od lewej do prawej brązowa, czarna, czarna, niebieska. Dwie spódnice, długi płaszcz skórzany, cienki czarny i długi na pogrzeby. Wilcze futro babusi. Co ono tu robi? W górnych szafkach po lewej materac dla gości, kapa na łóżko zrobiona na drutach przez matkę Kaariny, zapomniane spodnie Kariego i jego dwie koszule. Wszystkie szafy pełne ubrań, których nie potrzebuję, bo chodzę w pranych w Tallinie workowatych łachach z opieki domowej. Te rzeczy nie noszą żadnych wspomnień, nie mają żadnej przeszłości, bo ta nie czepia się tkanin. Wspomnienia czepiają się tylko umysłu i w nim zostają.

Mervi mnie ostrzega, lecz zdążyłam już unieść rękę, bo wiem, że od łóżka do futryny jest pięć kroków. Za progiem opuszczam rękę z powrotem na bok. Cztery kroki, ostry skręt w lewo. Potem siedem kroków.

Pierwszy. Drugi. Trzeci. Z boku okrągły stół i cztery krzesła, z których jedno stoi tak blisko ściany, że trzeba odsuwać stół od okna, kiedy przychodzi więcej gości. Czwarty krok. Piąty. Na stole przywieziony przez Johannesesa lichtarz z pięcioma świecami, których nigdy nie zapaliłam. Szósty. Siódmy. Na stole piąty rok leży ciemnoczerwony obrus z frędzlami. Na prawo od stołu na ścianie



powiększona fotografia, którą zrobił kiedyś ojciec. Ja i Johannes płyniemy tratwą po spokojnej rzece w naszych stronach, kiedyś, dawno temu, na długo przed tym, jak ojciec przeciął sobie żyły w nadgarstkach. Pod przeciwległą ścianą stoi pianino.

Próg.

W kuchni po prawej lodówka z dwiema szufladami na warzywa na dole i trzema drucianymi półkami wyżej. Na drzwiach trzy półeczki i na najwyższej foremka na jajka, której podobno ludzie nie używają. Błat, pod nim szafka na gary, u góry lepsze kieliszki, misa do sałatki, duże talerze, dostałam w prezencie. Kuchenka, pierwsza gałka od piekarnika. Kolejna to przełącznik na grzanie od góry i od dołu. Potem płyty: tylna lewa, przednia lewa, tylna prawa, przednia prawa.

Mervi skręca gwałtownie w prawo, podjeżdża do stołu. Przede mną talerz i kaszka, tak mi mówi. Dziękuję. Łyżka po lewej, szklanka przed łyżką. Dziękuję, wiem. Zawsze tak.

W radiu prognoza pogody na Bałtyk. Kotka, wyspa Rankki, wiatr północno-zachodni, sześć. Odciągam ssawką śluz z gardła. Cuchnie. Jeszcze nie jem, sięgam po papierosy na parapecie. Zapalniczka na brzegu stołu pod ścianą, gdzie zostawiłam ją wczoraj, zanim Sanna wywozła mnie na wózku z kuchni. Pod nią kartka, na której dziewczęta zaznaczają, że były na dyżurze.

Chwytam prawą ręką lewą dłoń i kładę ją na stole. Wyciągam z paczki papierosa i wkładam do ust. Zapalam. Pierwszy sztach zatrzymuję w płucach – cztery, pięć, sześć. Mervi pakuje pościel, zabiera ją ze sobą. Strzepuję do popielniczki, zanim popiół spadnie mi do talerza. Słyszę plastikowe trzaski osłony na materac, kiedy dziewczyna zakłada na łóżko nowe prześcieradło. Kemi, wyspa Ajos, widoczność słaba. Gaszę papierosa. Zjadam kaszkę. Wypijam kawę. Wszystko umiem. Przy wysokim stole dwa stołki barowe, Karięgo ciągle na swoim miejscu, na prawo mój, wsunięty pod blat. Sięgam do niego stopą. Na parapecie metalowy przybornik krawiecki, kupiona w Murano szklana ryba i najnowszy nabytek: gwiazdkowy krasnal, przyniesiony cztery lata temu przez jedną z opiekunek. Nie Mervi, nie Jelenę, nie Seiję, Filsan ani Sannę. Przyniosła go Sinikka.

Piąty sierpnia, Johannes z Kaariną zostali dwie noce; Johannes

przyjedzie znów w przyszłym miesiącu. Minna ósmego października. Tapio piętnastego września i dwudziestego drugiego października, ostatnim razem został na noc. Tuomas trzydziestego pierwszego sierpnia. Córka Anny była w poniedziałek. Anna telefonowała w środę, Johannes wczoraj. Maarit obiecała przyjechać za dwa tygodnie. Kari już nie przychodzi. Zegar wybija światu kolejne minuty, których ja nie potrzebuję. Czas jest gęsty dla kogoś, kto nie ma nic innego.

Mervi rozkłada prześcieradło. Radio gra melancholijnie. Jaki głos miał Kari? Nie potrafię sobie przypomnieć tonu jego głosu.

Stoły, szafki na górze, szafki na dole. W szufladach łyżki, widelce, noże, heble do sera, obieraczki. Krajalnica do jajek, która gra jak mandolina. Trzepaczka, wałek do ciasta i chochle, tych nigdy nie używałam. Nie jestem kobietą, która piecze torty, placki, paszteciki. Na wszystko mam w szafce gliniane i metalowe formy, wiem dokładnie, gdzie są. Znam to mieszkanie na pamięć ze wszystkimi szczegółami i nie wiem, czy to trzyma mnie jeszcze przy zdrowych zmysłach, czy właśnie odbiera mi rozum.

Mervi bierze ze stołu miseczkę po kaszy i zmywa. Ja siedzę i udaję się do dużego pokoju, choć nie ruszam się z miejsca. Od drzwi sypialni po prawej sofa na trzy osoby. Materiał w tłoczone wzory, łuki, które oddalają się od siebie, na górze schodzą, a potem znów rozchodzą. Medaliony. Pod oknem fotel z takim samym obiciem jak sofa. Na prawo od niego okrągły stół z lwimi łapami. Na nim patera z pomarańczami.

Wróc.

Stół jest prostokątny, przykryty obrusem. Na nim stoi wazon, w wazonie są kwiaty: szczeń, kocanki, workowiśnia. Nie wolno ich dotykać, bo się rozsypią. Na świetle są rzeczy kruche i trzeba o tym wiedzieć.

Na którym stole są pomarańcze? Który ma rzeźbiony rant? Wodzę palcami po znajomych esach-floresach. Falująca linia, a nad nią i pod nią owalne kształty, może liście.

Za stołem ściana z wyczuwalnymi pionowymi pręgami na tapecie. Drugi fotel, też z lwimi łapami. W podłokietnikach ozdobne reliefy.

Pośrodku kwiat, z którego odłupał się mały fragment. Reliefy ciągną się do samego dołu, aż do nogi. Na prawo od stołu między oknami witryna z książkami, której szyby podzwaniają cicho, kiedy się obok niej przechodzi. W środku dwie półki, na górnej książki Johannaesa, dwadzieścia cztery tomy *Historii narodów* Grimberga, na dolnej moje brajlowe, od lewej Ewangelia Łukasza, *Villette* oraz trzy książki, których nie pamiętam. *Upiór w operze*. *Wróc. Kochanek Lady Chatterley*. Na pewno nie. *Saga rodu Whiteoaków*, dwie części *Cudów świata*. *Ryby głębinowe*. Stolik z kwiatami. Koperkowe liście szparaga Sprengera. Kliwia ma długie, zwążające się ku końcom. Dalej drzwi, z wysokim progiem. Za plecami drzwi do kuchni. Matka zmywa.

– Chodź no, powycierasz – rozkazuje.

Do kuchni można przejść prosto z salonu albo obok pianina przez jadalnię. Tam na tapczanie śpi w nocy ojciec.

– Trafisz? – pyta matka.

– No pewnie.

Zawsze się martwi. Nie wierzy, że wiem, gdzie i jak iść.

– Masz.

Rzuca mi ścierkę, nie złapałam. Kolana skrzypią, gdy matka schyla się i podnosi ją z podłogi.

– Aleś urosła. Smutnooka ty nasza.

Głaszczę mnie po włosach. Czy to ojciec? Nie jestem pewna. Mervi odstawia miseczkę na ociekacz nad zlewem i potrąca rączkę wózka. Obracam się razem z nim. On decyduje o moich ruchach, a nie ja.

– Przepraszam – mówi Mervi.

– Nic nie szkodzi.

Wracam do swojego pokoju. Próbuje się skupić. Na prawo od drzwi kuchni stoi rower treningowy, który przywieźli mi Johannes z Kaarina. Dalej na prawo przedpokój i drzwi na klatkę schodową. Między przedpokojem i dużym pokojem kotara. W przedpokoju stolik z telefonem.

– Jak tam u was? – pyta Kaarina z kuchni, nakładając mi łyżką pieczonego sera na talerz.

– Dobrze.

Na aparacie guziczki z cyferkami, na tym z kropką jest piątka, na

prawo od niej szóstka, w drugą stronę czwórka. W rzędzie powyżej jeden, dwa i trzy, poniżej siedem, osiem i dziewięć. W dolnym guzik, którego nie używam, zero i ten, który Kari nazywa cerą. Odkładam słuchawkę na przymocowany do ściany aparat i otwieram drzwi. Za nimi jest korytarz, który prowadzi na stronę Johannaesa i Kaariny. Czuję oddech Johannaesa. Chwyta mnie za rękę.

– Miałaś zostać w domu, tu chorować.

– To od dawna nie jest mój dom.

Mervi ma jakąś sprawę. O czym myślisz? O domu? W południe chłopcy przyniosą obiad. Fajnie. Zjedz choćby połowę. Zjem. To na razie. Na razie. Siedzę przy stole w kuchni i stoję przed ubikacją. Jestem zagubiona. W radiu śpiewa Kari Tapio. Mervi zamyka drzwi, zasuwam rygiel. Co jest na prawo od drzwi wejściowych? Wieszaki z kluczami. Płaski kluczyk do komórki na strychu, a potem klucz domowy, z kulką. W przekroju wygląda jak przecięty okrąg. Jak się go wsuwa do zamka drzwi mieszkania, ścięta strona musi być z prawej, zaokrąglona z lewej, a przy drzwiach bramy odwrotnie. Chcę iść dalej, lecz nie dam rady. Znam na pamięć każdy centymetr drogi z dużego pokoju do kuchni, ale reszta mieszkania wyparowuje mi z pamięci. Przestrzeń się kurczy. Śpię w sypialni, siedzę w kuchni. Zgubiłam głos i zapach Kariego, jego ciepło. Wózkami nie dojadę do końca korytarza, nie mieści się. Co tam jest? Nie mogę złapać myśli. Nie pamiętam kamienicy, mieszkania, domu. Domów. Przestrzenie ulatniają się ze wspomnień.

Przesuwam dłoń na parapet. Wieko przybornika jest chłodne. Stawiam go na stole, przyciskam do piersi i otwieram. Wyszukuję grubą igłę do cerowania. Odstawiam pudełko na kartkę dyżurów dziewcząt. Lewą ręką wyciskam wolno kropki. Linia jest równiutka, igła dochodzi do krawędzi przybornika. Odwracam kartkę i badam wypukłości. To będzie mapa. Najpierw trasa do ostatniego pokoju. Tu jest ściana między korytarzem a dużym pokojem. Stawiam przybornik z powrotem na kartce, przesuwam i znów wyciskam. Próbuje. Druga ściana. Pośrodku drzwi do łazienki. Linia idzie krzywo, korytarz się zwęża. Znajduję trasę. Odwracam kartkę i wyciskam papier tam, gdzie na ścianie wisi zegar. Tutaj kotara w przejściu do dużego

pokoju. Co z drugiej strony?

Przesuwam przybornik, wyciskam kolejny rząd kropek, przechodzę za róg. Zastanawiam się i dodaję kilka punktów na znak przypomnianych miejsc. Odczytuję palcami wynik. Korytarz zakręca, drzwi prowadzą do dużego pokoju. Tam po prawej okrągły stolik kawowy i cztery krzesła. Kiedy się od niego wstaje, trzeba uważać, żeby nie walnąć głową w żyrandol. Oddalając się od ściany, najpierw telewizor w szafce z zamykanymi skrzydłami. Potem niski fotel, pod ścianą w głębi tapczan. Oba meble obite prążkowaną tkaniną, rowki biegną z góry oparcia do siedzenia i dalej do brzegu.

Wróć.

Przyciskam do kartki paznokcieć kciuka i wygładzam kontur dużego pokoju Johannesesa. Badam, znajduję jeszcze w sypialni toaletkę Kaariny. Dalej. Wygładzam paznokciem regał i drzwi do pokoju Minny oraz to miejsce, gdzie po lewej są trzy komody, a po prawej dwoje suwanych drzwi, za nimi zastawa wigilijna i wojenna chochła.

Znowu szukam zegara w korytarzu i wyciskam kolejne punkty. Odwracam kartkę, badam i znów wyciskam. Szukam na kartce ścian pokoju Kariego, łóżka do masażu i tapczanu, na którym spał, kiedy był na mnie zły. Rozstawiam na swoich miejscach to wszystko, co było w pokoju, zanim zaczął dudnić pustym echem, lecz linie na papierze przecinają się i nie mogę odczytać z nich przestrzeni. Nie znajduję zapachów, nie znajduję wrażeń. Posuwistych ruchów naoliwionych palców po napiętych mięśniach karku. Pamiętam, że coś takiego było, lecz nie pamiętam, jakie to było uczucie.

– Drogo ci wychodzi ten pustostan – mówi Johannes i wchodzi do gabinetu Kariego. – Może byś komuś odnajęła?

Zapominam obrócić kartkę i okno zmienia miejsce, teraz jest po lewej, a nie po prawej, terminarz Kariego ląduje w kącie dużego pokoju Johannesesa. Na pierwszy plan wysuwają się teraz pokój pułkownika na strychu, skrzynia babusi i meble, które miały stać w pokoju dziecka. Wilcze futro płynie przez dziesięciolecia i zawisa w mojej szafie. Zimno przykuwa mnie do wózka. Szukam kropek, przygniatam je palcem, lecz znajduję wieszaki w jadalni, a podłogi zaczynają stawać dęba.

– Co tam u mojej Heleny nowego? – pyta babusia w drzwiach łazienki.

– Nic.

Chcę wejść do pokoju, chcę uwolnić Karięgo. Próbuję dokończyć mapę, lecz nie powstaje z niej już żadne wspomnienie, żadne w pełni odtworzone miejsce. Ani te pokoje, które znam, ani te, w których nie mam już ochoty siedzieć.

Razem tysiąc siedemset pięćdziesiąt dwa dni w tym wózku, bez tego dopołudnia.

## Prowadź mnie, gdy światło drży

Koło wynajętego dostawczaka ociera się kołpakiem o krawężnik. Tuomas wrzuca jedynekę i próbuje wyrównać auto, potem znowu cofa. Teraz znowu stoi za daleko od chodnika, prawie na szynach tramwajowych. Oskari widzi, że Tuomas jest zdenerwowany, ale nic nie mówi.

– Nigdy nie nauczyłem się parkować na kopertę. Na kursie nawet tego nie było. W całej wsi nie mieliśmy ani jednego takiego miejsca do parkowania.

Auto skacze do przodu i w kabinie słychać, że w przestrzeni bagażowej coś upadło albo się przesunęło.

– Cholera.

– Pójdę zobaczyć, co to było.

Całe życie zmieściło się na pace, chociaż obaj byli pewni, że wszystkiego nie upchną i coś zostanie. Za kabiną stoją i leżą teraz stłoczone najważniejsze meble, ubrania, rośliny, książki. Składanie tych puzzli wniosło do ich życia kilka chwil radości: głośnik uwił sobie przytulne gniazdko pod fotelem, a palma biczowa owinęła się zimową kurtką, żeby w drodze nie zmarznąć. O wypełnienie każdej wolnej dziury toczyły się zaciekle walki. „Może spróbuj to odwrócić i wcisnąć tam”. „A nie zostało trochę miejsca za tą wiszącą doniczką, może tam by wszedł ten filigran?”. „Gdybyś oparł koniec materaca o stojak na kwiaty, to pod spód dałbyś radę wsunąć jeszcze blat stolika”. Z każdą kolejną rundą wewnątrz domu stawało się obszerniejsze, echo głośniejsze. Przez otwarte drzwi uszło do zimnego ogrodu całe ciepło domowego ogniska, odarte z obrazów ściany wydawały się już obce.

Ponieważ obaj musieli się już kiedyś wynieść z rodzinnych stron, ten raz nie wydawał się już taki trudny. Kiedy nadszedł moment, gdy trzeba zamknąć drzwi i odejść, nie poczuli ukłucia tęsknoty za domem i ogrodem – myślami byli już w nieznannej sobie przyszłości,

widzianej jedynie na zdjęciach biura wynajmu mieszkań.

Nauczyli się żyć ze wspólnym smutkiem. Był dla nich jak nowy członek rodziny, czarny i zimny. Jadł z nimi przy jednym stole, ślepił zza pleców w lustrze podczas mycia zębów, spał między nimi w łóżku. Ich życie zmieniło się w nieustającą codzienność poweekendowego kaca, a każdy dzień składał się wyłącznie z wieczora i oczekiwania na godzinę spoczynku. O tym, co było, nie rozmawiali nigdy. O sprawach, które nie mają nazwy, na szczęście nie trzeba myśleć.

W niemych domu nie działo się nic, co mogłoby wyrwać ich z tego odrętwienia. Połówka domu przeznaczona dla Sini pozostała nietknięta i nadal pachniała świeżą farbą. Ich życie pewnie dalej by się toczyło po tym utartym torze, gdyby pewnego dnia Oskari nie zostawił na stole w kuchni porannej gazety. Z zakreślonym na stronie czwartej zawiadomieniem o chrzcinach.

Armas Eino Olavi.

Teraz mieli punkt zaczepienia. Imię. Obaj poczuli się nagle tak, jakby się wynurzyli na powierzchnię po długim nurkowaniu na wstrzymanym oddechu.

Tuomas zaciąga mocno hamulec ręczny i wysiada, obchodzi samochód i staje na chodniku. Po ulicy hula lodowaty wiatr, powietrze ma metaliczny zapach.

– Coś się rozwaliło?

– Nie wygląda na to.

– Z samej góry nic nie spadnie, bo nie ma jak. Trzeba będzie uważać przy rozładunku.

Oskari zasuwa z powrotem boczne drzwi i widniejący na boku auta napis „Do24” rozwija się w „Dostawczak24”. Przez szybę każe zdziwionemu psu spokojnie zaczekać w kabinie.

– Mam iść z tobą?

– Oczywiście.

Idą przez park przy Kapitańskiej w stronę znajomej kamienicy, Tuomas otwiera drzwi bramy. Żółty breloczek przy kluczu ma napis



„Helena”.

Tuomas nie śmie dzwonić, więc puka ostrożnie w drzwi. Otwiera ojciec. Oczy ma zapadnięte.

- Nie obudziliśmy?
- Nie zmrużyłem nawet oka.

Ojciec wychodzi na klatkę schodową i obejmuje Tuomasa, potem Oskarięgo.

- Czyli jednak się przenosicie?

– Tak.

- Dom jeszcze nie sprzedany?

– Zajmie się nim biuro pośrednictwa naszego banku. Ładna działka, wszystko praktycznie nowe.

- Nie nadkładaliście drogi, żeby tu przyjechać?

- Specjalnie przyjechaliśmy. Kiedy...

Tuomas nie wie, jak dokończyć zdanie. Nie chce wiedzieć.

- Jak Helena? – pyta Oskari.

- Nic nowego. Pielęgniarka była jeszcze dać jej jakiś zastrzyk.

Głos odbija się echem w pustej klatce schodowej. Tuomas chciałby zobaczyć Helenę.

- W jakim jest stanie?

- Policzki już ma sine. I nos.

Trudno im patrzeć na siebie. Oczy ojca wzbierają łzami. Mówi jak zapowietrzony. Tuomas wolałby, żeby ojciec już lepiej milczał. Nie chciałby go takim oglądać, takim mikrym, lecz takim, jaki był w dzieciństwie – wszystkowiedzącym, który potrafi wszystko. A jednak pozwala ojcu mówić, bo teraz przyszła jego kolej, by słuchać. Ojciec patrzy na sufit klatki schodowej, kręci głową.

- Zawsze była mocna duchem.

Chwilę nic nie mówi, potem spuszcza głowę.

- Nie można życzyć własnej siostrze śmierci.

- I do szpitala nie chce iść?

- Nie.

Ojciec milczy. Drży od tłumionego płaczu.

- To moja siostra – mówi.

Tuomas głaszcze ojca po dłoni. I sam nic nie mówi. Gaśnie światło

na klatce i Oskari ponownie wciska włącznik. W końcu ojciec odchrząkuje.

– No, tak to już jest. – Wzdycha. – Już wszystko macie spakowane?

– Wszystko zmieściło się na pace.

Ojciec obraca się do Oskariego.

– Znalazłeś już tam jakąś pracę?

– W remizach na północy nie mają wolnych etatów. Będziemy żyli z pensji Tuomasa. Dostał zastępstwo za kobietę, która poszła na macierzyński.

Na dole otwierają się drzwi i ktoś wchodzi do bramy. Z góry zaczyna zjeżdżać winda. Kiedy ich mijają, omiata piętro światłem. Tuomas przez uchylone drzwi zagląda do środka mieszkania.

– Można zobaczyć Helenę?

– Nie. Sama zabroniła przedwczoraj, jak była jeszcze przytomna.

Ojciec zaciągnął kotary we wszystkich oknach. W mieszkaniu panuje półmrok, tylko w kuchni pali się lampa.

– Trzeba już chyba się zbierać – odzywa się Oskari. – Przed nami osiemset kilometrów.

– Jedźcie, jedźcie. Ona i tak już nic nie rozumie i nie odpowiada.

– Spróbuj się choć trochę zdrzemnąć.

– Nie, najpierw muszę ją odprowadzić.

Oskari macha mu na pożegnanie i rusza w stronę schodów. Ojciec chwyta Tuomasa za ramię.

– Jesteś pewien, że warto się tam do nich przeprowadzać? – pyta cicho, niskim głosem.

– Jestem.

– Już macie ten sądowy zakaz zbliżania się?

– Ja mam, Oskari nie.

– Tylko nie zróbcie jakiegoś głupstwa.

– Daj spokój.

– No, ale będziecie za to mieszkać całkiem blisko nas.

– Powiedziałem matce, że spróbujemy dzisiaj dojechać do was. Zatrzymamy się na noc i z rana ruszymy dalej.

Ojciec potrząsa serdecznie ramieniem Tuomasa i wchodzi do mieszkania, chwyta za klamkę.

– Zadzwońcie, jak dojedziecie na miejsce. Dam wam potem znać, jak tutaj.

– Wyślij esemesa. Albo zadzwoń, jak dasz radę.

Tuomas wsuwa jeszcze głowę do środka.

– To na razie, Heleno.

Odpowiedzi nie ma. Ojciec chce już zamknąć drzwi.

– Nigdy się nie poddawaj – mówi na koniec i patrzy synowi w oczy. Kiwa głową; nie wiadomo, czy na pożegnanie, czy na potwierdzenie tego, co właśnie powiedział.

Echo szczęknięcia rygla rozplywa się po piętach.

Oskari wprawnie wycofuje spomiędzy aut na ulicę. Samochód skręca z Petersburskiej w Panieńską, potem Gwarecką dojeżdża do nabrzeża. Oskari kątem oka obserwuje Tuomasa, a gdy na Południowym Nabrzeżu ruch się uspokaja, chwyta go za rękę.

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie będzie.

Tuomas przygląda się miastu niknącemu w bocznym lusterku. Plac Targowy, Północne Nabrzeże. Niektóre miejsca zna z dzieciństwa, z wycieczek z Heleną: Halę Targową, Pałac Prezydencki, sobór Uspieński. Wie, dokąd prowadzą ulice. Tamta do teatru Szwedzkiego, tamta do kawiarni Fazera, tamta do Ogrodu Botanicznego. W dorosłym życiu nigdy się z tym miastem porządnie nie zapoznał. Zawsze trochę się śpieszył – do teatru, na pociąg, samolot, prom. Helsinki zna, ale ich nie czuje. Oglądał je nieraz, lecz nigdy nie zobaczył.

Nigdy by nie uwierzył, że zwolni się z banku – akurat wtedy, kiedy zaczęto mówić o etacie doradcy klienta w dziale inwestycji – i najmie do pracy w desku. Nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić, że kiedyś jeszcze wróci na rodzinną północ.

Powyżej Hakaniemi miasto zaczyna tracić znajome cechy. Wspomnienia Tuomasa bledną w tym samym tempie, w jakim zaczyna się budzić miasto Oskariego. Teraz on pokazuje znajome osiedla.

– Tam mieszkałem przez chwilę, w tym czerwonym bloku.

A gdybyś się uniósł nad to wzgórze, tobyś zobaczył dom, w którym zostawiłem pięć lat życia.

Z zewnątrz wpływa do kabiny zapach palonej kawy. Tuomas sprawdza esemesy. Jeden jest od ojca. Zgaduje bez czytania, co w nim znajdzie, treść spycha na dalszy plan. Postanawia wrócić do tej sprawy później, gdy przyjdzie na to pora.

– Ciekawe, jak wygląda ta wioska – zastanawia się Oskari, byle coś powiedzieć.

– Co za różnica.

– Najlepsze to już było – mówi Oskari, naśladowując północną wymowę babusi.

Tuomas się uśmiecha. Kiedy wjeżdżają na autostradę, zaczyna powoli sypać śnieg.

Nie przenoszą się tam dla rozrywki – chcą znaleźć swoje dziecko. Staną się zmorą przedszkolank, będą przesiadywać za płotem placu zabaw i szukać spojrzeniem chłopca, z którym nie pozwolono im się nigdy zobaczyć. Spróbują zajrzeć z drugiej strony ulicy przez okno do domu, podejrzeć chłopca, kiedy będzie zdmuchiwał świeczki na torcie, obchodził imieniny, świętował konfirmację. Zjawią się potajemnie na sali gimnastycznej w szkole i z ostatniego rzędu obejrzą gwiazdkowe przedstawienie, a potem będą się zastanawiali, kto mógł grać pasterza, kto Józefa, a kto anioła, który wypowiedział słowa: „Nie lękajcie się”. W dniu zakończenia liceum zostawią na stojaku z kwiatem pojedynczą różę z karteczką „Od tatusiów”. Będą szukać w gazetach informacji o zaręczynach, ślubach, urodzonych dzieciach i nominacjach, oglądać towarzyszące im zdjęcia. Wyprowadzą się, jeśli się dowiedzą, że i on wyjechał. Zwolnią się z pracy, wynajmą dostawczak, znowu owiną palmę w zimową kurtkę, wypowiedzą umowę z zakładem energetyki, zrezygnują z subskrypcji lokalnej gazety.

Tuomas się uśmiecha. Właśnie w tej chwili poczuł, że życie jest jasne i pewne. „Problem, którego nie da się pogodzić z małżeństwami homoseksualnymi, jest taki, że ci ludzie nigdy nie przestają szukać”.

Nie poddadzą się nigdy, nie odpuszczą, nie wyluzują.

## Pofrunę, gdzie nie byłam jeszcze

Jak to, poddałam się zaraz po śmierci matki? Co ty mówisz, Johannes?

Sięgam ręką do krawędzi łóżka. Wydaje się chłodna, prawie zimna. Chodź, przytul się do mnie, braciszku. Nie przychodzi, tylko wychodzi z sypialni do dużego pokoju, rozmawia z kimś w drzwiach, po chwili wraca. Z kim rozmawiałeś?

Mówi, że był Tuomas. Chciał wejść do środka, ale go nie wpuścił.

Nie chcę tu widzieć nikogo więcej. Przy mnie może być tylko mój braciszek, moja mała płaksa, moja ciepła klucha. Przepraszam, że nie wróciłam do domu, nie poznałam nowych tras, mówię mu, lecz on tylko cyka te swoje ciii-ciii, nie myśl teraz o takich rzeczach. Chwyta moją dłoń i głaszcze. Jest mi zimno i boję się. Czy muszę odejść sama? Nie mógłbyś się zabrać ze mną, odprowadzić choć kawałek? Mówiłbyś mi, gdzie na ścieżce są kamienie i dołki.

Johannes przechodzi na drugą stronę łóżka i kładzie się na połówce Kariego. Materac się ugina. Przyciska się do mnie mocno, a ja wsuwam mu prawą rękę pod ramię. Grzbietem dłoni wyczuwam, że jest tuż-tuż. Oddycha głęboko. Jeśli się poruszy, poruszę się i ja.

Leży wtulony w mój bok, czuję jego ciepło. Umarła we mnie wola, odeszła cała ochota. Największe szczęście jest wtedy, kiedy człowiek niczego nie pragnie. Leżymy obok siebie jak stare małżeństwo. Siostra i brat. Gładzi mnie po włosach. Palcami dotyka powiek. Nie płacz po nich. Pod nimi nie ma nic.

Tuomas już pojechał? Nasz wspólny syn. Stracił swojego syna. Mojego pierwszego wnuka. Próbuję się podnieść, lecz Johannes przyciska mnie do posłania. Niańczy mnie jak dziecko. Nie chcę tak. To ja jestem starsza i to ja mam się troszczyć. To ja mam mu mówić, że wszystko będzie dobrze. Słyszę piosenkę o nieustraszonej Mysze Miki, ale nie jestem pewna, kto śpiewa, on czy ja. Nie ma strachu.

Johannes mówi, że dalej pójść ze mną nie może. Nie gadaj już,

wszystkie słowa świata zostały dawno wypowiedziane. Wyjmuję rękę spod jego ramienia i splatam palce z jego palcami. Johannes nie odchodzi, nadal leży tuż przy mnie. Widzi mnie taką, jaka jestem, i nie zostawia. Już nie jest mi zimno.

Obejmuje mnie. Całuje w policzek. Troszczy się o mnie. Tuli w ramionach. Dobrze mam życie. Niczego mi nie braknie.

Jestem lekka i wiatr szarpie mnie ku sobie jak latawiec. Rozpadam się na kawałki, rozścielam po ziemi, osiadam. Nie istnieją miejsca, nie istnieje czas, wszystko płynie, więc płynę i ja, rozpływam się na wszystkie strony świata. Jedna ręka leci na wschód, druga bardziej na południe, palce odłączają się od dłoni, stawy od stawów. Nogi się dzielą, kręgi i chrząstki odrywają od siebie. Grają pękające tafle ściętych mrozem kałuż. W opuszkach wyczuwam jednocześnie chropawości świata, rzeczy gładkie i gorące, na twarzy ludzką bliskość, a w palcach stóp piasek i igliwie. Roztapiam się. Słyszę każdy akord i każdą kwintę, każde wypowiedziane słowo, każdą głoskę, lecz tylko się śmieję, bo już nic nie ma żadnego związku z niczym. Wszystko straciło wszelkie znaczenie.

Rozpadam się na światło i ciepło. Rozkładam się na zapachy, znajome i nieznanne. Niektóre przez chwilę mogę jeszcze nazwać. Mydło do golenia. Oleander i kwiat pomarańczy, kamfora i mirt. Koszula ojca, która pachnie wiatrem.

\*\*\*

*Sikfryda Fon Szczał wspiera się przedramionami na oparciu wózka, poprawia się. Alfred Wymoczek siedzi na kuchennym taborecie, na którym zawsze siadał Kari. Widzi, że zaczyna zmierzchać, lecz mało go to obchodzi.*

*Sikfryda dorzuca do opowieści nowy epizod, bardzo obsceniczny. Alfred zakrztusza się przyniesionym z lodówki piwem, aż mu się ulewa. Helena słucha kaszlu i parska śmiechem. Pożółtkę od dymu szafki odbijają głos, który biegnie przez drzwi do dużego pokoju. Śmiech wstrząsa klepkami parkietu i blatem stołu, ucieka do sypialni. Znajduje otwarty przez opiekunkę lufcik i ulatuje przez niego ku niebu. Po drodze wyciąga z wazonu na parapecie plastikową różę od Glorii i ciska na ziemię.*

Lopotti

gwar. wieś; także wieś na uboczu, odludziu, grupa domów leżąca z dala od zabudowań wsi.

Zapóżycone od ros. *слобода* – większa wieś, osada, której mieszkańcy posiadali określone przywileje. Rus. – wola, swoboda, wolność.



\*\*\*

Cytat „Nieba gdy słyszę błękitną pieśń, pragnę w powietrze, ach, unieść się...”

*Blauer Himmel*

Mel. i słowa: Josef Rixner.

Rozdział *Ubierz się w obciste*”

*What Is Love?*

Mel. i słowa: Dee Dee Halligan, Junior Torello, 1993.

Rozdział *W nocy nie śpię, w dzień nieprzytomny* oraz cytat „Szczęśliwe pary to rzadkie ptaki w społeczności homoseksualnej”, urywki:

David Reuben, *Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o seksie*, 1969.

Opisy dyżurów w rozdziale *Naucz, Ojcze, dziatki swoje* zostały zaczerpnięte z książki Annikki Peltonen *Elämän oppikoulussa pisteillä ja ilman (W szkole życia z brajlem i bez)* za zgodą autorki.

# Podziękowania

Dziękuję dziesiątkom osób, które zgodziły się ze mną porozmawiać, przysłały mi zdjęcia i udzieliły wyczerpujących odpowiedzi na dyletanckie pytania oraz zechciały sprawdzić liczbę kroków, trasy autobusów, plany budynków i daty ich wzniesienia, światopoglądy. Proces powstawania tej książki wsparły także Fundusz Kultury Regionu Finlandia Właściwa, Fundacja Literatury WSOY oraz Komisja Kultury Miasta Turku.

## Od tłumacza Prońko zamiast Eurowizji. Tłumacz się tłumaczy

Tommi Kinnunen znów nas, tłumaczy, urządził. Późny debiutant, który już pierwszym strzałem – wydaną w 2014 roku powieścią *Cztery Drogi* – wybił się bardzo wysoko na fiński firmament literacki, ma nie tylko coś do powiedzenia w ważnych sprawach, lecz także opakuje swój przekaz w formę, której nie da się bezstratnie przełożyć na inny język. Owszem, traktuje nas tak dobrze jak mało który pisarz: do pierwszej powieści dołączył okraszone zdjęciami z rodzinnego archiwum parostronicowe wprowadzenie do swojego tekstu i bardzo sprawnie odpowiadał na pytania (tak jest zresztą do dziś); do drugiej powieści założył już dokument w chmurze, w którym zapisują się wszystkie pytania od tłumaczy i wszystkie jego odpowiedzi. W nim też odsłonił nam tajniki swojego warsztatu, wtajemniczając w zawilości zastosowanej formy. To ona właśnie rzuca wyzwania, które dopraszają się rozwiązań nieszablonowych.

Z *Czterema Drogami* nie było jeszcze tak źle, choć gdyby chcieć skopiować w przekładzie pomysł pisarza, przyszłoby chyba złożyć broń. Bo cóż zrobić z tytułami rozdziałów, które są nazwami ulic rzeczywiście istniejącego fińskiego miasta – Kuusamo? Które w związanej frazie zgrabnie wiążą się z treścią rozdziału i trafnie opisują jego nastrój? Czy dałoby się zastąpić to uliczne Kuusamo – ani razu niewymienione z nazwy na stronach powieści, lecz obecne w realistycznych opisach i prawdziwej geografii – prawdziwymi nazwami ulic prawdziwego polskiego miasta z cegły i betonu? Dać to pewnie by się dało – wbrew pozorom to robota raczej prosta, chociaż bardzo żmudna – przypuszczam jednak, że większość tłumaczy zdecydowanie by odrzuciła takie rozwiązanie. Jakże to tak – nałożyć polskie realia na fińskie, ukryć w Kinnunenowej narracji całkiem nową ramę odniesień, naszych polskich, tutejszych? Przecież wszystko, co się w *Czterech Drogach* dzieje na przestrzeni mniej więcej

stu lat, dzieje się w Kuusamo, z Kuusamo i pod Kuusamo (z jedynym bodaj egzotycznym, polskim zresztą, wyjątkiem, który w przekładzie ustąpił miejsca egzotyce holenderskiej; ale to inna sprawa). Czy tłumaczowi wolno wrywać serce akcji z organicznie obcej tkanki i zastępować je organem polskim? Taka operacja mogłaby się udać – tylko czy pacjent by ją przeżył? Czy tak przełożoną powieść dałoby się czytać?

Uznałem, że nie – i fińskie nazwy ulic (tworzone według innych zasad niż u nas) przełożyłem na takie, które wydawały się jeszcze możliwe w naszych realiach. W rezultacie czytelnik jest świadomy, że na plan powieści nakłada się plan miasta, a efekt harmonizuje z treścią i tytułem (przekładowe „cztery drogi” to polski odpowiednik do dziś używanej przez mieszkańców Kuusamo nazwy głównego skrzyżowania wsi kościelnej), niby więc udało mi się zrobić tyle, ile można było bez ryzykownego przeszczepu. Rozwiązanie nie do końca mnie satysfakcjonowało, ale to dla tłumacza nic nowego – kto chce przekładać literaturę, ten musi się nauczyć pracować (i żyć) z bolesną świadomością, że pewne znaczenia i wymiary – a niekiedy wręcz całe światy – najzwyczajniej nie podlegają przekładowej reinkarnacji. Języki i kultury nie przystają do siebie, ich strukturalne podobieństwa – słowo za słowo, pojęcie za pojęcie – mają nadziejami nie do spełnienia.

W drugiej swojej powieści – która ukazuje pewne wątki *Czterech Dróg* w bocznym oświetleniu, z perspektywy niewidomej Heleny, oraz rozwija losy najmłodszego bohatera pierwszej powieści, Tuomasa – Kinnunen postanowił wykorzystać sprawdzoną matrycę kodową. Tym razem tytuły rozdziałów to fragmenty fińskich utworów muzycznych – kołysanek, psalmów, piosenek ludowych, pieśni napisanych przez znanych fińskich kompozytorów do wierszy nie mniej znanych fińskich poetów oraz starszych i bardziej współczesnych przebojów muzyki rozrywkowej; jedna linijka pochodzi z popularnej w czasach II wojny światowej fińskojęzycznej wersji *Eriki*, słynnego niemieckiego marsza wojskowego. Nazwy mniej więcej połowy wszystkich rozdziałów pisarz zaczerpnął z piosenek, które Finowie prezentowali na konkursach Eurowizji. Nie bez powodu: „wszystkie one – napisał

we wspomnianym dokumencie, wtajemniczając nas w swój zamysł – od dawna mają status ikon kultury gejowskiej w Finlandii”, doskonale więc nadają się do opisu losu Tuomasa. Tommi wyraził też życzenie, byśmy nie ograniczyli się wyłącznie do suchego, dosłownego przetłumaczenia tych tytułów, lecz poszukali – każdy w swojej kulturze – utworów niosących podobne treści i spełniających podobną funkcję; jego zdaniem przełożenie tytułów wprost nie miałyby większego sensu, gdyż czytelnik „nic by z tego nie miał”.

Tak oto Kinnunen postawił nas – swoich przeszłych, teraźniejszych i przyszłych tłumaczy – w kłopotliwym rozkroku. Prośba to nie żądanie; pisarz tej klasy uznaje fakt, że jego sprawczy autorytet nie sięga do świata innego języka i obcej kultury – to już domeny tłumaczek i tłumaczy. Z drugiej strony autor przekładu uznaje formatywną rolę oryginału i zgodnie z zasadami sztuki i prawidłami rzemiosła chce go jak najpełniej odtworzyć w swoim języku; życzenia autora są dla niego wiążące, jeżeli tylko może je spełnić, nie naruszając reguł swojego fachu. Tłumaczki – bo do tej pory drugą powieść Kinnunena przekładały same panie – czyniły różnie: Szwedka Ann-Christine Relander i Holenderka Sophie Kuiper przychyliły się do życzenia Kinnunena, a Turid Farbregd z Norwegii, Birgita Bonde Hansen z Danii oraz Czeszka Lenka Fárová – nie. Stoimy więc tymczasem w faktycznym rozkroku, z ciężarem równo rozłożonym na obie nogi. Ciekawe, jakie decyzje podejmą kolejni tłumacze.

Problem jest z pozoru podobny do tego, z którym zetknęliśmy się w *Czterech Drogach* – i tu, i tu mamy tytuły rozdziałów wprost wskazujące na konkretne realia fińskie, będące wręcz nazwami własnymi oraz bezpośrednimi cytatami z zasobów poetyckich i muzycznych, a tych – przynajmniej w powieściach realistycznych – rzeczywiście nie tłumaczy się przez zastąpienie tworamii kultury języka docelowego. W tym kontekście przytacza się często problem tłumaczenia gwar. Nie tylko w Polsce tłumacze nie chcą przekładać wyrażen gwarowych języka obcego na gwary lokalne; praktyki przekładowe obejmują wszystko pomiędzy „opcji zerowej” – kiedy występujące w oryginale wyrażenia gwarowe oddaje się „normalnym językiem” – przez nieznaczne udziwnienie wypowiedzi słowami spoza

arsenału typowego języka polskiego po zsyntetyzowanie własnej mowy, która nie wskazuje na żadną konkretną gwara, różni się jednak znacznie od „zwyczajnej” polszczyzny. Wyjątki od tej reguły są rzadkie – z ostatnich takich prób, które zdołałem wyłapać z zalewającej nas powodzi książek, wspomnę opowiadanie *Yesterday* Harukiego Murakamiego z wydanego przed dwoma laty zbioru *Mężczyźni bez kobiet*, w którym Anna Zielińska-Elliott silny dialekt Kansai przetłumaczyła na gwara poznańską.

Opór środowiska przed podobnymi rozwiązaniami jest jednak silny. Nic dziwnego – jeśli lektura przekładu ma wywoływać u czytelnika odczucia, emocje i skojarzenia jak najbardziej zbliżone do tych, jakie ma czytelnik oryginału (jak chcieliby tłumacze preferujący „przekład dynamiczny”, czyli większość), to zastosowanie gwary w tłumaczeniu wyraźnie tę zasadę narusza: oto narrator czy autor tłumaczonej wypowiedzi zostaje nagle wypreparowany z przestrzeni standardowej polszczyzny – której umowne oderwanie od geograficznego i kulturowego konkretności pozwala czytelnikowi niejako przymknąć oko na jawny konflikt czasu, miejsca, osób i treści poznawanej historii z opisującym ją językiem i trwać w ułudzie obcowania z oryginałem (stąd zapewne tak częsta u czytelników nieświadomość istnienia tłumacza i nie mniej rzadkie zapominanie o nim w mediach prezentujących przekłady, a nawet na stronach ich wydawców) – i zlokalizowany w realnej, dość wąskiej przestrzeni o określonej geografii i historii, na co czytelnik przymknąć oczu już nie może. W książce Finowie rozmawiający standardową polszczyzną pozostają dla czytelnika prawdziwymi Finami z krwi i kości, lecz gdy tylko zaczynają mówić po śląsku, kaszubsku czy poznańsku, iluzja pryska i bohaterowie tracą wiarygodność. Niejeden czytelnik powie, że stali się nagle śmieszni.

Z podobnej przyczyny nie mogłem zastąpić siatki ulic Kuusamo z *Czterech Dróg* siatką ulic Bytowa czy Opola, najzupełniej dosłownie sprowadziłbym akcję fińskiej powieści na twardy grunt polskiej rzeczywistości – ze wszystkimi tego konsekwencjami. Żadne polskie miasto nie ma historii nawet zbliżonej do losów Kuusamo z czasów II wojny światowej – która dla Finów rozbija się w zasadzie na trzy

wojny: zimową, kontynuacyjną i niemiecką – skojarzenia z ziemią polskimi byłyby więc całkiem chybione. Także dlatego, że nie mieliśmy w powojennej Polsce praw wymierzonych w osoby homoseksualne. Nawet jeśli to podskórne zlokalizowanie *Czterech Dróg* w Polsce – „podskórne”, bo poprzez tytuły rozdziałów – byłoby trudne do stwierdzenia, istniałoby przynajmniej potencjalne ryzyko, że część czytelników rozpozna w nazwach ulic polskie miasto i mocny przekaz Tommiiego Kinnunena straci moc przejmującego świadectwa.

Mimo pozornych podobieństw możliwości tłumacza postawionego przed zadaniem przetłumaczenia drugiej powieści Kinnunena – której polski wydawca nadał tytuł *Inni niż my* – są większe. Z utworami muzycznymi jest inaczej niż z nazwami własnymi miejsc: tu geografia schodzi na dalszy plan i potrafię sobie wyobrazić, że polski czytelnik obcujący z tytułami rozdziałów, które podczas lektury fińskiej powieści wywołują z jego pamięci polskie utwory muzyczne, nadal pozostaje w owej umownej sferze, gdzie Finowie mogą mówić i śpiewać, krzyżeć i przeklinać po polsku, nie tracąc ani na moment wiarygodności i tożsamości. Gdybym w *Innych niż my* zastosował strategię tłumaczeniową z *Czterech Dróg* – przekładając tytuły rozdziałów tak, by wyglądały na fragmenty wierszy – pozbawiłbym czytelników tego wszystkiego, co mają czytelnicy fińscy: wywoływanej przez każdy tytuł melodii i związanego z nią nastroju, wzruszeń i uniesień towarzyszących rozpoznaniu w niektórych swoich „kultowych” hymnów oraz głębokiej identyfikacji z przekazem, jaki niosą ich słowa. Uznałem, że to za dużo, by z tego zrezygnować, starałem się więc tak dobierać fragmenty utworów, by nie tylko miały jakieś odniesienie do tego, co się dzieje w danym rozdziale, lecz także by nastrój całości zgadzał się – choćby w przybliżeniu – z nastrojem, jaki oryginalny utwór tworzy u Kinnunena.

Oczywiście istnieje ryzyko, że podstawiony w miejsce fińskiego nowy – polski – zestaw znaczeń, skojarzeń i nastrojów okaże się dla niektórych czytelników nazbyt „swojski” – i opowieść straci swoją umowną „autentyczność”. Dla nich najważniejsze skojarzenia nie będą związane z tekstem piosenki czy klimatem, jaki tworzy, lecz z szerszymi odniesieniami związanymi z osobą autora utworu, czasem

i miejscem jego powstania, z określoną formacją subkulturową właściwą tylko polskiej kulturze i tak dalej. Zdaję sobie z tego sprawę i godzę się z tym, że niektórzy czytelnicy uznają przyjęte tu rozwiązanie za nieudane. Żywię jednak nadzieję, że większości nie utrudni to czytania, lecz wręcz odwrotnie – uprzyjemni i wzbogaci lekturę, poszerzając ją o dodatkowe wymiary.

Prawdopodobnie wielu utworów czytelnik nie rozpozna po krótkim fragmencie złożonym z paru zaledwie słów. To celowy zabieg, także „przełożony” z oryginału, gdzie nie występują tytuły utworów, lecz jedynie pojedyncze linijki lub czasem powiązane w całość fragmenty dwóch wersów. Fińskich przebojów Eurowizji – które z racji tematyki i przesłania obu powieści Kinnunena wydają się tu najważniejsze – nie dało się bezpośrednio, jeden do jednego, „przełożyć” na polskie piosenki zgłoszone do tego konkursu; mieliśmy ich zdecydowanie za mało, by wybrać z nich ponad dwadzieścia fragmentów pasujących i nastrojem, i tekstem do treści rozdziałów *Innych niż my*. Ale polskie środowisko gejowskie upodobało sobie piosenkarki i piosenkarzy, którzy nigdy nie trafili do Eurowizji – i to do ich twórczości sięgnąłem. Wszyscy oni śpiewają o tym samym, o czym Finowie w swoich przebojach – o potrzebie miłości i akceptacji, o odrzuceniu, zawiedzionych nadziejach, o tych samych ludzkich sprawach, które dotyczą każdego z nas bez względu na orientację seksualną. Ta uniwersalność przekazu pozwala moim zdaniem nie tylko na przetłumaczenie słów na słowa, lecz także na zastąpienie fińskich utworów muzycznych – również tych z bardziej klasycznego, starszego repertuaru z rozdziałów opisujących losy Heleny – ich polskimi „odpowiednikami”.

Chciałbym mieć nadzieję, że nasze kołysanki, piosenki ludowe, pieśni, psalmy, stare szlagiery i nowsze przeboje nie nasuwały czytelnikowi natrętnych skojarzeń z naszą kulturą i naszymi, tak różnymi od fińskich uwarunkowaniami, lecz że swoim nastrojem i tym, co w nich uniwersalne, pozwoliły mu choć w pewnej mierze poczuć to samo, co czuł fiński czytelnik powieści Tommiiego Kinnunena. Nie były to odczucia faktycznie identyczne – tak jak faktycznie identyczne nie są obie wersje powieści – lecz gdyby były



identyczne na mocy owej niepisanej umowy między autorem a czytelnikiem, która pozwala nam czytać po polsku powieści tłumaczone z języków obcych bez poczucia obcości, mógłbym śmiało powiedzieć, że wywiązałem się z powierzonego mi zadania.

\*\*\*

## Podziękowania

Jedną z dwojga głównych bohaterów powieści *Inni niż my* Tommiego Kinnunena jest niewidoma Helena. Takich Helen jest wiele, także w Polsce. Mimo że widzimy, prawie ich nie dostrzegamy na co dzień, a *ponieważ* widzimy – nie wiemy, jak takie osoby doświadczają świata. Tommi tak głęboko wniknął w tę tematykę, że musiałem zwrócić się po fachową pomoc, by adekwatnie oddać w słowie ten nieznamy nam świat – bardzo dziękuję pani Marii Tomaszewskiej, dyrektor Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niewidomych w Owińskach, za poświęcenie mi swojego cennego czasu mimo nawału obowiązków.

Osoby niewidome nie są wcale upośledzone – wręcz odwrotnie: dzięki wykształceniu i przygotowaniu do samodzielnego życia w takich ośrodkach jak szkoła dla niewidomych w fińskich Helsinkach czy ośrodek w polskich Owińskach zdobywają kwalifikacje w zawodach, w których nie spodziewalibyśmy się ich spotkać: Helena w powieści Kinnunena została muzykiem i stroicielką fortepianów. Żeby poprawnie oddać w słowie ten wymiar jej świata, ponownie musiałem się zwrócić do fachowców. Gorące podziękowania kieruję do muzyków i stroicieli, panów Władysława Stryckiego i Janusza Butryma. Ogromnie mi też pomogły panie Justyna Gertner-Piechel i Anna Butrym, którym jestem wielce zobowiązany.

Sebastian Musielak

\*\*\*

W polskim wydaniu powieści w tytułach rozdziałów wykorzystano następujące utwory:

### Część pierwsza:

- „Świat dzieciennych lat, wskrzeszonych znów” (Mieczysław Fogg, *Pieśń o matce*, sł. Tadeusz Żeromski, ps. „Wrzos”)
- „Odwiedza pochód sław mój dom” (Janusz Radek, *Ja jestem wamp*, sł. Marcellus Schiffer, Geza Herczeg, Robert Klein, tłum. Artur Kożuch)
- „Strzeże ziemi swej rodzinnej” (*Kasieńka* – wersja polska rosyjskiej *Katiuszy*, sł. polskie Bogdan Żyranik)
- „Widzę cię z bliska” (Partia, *Disco 707*, sł. Lesław „Lesław” Strybel)
- „Odważnie stań na scenie” (Zdzisława Sośnicka, *Uwierz w siebie*, sł. Bogdan Olewicz)
- „Nie wiemy, gdzie wędrówki kres” (*Rozszumiały się wierzby płaczące*, sł. Roman Ślęzak)
- „To nie jest pora na sen” (Bajm, *Za za za*, sł. Beata Kozidrak)
- „Ucha nadstawiam i słucham” (Anna Maria Jopek, *Ale jestem*, sł. Magdalena Czapińska)
- „Lęk się czai tak jak zbrodnia” (Halina Frąckowiak, *Serca gwiazd*, sł. Janusz Kofta, Janusz Kondratowicz)
- „Kiedyś tam będziesz miał dorosłą duszę” (Seweryn Krajewski, *Kołysanka dla okruszka*, sł. Agnieszka Osiecka)
- „Kiedy samotność drzwi uchyla” (Zdzisława Sośnicka, *Julia i ja*, sł. Bogdan Olewicz)
- „Zakazany owoc, marzeń ciemnych tabu” (Krzysztof Antkowiak, *Zakazany owoc*, sł. Jacek Cygan)
- „Pod obcym, ciemnym niebem” (Halina Frąckowiak, *Serca gwiazd*,

sł. Janusz Kofta, Janusz Kondratowicz)

– „W nocy nie śpię, w dzień nieprzytomny” (Kazik Na Żywo, *Mama prosiła*, sł. Kazik Staszewski)

### **Część druga:**

– „Naucz, Ojcze, dziatki swoje” (Psalm 558, *Kancynał, czyli śpiewnik dla chrześcijan ewangelickich*, Jerzy Heczko, Cieszyn 1865)

– „Ucieka tam, gdzie nikt nie pyta” (Myslovitz, *Polowanie na wielbłąda*, sł. Artur Rojek)

– „Dzięki Tobie za Tve dary” (Śpiewnik *Głos wiary*, nr 478, autor J.H. Bolting)

– „Wulgarną nuąc śpiewkę” (Staszek Staszewski, *Kochaj mnie, a będę twoją*, sł. Andrzej Włast)

– „Dzisiaj się rozstaniemy” (Mieczysław Fogg, *To ostatnia niedziela*, sł. Zenon Friewald)

– „Ubierz się w obcisłe” (Lech Janerka, *Rower*, sł. Lech Janerka)

– „Żal nic tu nie pomoże” (Piotr Szczepanik, *Żółte kalendarze*, sł. Jerzy Miller)

– „Chciałabym z kimś do pianina sięść” (Irena Santor, *Walczyk na cztery ręce*, sł. Ludwik Starski)

– „Porzuć płonne swe nadzieje” (Małgorzata Ostrowska, *Meluzyna*, sł. Krzysztof Gradowski)

– „Bez kochania bardzo źle” (Mazowsze, piosenka ludowa *Cyt cyt*, adaptacja Mira Zimińska)

– „Że mi tak w piersiach błogo” (Stanisław Moniuszko, *Śpiewnik domowy*, sł. Ludwik Kondratowicz [Syrokomla])

– „Odkryjemy miłość nieznaną” (Alicja Majewska, *Odkryjemy miłość nieznaną*, sł. Wojciech Młynarski)

– „Na co bóle wrzące?” (Stanisław Moniuszko, *Śpiewnik domowy*, sł. Józef Grajnert [wg Goethego])

– „Nie dawać mnie za mąż było” (piosenka ludowa, oprac. K. Sikorski)

– „Tęsknota ma wspomnieniem płynie w świat” (Sława Przybylska, *Tęsknota*, wersja polska *Somewhere, My Love* Connie Francis, sł.

Maurice Jarre, Paul Francis Webster, tłum. autor nieznany)

– „Pokazały swoje twarze krzywe lustra” (Urszula Sipińska, *Zapomniałam*, sł. Inka Korniszewska)

– „Nigdy ciebie nie kochałem” (Kult, *Maciek ja tylko żartowałem*, sł. Kazik Staszewski)

### **Część trzecia:**

– „Blżej gwiazd, bliżej dna” (Andrzej Rybiński, *Nie liczę godzin i lat*, sł. Marek Dagnan)

– „Miłość zabrała mu rozum” (Maanam, *Derwisz*, sł. Olga Jackowska)

– „Ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa” (Stanisław Moniuszko, *Śpiewnik domowy, Znasz-li ten kraj*, sł. Adam Mickiewicz [wg Goethego])

– „Jesteś gwiazdą w ciemności” (Krystyna Prońko, *Jesteś lekiem na całe zło*, sł. Bogdan Olewicz)

– „Że nie wrócisz już wiem” (Czesław Niemen, *Wiem, że nie wrócisz*, sł. Jacek Grań [Franciszek Walicki])

– „Wszyscy chcą kochać, choć nie przyznają się” (Maryla Rodowicz, *Wszyscy chcą kochać*, sł. Katarzyna Nosowska)

– „Na szczęśliwy łód zaniosą mnie” (Alicja Majewska, *Odkryjemy miłość nieznaną*, sł. Wojciech Młynarski)

– „Ludzie są samotni, czy tego chcą, czy nie” (Irena Santor, *Już nie ma dzikich plaż*, sł. Krzysztof Logan Tomaszewski)

– „Widziałem wiatr o siwych włosach” (Grażyna Łobaszewska, *Czas nas uczy pogody*, sł. Jacek Cygan)

– „W sercu cię kołyszę” (Violetta Villas, *Do ciebie, mamo*, sł. Mirosław Łebkowski, Stanisław Werner)

– „Możesz wziąć mnie za rękę” (Kasia Stankiewicz, *Schyłek lata*, sł. Kasia Stankiewicz)

– „Kroki, czyjeś kroki” (Maanam, *Ty nie ty*, sł. Olga Jackowska)

– „Nadzieja na pogodę” (Halina Frąckowiak, *Dancing Queen*, sł. Janusz Kondratowicz)

– „Ta pieśń to awanturka” (Wiesław Gołas, *Kapturek 62*, sł. Jeremi

Przybora)

– „Świat wypadł mi z moich rąk” (Myslovitz, *Chciałbym umrzeć z miłości*, sł. Artur Rojek)

– „Noszę w sobie, by kiedyś ci dać” (Justyna Steczkowska, *Wracam do domu*, sł. Łukasz Rutkowski)

– „Ścieżki swe równajcie” (psalm *Słuchaj domu Dawida*, śpiewnik *Adwentowe proroctwa*)

– „Prowadź mnie, gdy światło drży” (Mieczysław Szczepniak, *Przytul mnie mocno*, sł. Wojciech Ziembicki)

– „Pofrunę, gdzie nie byłam jeszcze” (Irena Jarocka, *Motylem jestem*, sł. Andrzej Tylczyński)

- 
- 1 Wasza Wysokość (szw.).
  - 2 Dziękujemy (szw.).
  - 3 Moja mama zawsze używa fasoli (ang.).
  - 4 Ja nie miałem (ang.).
  - 5 Idzie śmieszny szczeniak? (ang.).
  - 6 Pięknie (szw.).
  - 7 Pięknie. Gwiazda. Siedmiu chorych marynarzy (szw.).
  - 8 Co? (szw.).
  - 9 Nic (szw.).
  - 10 Pycha! (szw.).
  - 11 Złamaliśmy wszystkie obietnice (szw.).
  - 12 Ciocia może zostać (szw.).
  - 13 Wkrótce pójde po swoje rzeczy (szw.).
  - 14 Dlaczego nie umiesz się kłócić jak moja mama? (szw.).
  - 15 Bardzo nam przykro, proszę pani (hiszp.).
  - 16 Basen. Bardzo strome schody. Głupi kundel (hiszp.).
  - 17 Przepraszam, ma pan programy opery? (wł.).
  - 18 Ale może pan przyjść tutaj (fr.).

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska  
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Sebastian Musielak  
Redakcja: Jan Koźbiel  
Korekta: Agnieszka Trzeszkowska-Bereza, Grzegorz Krzymianowski

Projekt okładki: Magdalena Palej  
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Irene Lamprakou/Arcangel Images, © Mark Owen/Arcangel Images, © Sunny Forest/shutterstock.com, © melis/shutterstock.com

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-4951-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**